

**TRZĘSIENIE  
ZIEMI**



**KIR BUŁYCZOW**



WYDAWCA

Kir Bułyczow

Trzęsienie ziemi

*Ziemiętrząsienie w Ligonie*  
Tłumaczyła Agnieszka Chodkowska–Gyurics

## Od autora

Kraj, a także osoby i zdarzenia, o których opowiadam, są fikcyjne. Nie ma więc co szukać Ligonu na mapie, ani doszukiwać się analogii między rzeczywistością a opisanymi ludźmi i konfliktami.

Dla wygody Czytelnika mogę jednak powiedzieć, że gdyby Ligon istniał, znajdowałby się w południowo-wschodniej Azji, gdzieś między Malezją, Tajlandią, Birmą a Laosem. Głównym miastem i portem tego kraju byłby Ligon, położony nad rzeką Kangem, wpadającą do Morza Andamańskiego.

Ligon zajmuje obszar 138670 km kwadratowych. Ludność — 7,8 mln mieszkańców, z których około 80 procent stanowią Ligończycy, naród należący do grupy mon-khmerskiej, pozostali to uchodźcy z Indii, Chin i sąsiednich krajów. W Ligonie zamieszkuje także ponad pół miliona górali należących do różnych plemion i grup narodowościowych. Klimat tropikalny, typu monsunowego. Powierzchnia głównie górzysta, wyjątek stanowią szerokie doliny rzek Kangem i Sapui, gdzie zamieszkuje większa część obywateli i znajdują się pola ryżowe. Niezwykle bogaty jest świat roślin i zwierząt. W górach i przybrzeżnych mangrowych lasach nadal występują rzadkie, niespotykane w innych krajach zwierzęta, w tym nosorożec sumatrzański, kuprej, bocian sinodzioby, itd., a w lasach tropikalnych można natknąć się na stada dzikich słoni.

Historia Ligonu ma korzenie w dalekiej przeszłości. Legendy mówią, że pierwsze państwo na tym obszarze stworzył bramin Wikarma, który później, pod wpływem wędrownego proroka Tałliki przeszedł na buddyzm. Uznawane źródła historyczne mówią o istnieniu w Ligonie miast w połowie I tysiąclecia n.e. Francuski archeolog Matieu odkrył na początku naszego wieku, w dżungli, 35 km kilometrów od stolicy, wspaniałe ruiny Szri-Tarami — średniowiecznej stolicy Południowego Ligonu. W 1891 roku Ligon został podbity przez wojska brytyjskie, a niepodległość odzyskał dopiero w roku 1951.

Ligon tradycyjnie hołduje polityce neutralności, utrzymuje stosunki dyplomatyczne i handlowe z wieloma krajami. W roku 1957 podpisano porozumienie handlowe między Republiką Ligonu a ZSRR, a od roku 1959 utrzymywane są stosunki dyplomatyczne na poziomie ambasad.

Szczegółowe informacje można znaleźć w następujących publikacjach:

K. Iwanow. *W kraju rubinów i nosorożców*. Geografia 1961.

J. S. Wspólny. *Tam, gdzie płynie Kanga*. Myśl 1976.

L. Kotkin *Ligon wybiera drogę wolności*. Azja i Afryka dziś, nr 12, 1972.

T. Ostalkowa. *Lekarze radzieccy w górach Ligonu*. Robotnica, nr 2, 1973.

L. M. Minc *Legendy i rzeczywistość dalekiego kraju*, Dokoła świata, nr 4, 1979.

# Przewrót w Ligonie.

*Ligon. 10 marca 7 974. (TASS — LigTA).*

Dzisiaj w nocy, w Ligonie miał miejsce przewrót wojskowy. Stojący na czele Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego generał brygady Szoswe w wywiadzie dla miejscowego radia oznajmił, że przyczyną przewrotu była reakcyjna polityka Jan Rolaka, a także korupcja i zła sytuacja ekonomiczna kraju. Brygadier Szoswe zakomunikował, że komitet zamierza kontynuować politykę neutralności.

*Londyn. 10 marca. Agencja Reuters (z Bangkoku).* Nasze źródła nie potwierdzają związku przewrotu w Ligonie z działalnością separatystów. Jeden z liderów separatystów, książę Urao, nie mógł przybyć na spotkanie, na którym omawiano federację z Ligonem. Mówi się, że książę Urao przebywa obecnie w swojej rezydencji, w Tangi.

# Dyrektor Matur

Zeszłej nocy w moich rękach spoczywał los narodu. Dostrzegam w tym jakiś ukryty ceł, znak karmy, która wyznaczyła mnie do niepojętych zadań.

Nie znaczy to, że chcę wyolbrzymić swe możliwości. Kimże jestem? Skromnym pośrednikiem, eksporterem, dyrektorem fabryki zapalek znacjonalizowanej podczas kampanii wyborczej, za którą rząd nie był w stanie rozliczyć się z poprzednim właścicielem. Mówią, że mam układy. Ale układy te są delikatne jak pajęczyna. Wszystko zawdzięczam nie im, lecz dobremu imieniu.

Niektórzy mówią, że jestem uchodźcą. Inni uważają mnie za parsę. Jeśli w moich żyłach płynie krew szlachtetnych braminów, to dawno już rozrzedziła ją nie mniej szlachetna krew ligońskich buddystów. Sto lat temu moi przodkowie przybyli do tego niezwykle wtedy zacofanego kraju i, z czasem, stali się prawdziwymi Ligończykami. Mam na myśli nie formalną stronę zagadnienia (mam ligoński paszport) — naszym językiem ojczystym jest ligoński, obyczaje — ligońskie i, co najważniejsze, wszyscy jesteśmy prawdziwymi, ligońskimi patriotami. Moi przodkowie nigdy nie zbliżyli się z brytyjskimi kolonizatorami, a mój wuj Soni, w roku 1939, jako student uczestniczył w demonstracji, podczas której został pobity przez policjanta — Pendzabczyka.

Jestem małym człowiekiem, a moją dewizą, jest uczciwość. Z całą stanowczością muszę zaprzeczyć plotkom, rozpuszczanym przez wrogów. Dotyczą one moich związków z przemytnikami narkotyków. Niemoralność tego stwierdzenia jest najlepszym zaprzeczeniem jego prawdziwości. Jednak same zaprzeczenie nikogo nie przekona. Dlatego właśnie muszę odwołać się do przeszłości.

Kiedy uczyłem się w szkole misyjnej, gdzie przodowałem w wielu przedmiotach, do naszej klasy przyjęto młodego księcia Urao Kao — szesnastoletniego naówczas następcę tronu. Uczył się z nami osiem miesięcy, po czym wysłano go do Wielkiej Brytanii, by tam kontynuował naukę. Moje stosunki z młodzieńcem ułożyły się bardzo dobrze, tym bardziej że okazałem się przydatny dla młodego księcia, okazując mu pomoc w odrabianiu lekcji. Książę Urao Kao ukończył Cambridge i powrócił do kraju w roku 1953. Złożyłem mu wizytę, książę rozpoznał towarzysza dziecięcych zabaw i zaproponował, abym częściej bywał w jego domu. Od tego czasu nasze stosunki nie mają nic wspólnego z interesami.

W roku 1967, gdy odziedziczyłem po ojcu, który odszedł z tego świata, nasze biuro eksportowe, musiałem ratować interes podkopany zerwaniem tradycyjnych więzi handlowych między Wielką Brytanią i Ligonem, dlatego też zwróciłem się o pomoc finansową do księcia Urao Kao, a on mi tej pomocy udzielił. Niestety, w tym samym czasie, pewni lewaccy politycy rozpętali w parlamencie głośną, oszczerczą kampanię, podczas której starano się powiązać imię Urao z przemytem na ligońskiej granicy. Mimo że ataki nie były w stanie zaszkodzić niezniszczalnej reputacji księcia, pewne osoby dowiedziały się o pożyczce i dobre imię naszej firmy zostało zszargane odrażającymi podejrzeniami, których, na szczęście, nikt nie był w stanie poprzeć faktami. Moją całkowitą niewinność w każdej chwili może potwierdzić książę Urao Kao.

Aby wszystko stało się jasne, należy w tym miejscu podkreślić, że nie należąc do żadnej partii politycznej, zawsze wspierałem materialnie Wolnych Narodowców, za co osobiście podziękował mi Jah Rolak. Ponadto jestem dumny z działalności na rzecz zaopatrzenia armii. Nigdy nie było moim celem wzbogacić się na patriotyzmie, stąd bardzo wysoka ocena moich starań w sztabie zaopatrzenia armii, wyrażona osobiście przez pułkownika K. (zmuszony jestem opuszczać niektóre imiona, aby przez przypadek nie skompromitować prawdziwych patriotów) jest dla mnie szczególnie cenna.

Dygresja i odejście od szczegółowego opisu zdarzeń z nocy 10 marca może wydawać się nudna i długa, lecz jest niezbędna — dzięki niej Czytelnik będzie mógł osądzić mnie bezstronnie i obiektywnie.

W przeciwieństwie do wielu godnych szacunku ludzi w Ligonie, wliczając w to także premiera, wiedziałem wcześniej o przewrocie. Niestety, niewiele wcześniej. Należy przyznać organizatorom przewrotu, a przede wszystkim jego przywódcy, szanownemu Szoswe, że przewrót przygotowano w całkowitej tajemnicy.

Gdyby nie moje powiązania z armią i wdzięczność, jaką czuł względem mnie pułkownik K., pozostawałbym w całkowitej niewiedzy, tak jak pozostali obywatele Ligonu.

O dziesiątej wieczorem, w moim skromnym letnim domku na obrzeżach miasta, w Srebrnej Dolinie, zadzwonił telefon. Rozmówca nie przedstawił się, ale rozpoznałem głos pułkownika K. Poprosił mnie o przybycie w umówione miejsce, gdzie czeka na mnie wiadomość. Trwoga w głosie K. i napięta sytuacja w mieście zmusiły mnie do odpalenia skromnego datsuna i natychmiastowego wyruszenia w podróż. Po przybyciu na miejsce znalazłem w skrytce wiadomość informującą mnie o planowanym przewrocie i jego dokładnym czasie — pierwszej w nocy. Do wystąpienia wojskowych zostały niespełna trzy godziny.

I tak oto wszedłem w posiadanie bezcennej informacji, wartej miliony watów. A za trzy godziny wiadomość ta warta będzie tyle, co skrawek papieru, na którym ją napisano.

Stanałem wobec dylematu. Jak wykorzystać informację? Pognać do premiera? Ale on ma samolot gotowy w każdej chwili przerzucić go do Bangkoku, a kapitał dawno już ulokował w Szwajcarii. Jeśli nawet uwierzy mnie, skromnemu przedsiębiorcy, to co zaproponuje w zamian?

Było gorąco. Zostawiłem samochód w centrum, na ulicy Banun. Wokół krzyczeli sprzedawcy prażonych orzeszków, soku z trzciny cukrowej, gumy do żucia, z naprzeciwnika pachniało przypalonym olejem sezamowym, po drugiej stronie chodnika, pod lampami gazowymi, rozłożyli swoje towary drobni handlarze, zachwalający skarpetki, zabawki, zniszczone książki, zapalniczki. Kupiłem zwinięty soczysty liść betel i zacząłem go rzuć, aby odświeżyć umysł. Wokół kłębili się ludzie — w kinie właśnie skończył się seans. Wśród setek ludzi nie było kupca na moją nowinę. Zaświtała mi w głowie dziwaczna myśl: krzyknąć tutaj, w tłumie, przed plakatem z półnągą kosmitką: „Szaleńcy! Cieszycie się, a na obrzeżach Li — gonu ryczą silniki, czołgi ustawiają się na pozycjach!” Ludzie wybuchliby śmiechem.

Skreśliłem w najbliższy zaułek i poszedłem szybko wąskim prześwitem między trzypiętrowymi domami. Nie przez przypadek nogi doprowadziły mnie właśnie tutaj. Zacząłem działać.

Z ciągnącego się wzdłuż ulicy kanału zalatywało nieprzyjemnie. Drogę przebiegł mi czarny szczur, rzucił się na niego kulawy pies. Z przodu rozległ się głośny plusk — ktoś wylał przez okno pomyje.

Odszedłem od szerokiej, hałaśliwej ulicy nie dalej niż na pięćdziesiąt kroków, a jednak nie docierało tu nic oprócz dalekiego szumu i dźwięku dzwonek sprzedawców soku. Zdawało się, że

domy, pocięte żółtymi kwadratami okien, zamykają się mi nad głową. Z każdym krokiem uszy przywykały coraz bardziej do zwodniczej, pełnej dźwięków ciszy zaułka. Składała się z westchnień, przekleństw, szeptów, kaszlu ludzi, od których odgradzały mnie tylko cienkie ściany.

Myślę, że świat stracił we mnie poetę. Czasami mam ochotę przekazać w wierszach, subtelnych i dopracowanych, całe piękno otaczającego świata, nawet jeśli jest ono ukryte za brudnymi fasadami domów. Nagle zawładnęło mną pragnienie, by uczynić coś dobrego dla tych ludzi, by oddać im wszystko co mam — przybliżyłoby mnie to do nirwany. Największym grzechem na świecie jest skąpstwo. Jestem wdzięczny karmie, że uwolniła mnie od tej przywary.

Zatrzymałem się przed czarnymi drzwiami. Z boku, do szarej ściany, przymocowano kilka podniszczonych przez czas i deszcze metalowych szyldów. Nie potrzebowałem światła, aby przeczytać najwyższy: „Radžendra Jah Tantunczok. Eksport–import”.

Oczywiście, przypadkowy przechodzień pomyślałby, że tabliczka należy do drobnego kombinatora, którego celnicy gonią jak psa.

Ach, jakże wielki i niewybaczalny byłby to błąd! Skromna postać może kryć mędrca, a brudny szyld — firmę milionera.

Drzwi na trzecim piętrze niczym nie różniły się od innych na tej klatce schodowej. Były tak samo odrapane i brudne, a deseczka z napisem „Eksport–import” kiwała się na jednym gwoździu. Nad drzwiami wisiała goła żarówka.

Bywałem tu już wcześniej. Popchnąłem drzwi i wszedłem do niewielkiego, słabo oświetlonego przedpokoju. Delikatność to charakterystyczna cecha szanownego Tantunczoka. Przedpokój, długi na dwa metry, zakończony był drugimi drzwiami, obitymi drzewem tekowym, a pod nim stalowymi. Podejrzewam, że wewnętrzne drzwi były kiedyś zamontowane w bankowym sejfie. Zbliżyłem się do wizjera, by być lepiej widocznym i zadzwoniłem trzy razy. Drzwi otworzyły się powoli. Stał za nimi niewysoki Malaj w sarongu i białej koszuli z zawiniętymi do łokci rękawami. Milcząc wskazał mi stojące w holu krzesło. Nie wiem, czy Malaj umiał mówić po ligońsku albo w ogóle w jakimkolwiek języku. Posłuchałem go. Malaj znikł, wrócił po chwili i stanął obok drzwi opierając się o nie plecami. Nie patrzył na mnie. Zacząłem się trochę denerwować. Musiałem zdążyć do przyjaciół, a czas uciekał. Była za piętnaście jedenasta.

Do holu zajrzała młodziutka, pulchna kobieta, w szerokich spodniach z rozcięciami i malinowej, nylonowej bluzce. Kobieta paliła. Była to „kuzynka” Tantunczoka, usługująca staruszkowi. Przedtem, z sukcesem, śpiewała w „Czerwonej Róży”. Ale pieniądze, główny bodziec w życiu prostych ludzi, okazały się silniejsze od sztuki. Tylko człowiek taki jak ja, rozumiejący marność tego świata, może filozoficznie patrzeć na daremne próby zdobycia bogactwa lub władzy nad innymi ludźmi. Tak czy siak czeka na nas grób i nowe narodziny uzależnione od tego, jak cnotliwe lub jak grzeszne było nasze krótkie życie.

— Proszę wejść, dyrektorze Matur — powiedziała kuzynka. — Szanowny Radžendra Tantunczok zaprasza.

Tantunczok czekał na mnie w niewielkim, skromnym saloniku, z niskimi, plecionymi fotelami, leżącą na podłodze matą i stolikiem na gazety, na którym leżały paciorki i angielski kryminal z płaczącą blondynką na okładce. W kącie pokoju stał niewielki domowy ołtarzyk, ozdobiony białymi i czerwonymi wstążeczkami i papierowymi różami.

Tantunczok wygląda na starszego, słabszego i bardziej niepozornego, niż jest w rzeczywistości. W młodości przywdział maskę człowieka bez twarzy, która stopniowo stała się jego obliczem.

Tantunczok jest łysy jak buddyjski mnich, twarz ma poraną licznymi zmarszczkami, szczególnie wokół oczu, a gdy się uśmiecha, zmarszczki łączą się w wachlarzyki i wydaje się wtedy, że Tantunczok jest dobrym i czułym staruszką. Tantunczok jest zawsze uśmiechnięty.

— Co sprowadziło do mnie szanownego dyrektora Matura o tak późnej godzinie?

— Czy nie przeszkadzam, szanowny Tantunczoku?

— Odpoczywałem, czytałem kryminał. Z pewnością słyszałeś, że jestem znawcą i miłośnikiem powieści kryminalnych. Nie ma zbyt wielu przyjemności, gdy jesteś stary i słaby. Dla mnie książki to lekka rozrywka. Cała reszta to tylko przeszłość.

W tym momencie weszła kuzynka, przyniosła tacę z herbatą i słodyczami. Jej obecność zadała kłam słowom starca.

— Bardzo się śpieszę, szanowny Tantunczoku — powiedziałem. — Ośmielam się niepokoić cię z ważnego powodu.

— Zawsze chętnie słucham twojej mądrej mowy. Ale może najpierw napijemy się herbaty?

— Jakies dwa miesiące temu rozmawialiśmy o fabryce zapalek w Tangi — powiedziałem.

— Zapomniałem, całkiem zapomniałem — uśmiechnął się Tantunczok. — Ale jeśli pamięta o tym dyrektor Matur, to z pewnością tak było.

Stary lis był ostrożny.

— Chciałbym wrócić do tej rozmowy.

— Chcesz zostać królem zapalek? Przecież masz już jedną fabrykę?

— Nie jest moja — poprawiłem Tantunczoka. — To znacjonalizowana fabryka, a ja jestem tylko jej dyrektorem.

— Z twoimi powiązaniem, drogi Maturze, możesz być chociażby sprzątaczem. Zysk trafia do ciebie, nieprawdaż?

— Klnę się na Budę, dostaję tylko nominalną, nędzną pensję.

— I chcesz kupić moją starą, nie dającą zysku fabrykę w Tangi, żeby ofiarować ją państwu?

— To nie jest wykluczone — odpowiedziałem spokojnie. — Szczególnie po tym, co zdarzy się dzisiaj w nocy.

— Co? — Starzec dawno już poczuł, że coś się święci. Jego czarne, małe, okrągłe oczka, upodabiające go do myszy, świdrowały mnie wnikliwie.

— Dziś w nocy upadnie rząd Jah Rolaka.

— Najwyższa pora — powiedział Tantunczok. Nie spuszczał ze mnie mysich oczu i próbował zrozumieć, jak wpłynie to na jego sprawy. — Kto przejmie władzę?

— Twoja fabryka zapalek tak czy siak nie daje dochodu — ciągnąłem dalej. Denerwowało mnie, że w pokoju nie ma spluwaczki do betelu. Nie wytrzymałem, wziąłem ze stołu spode — czek i splunąłem do niego. Tantunczok skrzywił się. — Wyobraź sobie, że zaczęła się nacjonalizacja. Być może bez rekompensaty.

Tantunczok klasnął w dłonie i natychmiast pojawiła się kuzynka. Suchym, żółtym palcem wskazał spodeczek. Dziewczyna wyniosła go z obrzydzeniem. Westchnąłem. Tantunczok mógłby zdobyć się na więcej uprzejmości, ale jakie mam prawo oceniać jego sposób bycia i maniery?

— Skąd pewność, że w twoich rękach fabryka ocaleje?

— Nie mam tej pewności — uśmiechnąłem się.

— Demokraci są za słabi — rozmyślał na głos Tantunczok.

— Komuniści uciekli do Chin. — Zamilkł, a po chwili dodał:



— Twój protektor, Urao, nigdy nie wzięłyby się za nacjonalizację fabryk...

Mysie oczka Tantunczoka zwróciły się ku mnie, sprawdziły, czy wyraz twarzy nie zdradza uczuć.

Oczywiście, niczego nie zdradzała.

— A jeśli nie będzie żadnego przewrotu?

— Będzie — powiedziałem z przekonaniem. — Dziś w nocy.

— Szantażujesz mnie?

— Gdzieżbym śmiał!

— Nie — zgodził się ze mną Tantunczok — nie odważyłbyś się. Jesteś skłonny zapłacić za fabrykę cenę, która miesiąc temu wydawała ci się za wysoka?

Trafił w sedno.

— Nie — powiedziałem. — Czterysta tysięcy watów nie odpowiada mi. Ale jestem gotów zapłacić sto tysięcy.

— Dowcipniś... — zmarszczki zebrały się wokół oczu Tantunczoka. — Fabryka jest ubezpieczona na trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

— No cóż — westchnąłem z głębi duszy — w takim razie najlepiej podpalić fabrykę i wziąć odszkodowanie. Ale trzeba to zrobić szybko, koniecznie jeszcze dzisiaj.

Tantunczok mógłby się oburzyć, wyrzucić mnie za drzwi, ale nic takiego nie zrobił.

— Jacy źli i zepsuci są ludzie! — powiedział i spojrzał na ołtarz z połączoną statuetką bodisatwy.

Fabryka w Tangi była warta co najmniej czterysta tysięcy. A co najważniejsze, taka wycena figurowała w wykazach sztabu zaopatrzenia armii. Jeśli pojawi się problem rekompensaty dla właściciela, sztab zaopatrzenia wypłaci tę właśnie sumę. Ani słowa więcej o fabryce. Powiem tylko tyle: nacjonalizacji nie przeprowadza się pierwszego dnia po zmianie władzy. Nacjonalizacja zawsze ma na celu dobro narodu. A to znaczy, że jej owocami powinni cieszyć się jego najlepsi przedstawiciele.

— Wiem — powiedziałem — że zainwestowałeś w przedsięwzięcia, na które z pewnością nowy rząd zwróci uwagę. Proponuję ratunek. Teraz, jeśli pozwolisz, wyjdę, bo czas jest cenny. Ale uprzedzam: za tydzień nie dam za fabrykę nawet pięćdziesięciu tysięcy.

Wstałem. Tantunczok nie ruszył się. Zapytałem:

— Nie podejmiesz decyzji?

— Idź — powiedział Tantunczok. Malaj stał obok drzwi, jakby w obawie, że się nie podporządkuję.

— Powinieneś być mi wdzięczny — powiedziałem na pożegnanie. — Masz dwie godziny, żeby podjąć jakieś kroki. Ludzie interesu powinni pomagać sobie nawzajem.

Ulica opustoszała. Ostatni handlarze zwijali towary, gasili lampy gazowe, podliczali zarobek. Daleko, na dworcowej wieży, zegar wybił jedenastą. Nad miastem przetoczył się szum zakończony odległym hukiem. Czyżby zaczęło się? Nie, to przeleciał myśliwiec. K. nie mógł się pomylić. Do przewrotu zostały jeszcze dwie godziny.

Samochód stał za rogiem, otwarłem drzwi, minutę siedziałem z dłońmi na kierownicy i myśląc. W końcu doszedłem do wniosku, że wizyta u Tantunczoka nie poszła na darmo. Za dwie-trzy godziny przekona się, że miałem rację. I, jeśli przewrót rzeczywiście odbędzie się dziś w nocy, uwierzy w nacjonalizację. I sprzeda mi fabrykę. A jeśli tak, to wiadomość od pułkownika K. przyniosła mi co najmniej trzysta tysięcy zysku.



# Obrazki z Ligonu

Stolica tego starego, a jednocześnie młodego państwa Ligon, rozpościera się malowniczo wzdłuż brzegów szerokiej Kangem — jednej z największych rzek Azji. Wpływają tu i rzucają kotwicę przy ciągnących się kilometrami nabrzeżach statki oceaniczne, pływające pod banderami wielu państw. Ostatnio Ligończycy przyzwyczaili się, że jest wśród nich także flaga naszej Ojczyzny...

Liczba ludności miasta zbliża się do pół miliona. Na ulicach można spotkać i chłopów niespiesznie powożących wozem zaprzężonym w parę bawołów, i luksusowego cadillaca należącego do właściciela plantacji kauczuku. Przelewa się rzeka ludzi, sąsiadują w niej europejskie garnitury urzędników, pomarańczowe togi buddyjskich mnichów, hinduskie sari, kolorowe, długie spódnice ligońskich studentek. Stare i nowe zmieszało się w tym zadziwiającym mieście. Oblicze niepodległego Ligonu to błyszczący bielą zębów uśmiech dokera i wznoszące się na przedmieściach kominy huty.

J.S. Wspólny, *Tam, gdzie płynie Kangem*, Myśl 1976

# Dyrektor Matur

Hotel „Imperial” zupełnie nie pasuje do swej dumnej nazwy, chociaż kiedyś, jakieś siedemdziesiąt lat temu, uchodził za wyszukany i przeznaczony był dla urzędników przyjeżdżających z Kalkuty lub Londynu i dla hinduskich nababów. Stoi blisko portu, na skraju chińskiej dzielnicy, jego wiktoriańska fasada dawno utraciła godność, a gipsowe ozdoby, które miały przywozić na myśl zamki starej Anglii, pospadały.

Chiński portier spokojnie drzemał w recepcji i, gdybym się postarał, mógłbym niezauważony przejść do wybranego pokoju. Ale nie zrobiłem tego. Szanowny J. Sun to solidny przedsiębiorca. Nie wolno niepokoić go w nocy bez uprzedzenia.

Podszedłem do recepcji i zastukałem w blat. Portier obudził się, zamrugął z roztargnieniem, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumiał, że ma do czynienia z dżentelmenem.

— Gość z pokoju dwadzieścia cztery jest u siebie?

Portier spojrzął na haczyki z kluczami. Popatrzyłem tam już wcześniej. Kluczy od pokoju dwadzieścia cztery nie było.

— Proszę uprzedzić go, że przyszedł dyrektor Matur.

Grzeczność jest cechą królów, tak uczył nas w szkole misyjnej ojciec Johnson. Jestem zawsze grzeczny dla osób stojących w hierarchii niżej ode mnie.

— Nie jest sam — powiedział Chińczyk nie patrząc na mnie.

— Proszę poszukać kogoś, żeby uprzedził go o mojej wizycie.

W „Imperialu” nie ma telefonów. Nie rozumiem, dlaczego Sun zatrzymuje się tutaj.

— Jest u niego kobieta — odpowiedział portier wpatrując się w sufit, na którym nie było nic godnego uwagi.

Nie lubię rozstawać się z pieniędzmi bez potrzeby. Pieniądze zdobywa się pracą. Nie miałem jednak innego wyjścia, jak położyć na ladzie pięć watów. Portier patrzył na błękitny papierek i długo studiował namalowany na nim żaglowiec, jakby napawał się rysunkiem. Potem papierek znikł z lady

— Ej! — krzyknął portier.

Pojawił się chłopiec w dziwnej, białej liberii, której brakowało połowy guzików.

— Powiedz szanownemu Sunowi, że ma gościa..

— Szanownego dyrektora Matura — dodałem.

Boy zaczął wchodzić po schodach. Światło w holu było zgaszone, ale w półmroku zauważyłem fotel i usiadłem na nim. W tej samej chwili skrzypiąc przyjechała winda. Wszedł z niej szanowny J. Sun i jakaś nieznana mi dziewczyna. Kabina windy była dobrze oświetlona, mogłem więc ocenić gust szanownego Suna. Chciałem wstać, ale uznałem, że byłoby to nie na miejscu w obecności dziewczyny, która nie miała nic wspólnego z damami lekkiego prowadzenia, a pochodziła z dobrej choć niebogatej rodziny — takie wnioski, zawsze słuszne, wyciągam w mgnieniu oka. Zrozumiałem

od razu, że to spotkanie w interesach. Szanowny Sun zachowywał się szarmancko, ani razu nie dotknął dziewczyny. Może to i lepiej, pomyślałem, że chłopak rozminął się z szanownym Sunem.

Najwidoczniej portier pomyślał tak samo. Najmniejszym gestem nie dał do zrozumienia szanownemu Sunowi, że czekam na niego, ale wyskoczył zza lady i pobiegł na ulicę wezwać taksówkę.

— Z pewnością — dotarły do mnie słowa szanownego J. Suna — wszystko będzie w porządku. Czekam jutro o dziesiątej.

Tylko ogromna śmiałość, ale i wielka potrzeba może zmusić dziewczynę do pojawienia się w hotelu w tym podejrzanym rejonie.

Delikatna uroda dziewczyny wywarła na mnie ogromne wrażenie. Staralem się zrozumieć, co łączy ją z Sunem, musiałem jednak zrezygnować. Sun wrócił do holu. Z ciemności wyszedłem mu na spotkanie.

— Coś ważnego? — zapytał szanowny Sun bez przywitania. To pozbawiony dobrych manier „self made man”, jak mawiają Amerykanie. Ale Sun był kimś, w swoim nie zawsze przyjaznym świecie.

— Bardzo ważny, szanowny Sunie — odpowiedziałem. — Nie chciałbym tutaj rozmawiać.

Szanowny Sun kiwnął, skierowaliśmy się do windy, gdzie czekający na nas boy w brudnej liberii bezmyślnie poinformował szanownego Suna: „Ten człowiek przyszedł do pana”. Sun rzucił boyowi monetę. Należy do tych szczęśliwych ludzi, którym udaje się wykręcić minimalnym napiwkami nie tracąc przy tym godności w oczach pospólstwa. To godna pozazdrosczenia umiejętność. Ja zawsze daję za dużo.

— Proszę mówić — powiedział Sun wpuszczając mnie do pokoju.

— Ważna nowina — powiedziałem — dla szanownego księcia. Zakładam, że uda się skontaktować z jego wysokością...

— Co się stało?

— Dzisiaj w nocy będzie przewrót.

— Udany?

Zdziwiła mnie reakcja szanownego J. Suna. Było to najbardziej nieoczekiwane pytanie, jakie można zadać w takiej sytuacji. Ale pytanie miało sens. Odpowiedziałem z przekonaniem:

— Niezwykle udany!

— Kto stoi na czele?

— Oczywiście brygadier Szoswe.

Podąłem Sunowi kartkę z wiadomością. Wskazał mi fotel, sam usiadł w drugim, nalał sobie whisky ze stojącej na stole butelki. Spojrzałem na łóżko. Było starannie zaścielone.

— Kiedy otrzymałeś informację? — zapytał Sun, składając kartkę.

— Kartkę należy zniszczyć — powiedziałem. Sun pstryknął zapalniczką i spalił kartkę nad popielniczką. Gdy skończył, powiedziałem: — Dopiero co. Od razu przyjechałem tutaj.

Małe kłamstwo nie gryzło mego sumienia, tak czy siak Sun nie był w stanie zapobiec przewrotowi ani go odwlec.

Długo myślał. Patrzyłem na zegar. Za niespełną godzinę czołgi ruszą na pałac prezydencki. W każdej chwili może zacząć się strzelanina. Zostawiłem w domu bezbronne kobiety i dzieci...

Przerwałem rozmyślenia Suna oznajmiając, że teraz, gdy już spełniłem swój obowiązek, chcę wrócić do domu.

Wtedy szanowny Sun powiedział, że w związku ze zmianą sytuacji niezwykle ważne jest, abym jako wierny przyjaciel wyruszył do Tangi i przekazał księciu bardzo ważną przesyłkę. Zaprotestowałem twierdząc, że moja kandydatura absolutnie nie wchodzi w grę. W obliczu niebezpieczeństwa powinienem znajdować się razem z rodziną.

Szanowny J. Sun proponował mi pieniądze, groził, o mało nie padł na kolana. Jego zdaniem, gdy władza przejdzie w ręce wojska ograniczona zostanie od razu możliwość poruszania się po kraju. A ja należę do nielicznej grupy mającej wpływy wystarczające, by wybrać się dokąd tylko chcę.

Byłem niezłomny. Za nic na świecie nie wyruszyłbym do Tangi, gdyby nie groźby, którymi posłużył się J. Sun.

— Dyrektorze Matur — powiedział — jesteśmy niezwykle wdzięczni za podjęte wysiłki i poświęcony czas. Od tego, jak szybko będziemy w stanie odpowiedzieć na posunięcie wojskowych zależy pomyślność, a może nawet życie, księcia Urao Kao. Czyżbyś w takiej chwili odmówił pomocy?

— Moje życie należy do przyjaciół — odpowiedziałem. — Ale obowiązki względem rodziny są ważniejsze niż głos przyjaźni.

— W takim razie — powiedział szanowny J. Sun — jestem zmuszony poinformować cię, że nie wrócisz do dzieci. Wiesz, jaką mam władzę w mieście?

— Tak — powiedziałem. — Wiem. Ale nie boję się fizycznej przemocy. Jeśli sądzono mi zginąć, widać taki mój los.

Z tymi słowami opuściłem pokój i zdecydowanie ruszyłem w stronę wyjścia z hotelu. Wszystko we mnie kipiało ze złości. Byłem przekonany, że gdy księżę Urao dowie się o niegodziwym postępowaniu }. Suną, zerwie z nim wszelkie kontakty.

Szybko minąłem hol i wyszedłem na ulicę. Miałem nadzieję, że Sun opamięta się i zajmie się poszukiwaniami innego człowieka, który mógłby spełnić jego prośbę.

A jednak nie udało mi się odjechać. Na ulicy, trzy jardy od drzwi hotelu, stało dwóch mężczyzn. Na ich widok serce podeszło mi do gardła. Nie należę do odważnych — odwaga nikomu jeszcze nie przedłużyła życia. Więc gdy zrobili krok w moją stronę, zawróciłem.

Jadąc windą uspokajałem się myślą, że podczas pobytu w Tangi odwiedzę fabrykę zapalek i jeszcze raz ją ocenię.

*Ligon, 10 marca*

*Jego wysokość, księżę Urao Kao, pałac księżęcy w Tangi*

*Drogi księżę!*

*Sądzę, że osoba, która przekaże ten list, nie okaże nadmiernej ciekawości, jednakże na wszelki wypadek zapieczętowałem go w umówiony sposób, by można było łatwo przekonać się, czy nie nadużyto naszego zaufania.*

*Gdy otrzymasz ten list, będziesz już księżę zorientowany w sytuacji. Niestety, niewiele zdołałem zrobić, gdyż informacje o przewrocie otrzymaliśmy na godzinę przed jego rozpoczęciem. Winę za to ponosi tłusty ulubieniec księcia, Matur. Sprawdziłem — dowiedział się o wszystkim od K. o dziesiątej. Zamiast, jak należy, przyjść do mnie, przepadł gdzieś na dwie godziny, najwidoczniej zajmował się swoimi sprawami i starał się wzbogacić, chociaż udawał, że przybiegł do mnie nie tracąc ani sekundy.*

*Gdy zaproponowałem mu, by wyruszył do Tangi i przekazał księciu przesылkę, uparł się i trzeba było go zmusić. Mam nadzieję, że wyjdzie to niegodziwcowi na korzyść.*

*Nigdy nie rozumiałem pobłażliwego stosunku księcia do Matura. Przekonanie, że był przydatny w szkole i jest teraz księciu oddany, uważam co najwyżej za żart. Jeszcze raz proszę zastanowić się, czy nie należy zerwać stosunków z Maturem. Jest zbyt chciwy i tchórzliwy.*

*O dziesiątej przyjdzie do mnie L. Przekażę jej to, co obiecałem.*

*Mam nadzieję, że uda jej się znaleźć miejsce w samolocie lecącym do Tangi. Polecą nim przedstawiciel komitetu rewolucyjnego. Na razie nie wiadomo, kto zostanie wyznaczony na to stanowisko.*

*Gdy tylko zdobędę dalsze informacje, niezwłocznie przekażę je księciu.*

*Szczerze oddany J. Sun*

*Ligon, 10 marca, godz. 11:15*

*Do księcia Urao Kao*

*Załączam odpis z otrzymanych przed chwilą akt służbowych przedstawiciela komitetu rewolucyjnego, majora Tilwi Kumtatona.*

*Tilwi Kumtaton. Urodzony w 1941 r. Miejsce urodzenia — Polon. Ojciec — Tilwi Bon, nauczyciel. Ukończył państwową szkołę przy klasztorze w Tangi (gdzie proboszczem jest jego dziadek — S.), następnie uczęszczał do państwowej szkoły średniej. W roku 1960 został przyjęty na wydział prawa uniwersytetu ligońskiego (co świadczy o jego ciągłości do politycznej działalności — S.). Relegowany na miesiąc w 1963, za udział w zamieszkach studenckich. Nie wrócił na uniwersytet. W październiku 1963 roku wstąpił do karańskiej szkoły oficerskiej (rektorem szkoły w latach 1960–1967 był Szoswe — S.), ukończył ją w 1966 z trzecią lokatą na roku. Uzyskał stopień chorążego i został oddelegowany do 2. pułku piechoty. W 1970 awansowany do stopnia starszego chorążego, a w 1973 do stopnia kapitana. Nagrodzony jubileuszowym medalem „10 lat niepodległości”. Nieżonaty. Buddysta. Ostatnio mieszka w Brandze, gdzie stacjonuje jego pułk. Kilka tygodni temu oddelegowany do Ligonu, do sztabu okręgu, do dyspozycji generała brygady Szoswe.*

*Dodatkowe informacje.*

*W Ligonie mieszkają krewni Tilwi Kumtatona. Mieszkał u nich w trakcie studiów na uniwersytecie.*

*Ostatnie tygodnie spędził w pobliżu brygadiera Szoswe, brał udział w przygotowaniach do przewrotu. Dzisiaj, przed wylotem do Tangi, otrzyma stopień majora — dokumenty są już gotowe. Nie udało się odszukać znajomych ani przyjaciół z okresu uniwersyteckiego. Prace trwają.*

*J. Sun*

*PS. Nakazałem dyrektorowi Maturowi za wszelką cenę dostać się na samolot majora Tilwi. Moje źródła donoszą, że komunikacja lotnicza została zawieszona, jest to więc jedyna możliwość dotarcia dzisiaj do Tangi. Podejmę odpowiednie kroki, aby zdobyć miejsce dla L.*

*S.*

# Jurij Sidorowicz Wspolny

Do przedstawicielstwa dotarłem około jedenastej. Centrum było zamknięte, musiałem więc jechać przez Kamabat.

Główna arteria Republiki wyglądała dziwnie. Wszędzie walały się sandały, studenckie czapki, chustki, strzępy papieru... Jakby w nocy przeszła tędy parada karnawałowa, a dozorczy nie zdążyli jeszcze posprzątać. Domyśliłem się, że są to ślady wczorajszej demonstracji studenckiej.

W przedstawicielstwie nie zastałem nikogo poza ogrodnikiem, który otworzył mi bramę. Nie zdziwiło mnie to.

Gdy tylko wszedłem do sali wystawowej i poczułem znajomy, nieprzyjemny zapach pasty do podłogi, usłyszałem, że w moim gabinecie dzwoni telefon. Pośpiesznie udałem się w tę stronę, ale przypomniałem sobie, że klucze zostały w samochodzie. Musiałem zawrócić. Ogrodnik stał koło samochodu oparty o miotłę, jakby chronił nasz majątek przed zakusami przestępców. Gdy w końcu dotarłem do gabinetu, telefon wciąż dzwonił. Chociaż nie można wykluczyć, że było to inne połączenie. Podniosłem słuchawkę.

— Jurik?

Poznałem głos Aleksandra Gromowa, sekretarza Michaiła Stiepanowicza.

— Wspolny, słucham — odpowiedziałem, udając, że nie rozpoznałem głosu.

— Od pół godziny nie mogę się do ciebie dodzwonić.

— Wpadłem do szpitala, do Drobanowa, a centrum zablokowały czołgi.

— I co u Drobanowa?

Pytanie Gromowa było przejawem uprzejmości. Przedstawiciel Towarzystwa Przyjaźni Między Narodami, Nikołaj Siergiejewicz, mój kolega i szef, powinien najdalej jutro opuścić szpital. Kilka dni temu przeszedł operację wyrostka robaczkowego, która nie spowodowała żadnych komplikacji.

— Nie ma gorączki, na dniach powinien wrócić do domu — powiedziałem. — A co nowego w ambasadzie?

— Wszystko w porządku — odpowiedział Gromów. — Sołomin pilnie cię potrzebuje. Przyjedź, jeśli możesz.

— Jestem wolny — odpowiedziałem, ignorując obecną zawsze w głosie Gromowa ironię.

— Cudnie.

Odłożyłem słuchawkę. Nieoczekiwanie opanowało mnie przeczucie, że nieprędko wrócę do swego gabinetu. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu zapomnianych dokumentów, sprawdziłem, czy szuflady są dobrze zamknięte, szarpnąłem klamkę sejfu. Gabinet wypełniało zatęchłe, ciepłe powietrze — wieczorem wyłączyłem klimatyzator, a Hasan nie zadał sobie trudu, aby przewietrzyć pomieszczenie, mimo że specjalnie go o to poprosiłem. Nagle zachciało mi się pić. Wyjąłem z lodówki ostatnią butelkę oranżady. Szklanka natychmiast pokryła się skroploną parą i przyjemnie chłodziła rękę. Wspominam o tych nieistotnych szczegółach, bo w pewnym stopniu



odzwierciedlają napięcie jakiego podlegałem od chwili, gdy obudziłem się w środku nocy i zobaczyłem, jak po naszej cichej, podmiejskiej uliczce jeden za drugim jadą czołgi.

Zamknąłem gabinet, a gdy opuszczałem budynek przedstawicielstwa zobaczyłem, że ogrodnik nadal stoi obok samochodu. Pomyślałem, że podczas przewrotów i rewolucji najbardziej boją się bezbronni imigranci, tacy właśnie biedacy, którzy przyjechali tu na zarobek.

Wsiadłem do wysłużonego moskwicza, ogrodnik zamknął drzwiczki. Nigdy nie przyzwyczaję się do takiej usłużności, jest w niej coś z niewolnictwa. Ale czy tego chcę, czy nie, dla tego chudego Bengalczyka jestem ucieleśnieniem pracy i życia.

Postanowiłem nadłożyć nieco drogi, aby ominąć handlową część miasta. Ulice były puste. Włączyłem radio. Miejskowe stacje nadawały muzykę ludową. Nic to nie znaczyło, pracownicy radia mogli dojść do wniosku, że muzykę narodową zaakceptuje każdy reżim. Wiedziałem już, że na czele przewrotu stoi brygadier Szoswe. Dotychczas dowodził stołecznym okręgiem wojskowym. Spotkałem go na jakimś przyjęciu, powiedział nawet, wcale nie najgorszą angielszczyzną, kilka słów o pożytecznej misji, jaką wypełnia w tym kraju TPRL. Jednakże te słowa nie mówiły nic o prawdziwych poglądach brygadiera. Brygadier Szoswe był przysadzistym, niewysokim, nawet jak na miejscowe standardy, siwiejącym mężczyzną. Sądząc po akcencie, kiedyś, jeszcze w okresie kolonialnym, uczył się w Anglii. Wspominając to spotkanie nie byłem w stanie wysnuć żadnych wniosków o rzeczywistym sensie ostatnich wydarzeń w kraju, którego ekonomia obciążona była pozostałościami po kolonializmie, a stosunki polityczno–społeczne były dziwnym konglomeratem różnych układów.

Gdy przeciąłem ulicę Wolności, dawną Victoria Street, w oddali, na następnym skrzyżowaniu, koło pagody Zabagan, dostrzegłem czołg. Luk wozu był otwarty, a na wieżyczce siedziało dwóch żołnierzy w hełmach na głowach.

Plotki o zbliżającym się przewrocie krążyły już od kilku miesięcy. W roli przeciwników rządu widziano i prawicowych separatystów, i represjonowaną przez rząd Partię Wolności Narodowej, jako przywódcę przewrotu brano pod uwagę nawet komendanta sił specjalnych — zięcia prezydenta. Było jasne, że słaby, rozdarty wewnętrznymi sporami rząd Jah Rolaka, zostanie obalony, ale kto tego dokona pozostawało tajemnicą. I oto brygadier Szoswe... Co przyniesie ten przewrót pracowitemu i doświadczonemu przez los narodowi ligońskiemu?

W miarę zbliżania się do ambasady moje myśli poszybowały ku czekającej mnie rozmowie z Iwanem Sołominem. Radca Sołomin zastępował podczas urlopu Michaiła Stiepanowicza. W najmniejszym nawet stopniu nie kwestionuję kwalifikacji zawodowych Iwana, ale jestem przekonany, że nie będący zawodowym dyplomatą, Sołomin nie ma tak ogromnego doświadczenia i opanowania, jakimi charakteryzuje się Michaił Stiepanowicz. Pech chciał, że Michaił poleciał do Moskwy dosłownie tuż przed przewrotem. Teraz cała odpowiedzialność za funkcjonowanie naszej niewielkiej ambasady spadła na barki Iwana.

Dyżurny oficer, Artur, stał przy bramie ambasady. Gdy tylko mnie rozpoznał powiedział, że wczoraj wieczorem nadeszła poczta, więc w drodze powrotnej mogę zabrać korespondencję. Podziękowałem mu i betonową drogą, wiodącą wokół obłożonego kamieniami trawnika, podjechałem do parkingu. Niestety, pod wiatą nie było już wolnych miejsc, bo stażyści i attache, którzy powinni stawiać samochody gdzie indziej, zajęli miejsca w cieniu. Musiałem zostawić moskwicza w pełnym słońcu i z przerażeniem pomyślałem o tym, jak zdąży się nagrzać zanim wrócę.

Gromów czekał na mnie na schodach. Jak zwykle śpieszył się i, zobaczywszy mnie, powiedział

głośno:

— Cześć, Pickwick, Sołomin nie może się ciebie doczekać.

Nie czekając na odpowiedź zniknął. Mimo całej mej cierpliwości nie znoszę otwartego spoufalania się, charakterystycznego, między innymi, dla Gromowa. Zapominając o prawie dziesięcioletniej różnicy wieku, zwraca się do mnie na „ty”, i od czasu do czasu pozwala sobie na dowcipy nie najwyższego lotu. Muszę oddać sprawiedliwość zaradności i zdolnościom Gromowa i nie sprzeciwiam się opinii Michaiła Stiepanowicza, który kiedyś w mojej obecności podkreślił, że wysoko ceni swego pomocnika, ale takt i maniery Gromowa pozostawiają wiele do życzenia.

Musiałem poczekać kilka minut przed gabinetem Iwana Fiodorowicza, bo radca miał właśnie spotkanie z attache wojskowym, Nikołajem.

W końcu Nikołaj wyszedł z gabinetu Iwana Fiodorowicza, przywitał się ze mną i ruszył w stronę wyjścia. Nie zatrzymałem go — nie chciałem być natrętem. Miałem dziś dużo nie cierpiących zwłoki spraw.

Zachodziłem w głowę, dlaczego Iwan tak pilnie potrzebuje mojej pomocy. Michaił Stiepanowicz niejednokrotnie zwracał się do mnie, gdy trzeba było przygotować raporty lub inną dokumentację, dając tym samym wyraz uznania dla moich zdolności i zamiłowania do tego typu pracy.

Ninoczka zaprosiła mnie do gabinetu.

# Iwan Fiodorowicz Wołomin

To był szalony dzień, więc o mało nie zapomniałem o przyjeździe profesora. Na szczęście Sasza Gromów, tęga głowa, znalazł chwilę i przypomniał mi:

— Co zrobimy z uczonymi?

Sasza miał czerwone oczy. Obudziłem go o pierwszej w nocy i od tej pory pracował jak wół.

— Z jakimi znowu uczonymi? — warknąłem.

Dopiero co wróciłem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie panowała pełna anarchia i wszystkim zarządzał major piechoty, nasi tłumacze nie mogli uporać się z prostą na pierwszy rzut oka, ale niejednoznaczną leksyką pierwszego manifestu programowego Komitetu Rewolucyjnego, korespondent TASS był o krok od popadnięcia w histerię, bo nie wiedział nic na temat brygadiera Szoswe i nie wiadomo, dlaczego doszedł do wniosku, że ambasada powinna wszystko rzucić i zająć się obsługą jego teleksu, dwaj pracownicy Ministerstwa Łączności pojechali wczoraj nad morze i zostali tam zatrzymani przez żołnierzy, i tak dalej, i tak dalej...

— Iwanie Fiodorowiczu, proszę się zlitować — powiedział Sasza Gromów głosem naszego ambasadora, który w tak fatalnym terminie odleciał do Moskwy. Wyszło mu to niechcący. — Wybierał się pan osobiście przywitać profesora Kotrikadze.

— Oczywiście — odpowiedziałem, chociaż na śmierć zapomniałem o wczorajszym postanowieniu. — O której przylatuje samolot?

— Dwadzieścia po dziesiątej.

— Lot Aeroflotu, Moskwa–Singapur?

— Tak.

— Pokoje w hotelu są zarezerwowane?

Zadawałem standardowe pytania, z góry znając odpowiedzi, ale nie mogłem ich nie zadać, jak pilot nie może zaniechać sprawdzenia przyrządów przed lotem. Weszło mi to już w krew.

— W tym tkwi problem. Pokoje rezerwowała strona ligońska. Wzięli na siebie wszystkie wydatki. Ale gdzie są teraz ludzie, którzy się tego wszystkiego podjęli, nie mam pojęcia.

— Z czasem się dowiesz. Lepiej sprawdź.

— Nic z tego. Odnalazłem znajomego urzędnika w Ministerstwie Górnictwa i Przemysłu Ciężkiego, ale on nic nie wie, obiecał skontaktować się z Komitetem Rewolucyjnym i zadzwonić w ciągu godziny.

W innej sytuacji z przyjemnością pojechałbym na lotnisko przywitać profesora i napuścić na niego dziennikarzy. Ligończycy rozdmuchaliby w miejscowej prasie jego przyjazd. Ale teraz profesor stał się dodatkowym ciężarem. Bez względu na rewolucję, klęski żywiołowe będą się zdarzać. Nie obchodzi ich orientacja polityczna rządu.

Moje rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu. Czeski ambasador chciał wpaść po lunchu.

Umawiając się z ambasadorem cały czas rozmyślałem o profesorze Kotrikadze... W górach jest niespokojnie... Nikołaj Pawłowicz nie wyklucza działań wojennych w rejonach przygranicznych.

— Zjrzyj do programu wizyty. Powinien być w teczce. Kiedy wylatują w góry?

Sasza trzymał już teczkę otwartą na odpowiednim dokumencie.

— Jutro rano.

— Po co taki pośpiech?

— Myślę, że opóźnił się ich odlot z Moskwy — prowadzono rozmowy, szykowano sprzęt...

— Dobrze, tak czy siak trzeba wyjechać po nich na lotnisko. Gdzie jest przedstawiciel Aeroflotu?

— Pewnie już na lotnisku.

Przez szparę w drzwiach zająrzył stażysta z kolejnym wariantem przekładu. Kazałem mu poczekać na zewnątrz.

— Musimy przygotować się na każdą ewentualność — powiedziałem. — Ktoś z nas powinien tam pojechać.

— Wybierał się tam korespondent TASS.

— Wykluczone. Nie nadaje się. Nie masz pojęcia, z jakiego jest resortu! Kto jeszcze? Myśl, uczyli cię.

— Myślenia nie uczą — westchnął Sasza. — Mam to w genach.

— Nie mogę dać nikogo z ambasady.

— Ani z przedstawicielstwa handlowego — rozwinął myśl Sasza.

— A co sądzisz o Wspólnym? W zeszłym tygodniu prosił, żeby go wysłać do Tangi.

— Nie puścił go pan.

— Nie puściłem. W pojedynkę nie chciałem.

— Oczywiście...

— Nie przerywaj. On zna język i jest w tym kraju już drugi rok. Co z Drobanowem.

— Jutro wychodzi ze szpitala.

Obaj rozumieliśmy, że nie ma nikogo innego, kogo można by wybrać. Bywa tak, że nie masz nic przeciwko konkretnemu człowiekowi, ale nie lubisz go. Może dlatego, że za bardzo kręci się koło ambasadora i stara się być przydatnym, a może dlatego, że obnosi się wszędzie ze swoją nienapisaną książką o Ligonie, a może dlatego, że zbyt często zwracał się do mnie bardzo oficjalnie, a może dlatego, że jakiś taki jest gruby i nie gruby zarazem, miękki i nie miękki... Wszystko to są drobiazgi, subiektywizm. Normalny człowiek. Lepszy od wielu innych.

— Wezwij go — powiedziałem do Saszy.

— Już zadzwoniłem — odpowiedział Sasza, pewny siebie. — Nie dotarł jeszcze do swego biura.

— Gdy tylko dodzwonisz się, każ mu natychmiast przyjechać — wiedziałem, że Sasza dostanie Wspólnego choćby spod ziemi.

Wspólny pojawił się po jedenastej. Wszedł do mnie zaraz po attache wojskowym, z którym trochę się pokłóciłem, wytykając mu, że jego współpracownicy znowu przespali przewrót, a po głowie dostanę ja, więc przez chwilę nie mogłem się przestawić. Wspólny wyglądał jednocześnie na pokornego i zdecydowanego. Sądził, że każę mu napisać monumentalny raport dla ministra, którego żaden z nas, zwykłych śmiertelników, nie jest w stanie stworzyć.

Zapytałem, jak się czuje Drobanow.

— Odwiedziłem go dziś rano, Iwanie Fiedorowiczu — oznajmił Wspólny. — Dlatego spóźniłem się. W centrum stoją czołgi.

Ostatnie zdanie głupek powiedział zniżając głos, jakby to była tajemnica wojskowa, znana tylko nielicznym.

— Pamiętam, że chciał pan wybrać się w góry — powiedziałem.

— Ma pan zachwycającą pamięć, Iwanie Fidorowiczu

— podzielił się swą opinią Wspolny, poprawiając okrągłe okulary w złotej oprawce. —

Poprosiłem o to wyłącznie ze względu na dobro sprawy...

W tej chwili zabrzączał telefon, musiałem więc dyskutować z kierownikiem stołówki, który zastanawiał się, czy przejść na konserwy, bo targ jest zamknięty. Wspolny siedział złożony pulchne ręce na brzuchu i starał się wyglądać na współczującego.

— Zdziwiający — powiedział, gdy odwiesiłem słuchawkę

— brak elementarnej inicjatywy! — Dziękuję za troskę — powiedziałem. — Może pan przyjąć, że pańska prośba o wyjazd została rozpatrzona pozytywnie.

Ze zdziwienia zaczął mrugać jasnymi rzęsami.

— Ale pod jednym warunkiem. Razem z panem pojedą jeszcze dwaj nasi geolodzy. Przylecieli dziś do Ligonu. Przywita ich pan, zaopiekuj się nimi i ich bagażem. Zna pan język?

— Średnio — pośpiesznie odpowiedział Wspolny. — Do tego w świetle powstałej sytuacji...

— Proszę wziąć tę niebieską teczkę, są w niej wszystkie dokumenty. Samolot ląduje o dwunastej dwadzieścia. Po powrocie proszę sporządzić typowe sprawozdanie w trzech egzemplarzach.

W naszych czasach rejestrowane jest do stu tysięcy trzęsień ziemi w ciągu roku, ponad 10 objawów aktywności sejsmicznej na godzinę. Większa część tych zjawisk, oczywiście — i dodajmy: na szczęście — jest zupełnie nieciekawa. Dlatego właśnie znaczna większość mieszkańców naszej planety może przeżyć całe życie i nie poczuć na własnej skórze skutków trzęsienia ziemi. Być może czytelnika zainteresują najbardziej śmiertelne trzęsienia ziemi, zarejestrowane przez historyków. Oto chronologiczny wykaz najsilniejszych trzęsień ziemi:

373 r. p.n.e. — woda pochłonęła miejscowość Helice (Grecja), położoną na południowym wybrzeżu Zatoki Korynckiej

1556 r. — Shaanxi (Chiny), 83 tysiące ofiar.

1755 r. (1 listopada) — Lizbona (Portugalia), 60 tysięcy ofiar.

1811 r. (16 grudnia) — 1812 r., Missouri (USA), trzęsienie ziemi dotknęło obszar ponad 1500 tysięcy kilometrów kwadratowych.

1887 r. (9 czerwca) — Ałma-Ata (Rosja).

1908 r. (29 grudnia), Kalabria (Sycylia): liczba ofiar sięgnęła 100 tysięcy.

1923 r. (1 września) — Kanto (Japonia), w samym tylko dystrykcie Tokio zginęły 59593 osoby, a 10904 uznano za zaginione.

1960 r. (29 lutego) — Agadir (Maroko), liczba ofiar szacowana na 15 — 20 tysięcy.

1960 r. (maj) — Chile, zburzonych 350 tysięcy domów, zginęło do 10 tysięcy osób.

Wszystkie te katastrofy o strasznej, niszczycielskiej sile, na przestrzeni ostatnich czterech wieków pozbawiły życia ponad 13 milionów osób.

Pierre Rousseau, *Trzęsienia ziemi*, Paryż, 1961

# Władimir Kimowicz Li

Gdy samolot wzbił się w powietrze, zostawiając w dole rozpalone Delhi, rozłożyłem znajdujący się przede mną stolik i umieściłem na nim pamiątki. Otar wspaniale zademonstrował pogardę i powiedział:

— W drodze powrotnej dostałbyś to samo z większą korzyścią dla krewnych i ukochanych dziewcząt. Teraz będziesz przez trzy miesiące taskać w walizce słoniki i bransoletki i przeklinać swe ciągotki to tandetnej egzotyki.

— Dobrze jest być doświadczonym podróżnikiem — odparłem. — A może są to pierwsze zagraniczne pamiątki w moim życiu?

Otar przestał się mną interesować i rozłożył gazetę. Zachowywał się jak urzędnik UNESCO, który nie robi nic innego, poza odwiedzaniem odległych krajów. Jest trochę bufonem. Dla zasady co rano prasuje spodnie, nawet jeśli mieszka w obozie albo w tundrze. Nie jest to do niczego potrzebne, ale niejaki Aleksander Macedoński też tak robił, a Otar przeczytał o tym w dzieciństwie i naśladował dobry przykład. Aleksander Macedoński dbał o strój i pokonał Persję. Otar Kotrikadze prasuje spodnie i zostanie członkiem Akademii Nauk.

— Tak — powiedział spokojnie Otar. — Nieoczekiwane komplikacje.

— Jakie? — zapytałem. Z miny Otara nie można było zgadnąć, jak poważny jest problem. Być może zapomniał zapasowych sznurówek, a może cały Ligon zapadł się pod ziemię. A mówią, że Gruzini są emocjonalnym narodem. Emocjonalny jestem ja — przedstawiciel zrusyfikowanej części narodu koreańskiego.

— Przeczytaj — Otar podsunął mi gazetę.

— Dziękuję, szefie — powiedziałem. — Dla mnie lektura tej notatki jest strasznym wysiłkiem umysłowym. A pan i tak już przeczytał.

— Warto przeczytać dla wprawy — przerwał Otar. Ciągle zmusza mnie do nauki. Musiałem przeczytać.

„Jak donosi agencja Reutera, dzisiaj w nocy w Ligonie miał miejsce...”

— Co to znaczy „coupe de tatę”?

— To francuskie wyrażenie — przewrót.

— Aha, przewrót... — Po dwóch minutach mnie olśniło. — Otarze, przecież my tam lecimy!

— No właśnie. — Otar wziął ode mnie gazetę i zaczął przerzucać kartki szukając innych wiadomości z Ligonu.

— Przecież zaprosił nas premier — przypomniałem Otarowi — a jego los jest nieznan... —

— Nie przesadzaj — powiedział Otar. — Premier nie wiedział nawet o twoim istnieniu.

— Co robić, wracać?

W miarę jak docierał do mnie sens wydarzeń, coraz bardziej psuł mi się humor. Oczami wyobraźni widziałem już, jak witają nas na lotnisku „czarni pułkownicy”. To nawet dobrze, że

wcześniej kupiłem prezenty. Przyjadę, wszyscy będą pytać jak było w tropikach, a ja im w odpowiedzi dam słownika. Co za pech! Dwa miesiące załatwiania dokumentów, szykowania sprzętu, cały instytut się starał, śpieszył, a oni urządzili sobie przewrót.

— Nie możemy zawrócić — powiedział Otar. Nie dotyczyło to mnie. Profesor myślał po prostu na głos.

— A kto się będzie nas pytał? — zapytałem.

# Jurij Sidorowicz Wspolny

Muszę przyznać, że opuszczałem gabinet Iwana z mieszanymi uczuciami, a to dla mnie bardzo nietypowe. Niestety, trudna sytuacja nie pozwoliła mi rzeczowo sprzeciwić się Iwanowi Fiodorowiczowi, przecież swego czasu zwróciłem się do kierownictwa ambasady z prośbą o skierowanie w rejony górskie, gdzie mógłbym na miejscu sprawdzić jak rozwijają się stosunki rosyjsko–ligońskie, zakładając, że wystawienie odpowiednich dokumentów przez ligońskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zajmie nieco czasu, co pozwoliłoby mi porządnie przygotować się i jak najlepiej wykorzystać stworzone możliwości, a także zająć się zbieraniem materiałów do mojej książki. A tu nagle okazuje się, że powinienem w ciągu doby, bez względu na trudną sytuację wewnętrzną, wylecieć w nieznane towarzysząc jakimś uczonym. Do tego należy jeszcze dodać stan mojego kierownika, który będzie musiał wziąć na swoje schorwane barki całą pracę związaną z TPRL.

W takim stanie ducha, kontynuując w myślach wyimaginowaną rozmowę z Iwanem, wszedłem do pokoju, w którym powinien znajdować się Gromów, ale oczywiście nie było go tam. Postanowiłem wykorzystać jego nieobecność, aby zapoznać się szczegółowo z zawartością niebieskiej teczki, przysiadłem na krześle, ale w tej samej chwili do pokoju wpadł gospodarz. Był bez marynarki.

— Aha — powiedział, rzucając na biurko papiery i otwierając szufladę — jedziesz w góry, Pickwick? Zazdroszczę ci, wokół sosny i żadnej bieganiny.

— Sasza — odpowiedziałem z godnością. — Iwan Fiodorowicz, zawierając mi podróż do opanowanych przez separatystów, górskich rejonów, wskazał trudności, na jakie mogę się natknąć. Zakładam, że gdyby wyjazd ten był rozrywkowym spacerkiem, wykorzystaliby do tego celu kogoś z młodszych pracowników ambasady.

Wbiwszy tę ostrą szpilę, od razu skierowałem rozmowę na inne tory:

— Iwan Fiedorowicz prosił, żebyś załatwił mi transport i informacje na temat łączności ze stroną ligońską.

— Pewnie, pewnie — skrzywił się Gromów, nadal grzebiąc w szufladzie biurka i udając, że moje zadanie musi ustąpić ważniejszemu sprawom. — Gdzie się podział ten przeklęty spis? Teczki nie bierz ze sobą, najwyżej zgubisz ją na lotnisku. Przeczytałeś?

— Nie miałem kiedy.

— Szkoda, teraz nie ma na to czasu. Samolot przyleci za czterdzieści minut. Miałem nadzieję, że zdąży tam pojechać konsul, ale jest teraz w porcie. Przywitasz uczonych, zawieziesz ich do hotelu, nie zapomnij odebrać bagażu. Może na lotnisku będzie ktoś z Ministerstwa Górnictwa i Przemysłu Ciężkiego, dzwoniłem do nich. Sam rozumiesz...

Tego właśnie nie rozumiałem. Okazuje się, że Gromów nawet nie zorganizował spotkania.

— Sasza — powiedziałem poważnie — to niemożliwe, żeby ministerstwo nie wiedziało, że przybywają tu w ważnej misji przedstawiciele naszego kraju.



Waga moich słów nie dotarła do Gromowa, zbagatelizował ją i znowu zajął się bezskutecznymi poszukiwaniami w szufladzie biurka.

— W każdym bądź razie — powiedziałem — sądzę, że na lotnisko należy wysłać toyotę z dobrym szoferem.

— Nie masz swojego samochodu?

Była to lekkomyślna wypowiedź, o czym nie omieszkalem powiedzieć Gromowowi. Nie mogę występować w roli szofera i bagażowego jednocześnie.

— Zrozum — podniósł głos Gromów — toyota jest w porcie, autobus w warsztacie. Jedź swoim moskwiczem, a na miejscu pomoże ci przedstawiciel Aeroflotu.

— Mam wrażenie — powiedziałem — że starasz się zniszczyć sprawę wagi państwowej. Zadzwoń do Iwana Fiodorowicza!

— O Boże! — teatralnie krzyknął Gromów. — Dzwon sobie na zdrowie! Tylko nie zapominaj, jak Sołomin lubi powtarzać dwa razy swoje prośby.

Nie zadzwoniłem. Wstałem energicznie...

— Zaczekaj... — Gromów wyciągnął z niebieskiej teczki kartkę. — Weź to ze sobą, przeczytasz po drodze.

Złożyłem starannie kartkę pokrytą pismem maszynowym i opuściłem ambasadę.

Mój moskwicz, wystawiony na promienie słoneczne, nagrzał się tak, że aż oparzyłem się dotykając klamki. Powietrze było nieruchome, a czerwone kwiaty kanny na trawniku wyglądały jak piekielne płomienie. Zdjąłem marynarkę i powiesiłem ją na wieszaku w kabinie. Dopóki nie dotrę na lotnisko, nie będę się męczył w tej spiekocie. Być może przywiązuję nadmierną wagę do zasad dobrego wychowania, ale jestem przekonany, że dyscyplinuje to nie tylko mnie, ale i otoczenie. Otwarłem lewe okno, żeby powietrze dostało się do środka, ale odepchnąłem od siebie pokusę otwarcia prawego okna — jak wiadomo, przeciągi są najbardziej niebezpieczne właśnie w taki upał, a ja jestem bardzo podatny na przeciągi. Droga na lotnisko zazwyczaj zajmuje około dwudziestu minut, jednak po drodze mogą zdarzyć się blokady i sprawdzanie dokumentów. Nikt nie może zaprzeczyć, że swe zadanie zacząłem wypełniać w niebezpiecznym i krytycznym momencie, być może nawet ryzykując życie.

Ulice opustoszały, jednak nie wiązałem tego z przewrotem, bo o tej godzinie w Ligonie nawet psy wolą wylegiwać się w cieniu drzew. Skręciłem w długą, krętą ulicę Srebrna Dolina, żeby wyjechać na szosę za kampusem uniwersyteckim. Tam, na skrzyżowaniu, mimo znaków korpusu dyplomatycznego, zatrzymał mnie patrol wojskowy. Współczułem żołnierzom, którzy wykonywali swe obowiązki w pełnym umundurowaniu i gorących hełmach. Na lotnisko dotarłem na pięć minut przed przybyciem samolotu z Delhi, a dojście na płytę lotniska nastreczyło mi nieco problemów, gdyż wokół były rozstawione posterunki.

Przystanąłem w cieniu, pod daszkiem budynku lotniska i w czasie gdy podstawiano trap do samolotu, zdążyłem przeczytać wręczoną mi przez Gromowa kartkę z niebieskiej teczki:

...zgodnie z umową zawartą między Ministerstwem Górnictwa i Przemysłu Ciężkiego Republiki Ligon i Akademią Nauk ZSRR, deleguje się do Tanagi (Republika Ligon) na okres dwóch miesięcy kierownika Laboratorium Prognozowania Silnych Trzęsień Ziemi Instytutu Sejsmologii AN ZSRR, doktora habilitowanego nauk geologicznych, Kotrikadzę Otara Dawidowicza i starszego pracownika naukowego Laboratorium Prognozowania, doktora nauko fizyczno-matematycznych, Li Władimira

Kimowicza...

Oderwałem się od tekstu, żeby spojrzeć na stojący około dwustu metrów ode mnie Ił-62. Silniki już nie pracowały. Do samolotu podstawiano trap. Za nim podążało powoli dwóch żołnierzy uzbrojonych w automaty i oficer w mundurze polowym. Żołnierze zostali na dole, a oficer wszedł na górę po trapie.

Gorące powietrze falowało nad lotniskiem. Pachniało paliwem, przypalonym ryżem i jakimiś przyprawami, które zlewając się z zapachem samochodów, tworzyły specyficzny, niezbyt przyjemny zapach, charakterystyczny dla tropikalnych lotnisk.

# Otar Dawidowicz Kotrikadze

Rozmawiałem z Wołodią, wyglądałem przez okno — zachowywałem się tak, jak przystoi pasażerowi, a w głowie kłębiły się myśli — co robić? W dole ciągnęły się niewysokie, zielone góry, niebieskie nitki rzek — leśne odludzie. Potem pojawiła się szeroka, płaska równina, góry znikły, rozplynęły się we mgle na horyzoncie, dolina była podzielona na małe kwadraciki — pola ryżowe, a pośród nich, wśród kęp drzew chowały się wioski, od czasu do czasu pojawiała się biała lub srebrna piramidka buddyjskiej pagody. Wydawało mi się, że zostałem obdarzony wzrokiem o bajkowych możliwościach i widzę, jak po zakurzonych wiejskich dróżkach przechadzają się wojskowe patrole, ludzie chowają się w domach — kto ma teraz głowę do trzęsienia ziemi!

Na skraju Ligonu samolot zniżył lot i, podskakując lekko na betonowym pasie, potoczył się w stronę budynku lotniska. Spędziłem tu dwie godziny dwa lata temu, gdy wracałem z Australii. Zapamiętałem tylko obszerną poczekalnię ozdobioną freskiem przedstawiającym mitologiczną scenę z małpami, rycerzami i demonami — temat pochodził prawdopodobnie z Ramajany.

Pasażerowie zaczęli odpinać pasy, kręcili się, myśląc już o odpoczynku na klimatyzowanym lotnisku, ale natychmiast rozczarowała ich stewardessa informując, że nie wolno jeszcze wychodzić z samolotu. Zaczęły się protesty. Szczególnie złościły się dwie jednakowe amerykańskie babcie turystki z lekko fioletowymi loczkami, w kapelusikach w kwiatki.

Wstałem ze swego miejsca i zacząłem układać papiery w teczce. Stewardessa spojrzała na mnie karcąco, ale zaraz sobie coś przypomniała i zapytała:

— Pan tu wysiada?

— Tak. Dwie osoby.

— I tak proszę usiąść. Poinformujemy państwa.

— Mamy bagaże, panienko — powiedziałem. — Jeśli postój zostanie skrócony, będzie trzeba się śpieszyć.

— Nie sędzę. Musimy tu zatankować. Oby jak najszybciej zjawił się przedstawiciel Aeroflotu.

Usiadłem posłusznie, położyłem teczkę na kolanach i starałem się nie myśleć o tym, na co i tak nie ma wpływu. Wołodia rozpląszczył nos na szybie i dla mnie został tylko kawałek szkła w kształcie półksiężyca, przez który widać było ścianę lotniska i wyblakłe od upału niebo.

Z tyłu otwarły się drzwi, samolot lekko zatrzęsł się, gdy trap uderzył o kadłub. Przez kabinę przetoczyła się fala gorącego powietrza. Między fotelami, jakby popychany przez tę falę, przeszedł oficer w panterce i wysokiej furażerze. Jego pojawienie się wyjaśniło dziwne zachowanie stewardesy.

— A tam stoi czołg — oznajmił Wołodia. — Koło budynku. A obok trapu dwóch żołnierzy z automatami. Może w ogóle nas nie wypuszczą?

Oficer wyszedł z kabiny. Za nim szedł nasz pilot. Oficer odwrócił się twarzą do podróżnych i

powoli zaczął mówić ze starannym, szkolnym, angielskim akcentem:

— Pasażerowie podróżujący do Ligonu, proszę udać się za mną. Pozostali na razie czekają.

Podniósł się szum niezadowolenia, ale oficer energicznie, jak na defiladzie, ruszył w stronę wyjścia, nie zwracając uwagi na wyciągnięte ręce i oburzone głosy. Wraz z Wołodią ruszyliśmy za nim i poczułem, że pozostali patrzą na nas z nienawiścią — nieoczekiwanie staliśmy się uprzywilejowaną częścią Tej małej społeczności, a że nie mieliśmy żadnych szczególnych zasług, społeczność uznała to za niesprawiedliwe.

Powietrze na zewnątrz było tak gęste i gorące, że na chwilę zatrzymałem się przy wyjściu na trap, żeby zebrać się w sobie i zrobić kolejny krok. Jak na złość, miałem na sobie ciemny kapelusz, garnitur, a przewieszony przez ramię płaszcz wyglądał egzotycznie, a być może nawet komicznie.

— Zgadzam się polecieć z powrotem — powiedział za mną Wołodia. — Takiego upału nie było nawet na Karakum.

— Nieprawda — powiedziałem nie odwracając się. — Tam było jeszcze goręcej. Tylko bardziej sucho. Tu jest wysoka wilgotność.

Szliśmy za oficerem przez płytę lotniska ku tak pożądanemu chładowi i cieniowi lotniska. Na spotkanie nam szedł niski, żyłasty mężczyzna w mokrej, niebieskiej koszuli, którego chód i fryzura zdradzały rodaka. Wiele razy zdarzało mi się spotykać za granicą naszych specjalistów, turystów, przedsiębiorców, ale nawet jeśli przemieszkali za granicą pięć lat, doświadczone oko i tak rozpozna w nich Rosjanina. Jest w tym coś mistycznego.

— Pan Kotrikadze? — zapytał mężczyzna po angielsku. Nie wyróżniał się szczególną przenikliwością.

— Tak — odpowiedziałem po rosyjsku. — Pan wyszedł po nas? Mamy bagaże...

— Proszę się nie denerwować. Wyszedł po was towarzysz Wspólny z ambasady. Stoi tam, pod wiatą. Ja jestem przedstawicielem Aeroflotu. Idę pomóc pasażerom, zanim się upieką we wnętrzu samolotu. Nikt dziś nie chce brać na siebie odpowiedzialności. Lotnisko w ogóle jest zamknięte, żeby czasem ktoś z niego nie skorzystał... Wiecie, co się tu wydarzyło?

Nad naszymi głowami przemknął samolot myśliwski. Gdy oderwałem od niego wzrok, przedstawiciel Aeronotu rozmawiał już z oficerem w mundurze polowym.

W cieniu, obok budynku lotniska, ukrywał się otyły towarzysz Wspólny. Być może solidaryzując się z nami, a może z zamiłowania do etykiety, Wspólny gotował się w marynarce, jego miękka, pozbawiona wyrazu twarz była czerwona i rozgrzana, rzadkie, żółte włosy przykleiły się do czaszki i tylko na skroniach, nad uszami, wiły się złociste pierścionki. Wpatrywał się w nas małutkimi, jasnymi oczkami, zasłoniętymi grubymi szklami okrągłych okularów w cienkiej oprawie. Zrobił krok w naszym kierunku i zamarł, jakby nie był pewien, czy to właśnie nas ma powitać. Wyciągnąłem do niego rękę, dotknął jej ciepłą, spoconą dłoń i powiedział z ulgą:

— Witam. W końcu. Chodźmy do poczekalni, tutaj jest okropnie gorąco.

Usiedliśmy w niskich fotelach, w poczekalni przypominającej raj prawowiernego muzułmanina. Co prawda, w tym chłodnym rajku były zamknięte wszystkie kioski i nie było hu — rys — byliśmy jego jedynymi mieszkańcami. Wspólny położył na stoliku paczkę kentów, a ja od razu zacząłem mówić o naszych bagażach, ale Wspólny przerwał mi:

— Sytuacja zmieniła się diametralnie. Dziś w nocy miał miejsce przewrót wojskowy, którego znaczenia, ja osobiście, nie do końca jeszcze rozumiem.

— Wiemy — powiedział Wołodia, oglądając freski i niszcząc w ten sposób tajemniczą

atmosferę, którą stworzył ton i słowa Wspólnego.

— A jaki ma to wpływ na nas? — zapytałem.

— Wasza delegacja w góry zostanie odroczone — odpowiedział z przekonaniem. — Do lepszych czasów.

Nie całkiem rozumiał, po co przyjechaliśmy.

— To niemożliwe — powiedział Wołodia z charakterystyczną dla niego prostotą. — Lepszych czasów nie będzie.

Wspólny odpowiedział mnie, a nie Wołodii. Widocznie doszedł do wniosku, że ja jestem szefem.

— Proszę się nie denerwować, Otarze Dawidowiczu. Wszystko się ułoży. Iwan Fiodorowicz przysłał mnie specjalnie po to, żebyście się nie denerwowali. Zaraz odbierzemy bagaż i pojedziemy do hotelu. Macie tłumacza?

Mówiąc to popatrzył na Wołodię. Wołodia zaczerwienił się — łatwo się czerwieni — i odpowiedział:

— Nie jestem tłumaczem. Jestem geofizykiem.

— No cóż, w takim razie poproszę o paszporty i kwity bagażowe. W ogóle powinien wyjść po was przedstawiciel strony ligońskiej, ale w świetle sytuacji...

Oddaliśmy mu paszporty i pozostałe dokumenty.

— Posiedźcie tutaj — powiedział Wspólny. — Obawiam się, że dzisiaj nie ma nawet tragarzy...

Po tych słowach podniósł swe miękkie ciało z fotela i ruszył w stronę drzwi. Zanim jeszcze zdążył skryć się za nimi, do sali wpadli ledwie żywi pasażerowie naszego samolotu. Rzucili się w stronę foteli jak wielbłądy do źródła. Zamykając procesję szli ramię w ramię oficer i przedstawiciel Aeroflotu, zadowoleni z siebie, pełni ojcowskiej troski o uratowanych pasażerów. Przedstawiciel Aeroflotu rozpoznał nas i zapytał:

— I jak, udało się znaleźć Wspólnego? On wszystko załatwi, proszę się nie martwić.

Nie wiadomo skąd pojawił się wychudzony hindus i zaczął szybko otwierać kiosk z pamiątkami. Z góry, po schodach, zbiegł kelner w malinowej liberii, niosąc tacę zastawioną butelkami coca-coli. Butelki były pokryte rosą, wystawały z nich, ułożone równo, pod tym samym kątem, słomki. Wołodia i ja też dostaliśmy po butelce. Wysoki, chudy oficer zatrzymał się koło naszych foteli i zapytał:

— Pan Kotrikadze?

Wstałem.

— Pan Li?

— Co się znowu wydarzyło? Nieszczęścia chodzą parami.

— Proszę za mną — powiedział oficer.

Omiotłem spojrzeniem poczekalnię szukając przedstawiciela Aeroflotu, ale gdzieś znikł. Babcie w kwiecistych kapeluszach patrzyły na nas ze współczuciem. Nie byliśmy już uprzywilejowani. Dostaliśmy się do niewoli, a smutny los więźnia wywołuje u widzów współczucie.

# Tilwi Kumtaton

Poprzednią noc spędziłem w sztabie brygadiera Szos — we. Dowodzący uczynił mnie odpowiedzialnym za utrzymanie łączności z okręgami wojskowymi. Potem, wraz z nim, uczestniczyłem w pierwszym posiedzeniu Komitetu Rewolucyjnego. O trzeciej trzydzieści musiałem użyć dwóch czołgów do zablokowania komisariatu policji w północnej dzielnicy, bo tamtejszy komendant postanowił dochować wierności rządowi. Niestety, moim czołgiści nie mieli okazji oddać ani jednego strzału. Na widok czołgów policjanci obezwładnili swego dowódcę i poddali się. O czwartej trzydzieści rozpoczęła się narada brygadiera z przywódcami partii politycznych, którą musiałem opuścić po czterdziestu minutach, by polecieć myśliwcem do portu Kalabam z wydanym przez brygadiera rozkazem zdymisjonowania pułkownika Sinwe. Gdy dotarłem do zakurzonego Kalabamu, pułkownik Sinwe zdążył już uciec w stronę tajlandzkiej granicy i moja wizyta okazała się czczą formalnością. O dziewiątej trzydzieści mój samolot ponownie wylądował w Ligonie. Chciało mi się spać. O dziesiątej dziesięć wróciłem do pałacu prezydenckiego. Gabinet brygadiera Szoswe znajdował się w byłej jadalni prezydenta — smakosza i sybaryty. Na białym, owalnym stole leżały rozłożone mapy. Okna otwarto na oścież. Wiszący pod sufitem wiatrak poruszał powietrze i brygadier przytrzymywał mapy dłońmi, by nie rozsypały się.

— Wszystko w porządku, Tilwi? — zapytał brygadier. Nie zmienił się nic od czasów, gdy kierował naszą uczelnią wojskową.

— Wszystko w porządku, generale — odpowiedziałem.

— Wspaniale. Mam dla ciebie nowe zadanie. Wyśpisz się później, gdy zwyciężymy. Polecisz dzisiaj do Tangi. Na całą prowincję jest tam tylko jedna kompania. Weźmiesz połowę radiostację, pułkownik Van przygotowuje ci dokumenty. Aha, dam ci jeszcze żołnierzy. Z pierwszej brygady, to ludzie godni zaufania.

Mogłem być dumny z zaufania, jakim obdarzył mnie brygadier. Chociaż nie była to łatwa wyprawa. Rządził tam książę Urao. Miasto było pełne jego zwolenników.

— Od tej chwili jesteś komisarzem komitetu tymczasowego w okręgu Tangi, w stopniu majora.

— Jestem kapitanem.

— Jedną z zalet rewolucji jest to, że jej uczestnicy, w przypadku zwycięstwa, mogą liczyć na awans. Jasne?

Brygadier nie uśmiechał się. Przez drzwi zajrzał żołnierz.

— Przyszli — powiedział.

— Niech wejdą.

Do jadalni weszli przybyli z Dżakarty liderzy opozycji.

— Do widzenia — powiedział do mnie brygadier i ruszył wzdłuż stołu, aby przywitać sprzymierzeńców, a być może, także rywali. W pół drogi nagle zatrzymał się i powiedział:

— Nie zdziw się, gdy pułkownik powie ci o dwóch profesorach z zagranicy. To mój rozkaz.

Gabinet dowódcy jednostki operacyjnej, pułkownika Vana, znajdował się w pokoju muzycznym, w którym prezydent przechowywał kolekcję instrumentów ludowych. Pod ścianami stały wysokie, stare bębny, nad nimi wisały lutnie, bambusowe fujarki, dzwonki, a na środku — jakby z innej bajki — pysznił się fortepian w kolorze kości słoniowej.

— Czy mogę pogratulować awansu? — zapytał mnie posępny Van. On też od dawna nie spał. Na jego barkach spoczywała cała biurokracja, a pomocników brakowało — w czasie rewolucji nikt nie chce zajmować się papierami.

— Potrzebne będą gwiazdki — powiedziałem. — W dokumentach znajduje się informacja, że zostałem majorem.

— Ech wy, próżni chłopcy! — zakrzyknął Van. — Nie zadzieraj nosa. Zdradzę ci tajemnicę: dostałeś stopień majora dlatego, że dowódca Tangi jest kapitanem.

— Kiedy mam wylecieć? — doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie skierować rozmowę na inne tory.

— Loty cywilne zostały odwołane, polecisz do Tangi specjalnym samolotem. Polecą z tobą żołnierze. Weźmiesz lekarstwa, broń, gazety, materiały propagandowe. I jeszcze rosyjskich geologów z bagażami.

— Tylko tego mi brakowało! Rosjanie mogą poczekać!

— Nie mogą. To osobisty rozkaz brygadiera. A ty, kapitanie, odpowiadasz głową za ich bezpieczeństwo. To są ich przepustki pozwalające swobodnie poruszać się na terenie okręgu. I jeszcze jedna, in blanco.

— Po co?

— Rosjanie na pewno wyślą z nimi kogoś z ambasady. Kogoś, kto zna język. Jeśli nie poślą — podrzesz. Przylatują z Delhi o dwunastej dwadzieścia. Wyjdiesz po nich.

— Ale po co ten pośpiech? Patrzy na nas cały świat, a my zajmujemy się jakimiś Rosjanami.

— Właśnie dlatego, że cały świat na nas patrzy, powinniśmy być cywilizowani.

Na pocieszenie pułkownik wręczył mi wspaniały prezent. Wyjął pagony majora i powiedział:

— Przyszyjesz w samolocie. W sztabie nie trać na to czasu.

Na spotkanie Rosjan spóźniłem się. Gdy wszedłem do budynku lotniska, od ich przylotu minęło już pół godziny. Straciłem dodatkowe dwie minuty na wizytę w łazience, gdzie uczesałem się i sprawdziłem, czy do twarzy mi w nowych pagonach.

Potem poszedłem do poczekalni dla pasażerów tranzytowych. W pomieszczeniu tłoczyły się ze trzy dziesiątki pasażerów z jedyne samolotu, jaki dziś wylądował. Lotnisko zamknięto, aby chętni do ucieczki za granicę nie mogli z niego skorzystać.

Zauważyłem lejtnanta w polowym mundurze.

— Słuchaj, bracie — zapytałem. — Zajmujesz się samolotem? Kto wysiadł z niego w Ligonie?

Lejtnant wskazał mi dwóch ludzi siedzących w fotelach i pijących przez słomkę coca-colę. Kamień spadł mi z serca.

Mimo że nie miałem ochoty brać sobie na głowę cudzoziemców, to jednak rozkaz brygadiera należało wykonać. Gdyby pojechali do miasta, moje zadanie bardzo by się skomplikowało.

— Pan Kotrikadze? — zapytałem. I zdziwiłem się, że nazwisko Rosjanina brzmi podobnie do japońskiego.

Starszy z nich wstał.

Przeczytałem drugie nazwisko:

— Pan Li?

Drugi geolog był w moim wieku. Miał szeroką twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Przypominał naszych górali. Związek Radziecki zamieszkuje wiele narodowości. Może mają też swoich Chińczyków? Przecież Chińczycy są wszędzie.

Poprosiłem, żeby poszli za mną. Krucho było z czasem. Gdy szliśmy przez poczekalnię, przedstawiłem się i wyjaśniłem, że wyszedłem po nich z polecenia komitetu tymczasowego. Zapytałem, gdzie mają dokumenty.

— Zabrał je przedstawiciel ambasady. Powinien gdzieś tutaj być — powiedział Kotrikadze. — Dobrze mówił po angielsku.

— Proszę mi go pokazać — powiedziałem. — Wasze bagaże i dokumenty nie powinny przechodzić przez kontrolę celną. Jesteście naszymi gośćmi. Śpieszymy się, nie mamy na to czasu. Lecimy prosto do Tangi.



# Jurij Sidorowicz Wspolny

Świetnie rozumiałem, że w Ligonie miał miejsce przewrót wojskowy, który wpłynął na najbardziej fundamentalne podstawy miejscowego życia. Jednak niektóre strefy ludzkiej działalności nie powinny zależeć od przewrotów. Dotyczy to lekarzy, strażaków, a także służb celnych. A jednak straciłem pięć minut, zanim udało mi się dostać do barierki, przy której urzędował celnik. Gdzieś znikł przedstawiciel służb granicznych, a Paweł Pawłowicz, przedstawiciel Aeroflotu, który obiecał wydostać bagaż geologów, sam gdzieś przepadł i bagaży nie dostarczył. Stałem koło barierki. Z drugiej strony celnik i żołnierz czytali dokument informujący, że nasi towarzysze są gośćmi ligońskiego rządu — wprawiło to ich w taką rozterkę, że woleli nawet na mnie nie patrzeć i czekali, aż zjawi się oficer dyżurny.

— Jestem przedstawicielem ambasady ZSRR — powiedziałem twardo, do tego po ligońsku. — Moi rodacy przybyli z daleka i muszą odpocząć. Ich wizy są w porządku, nie ma więc żadnych podstaw by stwarzać trudności.

Do poczekalni wjechał w końcu wózek z bagażami. Za nim szedł uzbrojony żołnierz.

Celnik był gotów się poddać, ale jego wzrok padł na napis widniejący na jednej ze skrzynek: „Ministerstwo Górnictwa i Przemysłu Ciężkiego Republiki Ligonu”. Napis ten zadziałał na celnika jak czerwona płachta na byka. Natychmiast odłożył dokument na bok.

Pomocnik podsunął mu pod rękę filiżankę herbaty z mlekiem. Urzędnik pociągnął łyk i powiedział:

— Trzeba czekać.

Na szczęście czekać przyszło krócej, niż się obawiałem. W pustej poczekalni rozległy się zdecydowane, wojskowe kroki i zobaczyłem, że zbliża się do nas młody oficer w stopniu majora w towarzystwie geologów.

Oficer wyglądał srogo. Żołnierz wyprężył się. Celnik odstawił filiżankę z herbatą. Tylko ja zachowałem pozę pełną dostojeństwa.

— Protestuję — powiedziałem.

Major zdecydowanym gestem wyciągnął rękę i domyślny celnik od razu pozbierał rozsypane dokumenty.

— Nie śmieliśmy bez rozkazu... — zaczął.

— Gdzie bagaż? — zapytał major.

— O, tutaj, na wózku.

— Natychmiast skierujcie go do trzeciej bramki, tam przekazcie sierżantowi, niech załadują rzeczy na „Viscount”.

— Tak jest — powiedział celnik. Był zadowolony, że ktoś zdjął z niego odpowiedzialność. Jednak mnie taki rozwój wydarzeń nie zadowalał. Wyglądało to na konfiskatę.

— Stop — powiedziałem. — Ten bagaż nie może być przejęty

— Dlaczego? — zapytał major. — To bagaż rządu.

Wskazał napis. Geolodzy zachowywali się pasywnie.

— Będąc przedstawicielem ambasady — powiedziałem — odpowiedzialnym za uczonych przybyłych do Ligonu...

— Wspaniale! — major miał zwyczaj nie pozwalać rozmówcy dokończyć. — Nazwisko, stanowisko?

Major zachowywał się tak, jakby stał przed pułkiem wojska. Wyjąłem wizytówkę.

Nie mówiąc ni słowa major otworzył czarną teczkę, wyjął z niej kwadratową kartkę wielkości dwóch pocztówek i przepisał moje dane.

— Przekazuję panu ten dokument na polecenie brygadiera Szoswe — powiedział. — Takie same dokumenty otrzymali już pańscy koledzy. Samolot do Tangi odlatuje za godzinę.

— Co? — powiedziałem. I od razu podjąłem właściwą decyzję. — Muszę zadzwonić do ambasady.

— Oczywiście — zgodził się major. I, zwracając się do celnika, powiedział: — Proszę zaprowadzić pana do telefonu.

— Tak jest! — szczechnął celnik. Zrozumiałem, że kiedyś służył w wojsku, prawdopodobnie miał niski stopień.

*10 marca 1974 r.*

*Kancelaria Prezydenta Republiki Ligońskiej (skreślone).*

*Kancelaria przewodniczącego Komitetu Rewolucyjnego Republiki Ligońskiej.*

*Do wszystkich zainteresowanych.*

*Osoba przedstawiająca ten dokument, profesor Otar Kotrikadze, wykonuje zadanie o szczególnym znaczeniu dla narodu ligońskiego.*

*Profesorowi Kotrikadze zezwala się na swobodne przemieszczanie się dowolnym środkiem transportu w obrębie rejonu Tangi i górskich księstw. Zobowiązuje się miejscowe władze oraz przywódców wiosek i wodzów plemion do udzielenia mu wszelkiej pomocy i dostarczenia środków transportu i zakwaterowania. Osoby, które nie podporządkują się temu nakazowi Komitetu Rewolucyjnego, zostaną ukarane zgodnie z prawem czasu wojny.*

*Przewodniczący Komitetu Rewolucyjnego, generał brygady Szoswe, Pałac prezydencki, LIGON.*

(Identyczne dokumenty zostały wydane „profesorowi” Li, Władimirowi i „doradcy” Wspólnemu, Jurijowi.)

# Trzęsienie ziemi od środka

„...Obserwacje przeprowadzone w rejonach aktywnych sejsmicznie przy użyciu metod geofizycznych wskazują, że w okresie „dojrzewania” trzęsienia ziemi zmieniają się różne pola geofizyczne — grawitacyjne, magnetyczne, elektryczne. Szereg uczonych z różnych krajów wyraża opinię, że przed silnym trzęsieniem ziemi w pewnych sytuacjach występują zauważalne deformacje powierzchni ziemi...

Wykonując dokładne pomiary w rejonach o podwyższonej aktywności sejsmicznej, można wykryć małe deformacje powierzchni. Ostrzegają one, że gdzieś tam, w głębi ziemi, zachodzą procesy związane z przyszłym trzęsieniem ziemi”.

W. Burenkow (korespondencja własna z Ałma-Aty)

Izwestia, 3.09.1973

# Władimir Kimowicz Li

No i udało się. A tak się denerwowaliśmy. Co prawda, jeszcze rano cieszyłem się na myśl o egzotycznym wieczorze w Ligonie, hałaśliwych, wschodnich ulicach i światłach reklam. A tu okazuje się, że odlatujemy za godzinę. Ale mogło być gorzej.

Gdy nasz Wspólny biegał gdzieś dzwonić i uzgadniać, major w dwóch słowach wyjaśnił szefowi sytuację. Regularny transport nie działa. Ale jest lot specjalny do Tangi, który nas zabierze. Jeśli odmówimy, to utkniemy tu nie wiadomo na jak długo.

Najwyraźniej major nie miał wątpliwości, że zgodzimy się lecieć. Miał rację. Otar udawał, że nie oczekiwał innego przyjęcia. Myślałby kto, że zawsze wychodzą po niego smętni majorowie i przerzucają z samolotu do samolotu.

Major przekazał nas żołnierzowi, który zaprowadził nas na galerię, gdzie pod szklaną ścianą znajdowała się kawiarnia. Żołnierz wskazał stolik przy oknie. Kelner w malinowym ubraniu nakrył na trzy osoby. Nie byłem głodny, ale Otar kazał mi coś zjeść — nie wiadomo kiedy nadarzy się następna okazja. Na pasie startowym stał nasz samotny IŁ z czerwoną flagą na stateczniku. Koło niego stała żółta cysterna ozdobiona muszlą Shella. W kawiarni było chłodno i całkiem pusto, jeśli nie liczyć siedzącej w kącie, hałaśliwej, hinduskiej rodziny z dziećmi, babciami i dziadkami i samotnej dziewczyny siedzącej o dwa stoliki od nas. Czarne, proste włosy były zebrane w ciężki kok na karku i ozdobione białym kwiatem. Stała przed nią wysoka szklanka z lemoniadą, ale dziewczyna nie piła. Po chwili do kawiarni weszła ekipa jakichś europejskich linii lotniczych. Dwie stewardesy z prostymi, sięgającymi do ramion, jasnymi włosami, w błękitnych, kokieteryjnych furażerkach.

Stewardesy siadły razem zakładając nogę na nogę — nogi miały zgrabne i długie. Piloci także usiedli. Mieli kwadratowe, męskie szczęki, wyglądali jakby wybierano ich na podstawie zdjęć.

— Wołodia, rozejrzyj się, czy Wspólny nas czasem nie szuka — powiedział Otar.

Podszedłem do balustrady i spojrzałem w dół. Otar miał rację.

Wspólny stał na środku pustej poczekalni, pobłyskiwał okularami i szukał nas, wyraźnie obawiając się, że znowu nas gdzieś zaprowadzono. Uniósł głowę, zobaczył mnie i ucieszył się.

— Idzie — powiedziałem do Otara, wróciwszy na miejsce. Sprawdziłem, czy dziewczyna z kwiatem nadal tu jest. Wciąż siedziała przy nietkniętej szklance. Zrobiło mi się jej żal.

Wspólny był zdenerwowany.

— Niczego nie rozumiem... — powiedział do Otara. W ogóle wolał rozmawiać z Otarem. — Taka sytuacja, a cała odpowiedzialność spada na mnie.

Otar uprzejmie nalał mu lemoniady.

— Dziękuję — powiedział Wspólny. — Nie mam ochoty. I natychmiast opróżnił szklankę jednym haustem.

Do siedzącej niedaleko dziewczyny podeszła starsza, potężna kobieta z upudrowaną, smagłą twarzą. Ubrana była w miejscowy strój — długą spódnicę i białą bluzkę z szerokimi, falbaniastymi

rękawami.

Wspólny zdjął okulary i przetaił je chusteczką.

— Udało mi się skontaktować z ambasadą, rozmawiałem z Iwanem Fiodorowiczem. Okazało się, że do ambasady zadzwonili już z Komitetu Rewolucyjnego i poinformowali, że strona ligońska jest gotowa wypełnić wszystkie zobowiązania poprzedniego rządu.

— No i dobrze — powiedział Otar.

— Tak — westchnął Wspólny. — Oprócz tego, że sytuacja w górach jest niestabilna, a my musimy lecieć. Iwan Fiodorowicz specjalnie zwrócił mi na to uwagę i poprosił, bym przekazał wam tę informację. Możecie odmówić i nikt nie będzie miał do was o to pretensji.

— Nie ma mowy — powiedziałem.

— Już o tym rozmawialiśmy — powiedział Otar. — Lecimy. Ale pan może zostać.

— Nie — sprzeciwił się bez entuzjazmu Wspólny. — Jeśli wy lecicie, to ja także. Tak powiedział Iwan Fiodorowicz. A Komitet Rewolucyjny wydał mi specjalne pozwolenie.

Wspólny dotknął marynarki pokazując, gdzie ukrył pozwolenie.

— Nie zdążyłem nawet zebrać rzeczy osobistych, nie przebrałem się...

— Podzielimy się z panem — powiedziałem. — A szczoteczkę do zębów i ręcznik kupimy.

Niepotrzebnie się wtrąciłem. Wspólny popatrzył na mnie z naganą. Wyobraziłem sobie jaka burza szaleje w sercu naszego grubasa — w góry, na bezludzie i bez szczoteczki do zębów! Sam diabeł pociągnął mnie za język. Zadzwoiłem drobniakami walającymi się w kieszeni i powiedziałem:

— Zaraz wracam, za chwilę.

— Wołodia, nie wygłupiaj się — powiedział Otar. Wszystko rozumiał, znał mnie jak własną kieszeń.

Ludzie często stwarzają pozory. Ja też. Niby to wyruszyłem po szczoteczkę do zębów dla naszego przewodnika, ale przy okazji chciałem sprawdzić, dokąd starsza kobieta zaprowadziła dziewczynę.

W hali lokalnych linii lotniczych ich nie było. Przegapiłem, całe życie składa się ze spotkań i rozstań i, jak wiadomo, rozstań jest więcej niż spotkań.

Kiosk, w którym sprzedawano różne drobiazgi był otwarty. Obok stał tylko masywny, niewysoki Hindus, wyglądający dziwnie w czarnym garniturze, białej, szmacie owiniętej wokół nóg na podobieństwo kalesonów i idealnie wyczyszczonych butach. Jakby wychodząc z domu w pośpiechu zapomniał założyć spodnie. Do tego głowę zdobiła czapka z dzianiny, podobna do narciarskiej. Hindus trzymał w ręku walizkę, a przed nim, na ladzie, leżała sterta lekarstw w paczkach, butelkach i celofanowych opakowaniach. Podejrzywałem, że zamierza otworzyć aptekę. A może jest ciężko chory? Przyjrzałem się mu, ale nie dostrzegłem na jego twarzy śladów żadnej choroby. Profil miał wyraźny, antyczny, jak cesarz w schyłkowym okresie Rzymu. Jeśliby usunąć mu jeden z trzech podbródków, ubrać w zbroję, można by bez wstydu postawić go na czele legionu. Ale gdy poczuł moje spojrzenie i odwrócił się, zobaczyłem, że twarz *en face* zupełnie nie pasuje do bohaterskiego profilu. Podbródek i linia nosa gubiły się w obfitości obwisłych policzków, a żółte białka czarnych oczu i zbyt czerwone usta upodobniały go do klauna, który nie zdążył zmyć charakteryzacji.

Pokazałem szczoteczkę do zębów i powiedziałem po angielsku „proszę”, potem odszukałem wzrokiem tubkę pasty do zębów, mając przy tym nadzieję, że nie jest to krem do golenia. Sprzedawczyni położyła towar na ladzie i oznajmiła po angielsku, że wszystko razem kosztuje dwa waty. Wyjąłem banknot pięciodolarowy.

— No — powiedziała kobieta wskazując żołnierza, który w odległości około dwudziestu metrów

palili papierosa. Wszystko jasne, dziś dla zasady nie chcemy mieć do czynienia z obcą walutą.

— Pomogę panu — powiedział gruby Hindus. — Bank jest zamknięty.

Aby rozwiązać moje podejrzenia pokazał okienko, na którym wisiał angielski napis: „Wymiana walut, czeki podróżne”. Okienko było zamknięte.

Popatrzyłem na sprzedawczynię. Nie byłem pewien, czy postępuję dobrze robiąc interesy walutowe z cudzoziemcami, ale potrzebowałem szczoteczki do zębów.

Kobieta odwróciła się.

— Zupełnie uczciwie, zgodnie z kursem — powiedział Hindus.

Na palcu wskazującym miał dwa złote pierścienie. Jeden z czerwonym kamieniem. Palce poruszały się podejrzanie szybko, a karminowe usta drgały do taktu — domyśliłem się, że przeprowadza skomplikowane matematyczne obliczenia, przelicza dolary na waty, starając się przy tym nie oszukać mnie.

Zanim się zorientowałem, w mojej ręce znalazły się dwa banknoty po dziesięć watów każdy, jednowatowy papierek i mnóstwo drobnych. A pięć dolarów znikło w kieszeni marynarki.

— Dziękuję — powiedziałem do Hindusa. — Dziękuję — zwróciłem się do sprzedawczyni. Udawała, że się uśmiecha. Hindus udał się do najbardziej oddalonej części poczekalni. Zauważyłem tam naszego majora, obok niego stała leciwa, upudrowana dama i smutna dziewczyna. Major rozmawiał z kobietami, a Hindus stał o pięć kroków od nich, uginając się pod ciężarem walizy.

# Jurij Sidorowicz Wspólny

Wyskok Władimira Li wyprowadził mnie z równowagi. Sam bym sobie kupił wszystko co potrzebne. Przyglądałem się przez okno jak strumyczek pasażerów wlewa się po trapie do czarnego wnętrza samolotu i wyobraziłem sobie, jak im jest gorąco. Otar Dawidowicz starannie przeżuwał sałatę, a ja nie miałem apetytu.

Po chwili zabraliśmy się obaj za zupę pomidorową — obowiązkowy atrybut tego rodzaju miejsc. Na lotniskach króluje kuchnia europejska w najgorszej postaci. Domyśliłem się nawet, co będzie dalej: niesmaczny befszyk z keczupem i obsmażane ziemniaki.

Na miejscu Iwana Fidorowicza należałoby, aby pozwolić gościom odpocząć, zamiast od razu rzucać ich na odludzie.

Jednak szybko pozbyłem się tej myśli, bo Iwan Fidorowicz obarczony został odpowiedzialnością dającą mu prawo podejmowania decyzji. Miałem do dyspozycji tylko niewielką sumę pieniędzy, które przypadkowo znalazły się w portfelu. Co prawda Iwan zapewnił mnie, że pieniądze zostaną natychmiast przekazane do oddziału banku w Tangi.

— Przepraszam — wyrwał mnie z zamyślenia głos Otara Dawidowicza. — Chciałbym zapewnić pana, że pomysł Wołodii z zakupem szczoteczki do zębów nie jest prowokacją. To po prostu niezwykle uczynny, młody człowiek.

— Mogę się sam o siebie zatroszczyć — odburknąłem. Ale natychmiast zapytałem: — Jak długo będziemy w Tangi?

— Według naszych szacunków nie dłużej niż dwa tygodnie. Może mniej, a może nawet miesiąc.

Odpowiedź zdziwiła mnie. Załatwiając zagraniczną delegację trzeba dokładnie określić terminy. Wiąże się to z przydziałem walut, biletami, umowami z organizacjami...

— W takim razie sprecyzuj pytanie: na jaki okres wystawiona jest delegacja?

— Na czas nieokreślony.

Zakaszlałem. Nie było żadnego powodu, by ukrywać przede mną szczegóły wyjazdu. Jeśli strona ligońska jest zorientowana, to ja, jako odpowiedzialny pracownik, mam prawo...

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — powiedział Kotrikadze. — Przebieg naszej delegacji zależy od Boga.

— Od strony ligońskiej? — upewniłem się.

— Nie, od Pana Boga. Wzruszyłem ramionami.

— Co więcej, od konkretnego boga. Od Plutona. Jak widzę nie zapoznano pana ze szczegółami?

— Zostałem włączony dopiero na godzinę przed waszym przylotem. Gdyby nie przewrót...

— Ja i Wołodia pracujemy w LPSTZ. Skrót oznacza laboratorium prognozowania silnych trzęsień ziemi.

— Tak, widziałem tę nazwę w liście.

— Opracowujemy metodykę przewidywania trzęsień ziemi. Mamy już pewne sukcesy.

Dokonujemy specjalnych pomiarów naprężenia skorupy ziemskiej w różnych miejscach i na tej podstawie możemy określić epicentrum przyszłej klęski żywiołowej, a nawet jej datę.

Do stolika podszedł Wołodia Li. Trzymał w ręku paczuszkę, którą położył na stoliku obok mnie. Potem, jakby nigdy nic, usiadł i zabrał się za sałatkę.

Rozdarłem papier. W środku znajdowała się szczoteczka do zębów i krem przeciwłupieżowy.

— Dziękuję — powiedziałem chłodno. Byłem zmęczony tymi dziecinnymi postępками. — Ile jestem winien?

— Rozliczymy się potem.

— Wołodia, nie rób cyrku — powiedział Kotrikadze. — Jurij Sidorowicz tego nie lubi.

— Dwa waty za wszystko — powiedział Li.

Milcząc podałem mu pieniądze. Otar Dawidowicz obracał w ręku tubkę z kremem.

— Wiedziałem — powiedział do Wołodi. — Musisz się jeszcze dużo nauczyć.

— A co?

— To jest krem przeciwłupieżowy.

— A niech to! Zapomniałem jak jest po angielsku „pasta do zębów”.

Był zmartwiony. O dziwo, jego żal usposobił mnie przyjaźniej do młodego człowieka.

— Pójdę wymienić — powiedział Li.

— Proszę się nie martwić, do czegoś na pewno się przyda — powstrzymałem go. — Proszę kontynuować, Otarze Dawidowiczu. Nie musi pan zbytnio upraszczać. Mam nadzieję, że moje wykształcenie pozwoli mi zrozumieć wyjaśnienia.

— Z pewnością — zgodził się Otar Dawidowicz. Wypił łyk kawy. — Niedawno zakończyliśmy próby urządzeń pozwalających wykrywać i mierzyć naprężenia w dowolnym miejscu kuli ziemskiej. Jeśli otrzymamy takie informacje, na przykład z Kamczatki, natychmiast przeanalizujemy mapy sejsmiczne i sprawdzimy, czy w tym miejscu nie ma czasem niebezpiecznego uskoku... Ale takie mapy sporządzono nie wszędzie.

— Nie ma ich także w Ligonie — domyśliłem się.

— W rzeczy samej — przytaknął Li.

— Chodzi nie tylko o mapy — kontynuował Kotrikadze.

— Zidentyfikowaliśmy sygnały, których źródło znajduje się czterysta kilometrów od Ligonu. Strumień konwekcyjny, przemieszczający się wzdłuż granicy uskoku, może doprowadzić do niebezpiecznej sytuacji w ciągu kilku najbliższych tygodni. Co więcej, w zależności od warunków lokalnych może uwolnić się energia rzędu...

— Innym słowy będzie trzęsienie ziemi?

— Możliwe, że bardzo silne. Przekazaliśmy informacje do akademii, skąd przekazano je do Ligonu.

— Rozumie pan — wtrącił się Li — zdobyliśmy dane z odległości połowy kuli ziemskiej! To pierwszy sukces na taką skalę!

— I zaproszono was do Ligonu? — Nie jestem człowiekiem tchórzliwym, ale spokój z jakim mówili, że zamierzają spędzić najbliższe dni niemalże na wulkanie, wyprowadził mnie z równowagi.

— W celu zlokalizowania epicentrum i określenia daty, musimy wykonać szereg badań w terenie.

— I przewidywane przez was trzęsienie może się zacząć w każdej chwili? — Słowa te wyrwały mi się mimowolnie. Szkoda, że się nie powstrzymałem. Li nie ukrywał uśmiechu. Otar Dawidowicz był bardziej taktowny.



— Po pierwsze, może się w ogóle nie zacząć — powiedział.

— Wzrost naprężenia nie musi zawsze kończyć się kataklizmem. Wszystko zależy od konkretnych warunków.

— A jeśli...?

— Naszym zadaniem jest określenie daty i siły trzęsienia ziemi. I przygotowanie zaleceń dotyczących ochrony ludzi i mienia.

— Jesteśmy jak lekarze podczas epidemii dżumy — powiedział Li. — Wcale nie musimy sami się zarazić. Lepiej wyleczyć innych.

Wyczułem w jego słowach drugie dno. Znane są przecież przypadki, gdy lekarze rozmyślnie zarażali się dżumą. Dla dobra nauki. Chociaż w tym konkretnym przypadku...

— A czy miejscowi uczeni nie mogliby poradzić sobie sami, bez waszej pomocy? Przecież trzęsienie ziemi zostało przewidziane...

— Przewidziane! — Li zupełnie nie umiał nad sobą panować. Prawie krzyczał, zapominając, że znajduje się w obcym kraju, gdzie na niego — przedstawiciela wielkiego mocarstwa — skierowane są tysiące, nie zawsze życzliwych, oczu. — Komu udało się przed nami coś takiego? Każdy uczeń wie, że nad tym zagadnieniem biedzą się tysiące uczonych! Nasze laboratorium opracowywało metodykę dwadzieścia lat i ani jednego roku nie spędziłyśmy w domu...

— Ile ma pan lat? — przerwałem popis elokwencji młodego człowieka.

— Trzydzieści jeden. Młodo wyglądam.

Podszedł do nas major, który miał za zadanie nawiązać kontakt z naszymi specjalistami w imieniu strony ligońskiej.

# Tilwi Kumtaton

Postanowiłem wyspać się w samolocie i myśl ta podtrzymywała mnie na duchu. Zająłem się załatwianiem pilnych spraw. Z całej ekipy na lotnisku udało mi się znaleźć tylko drugiego pilota. Kierownik zmiany nie był mi w stanie pomóc — brakowało mu ludzi do obsługi lotów tranzytowych. Z Vanem musiałem skontaktować się za pośrednictwem wojsk lotniczych. Zamiast obiecanych dziesięciu żołnierzy przyjechało tylko ośmiu. Za to pojawił się lejtnant z wydziału propagandy, miał ze sobą sterty ulotek i oznajmił, że leci z nami.

Radiotelegrafistę ktoś przez pomyłkę skierował do portu morskiego. Do tego pojawiły się tysiące drobiazgów — a to zadzwoniono do mnie z restauracji z pytaniem, kto zapłaci za obiad dla Rosjan, to okazało się, że brakuje pocisków do moździerza, który przysłano nam ze sztabu okręgu. Potem sztab zaopatrzenia zażądał, abym znalazł miejsce dla dyrektora Matura, a ja tego dyrektora nigdy nie widziałem na oczy... Na chwilę zamarłem na środku hali, żeby uspokoić myśli i natychmiast obok mnie pojawiła się cioteczka Amara, moja krewna, u której mieszkałem podczas studiów na uniwersytecie. Zdierała ze mnie za nocleg drożej niż w hotelu „King”, a uciec od niej było trudniej niż wydostać się z uścisków pytona.

— Kumti! — krzyknęła jakby przyjechała do miasta specjalnie po to, by podziwiać mój mundur. — Aleś ty wyrósł, mój chłopcze!

— Dzień dobry, ciociu Amaro. Co tu robisz?

— Co za szczęście — kontynuowała, nie odpowiadając na moje pytanie — że akurat ty dowodzisz lotem do Tangi!

Jakimś cudem po lotnisku rozeszła się plotka, że do Tangi leci specjalny samolot i już ze dwadzieścia osób starało się załatwić u mnie miejsce. Mógłbym się nieźle wzbogacić.

— To lot wojskowy, ciociu — powiedziałem. Najwidoczniej ona też wybierała się w góry.

— Nieważne — ucięła ciotuchna. — Musisz pomóc naszej kuzynce. Biedna dziewczyna jedzie do umierającego ojca, którego zranili bandyci. Nie możesz jej odmówić. Przodkowie wrócą z tamtego świata, aby cię prześladować.

Starałem się odmówić. Ale jeśli sądzicie, że udało mi się kiedykolwiek wygrać z ciotuchną, to nie doceniacie siły związków rodzinnych w Ligonie. Ciocia Amara natychmiast przekazała mi pozdrowienia od mego ciotecznego dziadka, zagroziła gniewem wuja i na koniec wyciągnęła ciężką artylerię w postaci dziewczyny, której uroda pokonała mnie ostatecznie.

— Ciocia Amara prosiła w moim imieniu — powiedziała dziewczyna starając się nie okazywać nieśmiałości. Była ubrana tak, jak ubierają się studentki z niezamożnych rodzin, łącząc tradycję z modą europejską. — Nie odważyłabym się pana niepokoić, gdyby nie chodziło o mojego ojca. Wiozę lekarstwo, które może mu pomóc.

Chciałem powiedzieć, że z przyjemnością zabiorę lekarstwo i przekażę je we wskazane miejsce,

ale zamiast tego usłyszałem własny, zachrypnięty głos nakazujący dziewczynie udać się do wyjścia numer trzy i powiedzieć żołnierzowi, że przysłała ją major Tilwi.

Staralem sam przed sobą usprawiedliwić się tym, że gdyby to mój ojciec był chory... ale muszę przyznać, że decydującą rolę odegrał strach przed gniewem krewnych.

Jakieś pięć kroków ode mnie stał gruby Hindus w marynarce założonej na dhoti, z ustami pobrudzonymi betelem i wypchaną torbą w ręce.

Rozzłościło mnie, że słyszał całą rozmowę. No, kto jak kto, ale ty gołąbeczku, nie dostaniesz miejsca w samolocie, pomyślałem i w tej samej chwili usłyszałem:

— Panie majorze, dokąd mam iść?

— A co mnie do tego?

— Lecę z wami do Tangi — powiedział.

Nie lubię handlarzy, bez względu na narodowość. Ale byłem tu oficjalnie.

— Ten rejs nie zabiera pasażerów.

— Nawet uroczych dziewcząt?

Tego było już za wiele. Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem przed siebie. Hindus dogonił mnie i starał się przechwycić moje spojrzenie.

— Żartowałem, panie majorze — powiedział. — Jestem dyrektorem Maturem. Mam prawo z wami lecieć.

— Co znowu za dyrektor Matur?

Handlarz w mgnieniu oka wyciągnął starannie złożony dokument wypisany na blankiecie intendentury. Dokument informował, że dyrektor Matur udaje się do Ligonu w imieniu rządu tymczasowego.

— Może pan sprawdzić — powiedział. — Może pan zadzwonić. Moja reputacja...

Postanowiłem nie dzwonić. Przypomniałem sobie, że już do mnie dzwoniono. Nie miałem ochoty z nim rozmawiać.

— Wie pan dokąd iść?

— Oczywiście, do wyjścia numer trzy. Zadziwiające, pomyślałem, kiedy zdążył załatwić ten papier? Ten człowiek ma silne powiązania.

W końcu znalazł się pierwszy pilot — przysłali go z bazy wojsk lotniczych. Moja załoga była mniej więcej skompletowana, mózdzierz wyrzucony, amunicja dla garnizonu w Tangi pobrana, bagaże Rosjan załadowane. Poszedłem do restauracji i zaprosiłem Rosjan do samolotu.

— Bagaże załadowane — powiedziałem.

# Jurij Sidorowicz Wspólny

Major z nowiutkimi pagonami na ramionach, nie pasującymi do przepoconego, zakurzonego munduru, najwidoczniej dopiero co awansowany ze stopnia lejtnanta, zaprosił nas do samolotu, zapewniając, że bagaże są już na miejscu. Ruszyliśmy w ślad za nim przez pustą salę i natychmiast zatrzymał mnie głośny krzyk:

— Jurij, poczekaj!

Zatrzymaliśmy się. Podbiegł do nas cały mokry i potargany Sasza Gromów.

Przez chwilę poczułem ulgę na myśl, że może wylot został odwołany. Okazało się jednak, że nie.

Gromów podał mi moją zniszczoną już nieco dyplomatkę, którą kupiłem w zeszłym roku w Delhi i zabierałem ze sobą na wszystkie wyjazdy służbowe.

— Stróż otworzył mi twój pokój — powiedział. — Masz tu mydło, szczoteczkę i tak dalej. Włożyłem ci jeszcze koszulę i, proszę damy o wybaczenie, majtki.

Ostatnie słowo wymówił półgłosem, ale nawet ten, skądinąd zupełnie nie na miejscu żart, nie zabił przepelniającego mnie uczucia wdzięczności.

Gromów wyjął portfel i wyciągając w moją stronę paczkę pieniędzy, kontynuował:

— Jest tu pięćset watów. To wszystko nie ode mnie, ale od Iwana Fiodorowicza. Przypomniał sobie, że ruszasz w podróż bez środków. Potem rozliczysz się w księgowości. Jeśli będziesz potrzebował więcej pieniędzy, dzwoń bezpośrednio do mnie. Jestem na bieżąco.

Odwrócił się w stronę moich towarzyszy, przedstawił się im, przekazał serdeczne pozdrowienia od Iwana i dodał:

— A co do Jurija Sidorowicza, to jest on najlepszym znawcą ligońskiego w całej ambasadzie i pieczołowicie zbiera materiały do książki o tym wspaniałym kraju.

Byłem szczerze wzruszony troską Iwana Fiodorowicza i zrozumieniem wagi mojej misji.

— Nie będę was zatrzymywać — powiedział Gromów. — Powodzenia!

„Wypchaj się!” — pomyślałem.

Pożegnałem się z Gromowem, a on stał w drzwiach hali, dopóki nie stracił nas z oczu.

Za drzwiami, prowadzącymi bezpośrednio na pas startowy, błyszczał w słońcu Viscount lokalnych linii lotniczych. W drzwiach tłoczyła się gromadka ludzi. Kilku żołnierzy, młody oficer, gruby Hindus w marynarce założonej na dhoti z czerwonymi od betelu ustami i młoda dziewczyna w długiej spódnicy, z wpiętym w czarne jak smoła włosy, przywiedłym białym kwiatem drzewa tatabi. Była piękna tą charakterystyczną dla południowo — wschodniej Azji, kruchą, delikatną, ptasią urodą, przyjemnie podkreśloną niezależną postawą, będącą efektem samodzielności, którą od wieków cieszą się w Ligonie przedstawicielki płci pięknej. Powszechnie wiadomo, że jeszcze w XIV wieku, w armii króla Nanasabuka, był oddział kobiety. Przepiękne amazonki, walczące wierzchem na słońiach, odegrały ważną rolę w bitwie z armią birmańską pod murami miasta Pegu.

Nasza niewielka procesja przecięła rozpaloną, betonową płytę dzielącą samolot od budynku.

Było po drugiej, upał zrobił się nieznośny, ciężki przed zbliżającym się monsunem. Pomyślałem, że Gromów na pewno zapomniał włożyć do torby moją ulubioną, płócienną czapkę.

Wchodząc po kiwającym się, krótkim trapie zjeżyłem się na myśl o czekającym w środku zaduchu. I nie pomyliłem się oczekując tego, co najgorsze. Stałem na moment, zastanawiając się, czy lepiej będzie usiąść bliżej drzwi, przez które przedostawało się powietrze, czy lepiej zająć miejsce przy ogonie, dające więcej szans na przeżycie w przypadku lądowania awaryjnego. W końcu zdecydowałem się usiąść z tyłu, wachlując się znalezionym w oparciu fotela czasopismem. Major pozwolił żołnierzom zdjąć kaski i rozpiąć się. Sam pozostał w pełnym umundurowaniu.

— Otar, zaraz umrę — usłyszałem słaby głos Li.

— Można prosić wody? — zapytał Hindus.

— Proszę wytrzymać — usłyszał go major.

Drzwi zamknęły się, powoli wystartowały turbiny. W końcu samolot ruszył z miejsca. I gdy dosłownie byłem już o krok od utraty przytomności, samolot oderwał się od ziemi, a po chwili do kabiny napłynęło świeże powietrze. Delektowałem się nim przez dłuższą chwilę, potem zapiąłem kołnierzyk pod szyją, aby nagłe ochłodzenie ciała nie doprowadziło do przeziębienia.

# Trzęsienie ziemi w Jokohamie

1 września 1923 roku zaczął się tak samo, jak wiele innych, przepięknych dni japońskiej jesieni. Wstałem przed wschodem słońca. Wśród czarującej ciszy poranka podziwiałem delikatnie nadciągający wschód słońca. Srebrzysty księżyc spoglądał w dół, na cichą, prawie nieruchomą wodę... Tego dnia moi przyjaciele wyjeżdżali do domu, a ja miałem ich odprowadzić...

Nabrzeże wyglądało uroczyście, było ozdobione flagami powiewającymi na lekkim wietrze. W końcu, za minutę dwunasta, podniesiono trap, podniosło się mnóstwo rąk z chusteczkami, twarze rozplynęły się w uśmiechu, inne przybrały smutny wyraz.

Nieoczekiwanie ludzie nasrożyli się i na chwilę wszyscy znieruchomieli, przysłuchując się świętecznemu harmiderowi... Ogromne nabrzeże zakołysało się — nie można było utrzymać się na nogach. Ludzie wstawali, ale natychmiast znowu rzucało ich na asfalt. Krzyki ogarniętych paniką kobiet i mężczyzn zagłuszał huk rozsypujących się budynków i wycie ziemi. Ludzie czuli się tak, jakby ocknęli się wewnątrz toczącego się po wyboistej drodze walca.

Wiedziony intuicją starałem się opuścić nabrzeże, ale w tym czasie nastąpił drugi, znacznie silniejszy wstrząs podziemny. Nabrzeże załamało się pod naporem strasznej siły. Drewniana część pogrążyła się w wodzie. Poczulem, że gdzieś lecę. Uchwyciłem się trapu i wciągnąłem na ocalały fragment nabrzeża. Zobaczyłem, że znajoma panorama Jokohamy skryła się za wiszącą nad miastem zasłoną ciemnego pyłu, która teraz zbliżała się ku morzu. W ślad za pyłem ku niebu uniosły się słupy czarnego dymu i płomieni. Poganiany coraz silniejszym wiatrem ogień szybko się rozprzestrzenił, nad głowami latały płonące główne... Zbliżywszy się do magazynów stojących na kamiennym nabrzeżu, płomienie rzuciły się na nie, jak tygrys na zdobycz, i z głuchym trzaskiem wzbily się ku niebu, świętując zwycięstwo. Wiatr zmienił się w huragan. Fale niosły po zatoce płonące barki, a te niosły ze sobą zniszczenie i śmierć”.

Elis M. Zacharias *Tajne misje*, Moskwa, 1959

# Tilwi Kumtaton

Udało się. A bałem się, że ktoś w samolocie umrze z gorąca.

Wystartowaliśmy. Dyrektor Matur wyjął z walizki wełniany szal, owinał szyję i skoncentrował się na przeżuwaniu betelu, co upodobniło go do żółwia. Dziewczyna — miała na imię Lami — zamknęła oczy. Śpi? Rosjanie, którzy przylecieli z Moskwy, rozmawiali z ożywieniem, a trzeci, zupełnie białoskóry, z żółtymi włosami, w okularach, patrzył w iluminator i marszczył się. Żołnierze śmiali się. Poszedłem do pilotów.

— Kiedy będziemy w Tangi?

— Za godzinę i dwadzieścia minut — odpowiedział wojskowy pilot — jeśli nie trzeba będzie omijać frontu burzowego.

Wróciłem do kabiny pasażerskiej i usiadłem. Nie wiem, dlaczego nie mogłem zasnąć. Jakbym przekroczył granicę, za którą można już nigdy nie spać. Młody geolog, przypominający górala, uśmiechnął się do mnie i zapytał łamaną angielszczyzną:

— Kiedy dolecimy?

— Za półtorej godziny. Gorąco panu?

— Teraz już nie. Musimy dużo jeździć. Polujemy na trzęsienia ziemi.

— Ogromne polowanie — powiedziałem. — A jak je zabijacie?

— Najczęściej się spóźniamy — odpowiedział za młodego geologa profesor Kotrikadze. — Zazwyczaj zdążą już wykonać swoją straszną robotę.

— Widziałem jedno trzęsienie ziemi — powiedziałem.

— Gdzie?

— W górach, na południe od Tangi. Mieszkałem wtedy u dziadka, w klasztorze, uczyłem się w przyklasztornej szkole.

— A w samym Tangi?

— Czterdzieści lat temu miasto zostało całkiem zniszczone.

— To prawda — powiedział profesor.

— Niedługo będzie następne — powiedział młody geolog.

— Nie można przewidzieć własnej śmierci i trzęsienia ziemi. Tak mówił dziadek Mahakassapa.

— Kiedyś nie umiano przepowiadać zaćmień słońca — powiedział profesor.

— A kiedy będzie trzęsienie ziemi w Tangi? — zapytałem. Ale odpowiedź mnie nie interesowała. Nagle poczułem, że jeśli natychmiast nie usnę, to umrę ze zmęczenia. Profesor coś odpowiedział, ale ja już pograżyłem się w głębokim śnie.

Obudziłem się, czując, że mam zatkane uszy — samolot zniżał lot. Dyrektor Matur nachylał się nade mną i boleśnie wczepił mi się w ramię.

— Proszę się obudzić, majorze!





# Władimir Kimowicz Li

Nasz dzielny oficer, który sądził, że trzęsienia ziemi nie można przewidzieć podobnie jak własnej śmierci, zasnął w mgnieniu oka, nie doczekawszy się odpowiedzi Otara. Jakby go ktoś wyłączył.

— Niedaleko miasta, w dolinie, jest jezioro — powiedział Otar. — Podziemne naprężenia można dobrze odczytać w elastycznym ośrodku.

Wyjrzałem przez okno. Początkowo lecieliśmy nad płaską równiną, potem zaczęły pojawiać się niewielkie pagórki, po ich zboczach wspinały się pola i tylko na wierzchołkach widać było kępy krzaków albo drzew. Potem pagórków zrobiło się więcej, zbocza były coraz bardziej strome, a coraz więcej miejsca zajmował las i tylko na brzegach rzeczek zdarzały się plamy pól i łańcuszki chatek. Otar coś pisał. Potrafi wyłączyć się i pracować. Jest to jego zaletą i, moim zdaniem, jednocześnie wadą. Odwróciłem się w stronę dziewczyny. Dobrze, że mimo wszystko udało jej dostać się do samolotu. Dziewczyna zamknęła oczy, ale czarne rzęsy nieco drgały. Powiedziałem Otarowi, że nasz major nie przypomina „czarnego pułkownika”. Otar nie lubi, gdy się go odrywa od pracy. Burknął, że w życiu nie widział żadnego „czarnego pułkownika”.

Od startu minęło około pół godziny. Strasznie chciało mi się pić. Organizm miałem odwodniony. Samolot leciał niezbyt wysoko. Nad nami widać było błękitne niebo i słońce, ale z boku, nad pasmem gór, wisiała ściana szarych chmur, wydawało mi się, że widzę tam rozbłyśki błyskawic. Postanowiłem dowiedzieć się, czy na pokładzie nie ma czasem wody. Odpiąłem pasy i jeszcze raz spojrzałem w dół. Odniosłem wrażenie, że ktoś przesyła nam z ziemi znaki lusterkiem. Co za głupota, pomyślałem, jak można zauważyć lusterko z wysokości kilometra! I w tej samej chwili zobaczyłem — ale nie od razu zrozumiałem znaczenie tego, co widzę — jakby ktoś niewidzialny przeciągnął nad samolotem ręką ubrudzoną w atramencie. Atrament rozlał się łańcuszkiem kropelek. Samolotem zatrzęsło, i wtedy domyśliłem się, że to nie krople, tylko dziury w skrzydle. Jednocześnie za silnikiem zaczął ciągnąć się czarny dym.

Mimowolnie uniosłem się i przykleiłem twarz do szyby. Otar od razu poczuł, że dzieje się coś złego.

— Co?

Spróbował wstać, ale pasy przytrzymały go na miejscu. Linia horyzontu zaczęła powoli nachylać się, jakby przed nami wyrosło zbocze góry. W tym momencie ocknął się gruby Hindus w marynarce. Podskoczył, podbiegł do majora i zaczął nim potrząsać:

— Proszę się obudzić, majorze! Majorze, spadamy!

# Lami Wasunczok

Młody cudzoziemiec, podobny do górala, z szeroką, dobrą twarzą, dość bezceremonialnie przyglądał mi się w restauracji, gdzie czekałam na ciocię Amarę. Na pewno wyglądałam niedobrze. Dziwne, że w tak trudnej chwili zwróciłam uwagę na młodzieńca.

Gdy ciocia zaprowadziła mnie do majora, ze zdziwieniem odkryłam, że jest to Tilwi Kumtaton, który uczył się z moim bratem w koledżu, a nawet był moim dalekim krewnym i raz albo dwa gościł u nas w domu. Oczywiście, nie poznał mnie. Dziesięć lat temu byłam małą dziewczynką. Tilwi był niezadowolony, że z mojego powodu musi naruszyć zasady, ale pozwolił mi lecieć. Mam nadzieję, że nie będzie miał z tego powodu nieprzyjemności.

W ogóle wszystko to było cudem, a nawet łańcuszkiem cudów. Pan Sun spotkał się ze mną i okazał się być takim uprzejmym i współczującym człowiekiem. Gdy dowiedziałam się o przewrocie, powiedział, żebym się nie denerwowała. Rano znowu do niego przyszedłam, a tam już czekała na mnie ciocia Amara, której nie widziałam od trzech lat, i która zawsze była zła, ale u pana Suna zachowywała się jakby była moją mamą i sama zaproponowała, że pojedzie na lotnisko i załatwi, aby wzięto mnie na pokład samolotu. Spełniła swoją obietnicę.

Potem długo czekaliśmy przy wejściu na płytę lotniska, aż przyszedł Tilwi i cudzoziemcy. Jednym z nich był ten, który przyglądał mi się w restauracji. Ucieszyłam się, że polecą z nami, chociaż wstydzę się do tego przyznać.

W samolocie młody cudzoziemiec siedział z drugiej strony przejścia i od czasu do czasu spoglądał na mnie. Starłam się myśleć o ojcu. Wiedziałam, że ojciec może umrzeć. Dlatego postanowiłam pójść do pana Suna. Myślałam o ojcu i wyobrażałam sobie jak cierpi, a potem usnęłam i nie od razu zorientowałam się co się dzieje. Samolot zaczął obniżać lot, ale nie w Tangi, a nad lasem. Pan dyrektor Matur głośno krzyczał. Przestraszyłam się, że się rozbijemy, ale jeszcze bardziej przestraszyłam się, że rozbije się lekarstwo. Przycisnęłam torbę do piersi, żeby lekarstwo nie rozbiło się podczas upadku.

# Dyrektor Matur

Siedząc w samolocie rozmyślałem o tym, że miniony ranek należałoby zaliczyć do strat. Rozmowa telefoniczna z lotniska do miasta kosztowała mnie siedemdziesiąt watów: dwadzieścia dla stróża, który zaprowadził mnie do gabinetu kierownika zmiany, i pięćdziesiąt — dla samego kierownika. To co najmniej siedem dolarów. Nawet jeśli odjąć od tego zysk, jaki przyniosła mi wymiana po niskim kursie pięciu dolarów młodego Rosjanina, to i tak straty były zbyt duże... Ale rozmowa z Tantunczkiem mimo wszystko się odbyła. Zapytałem go, czy moje przewidywania spełniły się, a Tantunczok uprzejmie podziękował za ostrzeżenie.

— Jesteś gotowy dokończyć wczorajszą rozmowę? — zapytałem. — Wszystko dzieje się bardzo szybko.

— Zawsze jestem gotowy rozważyć rozsądną propozycję. Proponują mi za towar dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

No cóż, cena poszła w dół. Tantunczoka nie można obwiniać o brak zdrowego rozsądku. Ale cena był wysoka, a ja byłem przekonany, że żaden normalny człowiek nie zaproponuje za fabrykę takich szalonych, jak na nasze czasy, pieniędzy. Powiedziałem to Tantunczokowi. I zaproponowałem mu sto tysięcy, póki nie jest za późno.

Wyobraziłem sobie, jak uśmiecha się Tantunczok, jak wokół oczu robią mu się drobne zmarszczki. Powiedział:

— Wyłącznie w imię starej przyjaźni, mogę oddać towar za dwieście tysięcy.

— Połowę — powiedziałem.

Mój plan wiązał się z dużym ryzykiem. Jeśli wszystko pójdzie gładko i uda mi się nabyć fabrykę, a potem natychmiast sprzedać ją szefostwu zaopatrzenia, będę musiał podzielić się z tym, kto zgodzi się przeprowadzić całą operację. Dostanę nie czterysta tysięcy, a nie więcej niż trzysta. A gdzie gwarancja, że transakcja dojdzie do skutku? Że życzliwość, którą obdarzają mnie pewni wpływowi ludzie, przetrwa do jutra? Mądrzej byłoby w ogóle zrezygnować z interesu, niż ryzykować własnym kapitałem. Przecież w ciągu najbliższych dni mogą pojawić się inne lukratywne propozycje — w obawie przed nacjonalizacją biznesmeni będą wyprzedawać nieruchomości... O, okrutny Sunie! Teraz, właśnie teraz powinienem znajdować się w Ligonie, w sercu zdarzeń! I chociaż mojemu młodszemu bratu, Saade, ufam jak samemu sobie, to przecież jest młody i brak mu doświadczenia. Mam nadzieję, że teraz rozumiecie, dlaczego byłem tak twardy podczas rozmowy z Tantunczkiem?

— Mam przygotowane wszystkie dokumenty — powiedział Tantunczok. Od jego nieprzyjemnego głosu swędziało mnie ucho.

— Za godzinę wylatuję z Ligonu — powiedziałem. — Dokąd?

— Nieważne.

— Może jeszcze raz do mnie zadzwonisz? — w jego głosie dzwięczała niepewność.

Odłożyłem słuchawkę. Czy aby nie na darmo straciłem siedemdziesiąt watów?

Samolot minął dolinę Kangem. Dalej nasza droga wiodła przez wzgórza do jeziora Linili, za którym jak mur wznosi się tangijski masyw górski. Nie pierwszy raz leciałem z Ligonu do Tangi, chociaż wolę jechać pociągiem do Metili, a dalej samochodem. Jest to dłuższa droga, ale za to nie czujesz się jak żuk w słoiku, który można rzucić i rozbić. Za dwadzieścia minut powinniśmy zobaczyć wyjście z wąwozu. Ale właśnie wtedy samolot zaczął zmieniać kurs, pewnie z powodu widocznych przed nami monsunowych chmur.

Uniosłem się, żeby zobaczyć co robi dziewczyna, którą widziałem u pana Suną. Jej obecność na pokładzie niepokoiła mnie. Błogosławiłem swą wrodzoną ostrożność, która kazała mi schować się w mroku korytarza, gdy pan Sun wyprowadzał ją z hotelu. Jakie rozkazy wiezie do Tangi? Czy są związane z moją skromną osobą? Sun jest podstępny. A jeśli dowiedział się, że straciłem czas na wizytę u Tantunczoka?

Byłem tak owładnięty strachem, że nie od razu zauważyłem, że dzieje się coś złego. Spod skrzydła ciągnął się dym. Samolot szybko zniżał lot. Spadaliśmy! Ten obraz nieraz prześladował mnie w koszmarnych snach, ale żeby coś takiego przytrafiło się rzeczywiście! Mnie?!

Zduśmiłem krzyk wrywający mi się z gardła. Nie, musiałem coś zrobić. Szybko odpiąłem pasy i ruszyłem w stronę śpiącego majora Tilwi. Dotknąłem jego ramienia i niezbyt głośno, ale zdecydowanie, powiedziałem:

— Proszę się obudzić, majorze. Spadamy.

W górskich rejonach Ligonu skład lasu zmienia się przede wszystkim ze względu na zmianę warunków termicznych. W górach, wraz ze zwiększaniem się wysokości, następuje znaczny spadek temperatury, co ma ogromny wpływ na roślinność. Pojawiają się gatunki subtropikalne i borealne, a stopniowo zanikają przedstawiciele typowej, tropikalnej roślinności. Do wysokości 1800 m rosną górskie, wiecznie zielone lasy. Klimat tej strefy jest dość ciepły i wilgotny. Temperatura waha się od 17° do 25°. Zimą, od grudnia do lutego, zdarzają się sporadyczne spadki temperatury, do 5–6°, ale przymrozki praktycznie się nie zdarzają. Pod względem nawodnienia strefa ta jest zbliżona do równin, ale charakteryzuje się większą wilgotnością ze względu na niższe temperatury, a także częste mgły i obfitość rosy.

Roślinność górskich, wiecznie zielonych lasów jest bardzo bogata. Nadal bardzo licznie występują liany i epifity. Stopniowo zanikają dwuskrzydłowe, zatwarowate, mydleńcowate i inne rodziny charakterystyczne dla lasów równinnych... Poczynając od wysokości 500 m zwiększa się liczba dębów, kasztanów, wawrzynów, miodłowatych, pojawiają się takie typowo górskie gatunki, jak brzoza. W dolnych warstwach nadal panują typowe tropikalne bambusy, dziki bananowiec, paprocie drzewiaste... Jeszcze wyżej, na stokach, w chłodnych i suchych warunkach pojawiają się lasy liściaste...

E.A. Raben *Ligon. Rejony przyrodnicze i pejzaże*, Haga, 1972

# Otar Dawidowicz Kotrikadze

Przeleciałem za swego żywota ponad milion kilometrów, można mnie uznać za wyjadacza, ale jak dotąd nie uczestniczyłem jeszcze w katastrofie. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, żebym mógł potem, w wolnej chwili, zrozumieć, co działo się z nami w ciągu tych kilku minut, chociaż wtedy wydawały mi się one nieskończenie długie. Pamiętam, że zmusiłem do zapięcia pasów Wołodię, który w żaden sposób nie mógł zrozumieć, czego od niego chcę, i z pewnością uważa mnie za człowieka pozbawionego emocji. Dookoła krzyczeli ludzie, dym za oknem przesłaniał niebo, ziemia zbliżała się nam na spotkanie, a ja wpychałem mu do ręki koniec pasa i żądałem, żeby się przypiął, jak przed normalnym lądowaniem. Ale jeśli pisane jest nam ocaleć, to najwięcej szans ma ten, kto jest przypięty do siedzenia.

Żaden z pilotów nie wyszedł z kabiny — byli zbyt zajęci ratowaniem samolotu, by zajmować się uspokajaniem pasażerów. Nawet nie będąc lotnikiem rozumiałem, jak trudna jest nasza sytuacja. Płonący silnik zmusił nas do natychmiastowego lądowania — musieliśmy zdążyć, zanim samolot wybuchnie. Jeśli przytrafiłoby się to nam nad równiną, moglibyśmy dokonać tego stosunkowo spokojnie — lecieliśmy na niewielkiej wysokości. Ale pod nami ciągnęły się pokryte lasem góry.

Nie marnowałem czasu na obserwowanie tego, co dzieje się dookoła. Wynikało to nie ze zbytnej śmiałości czy fanatyzmu. Po prostu nie chciało mi się wierzyć, że za minutę nie będzie mnie wśród żywych i ta zdrowa reakcja organizmu zmusiła mnie do udawania, że nic strasznego się nie stanie. Gdy w końcu przypiąłem Wołodię, który wyrywał się na pomoc dziewczynie siedzącej po drugiej stronie przejścia (ale na szczęście pas od razu cofnął go na miejsce), rozejrzałem się. Jurij Sidorowicz był śmiertelnie blady i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Potem przyznał się, że przed oczami przeleciało mu całe życie. Major Tilwi walczył z grubym Hindusem, który zawisł na nim, wczepiwszy się w mundur tłustymi palcami, jakby od tego zależał jego ratunek, bo majorowie, ze względu na wysoką rangę, nie giną w katastrofach lotniczych. Młodziutki oficer, który dołączył do nas przy samolocie, krzyczał coś do żołnierzy, którzy poderwali się z miejsc, dziewczyna, którą starał się uratować Wołodia, przyciskała do piersi torbę, jakby w tej chwili najważniejsze było ochranianie jej zawartości. A gdzie była moja teczka? Nie wiadomo, dlaczego zająłem się nerwowymi poszukiwaniami teczki, a gdy znalazłem ją pod nogami, podniosłem. Samolot nachylił się w moją stronę i zupełnie blisko, za oknem, przemknęły korony drzew. Poprzez wycie silników i krzyki usłyszałem dźwięk padającego ciała. Obok przemknął, starając się zachować równowagę, major — zaczął szarpać drzwi kabiny pilotów. Wołodia coś krzyknął. Gdy go potem o to zapytałem, potwierdził — zęgnął się. Nigdy więcej nie wracaliśmy do tego wspomnienia.

Samolot wyrównał lot. Na chwilę dym rozwiął się, zrobiło się jasno, a potem nastąpiła seria uderzeń — pewnie samolot uderzał kadłubem o czubki drzew. Zgrzytało tak, jakby samolot rozlatywał się na kawałki, podrzuciło nas do góry, potem samolot zanurkował i pasy jak noże wbiły

mi się w pierś. Widocznie straciłem przytomność, bo następne co pamiętam, to cisza.

Żyliśmy.

Najpierw pojawił się ból. Bolała pierś. Pasy utrzymały mnie, ale zrobiły to bezlitośnie. Nie mogłem nawet głębiej odetchnąć. Dobrze, że żebra zostały całe. Potem zaczęło boleć kolano. Chciałem podnieść rękę, żeby się odpiąć, ale ręce miałem jak z waty. Dopiero wtedy zrozumiałem, że siedzę z zamkniętymi oczami.

Zmusiłem się do otwarcia oczu. Posłuchały mnie niechętnie. Od razu włączył się słuch. Wokół nadal panował hałas — być może nadal pracowały silniki, a może szumiało mi w głowie. Przez hałas słyszałem, że obok ktoś się modli, jak za zmarłych — jednostajnie i smutno. Potem usłyszałem jęk. Co z Wołodią? Odwróciłem głowę w jego stronę i zrozumiałem, że zwichnąłem szyję — tak silny był ból.

I wtedy zawładnął mną sprawiedliwy gniew. Było to pierwsze ludzkie uczucie. Właśnie gniew. Myślicie, że zatroszczył się o mnie? Wołodia był przytomny, głowę miał zwróconą w moją stronę, ale patrzył nie na mnie, ale przeze mnie — tam, gdzie siedziała dziewczyna. Podążyłem za jego spojrzeniem. I roześmiałem się, bo dziewczyna też była żywa, siedziała, przyciskając do piersi podróżną torbę i gapiła się na mojego Wołodię.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziałem, śmiejąc się. — Jesteśmy na miejscu.

Pewnie z boku wyglądało to, jakbym wpadł w histerię, ale po prostu rozśmieszyło mnie to, że pierwszym moim uczuciem był gniew na Wołodię, rozśmieszyło mnie też to, że siedzą w rozbitym, palącym się samolocie i gapią się na siebie.

Ręce zaczęły działać niezależnie ode mnie. Odpięły pas. Musiałem wstać, żeby pomóc majorowi. Major leżał w półotwartych drzwiach do kabiny pilotów i było jasne, że oberwał.

— Co z panem, Otarze? — usłyszałem głos Wołodii.

— Szybciej — powiedziałem do Wołodii i w końcu udało mi się głębiej odetchnąć. Stając na zranionej nodze rzuciłem się w stronę majora. Wiedziałem, że Wołodia też wstaje. Oprzytomniał już. Mogłem na nim polegać. Katastrofa skończyła się, zaczęła się praca, a pracować Wołodia potrafił.

Major żył, oddychał i, jeśli nie liczyć zwichniętej ręki, był cały. Udało się nam odciągnąć go od drzwi. Otwarłem je, żeby wejść do kabiny pilotów i kątem oka zauważyłem, że nad majorem nachyla się nasza sąsiadka.

Wszystkie moje działania, szybkie, z pewnością nawet chaotyczne, trwały sekundy. Nie miałem czasu nawet na to, żeby się obejrzeć i sprawdzić, co dzieje się w części dla pasażerów.

W twarz buchnął mi dym. Dym wypełniał całą kabinę pilotów, a dokładniej to, co z niej zostało. Samolot — zrozumiałem to później — leciał w stronę przesieki, ku poletkom ryżu, ale piloci nie dali rady opanować maszyny, która wytraciwszy prędkość wbiła się w las, a pnie przewróconych drzew zamieniły dziób w płataninę metalu i szkła. Wtedy nie wiedziałem o tym — po omacku przedzierałem się do przodu, starając się znaleźć pilotów. Wołodia chciał iść za mną, ale odwróciłem się i krzyknąłem:

— Do tyłu! Otwórz drzwi! Wyprowadź ludzi!

Wydawało mi się, że droga przez dym i dzunglę pogiętego metalu i potłuczonego szkła trwała bardzo długo. Kabina, o długości nie większej niż kilka kroków, zmieniła się w korytarz bez końca, w którym nie dało się oddychać... Ale podmuch wiatru na chwilę przegnał zasłonę dymu, i okazało się, że stoję na czymś w rodzaju balkonu, opierającego się o krzewy i pnie drzew. Liście i gałęzie, które dostały się do kabiny, zatarły granicę między lasem a samolotem. W zielonym masywie

zobaczyłem ciało jednego z pilotów. Ale wtedy dym znowu wtargnął do kabiny, musiałem więc wyciągać pilota ze sterty odłamków, dusząc się i bojąc się nie tylko wybuchu, ale utraty przytomności, która uniemożliwi mi wydostanie się na zewnątrz. Ciągnąłem pilota z determinacją, jakby był żywy, ale wtedy przecież nie wiedziałem, że jest martwy. Zeskoczyłem na ziemię i pociągnąłem nieposłuszne, ciężkie ciało ku sobie. Zwaliło się na mnie, a ja pomyślałem tylko, że dla pilota mniej bolesny jest upadek na mnie niż na korzenie i gałęzie. Potem wlokłem go przez połamane bambusowe zarośla i dopiero po jakichś dwudziestu metrach dym rozwiął się na tyle, że mogłem rozejrzeć się i zorientować, że znajduję się na skraju pola ryżu. Działąłem jak automat, który otrzymuje rozkazy i natychmiast je wykonuje — tyle tylko, że rozkazy wydawał mój mózg.

# Władimir Kimowicz Li

Nigdy w życiu nie widziałem nic bardziej przerażającego, niż wychodzący z lasu Otar. Choć wiele podróżuję, napatrzyłem się na klęski żywiołowe i zniszczenia dokonane przez siły drzemące we wnętrzu ziemi, to jednak zawsze znajdowałem się w kręgu cywilizowanego społeczeństwa, gdzie nikt nikogo nie zabija i nie strzela. Stwarza to wrażenie, że nic złego nie może się stać.

Tak powinno być wszędzie, a to, czego nie udało ci się doświadczyć, jest tylko fikcją literacką. I oto Otar, wychodząc z lasu, stał się symbolem całkowitego krachu mojego wewnętrznego spokoju.

Wszystko, co zdarzyło się przedtem, było snem, koszmarem, z zadziwiającymi, nawet przyjemnymi chwilami przebudzenia, ale pasowało do modelu, któremu można by nadać nazwę „katastrofa”. Rozumiałem, że w mojej sytuacji najlepiej będzie podporządkować się Otarowi. Całkowicie. Było to pełne wdzięczności poczucie uwolnienia od odpowiedzialności, podporządkowania się temu, kto zgodził się wziąć na siebie ciężar rozporządzania losami innych ludzi. W ekstremalnych sytuacjach zaczynam rozglądać się w poszukiwaniu osoby, która będzie zarządzać.

Nie myślałem wtedy o tym, że samolot może wybuchnąć. Jakby tu, na ziemi, wszystko zaczęło zamieniać się powoli we wspomnienia, o których będziemy opowiadać znajomy w Moskwie, a oni będą wzdychać i wierzyć. Albo nie wierzyć.

Podporządkowując się poleceniu Otara, pobiegłem do drzwi. „Pobiegłem” to tylko przybliżone określenie. Przejście było zawałone, jakby ktoś specjalnie zniósł tu wszystkie niepotrzebne rzeczy. W przejściu poniewierały się torby, walizki, skrzynki. W jednym miejscu utworzyły stertę, pod którą leżał gruby Hindus. Dlatego musiałem zatrzymać się w drodze do drzwi i usunąć kłopoty i wyciągnąć spod nich gentlemana, które najwyraźniej symulował śmierć: miał zamknięte oczy, bardzo czerwony język wywalił na wierzch jak spragniony pies, ale oddychał szybko i płytko. Doszedłem do wniosku, że należy uderzyć go w policzek — tak przynajmniej doprowadza się do przytomności większość panien w literaturze pięknej. Gentleman natychmiast otworzył oczy, uśmiechnął się dziwnie i ogromnie zdziwił, że znajduje się jeszcze na tym świecie:

— Wstawaj! — powiedziałem do niego. — Szybko. Na co odpowiedział wyraziście:

— O-o!

Może jęczał, a może cieszył się ze zmartwychwstania. Z prawej strony coś się poruszyło. To Wspólny odpinał pasy.

— Zaraz — powiedział. — Za chwilę.

Jakbym go poganiał. Oczy rejestrowały poszczególne osoby, ale nie widziałem co się dzieje, jaka jest ogólna sytuacja. Kabina pełna była dymu, niezbyt gęstego, można w nim było odróżnić ludzkie postaci, ale uniemożliwiającego zobaczenie tego, co działo się w odległości pięciu metrów. Dym dostał się do środka przez uchylone drzwi do kabiny pilotów, w której znikł Otar.



Minąłem Hindusa i, gdy zrobiłem jeszcze kilka kroków, zobaczyłem z boku jasną plamę. Drzwi. Do tego otwarte. Zupełnie zapomniałem o żołnierzach i młodym oficerze. Okazało się, że nie tracili czasu i zdążyli dotrzeć do drzwi przede mną. Na chwilę zatrzymałem się w wyjściu. Przede mną rozciągało się niewielkie pole, schodziło w dół po stoku, a za nim niebieską ścianą wznosiły się góry. Las dochodził prawie do samolotu. Odwróciwszy głowę w prawo, zrozumiałem, że nasz samolot przeleciał nad polem i resztkami rozpędu wbił się w drzewa tak, że cały dziób był ukryty w zielonej masie liści. Tę bukoliczną scenkę psuł trzask płomieni z płonącego silnika i kłęby czarnego dymu. Nad polem wiał porywisty wiatr, przez co dym i płomienie rwały się na strzępy i pod gorącym słońcem wydawały się nieistotnymi detalami pejzażu. Teraz, gdy wspominam tamte chwile, sądzę, że mimo wszystko byłem w szoku, jeśli mogłem tak lekkomyślnie rozmyślać o płomieniach.

Dość daleko, na zboczu, oddalając się od samolotu, truchtały dwie ludzkie sylwetki. Zrozumiałem, że to żołnierze, którzy stracili ducha, ale zdziwiłem się, dokąd im tak spieszą? Przecież wylądowaliśmy. W tej samej chwili zobaczyłem pozostałych żołnierzy i młodego oficera. Oficer miał rozcięte czoło i szczękę, cały czas ścierał ręką krew, żeby nie zalewała mu oczu. Pokrzykiwał na żołnierzy, próbujących szerokimi nożami otworzyć luk bagażowy. Żołnierzy było dwóch. Trzeci siedział w pobliżu z nogą nienaturalnie wyciągniętą do przodu. Był bardzo blady i jęczał.

Nagle poczułem mocne szturchnięcie w plecy. Nie utrzymałem równowagi i zwałem się na miękką ziemię. Coś ciężkiego jak hipopotam zważyło się na mnie, a gdy podniosłem się nic nie rozumiejąc, zobaczyłem, że wypchnął mnie gruby biznesmen. Z zaskakującą jak na jego wagę i posturę energią złapał czarną torbę i ruszył w ślad za dezterterami po zboczu. Najwyraźniej, sytuacja była nie pozbawiona komizmu, bo siedzący na ziemi żołnierz roześmiał się.

Na migi poprosiłem oficera, aby przydzielił mi jednego z żołnierzy do wyniesienia majora. Nie wiem dlaczego, ale na jakiś czas zupełnie zapomniałem angielskiego. Oficer zrozumiał mnie i sam poszedł ze mną do samolotu. Zrobiło się tam całkiem ciemno i trudno było oddychać. Po korytarzu poruszaliśmy się praktycznie po omacku i po kilku krokach natknęliśmy się na zaokrąglone plecy Wspólnego niosącego majora. Dziewczyna starała się mu pomóc, nie wypuszczając z rąk swojej drogocennej torby. We czwórkę, przeszkadzając sobie wzajemnie, ewakuowaliśmy majora i odnieśliśmy go o kilka kroków od samolotu. Chciałem wyruszyć na poszukiwania Otara, który zbyt długo nie wracał, ale usłyszałem krzyk dziewczyny: Otar wychodził z lasu.

Pod pachą taszczył pilota i był kompletnie zalany krwią — Nie zorientowaliśmy się, że to krew pilota. Dostrzegłszy nas, Otar runął na ziemię.

# Jurij Sidorowicz Wspolny

Bywają chwile bliskie śmierci, o których nie można opowiadać. Jest w nich coś intymnego. Nawet w mojej książce o Ligonie, jeśli w ogóle wspomnę o niebezpiecznym locie w góry i o katastrofie samolotu, to zrobię to w skrócie, na tyle tylko, na ile będzie to potrzebne z punktu widzenia fabuły.

Postaram się jednak jak najszybciej zapomnieć wszystkie myśli, które przemknęły przez moją głowę w chwili upadku samolotu.

Pierwsze, co dotarło do mojej świadomości, gdy już zrozumiałem, że żyję, to dym, czyjeś jęki dochodzące z dołu i przemykające ciemne sylwetki.

Potem zobaczyłem, że młody geolog Li uwalnia spod sterty rzeczy grubego Hindusa. Obmacałem się, podniosłem jedną rękę, potem drugą. Spróbowałem wstać, ale nie udało mi się, nie od razu zorientowałem się, że trzymają mnie pasy, które uratowały mnie podczas upadku samolotu. Zanim uwolniłem się, Wołodia gdzieś znikł, a Hindus z trudem podniósł się i poczołgał w stronę wyjścia z samolotu. Chciałem pójść za nim, bo ogarnął mnie strach, że wszyscy o mnie zapomnieli, ale z przodu, gdzie dym był rzadszy, usłyszałem kobiecy głos. Wydawało mi się, że wzywa pomocy. Z trudem przedostałem się do przodu i zobaczyłem, że na podłodze leży major, a dziewczyna przykucnęła obok i przytrzymuje w powietrzu jego głowę. Z trudem przypomniałem sobie, jak wyjaśnić jej po ligońsku, że nie należy zostawiać rannego w takich warunkach. Potem, przy pomocy dziewczyny, zacząłem ciągnąć majora do wyjścia. Na szczęście, gdy zrozumiałem, że zadanie to mnie przerasta, usłyszałem głosy i z pomocą przyszli mi Wołodia Li i młodzieńcy oficer z zakrwawioną szczęką. Wspólnymi siłami wynieśliśmy majora z samolotu.

Mogłem w końcu rozejrzeć się i ocenić sytuację — to co zobaczyłem, napełniło me serce trwogą. Samolot płonął, groziło nam, że płomień dotrą do baków z paliwem i wtedy maszyna wyleci w powietrze razem z nami. Znajdowaliśmy się w pobliżu płonącej maszyny i mogliśmy mocno ucierpieć. Miałem zamiar uświadomić to pozostałym, jednak w tej samej chwili naszą uwagę odwróciło przybycie profesora Kotrikadze, który, ryzykując życiem, dostał się do kabiny i wyniósł z niej pilota.

Na szczęście moje obawy o stan zdrowia profesora Kotrikadze okazały się bezpodstawne. Z pomocą Li podniósł się z ziemi i natychmiast wypowiedział na głos moje obawy o zbliżającym się wybuchu silników.

Sądziłem, że profesor Kotrikadze, który ze względu na wiek i pozycję społeczną wziął na siebie obowiązek kierowania akcją ratunkową, natychmiast nakaże wszystkim ewakuację, jednakże poprosił, bym podszedł do niego i wystąpił w roli tłumacza. Żołnierze wystrzałami z broni ręcznej otwarli luk, profesor zaakceptował ich działania i poprosił, abym wytłumaczył młodemu lejtnantowi konieczność przeniesienia ładunku jak najdalej od samolotu. Następnie profesor poprosił, żebym pomógł dziewczynie ewakuować majora, który miał złamaną nogę, a ja podporządkowałem się,

martwiąc się jednak cały czas o los moich towarzyszy, których poczynania uważałem za wielce ryzykowne.

Odnieśliśmy majora około stu metrów od samolotu. Żołnierz poczołgał się w ślad za nami. Gdy zbierałem się, by wrócić do samolotu, bo nie miałem prawa przesiadywać w ukryciu z kobietami i rannymi, rozległ się odgłos strasznego wybuchu, wzbił się słup czarnego dymu i odłamków. Wybuch był tak gwałtowny, że grudy ziemi i odłamki posypały się na nas jak grad.

Przeżyłem straszne chwile, sądząc, że wszyscy pozostali zginęli i rzuciłem się w stronę samolotu nie zważając na zagrożenie kolejnymi wybuchami.

Na otwartej przestrzeni zobaczyłem, że fragmenty samolotu rozrzucone są na przestrzeni wielu metrów, a wszyscy ludzie znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie leżeli na ziemi w pół drogi między samolotem a wzgórzem.

Biegając do nich zobaczyłem, że poruszają się i jeden po drugim stają na nogi, strząsając z siebie grudy ziemi i liście, a nawet śmieją się i głośno rozmawiają, po raz drugi uniknąwszy śmiertelnego zagrożenia.

Okazało się, że na pół minuty przed wybuchem Otar Dawidowicz zrozumiał, że jest on nieunikniony i nakazał wszystkim uciekać od samolotu, co uratowało moich towarzyszy.

Jednak gdy minęły pierwsze, radosne minuty, zwróciłem się do Otara z uzasadnioną pretensją, że z powodu bagażu ryzykował życie powierzonych mu ludzi, a on odpowiedział, że ten bagaż może uratować życie wielu ludzi i dlatego spory i rozważania o poprawności jego działań są tylko akademicką dyskusją. A jako że obeszło się bez ofiar, uznałem, że lepiej będzie nie poruszać tego tematu.

# O narkotykach

W Nowym Jorku, w zeszły piątek, zakończył się niezwykle proces. Rozpoczynając go tydzień temu sędzia Edward Waynefield już na samym początku trzykrotnie pouczył przysięgłych, że usłyszą o „szczególnie niebezpiecznym spisku przestępczym”. Proces ten jest początkiem całej serii rozpraw nad kilkudziesięcioma Chińczykami aresztowanymi w Nowym Jorku, San Francisco, Chicago i w Kanadzie, w Vancouver. W miastach tych działa potężna międzynarodowa szajka przemytników, mająca swoich ludzi także w Hongkongu, Singapurze i Bangkoku. Wszystkim przedstawiono zarzuty nielegalnego wwozu na terytorium USA setek kilogramów heroiny i opium o całkowitej wartości 25 milionów dolarów.

*New York Times*, 30 marca 1973 r.

# Otar Dawidowicz Kotrikadze

Udało nam się. Wylądować na spłachetku pola w górach tak, aby prawie wszyscy znajdujący się na pokładzie przeżyli, co więcej, uratować prawie cały bagaż — to na pewno cud. Zginął tylko pierwszy pilot, ten, któremu zawdzięczamy życie.

Przenieśliśmy majora do pustej chaty na skraju pola. Oficer nadal był nieprzytomny. Niestety, nie było wśród nas nikogo z wykształceniem medycznym. Dziewczyna o imieniu Lami, pomogła mi opatrzyć rannych.

Pracy dla Lami nie brakowało. Wszyscy byli podrapani, potłuczeni, major miał złamaną rękę, a jeden z żołnierzy — nogę. Dwóm szeregowcom nie wytrzymały nerwy i rzucili się do ucieczki. Wrócili jednak wkrótce po wybuchu — ukrywali się niedaleko w lesie. Wrócili, podtrzymując drugiego pilota, którego wyrzuciło z samolotu w chwili upadku. Usłyszeli jego jęki. W ich oczach pilot był gwarancją uniknięcia kary za dezercję. Nie wiem, co z nimi będzie, ale młodziutki lejtnant, który przejął dowództwo, rugał ich po ligońsku najgorszymi słowami, co chwila wskazując na Lami, najwidoczniej robiąc poniżające dla nich porównanie z dziewczyną. Żołnierze przestępowali z nogi na nogę, od czasu do czasu próbowali się usprawiedliwiać, a towarzysze śmiali się z nich. Najgorsze było już za nami i opanował nas dziwny, trochę histeryczny nastrój, gdy każdy drobiazg wydaje się śmieszny. Nie wrócił tylko gruby dyrektor Matur. Może wyniknie z tego jakaś korzyść: natknie się na kogoś i sprowadzi pomoc. W pustej chacie oprócz majora umieściliśmy także żołnierza ze złamaną nogą i drugiego pilota. Jedna skrzynka z miernikami przepadła w samolocie, druga ocalała. Jakoś damy radę. Dobrze, że jeszcze w Moskwie postanowiliśmy się podwójnie zabezpieczyć. Wzięliśmy więcej przyrządów pomiarowych, niż to było konieczne. Uratowaliśmy też skrzynkę z komputerem. Ciekawe, czy jest cały. Cała nadzieja w Wasiliju Edwardowiczu, stolarzu, który pakował nasze rzeczy, powtarzając: „Teraz możecie nawet wyrzucać to z samolotu”. Okazał się prorokiem. Oprócz naszych skrzynek, wydobyliśmy z dziesięć tobołków należących do żołnierzy. Jeden z nich rozerwał się i wyleciały z niego ulotki. Wiatr rozsypał je po polu i młodziutki lejtnant długo za nimi ganiał.

Zmierzchało. Gdy po raz ostatni, kulejąc, poszedłem do samolotu lub raczej do tego, co z niego zostało, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Zaświeciły się na wschodniej połowie nieba, zachodnią zasłaniały ciemne chmury. Z tego powodu zmrok zapadł wcześniej, niż można było tego oczekiwać. Spojrzałem na zegarek. Wpół do siódmej. Katastrofa wydarzyła się po czwartej.

Wokół panował spokój. Przyroda już zapomniała o huku i ogniu, towarzyszącym nam, gdy wtargnęliśmy do doliny. Nad szczątkami samolotu unosił się dym. Duży, czarny żuk przeleciał mi tuż obok twarzy — odgoniłem go. W półmroku samolot przypominał starożytne ruiny, od dawna oplecione lianami...

— Otarze... — w zamyśleniu nie usłyszałem kroków Wołodii na miękkiej ziemi. — Tuż przed katastrofą zauważyłem jeden ciekawy szczegół.

— Słucham.

— Proszę podejść tutaj.

Kawałek skrzydła oderwany od korpusu, leżał u naszych stóp jak płetwa rekina. Był pokryty kopciem. Wołodia schylił się.

— To — powiedział.

Z trudem dostrzegłem linię okrągłych otworów, które były ułożone pod kątem w stosunku do podstawy skrzydła.

— Co to?

— Według mnie, strzelano do nas z ziemi. Zestrzelono nas, rozumie pan?

— Rozumiem — powiedziałem.

Powoli ruszyliśmy w stronę chaty. Czarny stożek wyróżniał się na tle unoszącej się nad rzeką mgły. Przed chatą płonął żółty ogień. Żołnierze rozpalili ognisko i gotowali wodę. Nie mieliśmy jedzenia, ale według mnie, gdzieś w pobliżu powinny być siedziby ludzkie.

Przy ognisku siedział Wspólny i robił notatki.

— Nie trzeba było oddalać się po ciemku — powiedział podającym tonem. — Trafiają się tutaj jadowite węże.

Jego okulary ocalały i złowieszczo odbijały płomień.

— Gdzie jest lejtnant? — zapytałem.

— W chacie.

W chacie było ciemno. Ktoś cicho jęczał.

— Lejtnancie! — zawołałem.

— Jestem tutaj.

Nie widziałem go, ale zrozumiałem, że lejtnant wstaje z podłogi.

— Chciałem się chwilę przespać — powiedział jakby się tłumaczył. — Rano wyślę ludzi po pomoc. A może znajdą nas wcześniej.

Poszliśmy w dół, ku rzece. Gwiazdy były tak jasne, że przy ich świetle dostrzegłem, jak młody jest oficer. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat.

— Chciałem porozmawiać — powiedziałem. Staliśmy nad morzem mgły, wolno płynącej u naszych stóp. — Mój towarzysz widział, jak do naszego samolotu strzelano z ziemi. Pokazał mi dziury w skrzydle samolotu.

Dopóki nie wypowiedziałem tych słów, byliśmy ofiarami katastrofy lotniczej. Jej przyczyny nie wchodziły w kompetencje oficera. Jeśli okaże się, że mam rację, to staniemy się obiektem napaści, a to wszystko zmienia.

— Jest pan pewien? — zapytał.

— Nie jestem żołnierzem. Ale wydaje mi się, że tak. Proszę porozmawiać z pilotem. Wygląda na to, że niedawno był w wojsku i trochę prochu powąchał. Kto mógł do nas strzelać? — zapytałem.

Lejtnant nie od razu odpowiedział. A gdy odpowiedział, w jego głosie nie było pewności.

— Separatyści — powiedział. — A może ludzie Jah Rolaka. Pewnie to drugie. Przecież stawiają jeszcze opór. No i komuniści, proszę wybaczyć, też.

Widocznie wiedział, że jesteśmy ze Związku Radzieckiego i bał się urazić nasze uczucia aluzją, że chodzi o bezprawne działania naszych ideologicznych przyjaciół.

Dźwięk własnego głosu pomógł lejtnantowi opanować niepewność. Kontynuował już znacznie pewniejszym głosem:

— Chodźmy z powrotem. Trzeba zgasić ognisko... I rozdać wszystkim broń.

Pierwszy pomysł był dobry, choć w rezultacie pozbawił nas ciepłej wody. Drugi — nierealny. Nie mieliśmy dodatkowej broni.

Nie zdążyliśmy dojść do chaty. Zobaczyliśmy, jak w kręgu światła rzucanego przez ognisko pojawiają się wychodzący z ciemności uzbrojeni ludzie. Wspólny (poznałem jego sylwetkę) wstał, by ich przywitać. Żołnierz, dorzucający dREW do ognia, wyprostował się. A mnie ogarnęło złe przeczucie nowego nieszczęścia — jeden z ludzi, którzy pojawili się w oświetlonym kręgu, podniósł automat. Kilka jasnych smug z silnych latarek padło na ludzi i ognisko.

— Do tyłu! — krzyknął do mnie lejtnant.

W takiej sytuacji nie należało krzyczeć. Gdyby młodzieniec milczał, mogliśmy ukryć się we mgle.

Przybysze wiedzieli jak zachowywać się w lesie. Dwa albo trzy silne promienie światła pomknęły w naszą stronę, a ja, jak bombowiec oświetlony przez reflektory byłem świetnie widoczny dla innych i bezbronny. Od strony ogniska ktoś krzyknął po ligońsku. Uznałem, że najlepiej będzie się poddać. Podniosłem ręce i powoli ruszyłem na spotkanie promienia. Słyszałem, jak obok mnie przebiegają ludzie, rozległ się wystrzał, potem drugi. Nadal szedłem powoli w stronę ogniska rozumiejąc, że jestem teraz we władzy tego, który trzyma mnie na muszce pistoletu. Oby jak najszybciej dojść do ogniska. Jeszcze jeden strzał. Krzyk. Poczulem uderzenie w plecy, ktoś popychał mnie w stronę ogniska. Po minucie stałem obok chaty.

Obok stał Wspólny Trzymał w rękę na wpół otwarty notatnik. Ktoś ostrożnie oświetlił latarką wnętrze chaty. Drugi wszedł do środka i wyciągnął Lami. Za nią podążał jeszcze jeden jeniec — Wołodia.

Wystrzały od strony rzeki umilkły. Staralem się poprzez Promienie ogniska przyjrzeć się trzem ludziom, którzy na nas napadli. Zwykli ludzie, bez złości i nienawiści w oczach. Jeden z nich napotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się. Miał na sobie kurtkę w ochronnych barwach i oberwane, zielone spodnie. Na nogach wojskowe buty. Ale automat trzymał pewnie, nawet zawadiacko i kierował go w naszą stronę.

I wtedy za jego plecami zobaczyłem jeszcze jedną, znajomą postać. Nasz stary znajomy, dyrektor Matur z siniakiem pod okiem, bez walizki. Moja nadzieja na to, że sprowadzi jakichś ludzi, spełniła się, ale w inny sposób.

Człowiek w wojskowym hełmie, z szeroką, obojętną twarzą i zwisającymi, rzadkimi węsami rozkazał strzelcom zagnać nas do chaty, co też natychmiast uczynili. Wszystko odbyło się szybko, a jedynym głośnym dźwiękiem był trzask zamykanych drzwi. Zrobiło się całkiem ciemno. Młody lejtnant, któremu nie dane było zbyt długo być dowódcą, nie wrócił. Miałem nadzieję, że udało mu się uciec.

# Brawurowa ucieczka: Skazany dotrzymał słowa

Gdy sędzia Jah Welso, na podstawie werdyktu przysięgłych oznajmił, że góral Pa Puo, zatrzymany przez policję wodną na katamaranie, pod którego poszyciem znaleziono ponad czterdzieści kilogramów opium, stawiający podczas zatrzymania zbrojny opór, został skazany na osiem lat ciężkich robót, skazany głośno krzyknął:

— Nie zmusicie mnie, bym przepracował chociaż jeden dzień!

Na skrzyżowaniu ulic Wolności i Blasku, więziennemu konwojowi przewożącemu Pa Puo i dwóch innych skazanych w tym samym procesie z sądu do centralnego więzienia, przecięła drogę ciężarówka. Gdy furgon zatrzymał się podbiegli do niego nieznani osobnicy z pończochami naciągniętymi na twarz i, grożąc bronią, zmusili strażników do otwarcia drzwi. Przestępcy zbiegli.

Podczas rozprawy Pa Puo, związany niewątpliwie z jedną z największych grup przemytniczych w północnych prowincjach (urodził się w okolicach źródeł rzeki Kangem), nie wymienił ani jednego nazwiska.

Naczelnik policji zapewnił dziennikarzy, że zbiegli przestępcy zostaną zatrzymani w ciągu najbliższych dni. Czy moglibyśmy postawić pod znakiem zapytania te pełne typowego optymizmu słowa?

*Ligon Daily*, 08.01.1975



# Dyrektor Matur

Gdy odzyskałem przytomność, podziękowałem Buddzie za cud. Ale natychmiast zrozumiałem, że nie mogę stracić nawet minuty. Samolot był pełen dymu i w każdej chwili mógł się zapalić. Jacyś ludzie biegali tam i siam, trącając moje bezradne ciało. Na pokładzie rozbitego samolotu panowała ogólna panika. Jako jedyny w tym piekle, na pierwszym miejscu postawiłem obowiązek.

Los był dla mnie łaskawy. W spowodowanych dymem ciemnościach udało mi się odnaleźć walizkę. Miałem tylko sekundy. I w ciągu tych sekund musiałem odejść jak najdalej 4 od miejsca katastrofy.

Prawie po omacku, nie zwracając uwagi na ból w całym ciele i zdradziecką słabość w nogach, znalazłem drzwi. Wszyscy byli zajęci własnymi sprawami, ale niektórzy starali się jeszcze wynieść coś z samolotu, żeby nie odejść z pustymi rękami. Dwóch żołnierzy włamywało się do luku bagażowego — nawet w tak strasznej chwili myśleli o wzbogaceniu się. Zrozumiałem, że w żaden sposób nie mogę pomóc rannym i zabitym, ale jeśli w ciemnościach uda mi się dotrzeć do jakiegoś zamieszkanego przez ludzi miejsca, będę mógł przysłać tu pomoc.

Szybko minąłem pole ryżu, na którym wylądował samolot i zobaczyłem ścieżkę. Wiodła do lasu. Zatrzymałem się na brzegu mętnej, zimnej rzeczki i położyłem walizkę w cieniu bambusa. Zszedłem ku wodzie, opłukałem twarz i spróbowałem doprowadzić do porządku ubranie. Mój okropny, japoński zegarek zatrzymał się — niepotrzebnie wydałem na niego takie pieniądze. Wydaje mi się jednak, że było około piątej po południu. Spróbowałem zorientować się, gdzie jestem. Bez wątplenia spadliśmy w okręgu Tangi, w dzikich górach. Kiedyś książę Urao, co prawda z uśmiechem, powiedział, że niektóre plemiona nie zrezygnowały jeszcze z dzikiego zwyczaju polowania na głowy. Chwytają jakiegoś przypadkowego podróżnika, zabijają go, a ciało zakopują na rytualnym polu, żeby zapewnić sobie urodzaj na cały rok. Chociaż minęło wiele lat, obyczaj mógł przetrwać. Liczyłem na to, że znam magiczne zdanie „Sabao, Urao Kao”, co znaczy — książę Urao Kao. Jeśli powiem te słowa, powinni mnie oszczędzić. Przecież najważniejsze to uratować przesyłkę, powierzoną mi przez pana Suną.

Tak rozmyślając podniosłem torbę i ruszyłem odludną ścieżką, starając się nie robić hałasu, nie nadeptywać gałązek i być gotowym, aby przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa skryć się w zaroślach dzikich bananowców i bambusów, które dochodziły do samej ścieżki. W otaczającym mnie lesie czaiło się śmiertelne niebezpieczeństwo — żyły tu dzikie zwierzęta, więc w każdej chwili mogłem natknąć się słońca lub tygrysa. Musiałem uważnie patrzeć pod nogi, żeby nie nadepnąć na węża.

Los samotnego wędrowca jest przerażający. Sam doskonale widoczny nikogo nie widzi.

Głosy ptaków, szybujących nad rzeką, w innej sytuacji obudziłyby w moim sercu zachwyt nad pięknem i szacunek dla wspaniałej przyrody, do której odnoszę się z wielką czułością, ale teraz ptaki wydawały mi się szpiegami, zdradzającymi moje ruchy.

Nagle usłyszałem trzask łamanych gałęzi. Zamarłem. Trzask zbliżał się. Rzuciłem się w chaszczę tracąc przy tym równowagę i upadłem na trawę. Wydawało mi się, że hałas, którego źródłem był mój niezgrabny ruch, słychać dookoła na milę. Zamarłem, przytulając się do ziemi i przeleżałem tak kilka minut. Nie wiem, co było źródłem trzasku — może tygrys, a może nawet stado tygrysów, może słońce, a może kanibale. Postanowiłem policzyć do tysiąca, aby niebezpieczeństwo minęło, ale gdy doszedłem do pięciuset poczułem ruch w pobliżu mojej głowy. Uniosłem głowę i zamarłem: prosto na mnie pełzła niewielka, na pierwszy rzut oka śmiertelnie jadowita żmija. Nie pamiętam, jak znowu znalazłem się na ścieżce, ale to właśnie szybka reakcja i zdecydowanie uratowały mnie: żmija nie zdążyła się na mnie rzucić.

Nie pozwoliłem sobie na odpoczynek. Ścieżka zaczęła wznosić się stromo, wiatr wiejący od gór nie przynosił ochłody, słońce dosięgło skrajów monsunowych chmur wiszących nad grzbietem gór.

Nowe niebezpieczeństwo — być zaskoczonym przez ciemności w dzikim lesie — zmusiło mnie do zapomnienia o zmęczeniu. Wkrótce wyszedłem na rozwidlenie ścieżek i skręciłem w bardziej wydeptaną i szeroką. Dodało mi to nadziei. Bardzo chciało mi się pić, ale nie mogłem zejść na dół do rzeki — musiałbym przedzierać się przez zarośla rojące się od żmij i drapieżników. Minęło jeszcze kilka minut i pozwoliłem sobie przysiąść na chwilę na zwalonym pniu, leżącym w poprzek ścieżki. Nie wiadomo dlaczego, wydawało mi się, że moja wędrówka dobiega końca. Moje myśli wróciły do interesu z Tantunczokiem. Może powinienem zgodzić się na dwieście tysięcy?

Najpewniej siedziałem tak przez kilka minut i znowu ogarnął mnie strach. Trzeba znaleźć się samemu w pierwotnym, głuchym lesie, żeby zrozumieć ten strach. Dopóki świeciło słońce, las nie był taki przerażający, ale teraz słońce skryło się za chmurami... I właśnie wtedy ktoś powiedział tuż obok mnie:

— Ręce do góry! Rzuć torbę!

I tak, siedząc na pniu, pozbawiony możliwości ucieczki i obrony, dostałem się do niewoli ludzi Pa Puo. Puo — krzepki, złowieszczo wyglądający człowiek w amerykańskim hełmie, wąsaty i wąskooki, obmacał mnie i wyjął mi z kieszeni wszystko, co miałem. Drugi, całkiem młody bandyta, otworzył walizkę i zaczął wyrzucać z niej rzeczy.

Lęk o przesyłkę zaadresowaną do księcia Urao, przywrócił mnie do życia.

— Przestańcie! — Z przekonaniem powiedziałem do bandytów.

Zdażyłem już zrozumieć, że ludzie ci nie są kanibalami. Byli ubrani po europejsku, trzech z nich miało automaty, jeden trzymał na ramieniu ckm. Sam Pa Puo (tak zwracali się do niego pozostali) miał przypięte do pasa aż dwie kabury i wyglądał niezwykle wojowniczo. Nie byli też żołnierzami. Ubrani byli różnorodnie i zbyt niedbale, jak na żołnierzy. Mój przenikliwy i bystry umysł ocenił sytuację i zrodziło się w nim uzasadnione podejrzenie, że ci ludzie to rebelianci — separatyści, o których niemało pisały gazety ostatnimi czasy.

Kiedy rząd Jah Rolaka pod wpływem elementów lewicowych zdecydował się na ryzykowny krok i postanowił ograniczyć przywileje górskich książąt i wodzów, wśród górali nastąpił rozłam. Niektórzy z książąt, na czele których stanął mądry i oświecony Urao Kao, przyjęli tę wiadomość, choć niezbyt radośnie, to jednak ze spokojem godnym spadkobierców szacownych władców. Wybrali drogę walki parlamentarnej i publicznych wystąpień, udowadniając przeciwnikom, że pozbawienie książąt dziedzicznej władzy jest wielką krzywdą dla całego państwa, gdyż odtąd książęta nie będą mogli w odpowiednim stopniu kontrolować swych niespokojnych poddanych. Och, jak bardzo mieli rację! Przecież druga, mniej cywilizowana część książąt wezwała swych poddanych do broni i w

górach powstały ogniska buntu, a niektórzy z górskich wodzów porozumieli się z bandami komunistów i handlarzy narkotykami. Książę Urao nieraz występował jako pośrednik między rządem i zbuntowanymi książętami, jednak w gazetach zaczęły pojawiać się informacje o napadach na posterunki policji i autobusy. Pojawiły się też inne, złe znaki. Było jasne, że rebelianci dysponują nowoczesną bronią dostarczaną przez przemytników i wrogów państwa. Nie jest tajemnicą, że niektórzy książęta nie tylko popierali uprawę maku na odległych górskich plantacjach, lecz także uczestniczyli w przemyśle na dużą skalę — z południowych portów wysyłano opium we wszystkich kierunkach.

Sytuacja była alarmująca, a książę Urao dołożył niemałych starań, żeby zachęcić książęta do pokojowych rokowań z rządem. Rozmowy te powinny się rozpocząć jutro, ale książęta nie zdążyli przybyć, bo wojsko, swym zorganizowanym tak nie w porę przewrotem, zniszczyło rodzące się porozumienie między książętami a rządem, albowiem w armii zwyciężyli radykałowie, zwolennicy polityki siły.

Oto dlaczego, widząc uzbrojonych w nowiutkie automaty ludzi, pomyślałem, że podlegają któremuś z górskich wodzów. A jeśli tak, to autorytet księcia Urao powinien być dla nich święty.

— Nie ważcie się dotykać walizki! — krzyknąłem. — Idę do sabao Urao Kao. Jestem jego przyjacielem.

Pa Puo otworzył portfel, który mi przed chwilą zabrał i grubymi paluchami wyjął z niego wizytówkę. „Pan dyrektor Matur. Pośrednik handlowy”. Przeczytał na głos, powoli, nie sprawiał wrażenia człowieka wykształconego.

— Ty...? — zapytał, wybierając najbardziej pogardliwy z licznych, ligońskich rzeczowników. W przekładzie na angielski można by to wyrazić jako „ty, ślimaku”.

— Jestem przyjacielem sabao Urao Kao — powtórzyłem z godnością.

Pa Puo, zachmurzył się, wyjął z portfela notatki, rachunki, kwity i, nie śpiesząc się, czerpiąc z tego sadystyczną przyjemność, rzucił je w powietrze. Nie wytrzymałem, rzuciłem się w jego stronę, żeby zabrać bandycie portfel. Trzymał fotografię mojej żony i dzieci. Nie mogłem pozwolić, by się nad nią znęcał. Ale jeden z bandytów kopnął mnie w kolano tak silnie, że potoczyłem się po ziemi, krzycząc z bólu. Ale nawet na sekundę nie straciłem przytomności. Widziałem jak Pa Puo wyrzuca drogocenną fotografię, znalezione w portfelu pieniądze przekłada do kieszeni zielonej kurtki, a portfel wyrzuca w krzaki.

— Ej — krzyknął drugi bandyta, grzebiący w walizce. Siedział, otoczony porozrzucanymi na ziemi koszulami, przyborami toaletowymi, skarpetkami, chusteczkami do nosa. Bandyta znalazł przesyłkę, którą wiozłem dla księcia. Szarpnął ją długimi, brudnymi paznokciami, opakowanie rozerwało się i na zakurzoną ścieżkę poleciały paczki pieniędzy. Nie zwykłych pieniędzy, ale dolarów, paczki zielonych banknotów. Przysięgam, że było to dla mnie nie mniejszą niespodzianką niż dla łupieżców.

— Oho — powiedział Pa Puo.

Rozkazał podwładnym zebrać pieniądze. Moje życie dobiegało końca. Albo zabiją mnie bandyci, żeby nie zostawić śladów, albo — jeśli cudem ujdę z życiem — zabiją mnie ludzie Suną. Ten na pewno nie daruje mi straty.

Pa Puo wręczył po paczce dolarów każdemu z żołnierzy. Wyciągnęli brudne łapska i schwycili zdobycz.

Pa Puo odwrócił się do mnie.

— Jesteś z samolotu? — zapytał.

— To pieniądze księcia Urao — powiedziałem. — Zaprowadźcie mnie do księcia. Jeśli nie zaprowadzicie, księżę was ukarze.

Pa Puo uśmiechnął się jak tygrys nad kawałkiem mięsa.

— Księżę Urao? — zapytał, jakby nigdy w życiu nie słyszał tego imienia. — Jaki znowu księżę Urao?

Jego podwładni rozchichotali się.

— Co mam z tobą zrobić, handlarzu? — kontynuował przedstawienie Pa Puo. — Uciekłeś z Ligonu, żeby ratować skórę?

— Nie uciekłem. To był wojskowy samolot.

Gdy tylko otwarłem usta, od razu zrozumiałem, że popełniłem błąd. Patrzyli na mnie uważnie. Zamilkłem.

— Mów dalej — powiedział Pa Puo. Już się nie śmiał.

Milczałem.

— Zabij go — powiedział Pa Puo do jednego z bandytów. Powiedział to spokojnie, jakby chodziło o kurczaka. Chciał mnie zabić, mnie, mądrego, dobrego człowieka, który cudem ocalał z przerażającej katastrofy, chciał zabić i przerwać tę wspaniałą tkaninę myśli i odczuć, obrazów pokoju i rytmu, zabić jak psa w dzikim lesie, gdzie nikt nigdy nie dowie się, co się ze mną stało. Wyrok na mnie wydały znalezione w walizce dolary.

Należało mnie zabić, żeby nikt się nie dowiedział, skąd je wzięli. I zrzucić moją śmierć na jadowitego węża, tygrysa albo kanibali..

Bandyta podniósł automat. Zobaczyłem czarny otwór, z którego miała wylecieć błyszcząca kula. Wylecieć i przerwać mój ziemski byt...

# „Lejtnant” Pa Puo

Czekałem z moim ludźmi w dolinie Longi. Rano, dziesiątego, przyszedł człowiek i powiedział, że towar nadejdzie dzisiaj. Mieliśmy umieścić znak na ziemi. Helikopter przyleci z północy. Jeśli nie pojawi się do zmroku, mamy zapalić ogniska, tak jak było ustalone. Czekać dwa dni. Spadochrony zakopać. Towar zanieść do jaskini koło jeziora Linili. Człowiek powiedział jeszcze, że w nocy, w Ligonie, wojskowi przejęli władzę. Armia. To źle. Wszędzie mają swoich ludzi. Dlatego trzeba być ostrożnym. Ani słowa nikomu. Powiedziałem, że moi ludzie będą milczeć. Gdyby przyszło co do czego — jesteśmy ludźmi wodza Ma, który ukrywa się w lesie, bo jest wrogiem rządu. Powiedziałem, że rozumiem. Po co powtarzać? Byłem w wojsku sierżantem, moi ludzie znają prawo lasu. Człowiek powiedział jeszcze, że wojsko może wiedzieć o helikopterze i mogą postarać się go przechwycić albo wysledzić ładunek. Mamy nie dopuścić do tego.

Wezwałem ludzi i ruszyliśmy ścieżką. Na miejsce dotarliśmy w południe. Ułożyliśmy znaki, ustawiliśmy cekaem i ukryliśmy się w krzakach. Po długim oczekiwaniu usłyszeliśmy huk silnika. Z północy nadlatywał helikopter. Nad polaną zniżył lot. Nie miał znaków rozpoznawczych. Zrzucił trzy worki na spadochronach. Moi ludzie podbiegli do nich. I wtedy usłyszałem dźwięk samolotu. Leciał z południa. To mógł być tylko ligoński samolot. Leciał nisko. Był to stary Viscount, pamiętałem takie z wojska. Spadochrony leżały na polanie, a my znajdowaliśmy się na otwartej przestrzeni. Rozkazałem strzelać. Zdążyliśmy postać dwie serie. Zobaczyłem, że lewy silnik dymi. Zestrzeliliśmy go. Samolot ostro schodził w dół. Czekaliśmy na wybuch. Myśleliśmy, że samolot uderzy w górę. Ale wybuchu nie było. Zrozumieliśmy, że samolot się wymknął. Rozkazałem szybko załadować worki na konie i zakopać spadochrony. Gdy już zbieraliśmy się do odejścia, usłyszeliśmy w oddali wybuch. Jeden z moich ludzi powiedział, że to na pewno piorun — nadeszły właśnie chmury monsunowe. Ale to nie przypominało pioruna. Doszedłem do wniosku, że samolot mimo wszystko wylądował, a potem wybuchł.

Wysłałem czterech ludzi z workami nad jezioro Linili. Pozostałym kazałem wziąć cekaem i ruszyliśmy, gdzie spadł samolot. Jeśli mimo wszystko wylądował, to ludzie mogli przeżyć. Nie byli potrzebni w Tangi.

Szliśmy długo. Pokonaliśmy ponad dziesięć mil przez pasmo górskie i doszliśmy to tego miejsca, gdzie do rzeki wpada strumień Białego Naga. Moi ludzie zaczęli poszeptywać, że nic nie znajdziemy. W górach można schować całe miasto. Ale poszcęściło nam się. Jeden z moich ludzi, pochodzący z plemienia Fonów, świetny myśliwy, powiedział, że słyszy człowieka na ścieżce. Zatrzymaliśmy się, a potem ruszyliśmy w tę stronę przez krzaki. Gruby, miastowy Hindus siedział na pniu drzewa. Obok niego stała czarna torba. To był człowiek z samolotu.

Zapytaliśmy go, skąd jest. Człowiek bardzo się przestraszył i nic nie mógł powiedzieć. Zrozumiałem, że to handlarz, który załatwił sobie miejsce w samolocie, żeby uciec ze stolicy. Ten

człowiek najwyraźniej bywał w Tangi. Zaczął płakać i mówić, że zna księcia Urao. Nie spodobało mi się to. Jeśli myśli, że jesteśmy ludźmi księcia Urao, to myśli też, że samolot zestrzelili ludzie księcia. Chciałem się go pozbyć, ale pomyślałem, że zaprowadzi nas do samolotu. Postanowiłem go nastraszyć. Zabrałem mu portfel i wyrzuciłem wszystkie papierki — i tak do niczego mu się nie przydadzą. Potem wyjąłem z portfela pieniądze, żeby je sobie wziąć. Było tam trochę dolarów. Kiedy handlarz, który nazywał się Matur, zobaczył, że zabieramy jego pieniądze, zaczął się bić, chcąc je odzyskać. Mój człowiek uderzył go. Matur siedział na ziemi i płakał, prosił, żebyśmy go nie zabijali. Powiedział, że to był samolot wojskowy.

Wtedy człowiek, który przeszukiwał walizkę, znalazł paczuszkę. W paczuszce były pieniądze. Bardzo dużo dolarów. Kiedy Matur zobaczył, jak dzielę pieniądze między ludzi, a pozostałe biorę sobie, zrozumiał, że już nie żyje. Zaczął krzyczeć, że to pieniądze księcia Urao, nie rozumiejąc, że jeśli mówi prawdę, tym bardziej nie sążone jest mu przeżyć. Nie powiem księciu, że wziąłem jego pieniądze. Każdy chce żyć, ale los każdego dnia dzieli ludzi na tych, którzy będą żyć jutro i tych, którzy nie zobaczą wschodu słońca.

Matur zobaczył swoją śmierć w moich oczach i ze strachu zemdlał. Moim ludzie zaczęli żądać, żebyśmy zabili tego Matura, ale był nam potrzebny, żeby wskazać drogę do samolotu. Rozkazałem oblać go wodą. Odzyskał przytomność. Powiedziałem, że będzie żyć, jeśli zaprowadzi nas do samolotu. Matur od razu wstał. Moi ludzie śmiali się i zmusili Matura, by niósł cekaem, ale rozkazałem, żeby zabrali mu broń, bo Matur mógł umrzeć przed czasem.

Ściemniało się. Zapytałem jeńca, ilu jest tam ludzi i czy są uzbrojeni. Matur myślał, że rzeczywiście pozostawię go przy życiu i zaczął prosić, żebyśmy odpoczęli. Ale nie zgodziłem się. Gdy wyszliśmy ścieżką na polanę, było już prawie ciemno. Nad rzeką podnosiła się mgła. Zorientowałem się, że jesteśmy na zimowym polu jednookiego Ku-i. Wyjechał do wsi Longi, gdy jego syn zginął podczas bójki.

Koło pustego domu zobaczyliśmy ognisko. Moi ludzie chcieli zatkać usta Maturowi, żeby krzykiem nie ostrzegł swoich. Powiedziałem, że Matur jest moim najlepszym przyjacielem. Matur kiwał głową potwierdzając. Powtarzał, że jestem jego najlepszym przyjacielem i jest mi wdzięczny, że pozwoliłem mu żyć.

Spokojnie podeszliśmy do ogniska i wzięliśmy wszystkich do niewoli. Potem zagnaliśmy ich do chaty. Popełniliśmy tylko jeden błąd — dwóch ludzi odeszło na bok i kiedy podchodzili do ogniska, jeden z nich rzucił się do ucieczki. Był to uzbrojony oficer. Dwóch moich ludzi pobiegło za nim. Oficer ranił w rękę strzelca. Dlatego zabili go i zemścili się na zwłokach. Mnie przynieśli głowę. Pokazałem ją tym, których zagoniliśmy do chaty, żeby ich nastraszyć. Matura zamknęliśmy razem z nimi.

Moi ludzie chcieli rozstrzelać ich jeszcze przed świtem, ale nie lubię pośpiechu. I tak nikt nie wie, gdzie spadł samolot. W górach mogą go szukać miesiącami. Ale miałem plan. Nie na darmo nazywają mnie chytrym Pa Puo. Postanowiłem, że zabijemy ich bez użycia amunicji. Żeby wyglądało tak, jakby rozbili się w samolocie. Kiedy znajdą samolot, pomyślą, że zginęli w katastrofie. Trzeba będzie zabić ich kijami. Postanowiliśmy poczekać do świtu. Gdy jest ciemno ktoś może uciec. Zrobimy wszystko o świcie i od razu pójdziemy do Tangi. Powiemy, że szukaliśmy samolotu, ale nie znaleźliśmy. Rozkazałem ludziom nie brać żadnych rzeczy. Oddałem nawet Maturowi jego złote pierścienie. Jeśli weźmiemy rzeczy, ktoś może pomyśleć, że znaleźliśmy samolot. Mamy dużo dolarów. Wszyscy moi ludzie powiedzieli: dobrze. Pomyślałem, że nie można wszystkich pozostawić

przy życiu. Potem, w drodze powrotnej trzeba będzie dwóch zabić. Są z plemienia Fonów, a ludziom z tego plemienia nie można ufać.

I chciałem jeszcze porozmawiać z więźniami. Mogłem się dowiedzieć czegoś ciekawego. Nigdy nie należy lekceważyć wiedzy. Jeśli otworzysz uszy, otworzy się przed tobą przyszłość. Wśród tych ludzi było trzech angoli. Po co angole latają w taki dzień wojskowym samolotem?

# Władimir Kimowicz Li

Gdy wszystko to się wydarzyło, byłem w ciemnej chacie — Jak na złość, nie mieliśmy ani jednej latarki, ani świeczki, nic. Otar poszedł nad rzekę z młodym oficerem, nie wiem po co. Rozmawiali o dziurach po kulach w skrzydle samolotu. Trzeba będzie wystawić wartę i dyżurować po kolei — chyba rzeczywiście zaczęła się tu wojna domowa i mogą nas przy okazji zastrzelić. Byłoby to tragiczne po tych wszystkich przygodach, z których dotychczas wychodziliśmy cało. I tak mamy już co opowiadać w domu.

— Kiedy pójdziemy do Tangi? — zapytała Lami.

Nie wiedziałem. Rozmawialiśmy cicho, po angielsku, a nasz zasób leksykalny był dość podobny, więc świetnie się rozumieliśmy. Czasami prosiła mnie, żebym zapalił zapałkę, by sprawdzić, jak się czują ranni. Żołnierz ze złamaną nogą spał. Pilot nie spał. Leżał z otwartymi oczami. Raz powiedział coś po ligońsku. Zapytałem Lami, co powiedział, a ona odpowiedziała:

— Widział ludzi.

Nie zrozumieliśmy, gdzie i kiedy widział ludzi. Martwiliśmy się o majora. Prawdopodobnie trzeba będzie go tu zostawić. Powiedziałem do Lami:

— Jutro żołnierze pójdą po pomoc.

— Pójdę z żołnierzami — powiedziała Lami. Nie sprzeciwiłem się, tylko spytałem:

— Studiujesz?

— Tak — odpowiedziała. — Na uniwersytecie.

— Rodzice mieszkają w Ligonie?

— W Tangi. Ojciec jest chory. Wiozę mu lekarstwo. Cicho zaskrzypiała skóra torby. Teraz rozumiałem, dlaczego Lami nie rozstawała się z torbą. Miała w niej lekarstwo.

Major zajęczał. Wyjąłem pudełko zapałek. Co mi szkodziło wziąć ze sobą zapalniczkę? Lami wyciągnęła rękę w stronę majora i niechcący dotknęła mojej ręki. Dotyk był jedwabisty i chłodny.

Zapaliłem zapałkę. Major marszczył czoło. Pewnie go bolało. Otar zmajstrował dla niego z gałęzi łubki, którymi unieruchomił złamaną rękę.

— Nabierz wody — powiedziała Lami.

Zapałka zgasła. Po omacku znalazłem kanister, w którym była woda i nalałem jej do pokrywki termosu. Woda pachniała benzyną. Podałem naczynie Lami wiedząc, gdzie spotkam jej wyciągnięte palce.

I wtedy właśnie za drzwiami usłyszeliśmy głosy.

Znieruchomieliśmy. Początkowo pomyślałem, że nadeszła pomoc. Ale szybko zmieniłem zdanie. Przecież, w przeciwieństwie do Lami, wiedziałem o kulach i rozumiałem, że mogą dotrzeć do nas ci, którzy strzelali do samolotu. Gdy spróbowałem wstać, żeby wyjść i zobaczyć co się dzieje, złapała mnie za rękę i zatrzymała. Woda wylała się z pokrywki.

— Wracać! — krzyknął ktoś za chatą.



Potem oślepił mnie jasny promień latarki, a jeszcze później, zostawiając na sekundę w spokoju moje oczy omiółł wnętrze chaty.

— Wychodzić! — powiedział niewidzialny głos. Od razu rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy jest z nami Otar. Stał obok ściany chaty, mroczny jak gradowa chmura. Obok stał Wspólny trzymający w ręku notatnik. I kilku żołnierzy. Brakowało tylko młodego oficera.

Od strony rzeki, z mgły, dobiegł nas huk wystrzału. Znaczyło to, że oficer uciekł. Byłoby dobrze, gdyby nie znaleźli go we mgle.

Moje oczy powoli przywykały do światła. Ludzie, którzy na nas napadli nie byli żołnierzami, ale jednocześnie byłem przekonany, że wojna jest ich zawodem. Zbyt pewnie trzymali automaty...

Obszukano nas. Szybko i sprawnie. Potem jeden z nich, chyba dowódca, z przewieszoną przez ramię zieloną torbą i dwoma kaburami u pasa, wąsaty, szeroki w barach, policzył nas, zaginając palce. W końcu zagnali wszystkich z powrotem do chaty.

Trzasnęły drzwi. W chacie było ciemno. Wszyscy milczeli. Wystrzały nad rzeką też umilkły. Siedziałem na podłodze, przytuliwszy się do jednego z żołnierzy. Żołnierz rozmawiał szeptem z niewidocznym dla mnie sąsiadem. Ściany chaty były tak cienkie, że słyszeliśmy jak rozmawiają ludzie na zewnątrz. Potem do rozmowy dołączył się jeszcze jeden głos, zdyszany i zdenerwowany. Usłyszawszy, co mówi, siedzący obok mnie żołnierz powiedział jakieś krotce zdanie.

— O co chodzi? — rzuciłem pytanie w ciemność.

Odpowiedział mi głos Wspólnego:

— Zabili lejtnanta.

W tej samej chwili drzwi otwarły się i w świetle latarki zobaczyliśmy rękę. Ręka trzymała za włosy odciętą głowę lejtnanta. Mimowolnie cofnąłem się. Ktoś z zewnątrz zaśmiał się krótko. Drzwi znowu skrzypnęły. Nie mogłem dotknąć Lami. Siedziała daleko ode mnie.

— Niedobrze mi — wyszeptał Wspólny.

Zasadniczo nie narzekał i zachowywał się tak, jak pozostali.

Za ścianą nadal splatały się w jakiś dziwny gobelin niezrozumiałe słowa. Trzeba było coś zrobić. Nie można zachowywać się jak stado owiec. Bo wszystkich nas pozabijają.

— Nie można zachowywać się jak stado owiec — powiedziałem na głos.

Major szybko coś wybełkotał jak w malignie. Źle z nami. W ciemnościach ktoś się poruszył. Nie od razu zorientowałem się, że to Otar zbliżył się do mnie.

— To ty? — dotknął mnie.

— Może uciekniemy? — zapytałem. — Przecież jest ich tylko pięciu. Rozbierzemy tylną ścianę i schowamy się we mgle.

— Posłuchaj — powiedział Otar.

Za tylną ścianą chaty słychać było kroki.

— Chodzą dookoła. Nie możemy zostawić rannych.

— Ci ludzie to bandyci — poznałem głos Matura. — Bandyci i mordercy. Zabiją wszystkich, tak jak lejtnanta.

— Bez paniki — przerwał mu Wspólny. — Po co mieliby nas obijać? To separatyści?

Wspólny lepiej niż my orientował się w sytuacji.

— Być może — wydusił z siebie Matur.

— Nieprzypadkowo zadałem to pytanie — powiedział Wspólny. — Jeśli to separatyści, to ich zachowanie można bez trudu wyjaśnić. Jesteśmy im potrzebni jako zakładnicy. Jesteśmy warci tyle,

co okup. Dwa tygodnie temu do niewoli separatystów dostało się dwóch kanadyjskich inżynierów. Rząd zgodził się zapłacić okup. Zły przykład jest zaraźliwy.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze o narkotykach, o dolarach zabranych Maturowi, więc wywody Wspólnego wydały mi się rozsądne. W ogóle spodobało mi się, że nasz grubas nie stracił hartu ducha i zachowywał się spokojnie, powiedziałbym nawet, że wykazywał pewne zainteresowanie otoczeniem, jak chłopczyk z dobrej rodziny, któremu pozwolono popatrzeć na prawdziwą bójkę złych chłopców: patrzy i nie boi się, że jemu też się dostanie.

Wspólny mówił do nas po rosyjsku, więc Matur nie rozumiał go, ale gdy tylko Wspólny umilkł, powiedział natychmiast:

— Zabiją nas.

Czekałem, co powie Otar. Wiedział, że nas zestrzelili. Powiedział:

— Kładźcie się spać. To najrozsądniejsze wyjście.

Wspólny westchnął, ale nic nie powiedział.

— Lami, co u ciebie? — zapytałem.

— Źle — odpowiedziała Lami.

— Źle się czujesz?

— Nie. Myślę o ojcu.

— Spać, dzieciaki — powiedział Otar po angielsku.

Przez bambusową matę prześwitywały gwiazdy. Czasami przesłaniał je cień człowieka — pilnowano nas. Ognisko dogasało, a może zgaszono je i jego światło nie przenikało już do środka przez szczelinę w drzwiach. Wszystko wokół zamilkło. Byłem tak zdenerwowany wydarzeniami całego dnia, że mimo zmęczenia nie mogłem usnąć. Nagle, nie wiadomo dlaczego, zachlipał Matur. Pomyślałem, że jemu dostało się najbardziej. Gdzieś podziła się jego czarna walizka. Na pewno zabrali mu ją. Major bredził w malignie, pokrywka termosu zabręczała uderzając o kanister — domyśliłem się, że to Lami podaje mu wodę albo schładza czoło. Zachrapał leżący obok mnie żołnierz. Starąłem się myśleć, czy ocalała wystarczająca liczba czujników, ale przed oczami cały czas majaczyły ostatnie minuty w samolocie... zasnąłem.

# Jurij Sidorowicz Wspolny

Spałem źle. Gdy żołnierz zapalił zapałkę, żeby nabrać wody z kanistra, zobaczyłem w jej słabym, migoczącym świetle, że Wołodia Li śpi słodko i nawet uśmiecha się przez sen. Pozazdrościłem mu tak charakterystycznej dla młodości umiejętności natychmiastowego zapominania.

Musiałem podtrzymywać na duchu moich towarzyszy. Tym właśnie należy wytłumaczyć upór, z jakim przekonywałem ich, że ludzie którzy na nas napadli to separatyści zainteresowani okupem. Co więcej, pozwoliłem sobie na niewielkie kłamstewko o dwóch kanadyjskich inżynierach, których jakoby porwali i wypuścili rebelianci. Takie zdarzenie miało miejsce, ale w Birmie albo na Malajach. Nie w Ligonie.

Mógłbym przekonać także siebie, gdyby nie śmierć młodego oficera. Ze słów, które wymieniali między sobą rebelianci, zrozumiałem, że oficer zranił w trakcie strzelaniny jednego z prześladowców i właśnie to wyprowadziło ich z równowagi. Dopuszczałem możliwość, że incydent z głową oficera spowodowany był chęcią zastraszenia nas. Ale po co? A pewność Matura, że nas zabiją? Czyżby wiedział o czymś, co umknęło mojej uwadze?

Rozmyślać o naszym losie nie miało sensu. Ale nie mogłem myśleć o niczym innym. Wydawało mi się, że patrzę z boku na wszystkie wydarzenia. Oto na stoku góry stoi chatka. W niej, w ciemności i tłoku siedzą i leżą różni ludzie, którzy jeszcze wczoraj nie podejrzewali swego istnienia. Nie mają nawet wspólnego języka. A wśród nich jest człowiek w średnim wieku, o nazwisku Wspolny, Jurij Sidorowicz, który wcześniej roztył się od siedzącego trybu życia nieprzygotowany do znoszenia niewygód. O mało co nie zginął spadając z nieba na ziemię. I może zginąć jutro. Jeśli ludzie, którzy rozmawiają za ścianą dojdą do wniosku, że nie powinien dłużej żyć, bo jest zbędnym świadkiem, ciężarem — wiele jeszcze mogą znaleźć powodów, dla których Jurij Sidorowicz nie powinien żyć... Żeby nie tracić czasu na darmo, wyjąłem notatnik i zacząłem zapisywać w ciemności wydarzenia ostatnich godzin...

Nie wiem, jak długo spałem. Prawdopodobnie krótko. Obudziły mnie głosy dochodzące z zewnątrz. Pochmurny świt przenikał przez szczeliny chaty. Zanim ocknąłem się i przypomniałem sobie, gdzie jestem, minęło kilka sekund słodkiego zapomnienia. Zmysły i pamięć oszukały mnie, miłosiernie przekonując, że jestem na wycieczce w Karpatach — byłem na takiej wyprawie podczas studiów i pozostały mi po niej wspomnienia chłodnych, mglistych poranków na zboczach gór. Ale głosy za ścianą były obce, zdecydowane. Język, którym się posługiwano, przypominał ligoński, ale miał znacznie więcej gardłowych dźwięków.

W chacie wszyscy spali. Przytuleni do siebie nawzajem spali żołnierze, siedząc z głową podpartą o rękę spał Matur. Zwinięta w kłębek u stóp majora spała Lami. Nie spał tylko sam major. Leżał z szeroko otwartymi oczami wsłuchując się w głosy za ścianą. Napotkał mój wzrok. Podniosłem dłoń w ostrzegawczym geście. Ale i bez tego major milczał. Na pewno leżał tak od dawna i nasłuchiwał,

co się dzieje na zewnątrz. Jedna ręka majora spoczywała na piersiach, skuta prymitywnymi łubkami, drugą przywołał mnie. Uniosłem się, ale wtedy właśnie zaskrzypiały drzwi i na tle błękitnego prostokąta pojawiła się sylwetka człowieka z automatem.

— Ej! — powiedział, a jego głos wydał mi się tak głośny, że o mało co nie odgryzłem się: „Zwariowałeś, wszyscy śpią”. — Wychodź!

Wyprostowałem się, podporządkowując się okrzykowi — bo pomyślałem, że jeśli wyjdę od razu, to nie zaniepokoję pozostałych. Ale oni, jak na komendę, zaczęli się kręcić, unosić głowy, wyciągać ścierpnięte nogi.

— Co się dzieje? — zapytał profesor Kotrikadze.

— Proszę, żebym wyszedł — powiedziałem. — Chcą porozmawiać.

— Poślij ich do diabła — ponuro powiedział Wołodia, jak zaspany dzieciak, któremu przeszkadzają spać.

Zrozumiałem, że jestem całkowicie zdany na łaskę tych ludzi. Położyłem notatnik pod ścianą i wyszedłem.

Wąsaty przywódca bandytów czekał na mnie obok wygasłego ogniska. Wokół leżały jakieś szmaty, ubrania odebrane nam wczoraj. W polu widzenia znajdowały się skrzynki z bagażem i worki, które z takim trudem wyciągnęliśmy z samolotu. Skrzynki były rozbite, a część przyrządów wałała się po ziemi. Zwróciłem uwagę na długą skrzynię z taśmami naboju. Taśmy wystawały z niej jak węże, sięgające głowami do mokrych od rosy łądyg.

— Nazwisko? — powiedział po angielsku człowiek w hełmie.

— Wspólny — odpowiedziałem.

— Kim jesteś?

— Doradca do spraw kultury w ambasadzie Związku Radzieckiego — powiedziałem, podnosząc nieco swoją rangę.

Nie wszystko zrozumiał.

— Związku Radzieckiego — powtórzył. Przeszedłem na ligoński:

— Doradca ze Związku Radzieckiego. Rosji.

Człowiek w kasku zdziwił się. Zrozumiał.

Zobaczyłem, jak jeden z uzbrojonych żołnierzy podszedł do skrzyni z nabojami i zaczął rozrzucać je po ziemi. Drugi rozpruł worek z książkami i ulotkami, wyjmował je i rozrzucał na boki jak siewca ziarno. Przypomniałem sobie, jak uważnie zbierał je wczoraj młody lejtnant. Po co to robią?

— Po co leciałeś?

— Na zaproszenie rządu — odpowiedziałem po angielsku. Wiedziałem, że ludzie w chacie mnie słyszą.

Towarzysze tego w hełmie kontynuowali swoje zajęcie niszcząc zawartość skrzynek. Jeden z nich wyciągnął przyrząd należący do geologów i zamachnął się, żeby rzucić go na ziemię.

— Stój! — krzyknąłem. — Co robisz?

— Co robi? — dobiegł z chaty głos Otara.

— Milczeć! — krzyknął na mnie człowiek w hełmie. Ale zupełnie nie znał mojego charakteru. Patologicznie nie znoszę kłócić się z ludźmi, uczestniczyć w niepotrzebnych konfliktach. Wielu sądzi nawet, że jestem zbyt skłonny do kompromisów. Ale nie można mnie, proszę wybaczyć banalne określenie, stawiać w sytuacji bez wyjścia.

— Ani myślę — odpowiedziałem. — Istnieją elementarne zasady dobrego zachowania!

— Milczeć! — powtórzył człowiek w hełmie.

Jego zwisające, długie wąsy poruszały się jak u suma. Podskoczył, zamierzając mnie uderzyć. Instynktownie wysunął rękę do przodu. Byłem tak zajęty konfliktem z tym rebeliantem, że nie widziałem tego, co działo się za moimi plecami. Ale człowiek w hełmie widział. Nagle zatrzymał się i zaczął odpinać kaburę. Spoglądał gdzieś za mnie. Odwróciłem się.

Wyrwane z zawiasów drzwi zawisły pod kątem. Nad nimi górował, przytrzymujący zdrową ręką tę złamaną, major Tilwi. Major był bez furażerki, w rozpiętym mundurze, ale mimo to było widać, że oficer jest człowiekiem, który ma prawo pojawić się w decydującym momencie dramatu. Na pewno byłem bardzo wzburzony, jeżeli widok bladego, chwiejącego się na nogach, obdartego majora wydał mi się tak budujący. Ale nie tylko ja odniosłem takie wrażenie.

Znowu spojrzałem na najważniejszego bandytę. Poradził już sobie z kaburą i trzymał w ręku pistolet.

Nastąpiła jakaś długa, nie mająca końca cisza, jakby wokół wyświetlano w zwolnionym tempie niemy film.

Widziałem, jak bardzo wolno podnosi się ręka człowieka w hełmie i pomyślałem, że powinienem coś zrobić, żeby zapobiec morderstwu. Widząc przybliżające się oczy bandyty zrozumiałem, że idę, a może nawet biegnę, w jego stronę, przecież musiałem zatrzymać go, a jednocześnie wołałbym zostać na miejscu...

Znalazłem się obok przywódcy bandytów w chwili, gdy strzelił. Nie, nie we mnie, a w majora, ale straciłem równowagę i upadłem, szczęśliwie przewracając także strzelca. Tarzaliśmy się na ziemi jak dwóch dzieciaków, wiedziałem, że nie mogę go puścić, bo inaczej wystrzeli jeszcze raz i zabije nie tylko majora, ale także mnie.

# Władimir Kimowicz Li

Gdy Wspólny wyszedł z chaty, usiadłem przecierając oczy. Otar podszedł do drzwi i słuchał, o czym rozmawiają. Zresztą nie było to konieczne — i tak każde słowo przenikało przez ściany. Wąsaty w hełmie przesłuchiwał Wspólnego, czasem mówili po angielsku, czasem po ligońsku. Rozmawiali spokojnie, oczekiwałem więc, że lada chwila zaczną mówić o okupie. Bardzo chciałem, żeby nas wykupiono. I to jak najszybciej, dopóki nie zaczęło się trzęsienie ziemi.

Nagle major wstał. Podtrzymywany przez żołnierza podszedł do drzwi. Jakby chciał zrobić porządek z całym tym skandalem. Chodzenie sprawiało mu ból, na twarzy pojawiły się kropelki potu, ale szedł do przodu, opierając się zdrową ręką o ramię żołnierza, pięć kroków dzielących go od drzwi przeszedł jak król kroczący ku sali tronowej. Zuch major! Wydał jakiś rozkaz żołnierzowi i w tej samej chwili usłyszałem za ścianą podniesione głosy. Wspólny rozzłościł się i wymyślał swojemu prześladowcy.

— Co on wyrabia! — powiedział zrozpaczony Otar.

— Milczeć! — krzyczał typ w hełmie.

Żołnierz z rozpędu uderzył ramieniem w drzwi. I drzwi wypadły z zawiasów i zawisły pod kątem. Wyprostowany major stanął w powstałym otworze.

Nie wiedziałem, co się działo na zewnątrz, ale stojący za plecami majora Otar widział wszystko. Za ścianą rozległy się podniesione głosy, major też coś głośno krzyknął, a potem zobaczyłem jak Otar pociągnął majora na siebie i obaj wpadli do wnętrza chaty. Usłyszałem wystrzał i z dachu posypał się pył.

Gdy wygrzebałem się spod sterty ciał na świat boży, niedaleko ode mnie leżał Wspólny wczepiony palcami w kurtkę człowieka z wąsami. Jeden z bandytów, który widocznie uderzył Wspólnego, trzymał automat za lufę i zamachnął się nim na Otara. Drugi odbiegł do tyłu i podniósł automat, żeby wnieść swój wkład w walkę z bezbronnymi więźniami. Nasza sytuacja była beznadziejna. Ale wiem to teraz, wtedy rzuciłem się na najbliższego wroga, nie zdając sobie sprawy z faktu, że nie ma to sensu.

Skoczyłem tylko po to, by temu, który stał z boku i celował z automatu trudniej było trafić.

Ale nie strzelił. Wystrzał padł z drugiej strony.

Najpierw zobaczyłem, jak celujący w nas człowiek nagle upuścił automat i zaczął powoli nachylać się do przodu. Drugi, stojący niedaleko człowiek, odwrócił się w stronę lasu, nie rozumiejąc jeszcze, co się dzieje, ale wiedziałem, że on też upadnie, jak w kinie. W krytycznej chwili nadchodzi pomoc. Bohaterski szeryf przybył w ostatniej chwili... Wtedy, oczywiście, nic takiego nie myślałem. Zdążyłem jeszcze zauważyć, że najważniejszy bandyta leży za Wspólnym, wykorzystując naszego masywnego przyjaciela jako naturalną kryjówkę. Pozostali rzucili się do ucieczki po zboczu.

Wreszcie film dobiegł końca. Można było przystąpić do wykonywania obowiązków. Tylko najpierw trzeba było ocucić Wspólnego.



# Otar Dawidowicz Kotrikadze

Wychodzący gęsiego z lasu ludzie wydali mi się początkowo więksi i piękniejsi, niż byli w rzeczywistości. Widocznie taki jest przywilej świadka. Było ich dziesięciu. Kilku pobiegło w stronę rzeki w ślad za uciekającymi bandytami. Nasi zbawcy najwyraźniej dzielili się na dwie kategorie. Większość miała na sobie mundury, ale pięciu nosiło egzotyczne ubrania. Najwyraźniej byli to górale w strojach ludowych, składających się z krótkiej, czerwonej spódniczki i narzutki. Na szyjach pyszniły się naszyjniki z białych muszelek. Na kolorowych pasach wisiały krótkie, proste miecze. Ludzie ci byli uzbrojeni w długolufową, starą broń.

Na końcu pojawiło się dwóch ludzi dowodzących operacją. Jeden z nich był oficerem. Moją uwagę zwrócił drugi. Był zadziwiająco, szczególnie jak na te okolice, wysoki i chudy. Mierzył z pewnością ponad dwa metry — skarb dla azjatyckiej koszykówki. Z powodu wzrostu lekko się garbił, co często zdarza się wysokim ludziom, którzy wstydzą się swoich gabarytów. Był w stroju do golfa w idealnym stanie, aż po czapkę zakupioną w dobrym, angielskim sklepie. Tylko zamiast kija do golfa trzymał w ręce wojskowy pistolet.

Łańcuszek ratowników truchtem dobiegł do nas, stojących — trzeba to przyznać — pasywnie i wyrażających radość okrzykami. Żołnierze dość bezceremonialnie podnieśli z ziemi przywódcę bandytów, pokornego jak owieczka. Jeden z jego podwładnych (ten, który celował we Wspólnego) był martwy, drugi dawał oznaki życia, więc podnieśli go bezceremonialnie i rzucili na ziemię obok wodza.

Major zrobił krok do przodu.

— Major Tilwi Kumtaton — przedstawił się.

Nastąpił monolog po ligońsku. Mogłem domyślić się, że major relacjonuje zdarzenia ostatniego dnia.

Wysoki mężczyzna w stroju do golfa przerwał majorowi, zadając mu jakieś pytanie. Major odpowiedział, a wysoki mężczyzna natychmiast ruszył w stronę chaty, z której właśnie wyszli Lami i dyrektor Matur.

Matur wyszedł ostatni, wciąż jeszcze wierząc, że wszystkie nieszczęścia są już za nami. Zza pleców dziewczyny zobaczył wysokiego mężczyznę.

— O, sabao Urao Kao! — krzyknął, jakby zobaczył przed sobą bóstwo i, jęcząc jak setka płaczków, odepchnął Lami i rzucił się do stóp wysokiego mężczyzny, terkocząc jak kulomiot i jednocześnie szlochając. Wysoki mężczyzna zareagował szybko, zdradzając, że jest dobrze wytrenowanym sportsmenem. W mgnieniu oka odepchnął wyrrywające się ku niemu ciało dyrektora Matura i pochwycił dziewczynę. Dziewczyna zadrzała w jego rękach i zwiśla bezwładnie. Tylko ramiona jej drżały.

Myślicie, że Matur obraził się na wysokiego mężczyznę? Nic podobnego. Wstał z kolan i,



złożywszy ręce na piersiach, stał jak ciełą przed malowanymi wrotami, a światło wschodzącego słońca odbijało się w masywnych pierścieniach, na które, nie wiadomo dlaczego, nie połakomili się bandyci.

— Profesor Kotrikadze — głos major Tilwi oderwał mnie od obserwowania tej sceny. Odwróciłem się w jego stronę. — Profesor Kotrikadze — powtórzył zwracając się do oficera, tłustego, o czerwonych policzkach.

— Komendant Tangi, kapitan Boro. Oficer zasalutował.

Podziękowałem kapitanowi — Tilwi zachowywał się oficjalnie jak król podczas audiencji — za pomoc w krytycznej sytuacji.

— Proszę podziękować księciu Urao — powiedział oficer, prezentując białe zęby. — Gdyby nie jego pomoc, nie zdążylibyśmy.

Księżę Urao, wysoki dżentelmen z gór, pomógł Lami usiąść na rozprutym worku z literaturą propagandową i wspaniałomyślnie wysłuchał błagalnej, pełnej skarg relacji dyrektora Matura. Słuchał go, ale patrzył na dziewczynę, trzymając po ojcowsku rękę na jej ramieniu.

# Tilwi Kumtaton

Kiedyś dziadek Mahakassapa, u którego mieszkałem w klasztorze będąc dzieckiem, bo matka nie dawała sobie rady z czwórką dzieci, wybrał się do przeora sąsiedniego klasztoru. Było to przestępstwo — stojący wśród lasów klasztor należał do innej, heretyckiej sekty, żyjący w nim mnisi nosili togi narzucone na dwa ramiona, jedli mięso i nie wierzyli w karmę. To znaczy wierzyli, ale nie tak, jak należy. Dlatego dziadek oszukał wszystkich, mówiąc, że wyjeżdża załatwić inne sprawy. Dziadek nie bał się herezji. Pochodził z tej samej wsi, co ten leśny heretyk, obaj zbierali stare księgi spisane na palmowych liściach i lubili dyskutować o drogach ku nirwanie i subtelnościach vinayi. Dziadek wziął mnie ze sobą, pojechaliśmy przez góry w zaprzężonym w parę malutkich pony, dwukołowym wózku, koła były wysokie, wyższe od człowieka.

Jechaliśmy dwa dni, nocowaliśmy w górskiej wiosce, gdzie specjalnie dla nas zwolniono dom dla mężczyzn, a wieczorem dziadek głosił skierowane do górali kazanie, a oni palili zawinięte w kukurydziane liście, śmierdzące papierosy, pióra na ich głowach kiwały się, gdy zgadzali się z mądrymi słowami dziadka. Z tej wyprawy pamiętam lazur gór, podobny do błękitu nieba, błysk pstrągów w górskich strumieniach, chłód wieczorów, poranny szron na trawie, szum wiatru w sosnowym zagajniku i śpiew niebieskich ptaków nad drogą. Pamiętam też słonie, które gęsiego szły przełęczą dzwoniąc łańcuchami, zwisającymi z ich szarych, chropowatych boków.

Felczer powiedział, że mam wstrząs mózgu i potrzebny mi jest spokój. Dał mi pięć tabletek aspiryny i kazał nie ruszać się. Patrzyłem w niebo, na puszyste obłoki, zmieniające kształt jak bajkowe zwierzęta i wydawało mi się, że znowu jadę z dziadkiem w dwukółce...

Czekaliśmy na helikopter. Jedyna sprawna maszyna odleciała wczoraj do kopalni rubinów.

Na polanie wszyscy zajmowali się swoimi sprawami. Książę rozmawiał o czymś z dyrektorem Maturem. Książę przewyższał go o trzy głowy i nie patrzył na rozmówcę, a gdzieś w dal. Matur klaskał w ręce. Rosyjscy geolodzy rozłożyli na ściernisku uratowane przedmioty i głośno rozmawiali w swoim barbarzyńskim języku. Mimo wszystko źle zrobiłem, że ich wziąłem. Jutro dojechaliby do Tangi pociągiem lub samochodem. Wspólny z rosyjskiej ambasady z obandażowaną głową siedział na płaskim kamieniu i zapisywał wrażenia w czarnym notatniku.

Zawołałem kapitana Boro. Przykucnął obok mnie. Słońce było już wysoko, zrobiło się ciepło.

— Powiedz, brachu — poprosiłem — jak nas znaleźliście.

— Rozmowa panu szkodzi, majorze — powiedział kapitan. — Felczer zalecił całkowity spokój.

— Niech ten twój felczer... — wyraziłem się niezbyt grzecznie. Kapitan był grzeczny, ale ostrożny. Jest jednym z panów gór i z czasem przejdzie do rezerwy jako zamożny człowiek, jeśli uda mu się lawirować między centralnym rządem, miejscowym gubernatorem, góorskimi książętami, przemysłowcami i rebeliantami tak, żeby nikomu się nie narazić. Dla takiego prowincjonalnego kapitana każda zmiana władzy jest niebezpieczna i niepożądana... Oznacza nowe porządki, a on może

okazać się niedostatecznie mądry, energiczny, uczciwy... moje pojawienie się w Tangi jest tego dowodem. Trzeba się spieszyć i pokazać swoją działalność z jak najlepszej strony — a nuż się uda.

Być może zresztą jestem niesprawiedliwy. Gdy zaczynasz tworzyć w myślach portret nieznanego człowieka, budujesz go z kawałków opisujących innych ludzi.

— Dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero o piątej.

Ze zrozumieniem zamknąłem oczy. Nie chciałem straszyć oficera. Potrzebuję tu sojuszników, a nie wrogów.

— Szykowaliśmy się do spotkania. Nawet przygotowaliśmy transparenty. W mieście wszyscy z radością przyjęli informację o dojściu do władzy nowego rządu.

Nie uwierzyłem, ale nie dyskutowałem.

— Odwiedził mnie poprzedni gubernator. Ciekawe, jakie sprawy omawiali z gubernatorem?

— I nagle z lotniska przysłała informacja, że samolot nie przyleciał. Wiecie, nasze miasteczko jest małe, od razu rozeszły się plotki, że katastrofę samolotu spowodowały duchy gór, niezadowolone z waszego przybycia.

Kapitan Boro wyszczerzył w uśmiechu białe zęby i rozłożył ręce — taki mamy tu ciemny naród.

— Od razu skontaktowałem się z policją, żeby dowiedzieli się w pobliskich wsiach, czy nie widziano czasem samolotu. Zaludnienie tu jest niewielkie, okolice dzikie. Samolot zoczył z kursu — dziesięć mil dla samolotu to tyle co nic, ale w górach to bardzo dużo. Inna dolina, inna przełęcz.

Późnym wieczorem poinformowano mnie, że we wsi Longi — to jest jakieś dwanaście mil stąd, w górę rzeki — widziano dym i słyszano wybuch. W środku nocy dotarłem tam. Wypytałem ludzi, ale nie mogłem znaleźć przewodnika.

— Dlaczego?

— Noc. W nocy nie opuszczają wsi. Boją się bandytów.

— Tych? — zapytałem pokazując na związanego Pa Puo i jego współnika.

— Nie wiem — powiedział kapitan. — Przecież tego mi nie powiedzą. Nic z nich nie można wyciągnąć. Postanowiliśmy poczekać do świtu. To było jedyne wyjście w takiej sytuacji, nieprawdaż?

Kapitan bardzo chciał, żebym mu przyznał rację. Chociaż wiedział, jak będzie wyglądał w Ligonie mój raport: „Kapitan Boro zatrzymał się na nocleg dwanaście mil od miejsca katastrofy, stwarzając tym samym zagrożenie dla życia i bezpieczeństwa...” Nie, niech się nie boi.

— Oczywiście — powiedziałem.

— Więc tak. — Kapitan był zadowolony. — Poszczyściło się nam. Do wsi przyjechał z wizytą ksiązę Urao Kao.

— A co on tam robił?

— Szukał nas.

Nie okazałem zdziwienia. Niech kontynuuje.

— Książę Urao ma duże wpływy w naszym okręgu. Książę dowiedział się o katastrofie samolotu i nawet się nie przelał, tylko od razu wskoczył do samochodu. Gdy nas zobaczył, bardzo się ucieszył. Był z nim człowiek dobrze znający tutejsze ścieżki. Postanowiliśmy połączyć siły. Trzy mile przejechaliśmy wierzchem, ale potem droga skończyła się i przez pięć godzin szliśmy ścieżką w całkowitych ciemnościach. Dzisiaj w nocy nie spałem ani chwili.

Jeśli miał nadzieję, że powieszę mu medal na piersi, to bardzo się mylił. Dlaczego książę tak się spieszył? Co ma do samolotu? Z drugiej strony wiedział, że w samolocie znajdowali się Lami i

dyrektor Matur. Oboje są jego znajomymi. Może ktoś z nich przewoziło coś ważnego. A w ogóle co mnie to obchodzi? Jesteśmy uratowani, mam nadzieję, że jutro będę mógł wstać. Inaczej trzeba będzie przysłać do Ligonu innego komisarza.

— Poinformowaliście Ligon, że żyjemy?

— Od razu, panie majorze. Od razu.

— Znacie przywódcę bandytów?

Kapitan spojrział w bok, na leżącego obok chaty, związanego Pa Puo. Twarz miał obojętną.

— Nie znam — powiedział.

Helikopter przyleciał po południu. Do tego czasu część ludzi ruszyła do wsi Langi i czekających tam samochodów.

Księżę Urao odszedł ze swym ochroniarzem i dwoma żołnierzami konwojującymi jeńców.

O drugiej weszliśmy na pokład helikoptera i szybko dotarliśmy do Tangi.

*Tangi. Rezydencja księcia Urao. 11 marca 1974 r.*

*Do szanownego J. Suna, hotel „Imperial”, Ligon*

*Szanowny Sunie!*

*List ten dostarczy zaufany człowiek, którego wysyłam samochodem. Tak jest bezpieczniej.*

*List i pieniądze otrzymałem. Nie od razu i nie na takich warunkach, na jakie liczyłem.*

*Częściowo wiesz już, co się wydarzyło. Resztę opowie teraz.*

*Wiadomość o katastrofie samolotu otrzymałem z opóźnieniem. Znajdowałem się w rezydencji.*

*Władze miasta wysłały już na poszukiwania samolotu swoich ludzi, gdy jeszcze o niczym nie wiedziałem. Jak z pewnością wiesz, powinienem otrzymać towar i w tym celu wysłałem nad jezioro Linili grupę Pa Puo. Dalej nastąpił cały łańcuch zbiegów okoliczności — Pa Puo przestraszył się, samolot przeleciał na niewielkiej wysokości tuż nad polaną, na której leżał towar. Pa Puo zaczął ostrzalać samolotu z cekaemu i (głupi ma zawsze szczęście) zestrzelił maszynę. Samolot spadł niedaleko. Pa Puo wysłał część grupy z towarem i wyruszył w stronę samolotu. Nie winię go za to. Nie dotarłby do samolotu przed nocą, ale na jego szczęście (albo nieszczęście — to dialektyka, mój drogi Sunie) spotkali po drodze szanownego Matura, do którego odnosisz się z taką surowością. Domyślili się, że Matur jest z samolotu, a gdy go przeszukali, znaleźli przesyłkę, którą miał dla mnie. Gdyby zabili Matura i przybyli do mnie mówiąc, że nie znaleźli samolotu, być może bym im uwierzył (choć bardziej prawdopodobne jest, że nie uwierzyłbym). Ale oni pogonili Matura przodem jako przewodnika. Ich plan był prosty, ale nie genialny: zabić tych, którzy przeżyli i udawać, że wszyscy zginęli w katastrofie. Rano, gdy zabrali się za realizację swego okrutnego i naiwnego planu, dotarłem tam z komendantem.*

*Masz prawo zapytać, dlaczego zjawilem się tam bladym świtem i do tego w tak dziwnym towarzystwie. Wyjaśnienie jest bardzo proste. Jeden z ludzi, których Pa Puo zostawił z towarem, z własnej inicjatywy ruszył do Tangi. Nie sądziłem, że ktoś uszedł z życiem z katastrofy, ale Pa Puo mógł znaleźć pieniądze i list. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko rzucić wszystko i gnać nocą na miejsce katastrofy.*

*Nasza okolica jest słabo zasiedlona, ale upadek samolotu zauważył nie tylko Pa Puo. Plotki o wybuchu dotarły także do komendanta. Ten nędzny oszust obawiał się, że nowy rząd dowie się o jego przekrętach i chciał się wykazać — on także rzucił się na poszukiwania samolotu.*

*Spotkaliśmy się we wsi. Dalej wyruszyliśmy razem.*

*Zdążyliśmy na czas. Pa Puo akurat zabierał się za zlikwidowanie świadków.*

*Matur powiedział mi, że Pa Puo zabrał pieniądze.*

*O, władzy pieniądza! Pozbawia cię ona najwierniejszych ludzi.*

*Byłem szczerze zmartwiony. Przecież ten podlec wiedział, ile pieniędzy i zachodu kosztowało nas uwolnienie go. Niestety, nie mogłem ukarać Pa Puo jak należy, chociaż bez wątpienia zasłużył na śmierć. Jest mi potrzebny.*

*Ruszyliśmy ścieżką do wsi Longi. Po około dwóch milach zrobiliśmy postój. Powiedziałem żołnierzom, że chcę przesłuchać Pa Puo, więc oddalili się o kilka kroków.*

*— Wiesz, co cię czeka, zdrajco? — zapytałem.*

*— Nie zdradziłem pana, książę — odpowiedział. — Nikomu nie powiedziałem, że się znamy.*

*— Oddaj mi torbę — powiedziałem.*

*— Jest wszystko? — zapytałem*

*— Nie — odpowiedział Pa Puo. — Dałem ludziom po paczce.*

*— W takim razie zajmiesz się tym, żeby wszystkie pieniądze do mnie wróciły.*

*— Tak, sabao — schylił głowę bandyta.*

*— Nie mogę zostawić cię w rękach żołnierzy. Pa Puo kiwnął potakująco głową.*

*— Uciekniesz na rozwidleniu dróg. Odwrócę uwagę żołnierzy. Poczekasz na dalsze rozkazy w jaskini koło Linili.*

*Jeśli nawet podejrzewał, że chcę go zabić, to nie dał tego po sobie poznać. Trzeba przyznać, że jest fatalistą, co jest tak charakterystyczne dla tych prostych ludzi.*

*Dalej wszystko poszło zgodnie z planem. Odwróciłem uwagę żołnierzy. Pa Puo i jego człowiek rzucili się do ucieczki. Gonili ich żołnierze i mój ochroniarz. Żołnierze są bezradni w lesie i szybko zaniechali pościgu. Wydaje im się, że w lesie czają się na nich wrogowie — Jako ostatni wrócił mój ochroniarz i przekazał mi paczkę dolarów, którą do tej pory miał człowiek Pa Puo. Jego nie oszczędziłem.*

*Na kim można polegać w tym okrutnym świecie?! Proszę nie traktować tego jako skargi, szanowny Sunie. Spędziłem kilka lat w cywilizowanej Europie i świetnie pamiętam, że za zewnętrznym porządkiem kryją się tam te same emocje i taka sama zdrada.*

*I tak wszystko skończyło się pomyślnie, mimo małego opóźnienia. Sądzę, że katastrofę samolotu skojarzą z Pa Puo. Jeśli zrobi się tu dla niego za gorąco, odprawię go do Ligonu albo za granicę.*

*Nie podzielam twojego negatywnego stosunku do Matura. Na swój sposób jest on znacznie wierniejszym człowiekiem niż Pa Puo. Wykształcenie i przywiązanie do rodziny sprawiły, że panicznie bał się mojego gniewu. Jestem przekonany, że w żadnym wypadku nie odważyłby się ukraść pieniędzy. Rodzina Matura na zawsze pozostanie zakładnikami w naszych rękach. W przyszłości zamierzam przycisnąć Matura. Tobie przypada rola straszaka (nie gniewaj się na mnie za to czysto taktyczne posunięcie). Mech biega do mnie na skargę na nieuprzejmego i okrutnego Suną.*

*Jestem wdzięczny za opiekę nad Lami. Lekarstwa, które przekazałaś pomyślnie dotarły do Tangi. I chociaż nie mam nic przeciwko przedwczesnej śmierci jej ojca, to jeśli niebiosom podoba się, by żył, bądźmy lepiej narzędziem ratunku niż narzędziem zguby.*

*Rosjanie przeżyli. Czy mógłbyś dowiedzieć się czegoś więcej w Liganie o ich prawdziwych*

*planach?*

*Major Tilwi Kumtaton jest na razie w szpitalu wojskowym. Rozmawiałem ze znajomym lekarzem, który obiecał mi zatrzymać go tam tak długo, jak to tylko możliwe. Niech miasto zostanie na razie bez twardej władzy: kapitan Boro wybrał drogę całkowitego niewtrącania się, a mnie to bardzo odpowiada.*

*Sądzę, że w obecnej sytuacji niebezpiecznie byłoby wysłać towar do Ligonu. Trzeba poczekać, aż entuzjazm wojskowych nieco opadnie i zajmą się rozdrapywaniem pieniędzy i wygodnych posadek. W każdym razie towar zostanie w jaskini, dopóki nie otrzymam od ciebie sygnału, że można go już wysłać. Ostrożność to najlepsza strategia.*

*Jutro zjadą się sąsiedni książęta, żeby podjąć decyzję o stosunku do nowego rządu. Niektóre gorące głowy uważają, że teraz jest najlepszy moment, by zjednoczyć się ze stronnikami Jah Rolaka i wzniecić powstanie. Będę musiał nieźle się natrudzić żeby przekonać tych trzęsących się nad swymi przywilejami ludzi, by powstrzymali się przed tym samobójczym krokiem. Sądzę, że rząd tymczasowy zanosi błagania do niebios, byśmy urządzili powstanie. Mogliby wtedy raz na zawsze zrobić z nami porządek. Nie można dać im do tego pretekstu. Jeszcze raz przypominam o Rosjanach.*

*Szczerze oddany Urao Kao*

Okolice Tangi są bardzo interesujące dla turystów. Niestety, trudno jest tu dotrzeć, jeśli ma się do dyspozycji tylko kilka dni, ale tym, którzy mają więcej czasu, miejsca te ofiarują cudowne wspomnienia o górach i lasach południowo — wschodniej Azji.

Tangi (4756 stóp nad poziomem morza) to centrum tego rejonu i tutaj na turystów czekają wszystkie współczesne udogodnienia. Miasto jest położone wśród porośniętych sosnami wzgórz, 87 mil od stacji kolejowej Mitili, z której kursują do Tangi autobusy i samochody. Oprócz tego, w dni parzyste kursuje do Tangi samolot linii „Ligon Airways”. Podczas pobytu w Tangi turysta może zwiedzić kilka ciekawych miejsc.

Hotel „Excelsior” (telegramy kierować pod adresem „Excelsior”, biuro w Ligonie: ul. Wolności, tel. 10747): 25 pokoi bez klimatyzacji, z centralnym ogrzewaniem. Pokój jednoosobowy — 37 do 45 watów, dwuosobowy — od 60 do 70 watów (z wyżywieniem). Kuchnia: ligońska, hinduska, europejska. Wycieczki do wodospadu Kołu, nad jezioro Linili — malowniczy zbiornik wodny, gdzie w okolicznych wsiach można kupić srebrne wyroby miejscowych mistrzów; do Pagody Pięciu Żółtych Buda, w której znajduje się pięć starych, świętych figur. Były złożone tyle razy, że prawie zmieniły się w złote kule. Na początku października na jeziorze Linili odbywa się wspaniałe, wodne święto...

Raz na pięć dni w Tangi odbywa się targ, na który przyjeżdżają okoliczni górale, tworząc bardzo malownicze widowisko”.

*New Golden Guide — Południowa i wschodnia Azja  
Pod redakcją Daniela Wallstona, Hongkong, 1969*

Tangi. Centrum rejonu o tej samej nazwie na północy Republiki Ligon. Miasto zostało założone w XIV w. przez księcia Urao Sprawiedliwego, którego potomkowie w XVI wieku uznali zależność lenną od króla Ligonu, Partawaramana VI. Miasto położone jest na skraju płaskowyżu, na wysokości 1600 m n.p.m. Ludność 12500 (wg spisu z roku 1979). Ligończycy, Hindusi, Chińczycy, Tajowie,

przedstawiciel innych mniejszości narodowych. Przemysł: warsztaty mechaniczne, fabryka zapalek, tkalnia, tartak, drobne warsztaty. W mieście ma siedzibę rada ds. mniejszości narodowych, w której ogromną rolę odgrywają miejscowi feudałowie...”

Przewodnik *Miasta południowo-wschodniej Azji*, Moskwa,  
Nauka 1980

# Władimir Kimowicz Li

Za oknem naszego pokoju hotelowego przez gałęzie sosny widoczna była cicha uliczka. Taka cicha i spokojna, zasypana żółtymi liśćmi, że aż trudno było uwierzyć, że mieszkamy na końcu świata, a nie w domu wczasowym pod Moskwą. I liście na asfalcie — jesienne. A przecież to nieprawda: sprytne tutejsze drzewa zrzucają je, żeby godnie przywitać porę deszczową kwiatami i świeży — mi listkami. Ulicą jedzie rikszarz na rowerze z koszem. Rikszarz w wełnianej czapce i marynarce. A tam pastor w czarnym garniturze — nad kołnierzem wystaje wąski pasek koloratki. Domki, tutaj, w centrum miasta są czyste, porządne, solidne i obce. Tu przyjeżdżali odpocząć od upału dolin znudzeni, angielscy urzędnicy.

Ja i Otar przespaliśmy cały dzień. Stary lokaj, pozostałość po czasach kolonialnych, nie był w stanie obudzić nas na obiad. Ocknęliśmy się wieczorem, pełni skruchy za zmarnowany dzień (w każdym razie ja byłem pełen skruchy, ale Otar dorobił do naszego lenistwa teorię, którą prawie mnie uspokoił).

Mamy duży pokój z wysokim białym sufitem, podzielonym na kwadraty ciemnymi, drewnianymi belkami, przypomina angielski pub, gdzie, prawdę mówiąc, nigdy nie dane mi było być. Na belkach spokojnie śpią małe jaszczurki, czy one nigdy nie spadają? Wspólny mieszka za ścianą.

— Obudzić go? — zapytałem Otara.

— Sam nie wiem — powiedział Otar. — Namęczył się. Taki przejaw delikatności ze strony Otara to bardzo rzadkie zjawisko.

Mimo wszystko, zignorowałem konwenanse i zapukałem do Wspólnego.

— Idziemy na kolację — powiedziałem.

— Ja też — odpowiedział Wspólny. — Dziękuję.

Spał krócej niż my. Prosto z helikoptera rzucił się do telefonu i dobijał się do Ligonu, żeby osobiście zameldować Iwanowi Fiodorowiczowi, że wszystko skończyło się dobrze.

W restauracji, ozdobionej takimi samymi belkami na suficie, było prawie pusto. Pewnie jest poza sezonem. A może turyści uciekli do domu. Turyści nie lubią przewrotów — to burzy harmonogram zwiedzania zabytków.

Przy sąsiednim stoliku siedział Matur. Siniak pod jego okiem żółkł. Wyglądał na zmęczonego.

— O, drodzy przyjaciele! — krzyknął, gdy wchodziliśmy. Moim zdaniem ucieszył się szczerze.

— Czy mogę się do was przysiąść?

Wydaje mi się, że Wspólny nie był zadowolony, bo odpowiadał za naszą moralność, a od Matura wprost biło amoralnością.

Powiedziałem:

— Proszę.

Jakkolwiek by było, przeżyliśmy wspólne przygody. Matur zdążył się przebrać. Miał na sobie



ciemny, za ciasny garnitur, szyję owinał grubym szalikiem.

— Czy pańska walizka znalazła się? — zapytałem.

— Ci bandyci wyrzucili moją walizkę. I pieniądze, wyobraźcie sobie, pieniądze.

Powinienem zapytać się, jak dużo było tych pieniędzy. Ale zamiast mnie pytanie zadał Otar:

— Znasz księcia Urao?

— Bo co?

Matur zjeżył się. Otar nie zdążył nic dodać, gdy Matur zaczął trajkotać jak prymus na egzaminie:

— Jesteśmy przyjaciółmi od dziecka. Razem uczyliśmy się w koledżu. W tej samej klasie. Dobre,

dawne czasy... Ale potem księżę odebrał prawdziwą edukację w Cambridge.

— To widać — powiedziałem, przypominając sobie maniery księcia.

Wspólny fuknął pogardliwie. Uspokoił się już, i po jego heroizmie nie zostało ani śladu. W drodze do restauracji zdążył poinformować mnie, że okna są nieszczelne, że Iwan Fiodorowicz niepokoi się o nas, że dyplomarka zaginęła podczas lądowania awaryjnego i że znowu został bez rzeczy osobistych.

— Widzicie... — Matur nachylił się w naszą stronę i zniżył głos, chociaż w restauracji nie było nikogo poza kelnerem, który wycierał widelce w drugim końcu sali. — Bandyci uciekli. Żołnierze i ochroniarz księcia gonili ich przez dżunglę i, być może, zabili. A jeśli nie zabili?

Matur rozejrzał się teatralnym gestem — wierzył, że bandyci mogą ukrywać się pod stołem.

— Czy udało się ustalić, kim są?

Matur rozłożył ręce. Wspólny zmarszczył się z niedowierzaniem. Wiedział, że Matur jest współnikiem imperialistów.

Zamilkliśmy. Kilka godzin spędzonych w miękkiej pościeli, w czystym pokoju z sosnami za oknem, zmieniły fantasmagorię ostatniej doby w zły sen. A Matur przypominał o przeszłości. Poczulem nawet niechęć do niego, jakby chciał znowu zaciągnąć nas w noc, do strzelaniny, wybuchów i innych nie — naturalnych rzeczy. Widocznie Matur to wyczuł.

— Kiedy przystąpicie do pracy? — zapytał.

# Dyrektor Matur

Z trudem wysiedziałem do końca kolacji. Nowiny skłaniały do podjęcia natychmiastowych działań. Ale dla człowieka interesu najważniejsze jest zobaczyć całość zagadnienia.

Oczywiście, nie da się przepowiedzieć trzęsienia ziemi. Ale oni nie sprawiają wrażenia szarlatanów. Czyli, może warto zaryzykować? Postawić na czarnego konia?

Poczekalem, aż Rosjanie wrócą do swojego pokoju i podszedłem do portiera — zamorzonego, anglo-ligończyka z pośledniej rasy mieszańców, pozostawionej nam przez Anglików na pamiątkę ich wieloletniego panowania.

— Mam pilną sprawę — powiedziałem.

— Linia jest wyłączona na rozkaz komendanta wojskowego.

— W takim razie proszę przyjąć pilny telegram.

— Nie mogę — beczelnie uśmiechnął się portier. — Proszę iść do telegrafu.

— Telegraf jest otwarty? — zapytałem, starając się uśmiechnąć.

— Do ósmej — powiedział portier.

Było dwadzieścia po siódmej. Szybciej. Po raz drugi byłem w posiadaniu informacji, której wartość trudno przecenić. Musiałem wysłać dwa telegramy.

— Szanowny Maturze — dogonił mnie głos portiera.

— Co?

— W Tangi obowiązuje godzina policyjna. Od szóstej.

Machnąłem ręką i wybiegłem na ulicę. Godzina policyjna jest dla tych, którzy mają dokumenty, ale ja nie mam nic — zostałem ograbiony do goła. Nie mam nic do stracenia.

I z rozsądną ostrożnością, kryjąc się w cieniu drzew, pobiegłem do telegrafu.

---

## TELEGRAM

Ligon Eksport Import Tantunczok pilne

Zgoda warunki sprzedaży rano zawrzyj umowę moim bratem telegrafuj możliwość przejęcia

Matur

---

## TELEGRAM

Ligon Srebrna Dolina 18 Saad Rahman pilne

Natychmiast zacznij negocjacje Tantunczokiem w wiadomej sprawie akceptuj jego warunki czekam na wyniki jutro rano

kochający brat Matur

---

# Dyrektor Matur

Opuszczając telegraf czułem się dziwnie, jakbym był nagi. Od wielu lat nie wychodziłem na ulicę z gołymi rękami. Byłem biedniejszy o dwa złote pierścienie warte co najmniej dwa tysiące watów. Telegrafista bezczelnie odprowadził mnie uśmiechem. Rubryka wydatków była coraz dłuższa. Dochodów na razie nie było. Za to telegramy wysłałem z pominięciem cenzury wojskowej.

Miejski dom księcia Urao stoi na obrzeżach Tangi, tuż nad urwiskiem. Z ogrodu, ozdobionego dużymi, symetrycznymi trawnikami i starannie przyszczyżonymi drzewami, sprowadzanymi z Kalkuty, rozciąga się widok na wiele mil dookoła — na pasma gór i doliny, na błękitne jezioro Linili.

Ale w ten mroczny wieczór dolina kryła się we mgle.

Cudem uniknąłem spotkania z patrolem. Musiałem przesiedzieć kilka minut w kłujących krzakach. Przed bramą stał owinięty w szynel ochroniarz.

— Powiedz księciu, że przyszedł dyrektor Matur w niezwykle ważnej sprawie.

Stróż gestem kazał mi stanąć z boku, podniósł słuchawkę telefonu stojącego w niszy koło bramy i po kilku minutach podążałem w stronę szerokiego, zadaszzonego wejścia do domu, należącego kiedyś do angielskiego wicegubernatora, który spędzał tu najgorętszą część roku.

Szedłem szeroką, betonową ścieżką, a gdy pokonałem połowę drogi zauważyłem, że drzwi otworzyły się i ktoś ruszył szybko, na skrót, przez trawnik. Zastygłem przyglądając mu się. To był bandyta Pa Puo, zabity dziś rano przy próbie ucieczki.

Stałem, dopóki kroki nie umilkły w oddali.

Książę przywitał mnie w obszernym holu.

— Jak się dziś czujesz, przyjacielu? — zapytał, z charakterystyczną dla niego uprzejmością. Książę był w szlafroku, z fajką, dokładnie ogolony, świeży i rześki, jakby nie musiał spędzić całej nocy i połowy dnia na ciężkiej wędrówce. — Źle wyglądasz, Maturze. Co cię do mnie sprowadza?

— Książę — powiedziałem, starając się opanować drżenie — w ogrodzie widziałem strasznego człowieka.

— Kogo? — zapytał książę nie tracąc zimnej krwi.

— Rozbójnika Pa Puo. Żyje i poluje na ciebie.

— Nie pomyliłeś się?

— Nie mogłem się pomylić.

Książę klasnął w dłoń. Natychmiast pojawił się ochroniarz.

— Każ przeszukać teren — powiedział książę. — Mojemu przyjacielowi wydawało się, że spaceruje tutaj zabity rozbójnik Pa Puo. Jeśli go znajdziecie, przyprowadźcie go tutaj. Ale sądzę, że to duch, który pragnie zemsty.

Być może książę miał rację. Ochroniarz wykonał ręką gest odganiający złe duchy.

— Jesteśmy obaj, Maturze, cywilizowanymi ludźmi. Duchy nam niestraszne. Nieprawdaż?

Musiałem przyznać księciu rację.

W bibliotece ksiązę wskazał mi fotel i zapytał:

— Czego się napijesz?

— Dziękuję, na nic nie mam ochoty.

W ogóle nie piję alkoholu, najbardziej odpowiada mi herbata z mlekiem.

— Potrzebujesz pieniędzy? Przepraszam, zupełnie zapomniałem, że straciłeś w górach najwięcej z nas wszystkich. Proszę, weź sto watów, mara nadzieję, że starczy ci, dopóki brat nie przyśle ci więcej.

Nie można księciu zarzucić nadmiernej szczodrości, ale każdy podarunek od przyjaciela jest cenny. Z wdzięcznością przyjąłem pieniądze.

— Nie po to przyszedłem, ksiązę — powiedziałem. — Śpieszę przekazać nowinę, o której dowiedziałem się od rosyjskich geologów. Nowina tak mną wstrząsnęła, że uznałem za swój obowiązek jak najszybciej tu przybyć.

— Opowiadaj, przyjacielu — powiedział ksiązę, nalewając sobie whisky.

— Za kilka dni w Tangi będzie trzęsienie ziemi.

— Tak?

— Silne trzęsienie ziemi.

Ligon J.Sun

#### SZYFROGRAM

Natychmiast rozpocząć negocjacje z właścicielem warsztatów mechanicznych i hotelem Excelsior argumentując informacjami o zbliżającej się nacjonalizacji zapłacić nie więcej niż połowę sumy ubezpieczenia przetelegrafować wyniki szyfrem

Urao Kao

.....

#### TELEGRAMY

Tangi komendant garnizonu kapitan Boro pilne

Jaki stan zdrowia majora Tilwi czy zdolność wykonywania zadania zagwarantować pomoc medyczną

pułkownik Van

Tangi major Tilwi Kumtaton

Sytuacja trudna czy możesz kontynuować pracę konieczność zastępstwa pułkownik Van

.....

Tangi komisarz Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego

Na prośbę ambasady ZSRR przyślijcie informacje o stanie zdrowia rosyjskich geologów zagwarantujcie im dobre warunki życia

pełniący obowiązki ministra spraw zagranicznych

pułkownik Jah Polni

.....

Tangi komisarz Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego major Tilwi Kumtaton

Zorganizować obserwację rezydencji księcia Urao możliwe spotkania separatystów

pułkownik Liniok

.....

Tangi komisarz TKR

Tilwi Kumtaton

Wczoraj dwunasta czterdzieści trzy patrol graniczny w Orgale zauważył nieznany helikopter lecący w kierunku okręgu Tangi helikopter wrócił prawdopodobnie o czternastej czterdzieści pilnie wypytać ludność o lądowanie i załadunek

dowódca wywiadu pułkownik Liniok

.....

# Major Tilwi Kumtaton

Na dobre przyszedłem do siebie około piątej po południu — Miałem silne poczucie winy. Zawiodłem zaufanie brygadiera Szoswe i zamiast dbać w Tangi o interesy Komitetu Rewolucyjnego, dostałem się do niewoli i zostałem ranny. W drzwiach sali szpitalnej słyhać było ściszone głosy. Odwróciłem głowę — stał tam kapitan Boro z teczką w ręce. Pielęgniarka w zielonym stroju nie chciała go wpuścić do mnie. A on nie wiedział, nalegać czy nie.

— Proszę wejść — powiedziałem niezbyt głośno, żeby nie obudzić sąsiada z sali — leżącego nieruchomo człowieka z zabandażowaną twarzą. Gdy w ciągu dnia przywieziono mnie na salę, wymytego, obandażowanego, zapakowanego w gips, on spał. — Nie śpię. Czy są nowiny z Ligonu?

— Wszystko w porządku — rzeško i za głośno odpowiedział kapitan. Dla niego, choć chory, byłem wysłannikiem bóstwa, a reszta otoczenia nie interesowała go. — Wszystkie okręgi, oprócz południowej prowincji, uznały władzę Komitetu Rewolucyjnego.

— Południowej prowincji?

— Tam uciekł minister spraw zagranicznych. Ale jak nie dziś, to jutro opór wspólników imperializmu i wewnętrznej reakcji zostanie pokonany.

Uważnie słuchał ligońskiego radia. W jego głosie słyhać było odgłos werbli rządowej propagandy.

— Co jeszcze?

— Wysłałem do Ligonu raport opisujący wydarzenia z samolotem. W raporcie doniosłem, że winę ponoszą bandyci, którzy was uwięzili. Średnica otworów w skrzydle odpowiada kalibrowi cekaemu skonfiskowanego bandytom.

— Ani jednego nie udało się doprowadzić do Tangi?

— Ani jednego — kapitan był zmartwiony.

— Dwóch ostatnich zabił księżę Urao. Czy to nie skłania do myślenia?

— Nie jesteśmy w stanie udowodnić, że miał w tym jakiś udział, panie majorze. Starał się ich dogonić, ale żołnierze też strzelali...

— Proszę dalej...

— Mam tu radiogramy ze sztabu i z komitetu. Przejrzałem je. Większość dotyczy katastrofy i rosyjskich geologów. Wyobrażam sobie, jaki wrzask podniósł się w Ligonie gdy samolot przepadł bez wieści. Nasz rząd rewolucyjny chce pokazać całemu światu, że pewnie trzyma władzę. Każdy napad na cudzoziemców będzie traktowany przez wrogów jako przejaw słabości.

— A przy okazji, co z nimi?

Kapitan Boro domyślił się, o kogo mi chodzi.

— Zakwaterowaliśmy ich w „Excelsiorze”. To dobry hotel. Poszli spać. Pewnie jeszcze śpią.

— Jutro przydzielicie im ochronę, która ma wykonywać ich polecenia. Pamiętajcie o transporcie.

— Konieczne. A jeśli to nie tajemnica, na czym polega ich misja?

- Zajmują się trzęsieniami ziemi.
- Dawno nie było u nas trzęsienia ziemi.
- Mówią, że niedługo będzie.

Boro był wstrząśnięty i nawet nie starał się tego ukryć.

- Dowiedzieli się o tym w Rosji?
- W Rosji. A teraz możecie odejść.
- Jeśli chodzi o śledzenie separatystów...
- Nie macie tam swojego człowieka?
- Jak by to powiedzieć...

Kapitan Boro popatrzył spod oka na mojego sąsiada z zabandażowaną twarzą.

— Nie ma się czym przejmować — mój sąsiad odezwał się nieoczekiwanie, jakby poczuł spojrzenie kapitana. — Wiem, kto jest waszym człowiekiem u księcia. Obawiam się, że książę też to wie, ale nie rusza go, żebyście nie podesłali nowego.

— Szanowny Wasunczok? To pan? — zawołał kapitan Boro.

— We własnej osobie.

— Całkiem zapomniałem! Jak pańskie zdrowie?

— W tej chwili nic mu nie zagraża. — Głos mojego sąsiada zadrżał, jakby chciał się roześmiać.

— To ja już pójdę — kapitan Boro wstał. — Mam dużo spraw do załatwienia.

Gdy kapitan wyszedł, zapanowała cisza. Mój sąsiad milczał. Ciekawe, kim jest? Skąd ma takie informacje o księciu Urao i sprawach komisarza wojskowego?

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka w zielonym fartuchu. Tym razem goście przyszli do mojego sąsiada.

— Panie Wasunczok, goście do pana. Zobaczyłem moją towarzyszkę podróży, Lami. Domyśliłem się, że była już u tego człowieka rano, bo przywitali się spokojnie.

— Lekarstwo pomaga ci, tato? — zapytała Lami. Wtedy dostrzegła mnie.

— Pan major! — krzyknęła. — Jakże się cieszę! Dobrze się pan czuje?

— Wspaniale — odpowiedziałem. — A więc to jest twój ojciec?

— Tato — powiedziała Lami uroczyście — major Tilwi naruszył zasady, po to, żeby wziąć mnie na pokład, bo powiedziałam, że wiozę dla ciebie lekarstwo.

— Lepiej powiedz, że przez niego o mało nie zginęłaś — sprzeciwił się ojciec. — Mam szczęście, że ukryto przede mną złe nowiny o samolocie. Jestem wdzięczny, majorze. Wiem, co to znaczy wziąć cywila na wojskowy lot.

— To cioteczka Amara — powiedziałem. — Boję się jej bardziej niż trybunału wojskowego.

— Wyobrażam sobie — powiedział Wasunczok. — Nigdy nie była zbyt łagodna dla naszej rodziny.

— Dla mnie też nie — powiedziałem.

— To ona pomogła ci zdobyć lekarstwo?

— Nie — odpowiedziała cicho Lami.

— A kto?

Lami zaczerwieniła się. Widziałem jej profil. Milczała.

— Dlaczego milczysz?

— Zdobyłam je... od obcych.

— Nie chcesz, nie mów. Jestem starym, niewdzięcznym Piernikiem. Ale muszę z radością

zauważyć, że w stolicy nie nauczyłaś się kłamać.

Zobaczyłem, że policzki Lami zrobiły się malinowe. Chciała zapaść się pod ziemię. Po co taka tajemnica? Gdy Lami wyszła, jej ojciec powiedział:

— Tak niezręcznie wyszło z moją raną.

— O niczym nie wiem.

— Jestem komendantem rejonu policji w Tangi.

Oczywiście, powinienem o tym wiedzieć. Przed odjazdem Van dał mi spis urzędników tego rejonu, ale nie zdążyłem się z nim zapoznać.

— No cóż, miło poznać — powiedziałem. — Komisarz TKR, major Tilwi.

— Wiem. Wiem teraz o wiele więcej niż ty, chłopcze. I nie gniewaj się, że cię tak traktuję. Jesteś synem mojej ciotecznej siostry i w dzieciństwie bywałeś w naszym domu, oczywiście, nie pamiętasz tego.

— Nie — przyznałem. — Tyle lat minęło... Jeśliby nie był pan zabandażowany...

Nie zdziwił się, ani nie obraził. Nasza rodzina, jak to zazwyczaj bywa w Ligonie, jest duża, ciotecznych wujków mam ze trzydziestu.

— Odpocznę trochę — powiedział. — Zmęczyłem się. Ale nie milczał długo. Minęły może dwie minuty, gdy znowu usłyszałem jego głos:

— Nie wierzysz, że Pa Puo nie żyje?

— Znasz go? — zapytałem.

— Były komandos. Zatwardziały przestępca. Swojego czasu uciekł z więzienia w Ligonie.

— Jest związany z księciem Urao?

— Nie mogę powiedzieć na pewno. Nie wiem. Pa Puo pochodzi z gór, z Kangemu. Tam od wieków żyje się z przemytu. Służył kiedyś w armii jako sierżant. Jakies pięć lat temu próbował zorganizować własną bandę przemycającą opium. Ale grubsze ryby go wygryzły. Potem najął się u kogoś... ale nie sądzę, żeby to był Urao. Jest dżentelmenem i nie ryzykowałby powiązań z takim indywiduum jak Pa Puo.

Dziwna to była rozmowa. Dwóch ludzi, odpowiedzialnych za porządek w kraju, leżało w sali szpitalnej i dyskutowało o przestępcach. A ci byli na wolności.

— Zaciekawilo mnie miejsce, gdzie zestrzelono samolot... — kontynuował Wasunczok. — Proszę przypomnieć sobie układ łańcuchów górskich i dolin: nasze miasto znajduje się na skraju płaskowyżu. U podnóża płaskowyżu znajduje się szeroka dolina, przez którą płynie rzeka Linili, wpadająca do jeziora o tej samej nazwie. Za doliną widać trzy równoległe, niewysokie, pokryte drzewami grzbiety gór. Między nimi są dwie przełęcze, też dzikie, prawie nie zamieszkałe, tylko w jednym miejscu, między dwoma położonymi najbliżej Tangi grzbietami, przełęcz rozszerza się i leży w niej wieś Longi, z której biegnie droga do szosy Mitili–Tangi. Widzisz to?

— Na razie wszystko jest jasne.

— Samolot do Tangi powinien lecieć nad doliną Linili i nad jeziorem. Ale samolot zboczył z kursu i poleciał nad przełęczą, w której znajduje się wieś Longi. Tam właśnie go zestrzelono. Zniżając się, samolot przemknął między szczytami i spadł w odległym miejscu przełęczy, między drugim a trzecim pasmem wzgórz.

— I co z tego?

— Ludzie, którzy strzelali do samolotu, nie wiadomo dlaczego znajdowali się na pierwszej przełęczy. A to znaczy, że oddzielało ich od szerokiej i gęsto zasiedlonej doliny Linili tylko



niewysokie pasmo gór. Chciałbym porozmawiać z pilotem...

— Po co?

— Trzeba dokładnie określić miejsce, z którego strzelano do samolotu. Podejrzewam, że strzelano z polany, od której biegnie ścieżka do jaskiń nad jeziorem Linili.... To niedaleko.

— A jeśli tak było?

— Zraniono mnie nad jeziorem Linili, gdy podążaliśmy za bandą przemytników, starając się znaleźć ich kryjówkę. Miałem doniesienia, że znajduje się ona w okolicy jaskiń. Ale byliśmy nieostrożni i wpadliśmy w zasadzkę.

Trzęsienie ziemi w Kalabrii na Sycylii, 15/28 grudnia 1908 r

Nieskładne słowa ludzi, którzy uratowali się od śmierci, splatają się w opowieść jednego stworzenia, które rankiem jakby uniosło się nad ziemią, a jego wzrok wyostrozony przerażeniem, ogarnął cały obraz ataku żywiołu na człowieka.

W przeddzień katastrofy i całą poprzedzającą ją noc wyl wiatr morze ze złością uderzało falami o brzeg: chowając się przed niezwykłym chłodem mieszkańcy Messyny i przybrzeżnych miejscowości Kalabrii szczelnie zamknęli drzwi i okna domów i spali mocnym snem.

O 5:20 ziemia drgnęła: pierwszy wstrząs trwał prawie dziesięć sekund — trzaski skrzypienie futryn, drewnianych belek, brzęk szkła, huk padających schodów obudziły śpiących; ludzie zerwali się, czując całym ciałem podziemne wstrząsy, od których nieoczekiwanie tracili przytomność i napęlniali się zabijającym wszelki rozsądek strachem.

...Wygiętych drzwi nie można było otworzyć w ciemności, pod ręką nie był nic, czym można by je rozbić, wyłamać futrynę i zawiasy. Gdy ludzie wydostali się na korytarze, wpadali w oślepiającą chmurę drobnego pyłu. W ciemnościach wszystko się bujało, przewracało, z hukiem wpadało do otwierających się nagle przepaści. W miejscu schodów ziały ciemne dziury, z nich wydobywał się ten straszny pył; zdezorientowani ludzie chwyтали dzieci na ręce i z krzykiem rzucali się w dół, szukali ziemi, łamali sobie kości, rozbijali głowy, czołgali się po stertach gruzu, zlewali krwią kamienie i śmieci, a dookoła wszystko drżało pod naporem wciąż nowych wstrząsów, zewsząd dochodziły krzyki i jęki tysięcy ludzkich głosów. W mroku, jeden za drugim waliły się budynki, podskakiwały kamienie, sypał się wapień, rozgniatając ociekające krwią, na wpół gołe ciała drżących z zimna i strachu ludzi.

...Ziemia głucho wyła, jęczała, falowała pod nogami tworząc ogromne pęknięcia, jakby gdzieś głęboko obudził się ogromny robak — ślepy, pełźnie w ciemności, jego mięśnie naprężają się i rozrywają ziemię, zrzucając z niej budynki na ludzi i zwierzęta...”

Maksym Gorki *Trzęsienie ziemi w Kalabrii i na Sycylii*

St. Petersburg, 1909

# Jurij Sidorowicz Wspolny

Do późna w nocy za ścianą słycać było głosy — moi koledzy doprowadzali do porządku aparaturę. Nie przeszkadzałem im. Wpadłem do nich tylko, gdy złożył nam wizytę kapitan Boro, dowódca tutejszego garnizonu. Obiecał podstawić na rano samochód, żebyśmy mogli rozejrzeć się po Tangi i wybrać miejsce na rozstawienie przyrządów. Gdy kapitan góro nas opuścił, Otar powiedział, że moja pomoc raczej nie będzie już dzisiaj potrzebna i poradził mi odpocząć. Uznałem, że to rozsądna propozycja i resztę wieczoru spędziłem porządkując notatki.

Położyłem się wcześniej spać, mimo że wyspałem się w dzień. Dlatego długo nie mogłem usnąć i wsłuchiwałem się w stukot kropli deszczu za oknem, szum sosen, odległą pieśń i niewyraźne głosy za ścianą. Staralem się odpędzać od siebie myśli, które wracały jak natrętna mucha — myśli o zbliżającej się śmierci, o tym, jak cienka jest granica między życiem a przypadkiem, który jakby od niechcenia zrywa nić życia. Jeśli upadek samolotu był wydarzeniem, na które nie miałem żadnego wpływu, to rozważając z perspektywy czasu moją potyczkę z bandytą Pa Puo, trzeba przyznać, że mój zryw, chociaż uzasadniony okolicznościami, w zasadzie nie był typowy dla mojego charakteru i zdecydowanie odbiegał od tego, co o sobie myślę. Najczęściej dobre rozwiązanie albo odpowiedź znajduję dopiero, gdy upłynie nieco czasu, a podczas kłótni i sporów mam skłonność do popełniania błędów i chętnie zgadzam się na kompromis. Zawsze bałem się sytuacji naprawdę krytycznych, zmuszających mnie do natychmiastowego podjęcia decyzji. Wyjaśnię: nie znoszę, gdy dzieci stoją na skraju peronu i ze wszystkich sił staram się zwrócić na to uwagę ich rodziców lub samemu odprowadzić dziecko w bezpieczne miejsce. Nie mogę patrzeć jak dzieci albo moja mama wychodzą na balkon. W takich sytuacjach moja żywa wyobraźnia natychmiast tworzy obraz dziecka spadającego na tory lub z balkonu. Wiem, że nie byłbym w stanie rzucić się na tory za dzieckiem, robię więc wszystko, żeby za — pobiec krytycznej sytuacji. Ale jak można w takim razie wytłumaczyć napaść na uzbrojonego, rozwścieczonego człowieka? Wyjaśnienie na pewno kryje się w mojej strachliwości. Kierował mną ten sam instynkt, który każe mi zabrać dziecko z brzegu peronu. Zapobiegałem niebezpiecznej sytuacji, chociaż zwróciłem na siebie uwagę bandyty.

Obudziłem się bardzo wcześnie, o świcie, a błękitne światło tak bardzo przypominało wczorajsze promienie światła prześwitujące przez ściany chaty, że cały napiąłem się wewnątrz. Na szczęście strach trwał tylko chwilę. Usłyszałem za ścianą głos Wołodii Li i zrozumiałem, że pora wstawać.

W sąsiednim pokoju zobaczyłem zadziwiającą scenę. Wyglądało jakby w ogóle nie kładli się spać. Podłoga była usłana częściami, a pośród nich, jak chłopcy bawiący się kolejką, siedzieli trzej mężczyźni: Kotrikadze, Wołodia i nieznany mi Ligończyk o silnie zarysowanych kościach policzkowych. Zabawa tak ich wciągnęła, że nie od razu mnie zauważyli.

— Jedliście śniadanie? — zapytałem. I natychmiast pomyślałem, że moje pytanie jest bez sensu — restauracja była jeszcze zamknięta. Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść — powiedział Kotrikadze nie odrywając oczu od wydruku schematu.

W otwartych drzwiach stał żołnierz, którego twarz była mi znajoma.

Naszyty na rękawie jego kurtki pysk tygrysa potwierdził moje podejrzenia — ten symbol nosili żołnierze towarzyszący nam w samolocie.

Automat przewieszony przez ramię przeszkadzał mu nieść jasnopomarańczowy termos z pasiastymi pszczołami na błyszczących ściankach. W drugiej ręce trzymał metalowe kubki. Żołnierz przywitał mnie jak starego znajomego.

— Aha — powiedział Kotrikadze, jakby przez całe życie żołnierze uzbrojeni w automaty przynosili mu termosy. — Proszę tutaj postawić, sierżancie.

Powiodłem wzrokiem za sierżantem i zobaczyłem na stole dwa takie same termosy oraz rząderek kubków z niedopitą kawą i resztki kanapek.

Sierżant postawił termos, postął przez chwilę na środku pokoju przyglądając się pracującym, potem spokojnie odłożył automat na kanapę, usiadł obok i spokojnie usnął.

Nagle dotarło do mnie, że nie ma sensu besztać tych ludzi za głupie wykorzystanie dnia pracy. Wysłuchają mnie grzecznie, ale zdziwią się — jakim prawem wtrącam się do czegoś, co znają i potrafią znacznie lepiej ode mnie? Pożałowałem nawet, że nie mam wykształcenia technicznego, że w szkole ze wszystkich przedmiotów ścisłych miałem „mocne trójki”, czym nie tyle martwiłem mamę, co utwierdzałem ją w przekonaniu, że stoi przede mną otworem kariera pisarza lub lingwisty. Ci ludzie zajmowali się swoimi, niedostępnymi dla mnie gramami, a ja byłem tylko obserwatorem.

— Juriju Sidorowiczu — powiedział Wołodia — proszę napić się kawy, bo restauracja jest jeszcze zamknięta. Nam przynosi sierżant Lawo z kuchni garnizonowej.

Podziękowałem i nie odmówiłem łyka kawy i świeżej kanapki. Smak miejscowego chleba wydał mi się dużo lepszy niż w Ligonie, gdzie przypominał watę. Siedziałem na kanapie obok śpiącego żołnierza.

— Głowa nie boli? — zapytał Kotrikadze, przedstawiając mnie młodemu Ligończykowi. Był to mechanik, Fen La.

— Nie, dziękuję.

Instynktownie podniosłem rękę i pomacałem guza, który został mi na czole jak bojowe odznaczenie.

— O ósmej przyjedzie samochód. Pewnie będzie pan chciał pojechać z nami.

— Uważam to za swój obowiązek — powiedziałem. — Chyba powinienem się przebrać?

Kotrikadze przytaknął.

Nie musiałem się przebierać. Ale wykorzystałem to jako wymówkę, aby uwolnić się od ciąży mi świadomości własnej nieprzydatności i opuściłem pokój.

Nie dotarłem jednak do swojego pokoju. W korytarzu czekał na mnie dyrektor Matur.

— Dzień dobry — przywitał mnie. — Wcześniej pan wstaje. To znaczy, że jest pan dobrym pracownikiem. Tylko lenie śpią do południa.

Nie mogłem wyminąć go w wąskim korytarzu i umknąć przed niechcianymi zachwykami.

— Pańscy przyjaciele też pracują? Zawsze zachwycała mnie pracowitość narodu rosyjskiego. Wielkie osiągnięcia socjalizmu są rezultatem pełnej poświęcenia pracy. A ja, jako człowiek postępowy, mogę was tylko podziwiać!

Nowy garnitur Matura był na niego za ciasny. Gdzieś znikły błyszczące pierścienie. Czyżby nas towarzysz podróży zbankrutował i zmienił świadomość klasową? Niezbyt prawdopodobne.

— Przyjechać po to, żeby pomóc malutkiemu, dalekiemu krajowi! Ryzykować dla nas własnym życiem i zdrowiem, to najwyższy przejaw humanitaryzmu, nieprawdaż? I to zupełnie bezinteresowny!

O mało nie rozpląkał się ze wzruszenia. Czekoladowe żrenice bez przerwy poruszały się w żółtych, poprzecinanych czerwonymi żyłkami, białkach oczu.

— Nie podejrzewaliśmy, że straszna klęska jest tak blisko. Teraz, razem z wami, uratujemy nasz mały kraj. Żebyśmy tylko zdążyli! Jak pan sądzi, zdążymy?

Zastygł z wół otwartymi ustami. Czekał na odpowiedź.

— Za wcześnie, żeby o tym mówić — odpowiedziałem z rezerwą, starając się znaleźć jakąś szczelinę między ścianą korytarza a obfitym ciałem naszego przyjaciela. — Nad tym właśnie pracują moi towarzysze. Ale na razie nie można powiedzieć nic konkretnego.

— Ale może chociaż w przybliżeniu? Z dokładnością do dwóch dni? Przecież trzeba uprzedzić ludność?

— Gdy tylko będziemy coś wiedzieli, z pewnością poinformujemy.

Nie odważyłem się ukryć w pokoju, do którego mógł za mną podążyć. Zamiast tego wróciłem do Kotrikadze, z ulgą zatrzaskując drzwi. W pokoju nic się nie zmieniło. Wołodia j mechanik kłócili się na boku używając dziwnej mieszanki języków i podtykając sobie nawzajem pod nos jakiś przedmiot. Kotrikadze sprawdzał zawartość otwartej skrzynki, wypchanej wydrukami schematów i przewodami. Sierżant Lawo spał na kanapie, trzymając automat na brzuchu.

Kotrikadze przerwał swoje zajęcie i spojrzał na mnie.

— Nie przebrał się pan? — zapytał.

— Otarze Dawidowiczu — powiedziałem — proszę pamiętać, że mamy obowiązek poinformować władze o przewidywanym terminie trzęsienia ziemi. Muszą przecież podjąć odpowiednie kroki. Niektórzy już się dopytują...

— Ma pan absolutną rację, Juriju Sidorowiczu — powiedział uprzejmie Kotrikadze. — Cały czas o tym pamiętam.

Stałem bez ruchu na środku pokoju, żeby przypadkiem na coś nie nadepnąć. Kotrikadze ulitował się nade mną.

— Juriju Sidorowiczu — powiedział — jeśli nie jest pan zajęty, może byłby pan uprzejmy nam pomóc. Tam w korytarzu leżą śruby. Proszę posortować je według wielkości.

*Zapis zeznania Dani Jah Dumali, pilota państwowych linii lotniczych „Ligon Airways”, złożonego w szpitalu miejskim w Tangi, 12 marca 1976 r.:*

*O 14:10, z powodu zbliżającego się frontu monsunowego, podjęto decyzję o zmianie kursu z północno-północno-zachodniego na północno-zachodni, z zamiarem powrotu na kurs w stronę lotniska po przecięciu drogi Migali-Tangi. Nie poinformowaliśmy Tangi o zmianie kursu. Lecieliśmy nowym kursem do 14:22, po czym zostaliśmy ostrzelani z ziemi z karabinu maszynowego, w wyniku czego uszkodzona została połać lewego skrzydła i lewy silnik.*

*— Na jakiej wysokości leciał samolot?*

*— Trochę ponad 2400 m, jednak w stosunku do poziomu górskiej doliny, wysokość nie przekraczała 600–800 m.*

*— Czy tak niski lot nad górami nie był niebezpieczny?*

*— Nie. I ja, i pierwszy pilot dobrze znamy te okolice. Ponadto chcieliśmy zaoszczędzić czas*

*potrzebny na lądowanie w Tangi, podchodząc do lotniska na minimalnej wysokości.*

*— Czy w chwili ostrzału udało się wam coś zaobserwować na ziemi?*

*— Tak. Przelatywaliśmy nad wąską długą polaną w dolinie rzeki Longi. Na polanie widziałem rozłożone spadochrony, kilku ludzi i konie.*

*— Jak zareagowaliście?*

*— Krzyknąłem do pierwszego pilota: patrz, spadochrony! Ale z ziemi natychmiast otwarto ogień — nie od razu zorientowałem się, o co chodzi. Silnik zapalił się.*

*— Nie rozmawialiście o spadochronach?*

*— Oczywiście, że nie. Myśleliśmy już tylko o tym, jak uratować samolot.*

*— Ale mieliście jakieś podejrzenia, gdy zobaczyliście spadochrony?*

*— Pomyślałem, że to przemytnicy. Niedaleko stąd jest granica. Ale wtedy myślałem tylko o tym, jak wylądować. Mieliśmy niewielkie szanse.*

*— Może zauważyłeś coś jeszcze?*

*— A co powinienem zauważyć? Znaki rozpoznawcze? Twarze? Próbował pan kiedykolwiek zrobić coś na wysokości niecałego kilometra przy prędkości czterystu kilometrów na godzinę?*

*— Nie, nie próbowałem.*

*Zeznanie zarejestrował inspektor policji miasta Tangi, E. Mintani. Zeznanie odczytano na głos pilotowi Dani Jah Dumali, który je podpisał. Przysłuchanie przeprowadzono na rozkaz komendanta policji miasta Tangi, Jah Wasunczoka, za zgodą komisarza Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego.*

„Aż strach pomyśleć, na jakie niebezpieczeństwo wystawia się człowiek mieszkający w Tokio...” — przyznał były premier Japonii Kakuei Tanaka, gdy dwieście kilometrów na południe od Tokio, w południowej części półwyspu Izu, zarejestrowano najsilniejsze od dziesięciu lat trzęsienie ziemi. Było tak silne, że w stolicy zatrzęsły się drapacze chmur. Liczba zabitych dosięgła 30 osób. 150 budynków zostało doszczętnie zburzonych, a ponad tysiąc ucierpiało częściowo. Spowodowało to wybuch strachu wśród ludności, tym bardziej, że Japończycy nie zapomnieli jeszcze 1 września 1923 roku, gdy podczas „trzęsienia ziemi stulecia” zginęły ponad 143 tysiące mieszkańców Tokio.

Strach ten zwiększyły jeszcze prognozy japońskich i amerykańskich ekspertów. Uчени przewidują, że w ciągu najbliższych lat w Japonii należy oczekiwać kolejnych trzęsień ziemi, tak silnych, że mogą uśmiercić do miliona osób... Prognozy te wykorzystał podczas pisania bestsellera „Śmierć Japonii” znany autor, Saiko Kamazu. Książką tą, a potem filmem, spowodował prawdziwą panikę: Kamazu pisze o katastrofie, w której zginęło 40 milionów ludzi, a sama Japonia przestała istnieć...”

Gazeta Żywot Bratysława, luty 1975

.....  
TELEGRAMY

Tangi hotel Excelsior dyrektor Matur pilne 12 marca 4:46 z Ligonu

Otrzymałem telegram Tantunczok się zgadza twojej gotówki za mało co robić

Kochający brat Saad

.....  
Tangi komisarz Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Tilwi Kumtaton pilne

Nie możemy spełnić prośby dwa helikoptery powodu działań wojskowych na południu kraju korzystajcie z własnych zasobów

pułkownik Van

.....  
Ligon Srebrna Dolina 18 szanowny Saad 7:15 z Tangi

Raz życiu zaryzykuj własne pieniądze gwarantuję dziesięć Procent od zainwestowanego kapitału  
kochający brat Matur

.....  
Ligon (TASS–LigTA) 12 marca

W Ligonie opublikowano postanowienie Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego o nacjonalizacji handlu zagranicznego a także przejęciu bez rekompensaty największych firm zagranicznych. Znalazły się wśród nich „Ligon–Shell Corp.”, „Ligon–British Wolfram Tungsten Ltd.” i wiele innych. Ligońskie społeczeństwo z wielkim zadowoleniem przyjęło postanowienie rządu rewolucyjnego o likwidacji wpływów zagranicznego kapitału. W wystąpieniu poświęconym ostatnim decyzjom Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego, jego przedstawiciel, brygadier Szoswe zauważył, że jest to krok rządu mający na celu umocnienie ekonomicznej niezależności kraju i likwidację dyktatu zagranicznych monopolii. Szoswe nadmienił także, że w chwili obecnej Komitet Rewolucyjny zajmuje się problemem nacjonalizacji dużych przedsiębiorstw krajowych.

# Major Tilwi Kumtaton

Przewyciężyłem słabość, zmusiłem się rano, by wstać i doczłapać do komendantury. Było wcześnie. Ulicą szły pracownice do fabryki zapalek, dzieci biegły do szkoły przy misji. Zaprzężone w bawoły wozy ciągnęły na bazar. Na rozległym trawniku przed pałacem gubernatora, do którego jeszcze wczoraj nakazałem przenieść komendanturę, było sporo ludzi. Przy wejściu dwóch żołnierzy leniwie opędzało się od osób pragnących dostać się do środka. Czując, że wszystkie spojrzenia są skierowane na mnie, wyprostowałem się. Niedaleko wejścia, trochę z boku, stała grupa młodzieży, na pierwszy rzut oka uczniów starszych klas, z plakatami „Niech żyje rewolucja!” „Precz z wyzyskiwaczami!”, „Zabrania się zabraniać!” i „Nasz wódz — Mao!”. Idąc przeczytałem hasła, ale nie rozumiałem, czy młodzież popiera rewolucję, czy nie. Wszelkie wątpliwości znikły, gdy usłyszałem okrzyki, w których nazywali mnie militarystą i reakcjonistą i żądali, żebym opuścił miasto i pozwolił im dokonać własnej rewolucji. Jakaś kobieta w białej, żałobnej szacie rzuciła się w moją stronę wyciągać zapisaną kartkę. Ukłoniła się, a ja wziąłem papier. Natychmiast w moją stronę wyciągnęły się inne ręce z prośbami ; skargami. Jeden z żołnierzy zszedł ze schodków i zaczął odganiać petentów.

— Nie szkodzi — powiedziałem do niego — nie denerwuj się. W korytarzu, prowadzącym do gabinetu gubernatora, stali zbici w ciasną gromadkę ojcowie miasta. Wyglądali niepewnie, jakby chcieli coś zrobić, przedsięwziąć, powiedzieć, wymyślić, ale nic nie wymyślili, a odejść było im wstyd. Były wśród nich twarze, które znałem od dziecka — właściciel cukierni koło bazaru, dyrektor szkoły, aptekarz... W małym mieście ludzie żyją długo i autorytet zdobyty dawno temu starcza na długie lata. Tangi nie jest współczesnym miastem. Jest tu niewiele fabryk i warsztatów, nie przybywają tu energiczni ludzie, wręcz przeciwnie, starają się stąd wyjechać w doliny, gdzie można się dorobić.

Wszedłem do gabinetu gubernatora — teraz był to mój gabinet. Przy biurku siedział kapitan Boro. Kapitan podskoczył, nie ukrywając, że moje przybycie ucieszyło go — teraz mógł pozbyć się odpowiedzialności.

— Jak się pan czuje, majorze? — zapytał się.

Kręciło mi się w głowie, ręka bolała, więc odpowiedziałem:

— Nie będziemy dyskutować o moim zdrowiu. Wypuściliście więźniów politycznych?

— Czekałem na oficjalne potwierdzenie, panie majorze. Miałem tylko polecenie ustne, a żadna depesza na ten temat z centrum nie przyszła. Poza tym nie do końca rozumiem, kogo należy zaliczyć do tej kategorii. Mam w więzieniu trzech komunistów... — wyjął z kieszeni kartkę z notatką, żeby się nie pomylić — spod czerwonej flagi, czyli popierających Chiny, 1 sześciu komunistów spod żółtej flagi, czyli o orientacji rosyjsko-wietnamskiej, sześciu przemytników, którzy utrzymuje że zajmują się tym wyłącznie w imię uwolnienia narodu Fonów, a także uczestnika wczorajszej demonstracji popierającej Jah Rolaka.

— Niech na razie siedzą — powiedziałem — poczekamy na instrukcje.

Przez otwarte okno wpadały do środka fragmenty wojskowej pieśni, śpiewanej przez ekstremistów.

— A z nimi co zrobić? — zapytał Boro.

— Na razie niech śpiewają — powiedziałem. — Proszę przynieść mi wykaz urzędników. I pomyśleć, kto mógłby tymczasowo zastąpić cywilnego gubernatora?

— Może burmistrz? — zapytał bez przekonania Boro.

Zgodziłem się i wypilem szklanekę wody podaną przez usłużnego kapitana.

#### TELEGRAM

.....  
Tangi Excelsior do dyrektora Matura pilne 12 marca odebrano o 9:06 z Ligonu

Okoliczności wymagają wolnego kapitału każdy wat się liczy nie mogę się zgodzić na dziesięć procent minimum piętnaście

kochający brat Saad  
.....

Ligon. Agencja Reutera. 12 marca.

Zgodnie z doniesieniami z Kuala Lumpur, rząd wojskowy w Ligonie napotkał w południowej prowincji silny opór, na czele którego stoi zbiegły minister spraw wewnętrznych Republiki Ligon. Wczoraj wieczorem do jego oddziałów dołączył batalion sił specjalnych policji, który siłą wyrwał się z Ligonu. Opór na południu podgrzewany jest wystąpieniami książąt z północnych gór. Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Wielkiej Brytanii oznajmił na konferencji w Londynie, że w świetle panującej w Ligonie trudnej sytuacji, rząd Jej Królewskiej Mości wstrzyma się chwilowo z uznaniem Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego.

#### TELEGRAM

.....  
Ligon Srebrna Dolina 18 szanowny Saad Smuci mnie bezwzględność najbliższego przyjaciela i krewnego zgoda na piętnaście procent

kochający brat Matur  
.....



# Władimir Kimowicz Li

O pierwszej w nocy, gdy zbieraliśmy się powoli do snu, pojawił się przysłany przez komendanta technik Fen La. Przyszedł dowiedzieć się, jakiej pomocy potrzebujemy i został do rana.

Chłopak okazał się górą z plemina Fonów, zamieszkującego nad brzegami jeziora Linili, zajmującego się rybołówstwem oraz uprawą herbaty na stokach gór i nie uznającego władzy książąt. Ale najważniejsze było to, że miał bzika na punkcie techniki. Na widok naszych przyrządów oczy mu się zaświeciły, a Otar powiedział do mnie: „To nasz człowiek. Zabierzemy go ze sobą do instytutu”. Oczywiście, Otar żartował, ale wcale niegłupio byłoby przyjąć go do instytutu. Zdarzają się ludzie z talentem, jak muzycy. A przecież ten Fen i plemina Fonów do dziesiątego roku życia nie widział maszyny bardziej skomplikowanej niż rower. Za to gdy znalazł się w mieście, opanowała go miłość do śrub, nakrętek i diod. Gdy o świcie pojawił się u nas Wspólny, doszedł do wniosku, że ja i Otar jesteśmy tak oddani sprawie, że nie śpimy po nocach i pracujemy. Nie będziemy przecież wyjaśniać naszemu Pickwickowi, że w tym towarzystwie najbardziej oddany sprawie jest zaniedbany i niedożywiony przedstawiciel rozwijającego się kraju, a nie posłańcy kraju zwycięskiego socjalizmu. Praworządny Pickwick nie uwierzyłby. A nam po prostu nie wypadało iść spać, gdy złote ręce technika Fen La ratowały kraj przed klęską żywiołową.

Podczas nocnych prac naprawczych Fen La dowiedział się po co przyjechaliśmy i obiecał przedstawić nas odpowiednim ludziom w warsztatach mechanicznych, bo tutaj też najbliższa droga prowadzi dookoła. Nikt tu nie ma pojęcia, co może wyniknąć z przewrotu. Co prawda na poprawę raczej nie liczą — jest to piąty przewrót w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Po pewnym czasie do naszego małego, ale zgranego kolektywu dołączył sierżant Lawo z automatem, z którym nie rozstawał się podobnie jak Wspólny z okularami. Lawo to nasz ochroniarz. Przez całą noc przynosił nam kanapki i termosy z kawą, a w wolnych chwilach drzemał na kanapie.

Do rana udało nam się zakończyć część napraw, resztę odwieźliśmy do warsztatów mechanicznych, przekonani, że Fen La nas nie zawiedzie i pojechaliśmy szukać miejsc, w których ustawimy czujniki.

Jechaliśmy wojskowym jeepem. Sierżant Lawo trzymał na kolanach automat i termos. Otar trzymał na kolanach mapę otrzymaną od przewidującego kapitana Boro. Wspólny trzymał notatnik, a ja torbę Otara — wszyscy mieli zajęte ręce.

Jeep niespiesznie toczył się przez centrum miasta, więc w końcu mogłem przyjrzeć się okolicy. Ucieszyłem się szczerze widząc maleńki sklepik z pamiątkami. Od czasu gdy moje delhijskie słoniki przepadły w katastrofie, czułem się zubożony.

Klimat jest tu zmienny, a roślinność dziwnie się miesza w ogrodach i między domami: rosną tu i palmy, i sosny, i kaktusy, i liany, i bambusy. Wyobraźcie sobie sosnę, oplataną lianami grubości męskiego ramienia. Do tego na lianie siedzi małpka, a pod sosną drzemie kudłaty pies, brat naszego

podwórkowego Burka. Dlatego właśnie Tangi wydało mi się bajkowym miastem, ozdobnym i trochę nierealnym.

Moja specjalizacja jest dość smutna. Rzadko kiedy udaje mi się odwiedzić spokojne miasto. Najczęściej przyjeżdżam do miejsc dotkniętych trzęsieniem ziemi, zburzonych, uginających się pod brzemieniem nieszczęścia, zniszczonych i smutnych. My, sejsmolodzy, przypominamy patologów — mamy do czynienia z nagle przerwaniem życia. Teraz będziemy przyjeżdżać do żywych, zdrowych miast. Wystarczy sekcji, niech żyje leczenie!

Podjechaliśmy do luksusowej willi, wybudowanej najwyraźniej jeszcze za czasów kolonialnych. Przed willą stały trzy wojskowe jeepy i transporter opancerzony w barwach maskujących. Dookoła było sporo ludzi, niektórzy z transparentami. Kad domem powiewała flaga Ligonu — biała z ukośnym, niebieskim pasem i białą gwiazdą na pasie. Tutaj nasz jeep zahamował, a kierowca podszedł do dowódcy po talony na paliwo, żeby zatankować po drodze. Gdy czekaliśmy, humor mi się popsuł. Z czego niby tak się cieszyłem? Tak, teraz będziemy przyjeżdżać do żyjących miast, ale w nich, tak jak w chorym ciele, czai się niewidoczny i bezwzględny wróg. I zabije je. A ten dom, który stoi tu od stu lat, przewróci się, podnosząc tumany pyłu, starannie utrzymany trawnik rozerwie poszarpana szczelina... Zrobiliśmy krok do przodu, zostaliśmy chirurgami, uczymy się przewidywać chorobę, możemy nawet na czas wywieźć z miasta ludzi i maszyny, łóżka i krzesła. Ale nie umiemy, i jeszcze długo nie będziemy umieć, zapobiegać trzęsieniom ziemi. A dobrze byłoby móc. Na jutro przewidziano trzęsienie ziemi w rejonie Valparaiso. I natychmiast naciskamy guzik: „Zlikwidować napięcia w rejonie Valparaiso, na głębokości osiemdziesięciu kilometrów”. I Valparaiso śpi spokojnie.

— Pesymistyczne myśli? — zapytał Otar.

— Widać po mnie?

Z domu wyszedł major Tilwi. Rękę miał na temblaku, ale poza tym wyglądał bardzo dobrze. Ucieszyłem się na jego widok. Za Tilwi, nie zważając na powagę, biegł kapitan Boro. Otar otworzył drzwi jeepa i zeskoczył na ziemię. Ja i Wspólny podążyliśmy za nim. Przywitaliśmy się jak starzy znajomi.

— Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie daje mi spokoju. Niepokoi ich wasze zdrowie — oznajmił Tilwi.

— Poinformowałem ambasadę — odpowiedział Wspólny. — Wszystko w porządku.

— Zaczęliście pracę? Jak sprzęt?

— Wszystko w porządku — Otar wszedł w słowo Wspólnemu. — Dużo zrobiliśmy sami. Resztę odwieźliśmy do warsztat, mechanicznego. Bardzo nam pomógł kapitan Boro.

— Poślę tam człowieka — powiedział Tilwi.

— Nie trzeba — sprzeciwił się Otar. — Już się dogadaliśmy Tilwi popatrzył na profesora z zainteresowaniem.

— A propos — powiedział. — Sądzę, że na razie nie należy rozprzestrzeniać informacji o zbliżającym się trzęsieniu ziemi. Widzicie, w mieście są różni ludzie, ktoś zacznie panikować, ktoś wykorzysta te informacje na szkodę Komitetu Rewolucyjnego...

Otar kiwnął głową. Ale najwyraźniej nie chciał się wiązać żadnymi obietnicami.

— Rozumiem — powiedział major — takiej tajemnicy nie da się ukryć... — Zasepił się. Tylko trzęsienia ziemi mu brakowało. Zapytał z powagą: — A może da się coś zrobić z tym trzęsieniem ziemi?

— Nie sądzę — tak samo poważnie odpowiedział Otar.

— Odwiedzę was jutro.

Ludzie z plakatami coś skandowali. Wrócił szofer z talonami. Wróciliśmy do samochodu.

— Powodzenia — powiedział major Tilwi. Potem dodał: — Gdy trzęsienie ziemi zaczyna się nieoczekiwanie, jest to klęska żywiołowa i nikt nie jest temu winien. Ale jeśli wcześniej o nim wiemy, bierzemy na siebie odpowiedzialność...

#### TELEGRAM

.....  
Tangi pilne komisarz TKR major Tilwi Kumtaton

Informujcie o czasie i skali trzęsienia ziemi rozmiarach zniszczeń proponowanych środkach ewakuacji wszystkie informacje klasyfikować tajne aby uniknąć paniki brać pod uwagę możliwy efekt wydarzeń dla antyrządowej propagandy związek klęski żywiołowej z przejęciem władzy niedługo przyślemy wsparcie

przewodniczący TKR brygadier Szoswe  
.....

# Księżę Urao Kao

U mojej matczki siedział ojciec Fryderyk, jej przewodnik duchowy i bliski przyjaciel. Ich sentymentalny związek trwa Od czasu, gdy młody Fryderyk przybył w nasze strony głosić słowo boże i moja matka, wtedy jeszcze młoda dziewczyna, została jedną z najbardziej oddanych nawróconych. Podejrzewam, że prawdziwą przyczyną było uczucie mamy do młodego cudzoziemca — jego fotografia z tamtych lat, dość ascetyczna i nudna, wisi w jej sypialni. Rozpatrywałbym mamina pobożność jako upust zduszonych emocji seksualnych. Mimo że miała czworo dzieci, ojciec nie rozpieszczał jej małżeńskimi uprzejmościami i małżeńską wiernością. Miał co najmniej trzy młodsze żony, jedną z nich trzymał w Tangi, a mamę traktował nie tyle jako zazdrosną żonę, a bardziej jako chrześcijankę obserwującą grzeszny upadek człowieka.

Nie zbliżałem się do starych przyjaciół, aby nie naruszyć rytuału powitania, tylko od progu różowego saloniku poinformowałem mamę, że wieczorem oczekuję gości i sędzę, że nie powinna dzisiaj wyjeżdżać na miasto: nowa władza jeszcze nie okrzepła i w każdej chwili mogą zacząć się rozruchy, a nawet strzelanina, na co matka krzyknęła, a ojciec Fryderyk oznajmił, że słyszał przez radio z Bangkoku, jakoby wojska rządowe poniosły klęskę w południowej prowincji. Znam ministra spraw zagranicznych i nie wierzę, żeby jego opór był silny. Stary misjonarz zupełnie nie orientował się w bieżącej polityce. Postanowiłem zarzucić wędkę.

— Słyszałem, że katastrofa samolotu wiozącego komisarzy to ostrzeżenie z góry.

— Tak mówią ciemni ludzie — sprzeciwił się Fryderyk.

— Ale mówią. Świetny materiał na kazanie.

— Niegodny materiał — odpowiedział pokornie ojciec Fryderyk. — Żołnierze przywieźli do miasta kawałek skrzydła. Jest przestrzelony. A cekaem takiego kalibru miał Pa Puo, który ci Uciekł, mój chłopcze.

O skrzydle nie wiedziałem. Moi ludzie przegapili to o czym wie już każda staruszka w mieście. Tak nie może być.

— Pa Puo nie żyje — powiedziałem.

— Daj Boże — powiedziała mama. — Ten bandyta ma na sumieniu wielu ludzi. Straszą nim dzieci.

— Plotki — powiedziałem. Matka łączy w sobie chrześcijańską pokorę z dużą dozą mściwości — odziedziczyła to p0 przodkach z gór.

A więc po tym, jak odszedłem, wzięli ze sobą kawałek skrzydła. Nie powiedzieli mi o tym. I podejrzewają, że to Pa Puo. A więc stary bandyta ma na sumieniu jeszcze jedno przestępstwo. No cóż, jeden grzech więcej, jeden grzech mniej — bez znaczenia. Dobrze, że wysłałem go do Linili. Niech się nie kręci koło naszego domu. Wyślę go do Ligonu z towarem, jest szansa, że tam zginie przypadkiem — duże miasto to znacznie bardziej niebezpieczne miejsce niż dzikie góry.

— Co robią rosyjscy geolodzy? — zapytał mnie ojciec Fryderyk. — W mieście dużo się o nich

mówi.

— Dziwne — powiedziałem. — Są znacznie ważniejsze tematy.

— Jesteś tak dobrze poinformowany, Kao — wtrąciła się matka. — Czy to prawda, że pilnują, żeby nie było trzęsienia ziemi?

— To Rosjanie, mamó — zacząłem mówić pouczającym tonem. — Szybciej uwierzę w to, że wywołają u nas trzęsienie ziemi.

— Nie rozumiem — mama zmarszczyła przypudrowane czołko. — Jak to?

— Ziemia, mamó, to jeden organizm, wszystko jest w nim powiązane. Gdy u nas pada deszcz, w Australii panuje susza. Jeśli Moskwie grozi trzęsienie ziemi, to trzeba wypuścić jego energię w innych punktach ziemi. — Matka i ojciec Fryderyk patrzyli na mnie z otwartymi ustami. Wczułem się w rolę — — Zresztą, nauka osiągnęła taki poziom...

— Skąd możesz to wiedzieć? — krzyknęła matka. — To jest z pewnością, tajemnica wojskowa.

Nie śmiała wątpić w moje słowa, czekałem na sprzeciw ojca Fryderyka.

— A po co by rząd...

Nie pozwoliłem Fryderykowi dokończyć zdania:

— Jednym uderzeniem, bez problemów, zniszczą podstawy opozycji. Wszyscy zginiemy i stracimy majątek. Kraina stoi na skraju bankructwa, ludzie cierpią — i wtedy pojawiają się wojska z Ligonu.

— To straszne! — krzyknęła mama.

Wiedziałem, że mama zaprosiła na lunch żonę znajdującego się w niełasce gubernatora i kilka dostojnych dam. Nie wytrzyma, żeby nie podzielić się nowościami. Dlatego dodałem poważnie:

— Mamó, błagam cię, nikt nie powinien wiedzieć, że ci o tym powiedziałem.

— No co ty, Kao! — matka zadzwoniła bransoletkami. — Nikt się nigdy nie dowie, że to ty mi opowiedziałeś.

— Inaczej będę miał nieprzyjemności. Mogę nawet trafić do więzienia.

— Mimo wszystko mam wątpliwości — powiedział ojciec Fryderyk.

Brakowało mi tylko jego wątpliwości. Chociaż są czasem pożyteczne, wskazując słabe miejsca mojej teorii.

— Jakie wątpliwości, ojczu? — zapytałem.

I, wymawiając to zwykłe, tysiąc razy wypowiedane słowo, nagle zamyśliłem się nad jego znaczeniem. A jeśli on rzeczywiście jest moim ojcem? A jeśli zachwyty i szacunek mojej matki dla młodego mnicha nie były tak niewinne, jak przyjęto uważać? Przecież jeszcze w Cambridge mówiono mi, że wyglądam jak Europejczyk. A jeśli? Po co staruszek wrócił po wojnie do naszego kraju?

— Decyzję o zaproszeniu rosyjskich geologów podjęto dawno. Nie twierdzisz chyba, że Jah Rolak jest w zмовie z brygadierem Szoswe.

— Nie twierdzą. — Uważnie wpatrywałem się w pomarszczoną twarz mojego duchowego ojca. Cóż, jestem znacznie bardziej podobny do niego, niż do świętej pamięci księcia Urao Waro. — Ale czy stary rząd nas kochał? Czyż politycy Jah Rolaka nie marzyli, by uporać się z jedyną ostoją wolności w naszym kraju? Czy buddyści nie nienawidzili nas, chrześcijan i animistów, czy nie przysyłali do nas misjonarzy, pozbawiając nas odwiecznych przywilejów?

Do saloniku wszedł lokaj w idiotycznej liberii, którą matką wypatrzyła w ilustrowanym magazynie, w relacji z koronacji następcy tronu Iranu.

— Książę, oczekują pana.

Czekał na mnie posłaniec z południa. Zostawiłem staruszków, niech przeżywają idiotyczne nowiny. Czy idiotyczne? W naszych czasach mało kto odważa się śmiać z głupot, jeśli jest do nich przyczepiona etykieta „nauka”. A kto rozumie naukę? Uczni? Nie, oni tylko ze zdziwieniem i strachem patrzą na dzina, którego wypuścili z butelki. A czym moja teoria jest gorsza od innych? No, mądrale, postarajcie się obalić twierdzenie zacofanego, górskiego feudała. Ale dopóki jej nie obaliliście moja teoria żyje — znajduje się pod ochroną domniemania niewinności. Tak więc, aby zapobiec trzęsieniu ziemi, trzeba wywołać takie samo w innym punkcie kuli ziemskiej. Czy nie jest przekonywująca? Trzeba będzie wynająć jakiegoś głodującego nauczyciela, żeby upiększył ją równaniami, jak bożonarodzeniową choinkę.

Czekał na mnie zmęczony, zakurzony, zmachany człowiek. Spóźnił się.

Przedwczoraj wieczorem wyleciał helikopterem z Port Edward. Był to ostatni rządowy helikopter, a że mógł być wykorzystany do ucieczki, nie ryzykowano jego utraty. Helikopter wysadził posłańca sto kilometrów na wschód od stolicy i zawrócił. Posłaniec trzykrotnie cudem uniknął pułapek zastawionych przez patrole, spadał w przepaść, palił się w samochodzie... a teraz jest tutaj, spóźniony co najmniej o dobę. Gdyby jego przełożeni nie trzęśli się tak nad własnym bezpieczeństwem, wszystko mogłoby być inaczej. Książęta, rwący się do oręża, dowiedzieliby się o sojusznikach na południu już wczoraj. Nie sądzę, bym był w stanie ich utrzymać. Nie można płynąć pod prąd górskiego strumienia. Ale dzisiaj wiedziałem już, że były minister spraw zagranicznych, wraz z kilkoma politykami i oficerami sił specjalnych, zamierza odlecieć z kraju. Port Edward utrzymują chłopcy ze szkoły metodystów i dwie setki policjantów. Za kilka godzin padnie. Wiedziałem znacznie więcej niż szary od kurzu i zmęczenia posłaniec, a mój wyrok na niego został wydany znacznie wcześniej niż go zobaczyłem.

Mówił mi o tym, że nasi bracia walczą na południu, że każda minuta jest na wagę złota... Z pewnością na jego miejscu mówiłbym to samo. Potrzebował usprawiedliwienia dla ogromnego wysiłku i oddania przegranej sprawie, jakie wykazał przedzierając się do mnie. Nie przyszło mu do rozpalonej głowy, że nasz interes, interes gór, polega teraz na oszczędzaniu sił, na całkowitej neutralności. Na razie.

Myślałem też o tym, że nawet najbardziej beznadziejne sprawy mają swoich stronników i bohaterów. Co by go kosztowało, ukryć się gdzieś u rodziny albo poddać się przedstawicielom władzy — zwycięzcy bywają litościwi. Była w tym jakaś niepojęta dla mnie logika. A ten bohater przegranej wojny był w moim mniemaniu żaloszny.

— Proszę odpocząć — powiedziałem, bo nie był to dobry moment na rozmowę o ucieczce jego wodzów. Nie wiadomo co mógłby powiedzieć w podnieceniu. — Naradzę się z przyjaciółmi.

— Nie wolno czekać...

Na swój sposób miał rację. Nie wolno było czekać. Należało skutecznie odizolować posłańca, żeby o jego istnieniu nie dowiedział się żaden z zapaleńców.

Z uczuciem uściskałem rękę posłańca i obiecałem mu, że Podejmę decyzję w ciągu kilku najbliższych godzin. Opuściwszy pokój rozkazałem unieszkodliwić tego człowieka. Tylko bez hałasu, szanując jego oddanie pustym sprawom.

A propos, czy wierzę, że Rosjanie mogą przewidzieć trzcinnie ziemi?

# Lami Wasunczok

Rano poszłam do szpitala, do chorego ojca. Był sam na sali. Major Tilwi wstał, pokłócił się z lekarzem i wypisał się ze szpitala. Ojciec czuł się lepiej. Gdy byłam u niego, napisał jakiś list i przekazał go policjantowi dyżurującemu w korytarzu. Potem, również w mojej obecności, przyniesiono mu notatkę, podkreślił w niej jakieś linijki i odesłał do punktu dowodzenia, do majora Tilwi.

Nakarmiłam ojca, potem zapytał mnie o Ligon, jak odbył się przewrót, a ja nie mogłam powiedzieć niczego rozsądnego, bo tamtej nocy myślałam tylko o lekarstwie dla niego.

— Major Tilwi zapytał mnie — powiedział ojciec — czy kochasz młodego księcia.

Przestraszyłam się, że się zaczerwienię, bo nawet ojciec nie powinien zadawać dziewczynie takich pytań.

— A dlaczego pytał?

— Jest przekonany, że gdy pojawił się książę, po prostu rzuciłaś mu się w objęcia.

— Myślisz, że książę jest złym człowiekiem?

— Nie mnie go osądzać. Jesteśmy różnymi ludźmi. Moim zadaniem jest ochrona prawa, a on nie jest przyjacielem prawa... A skąd taka zażyłość z księciem?

— Wiesz, tato, że znam go od dawna...

— Nigdy nie pochwalałam twojej fascynacji tenisem. To nie jest zajęcie dla młodej dziewczyny.

— Na szczęście nigdy mi nie zabraniałeś.

— Nie masz matki, to ja odpowiadam za twoje zachowanie.

— Tato, nie lubisz księcia i jego przyjaciół.

— Należymy do różnych światów — on jest władcą gór, my — uchodźcami z doliny.

— Nie mogę przecież siedzieć w domu i szyć spódnic, jak moja babcia. Nie trzeba było posyłać mnie do koledżu i przygotowywać do studiów na uniwersytecie. Lubię grać w tenisa, a księżna była tak dobra, że pozwalała mi czytać książki z biblioteki.

Był to ich dawny spór. Ojciec nigdy nie zabraniał mi robić tego, na co mam ochotę, ale bardzo smuciło go, że bywam w domu książąt Urao, starałam się więc nie mówić mu o tym. Chociaż on i tak wiedział.

— Czy książę nie zawrócił ci czasem w głowie swoimi angielskimi garniturami i manierami?

— Nie, tato, przysięgam. Ale to dobry człowiek i pomógł mi, nie prosząc o nic w zamian.

— Jak pomagał?

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam powiedzieć ojcu, że książę przysłał mi do Ligonu list, w którym pisał, że tęskni za mną i jeśli potrzebna będzie pomoc, mogę zawsze zwrócić się do jego przyjaciela, J. Suną, mieszkającego w hotelu „Imperial”. Wiem, że ojciec stara się nie mieć żadnych zobowiązań. Więc żeby ojciec nie mówił już więcej o księciu, powiedziałam:

— Jesteś już stary, ojciec. Kiedy przestaniesz biegać po górach za bandytami?

— Kiedy przejdę do rezerwy — odpowiedział ojciec. Oboje zamilkliśmy, każde pograżone we własnych myślach. Potem ojciec powiedział:

— Mam do ciebie prośbę.

— Z radością spełnię każdą twoją prośbę.

— Chcę, żebyś na jakiś czas wyjechała z Tangi.

— Tak bardzo chciałam tutaj przyjechać, jesteś chory...

— Nie masz teraz żadnych spraw?

— Teraz są ferie. Ale i tak teraz nie dostanę się do Ligonu. Nie mówiąc o tym, że w życiu nie wsiądę już do żadnego samolotu. Wyjadę ewentualnie pociągiem, przez Mitili.

— Nie proszę, żebyś wróciła do Ligonu. Chcę, żebyś pojechała do szanownego Mahakassapy.

— Do dziadka?

— Tak. Bardzo się zestarzał, nikt go nie odwiedza. Chcę, żebyś zawiozła dar dla klasztoru, w podziękowaniu Buddzie, który nie dopuścił do mojej śmierci. Wiesz, że gdy przejdę do rezerwy, zamierzam zostać mnichem, zamieszkać w tym klasztorze i umrzeć tam...

Od śmierci mamy był to ulubiony temat ojca. Książę Urao powiedział kiedyś do mnie tak: „Twój ojciec ma przesadnie rozbudowane poczucie obowiązku. Jest jak chrześcijańscy święci, rozdarty między dwoma rodzajami obowiązku — obowiązkiem względem rządu, który każe mu biegać po górach, strzelać do przemytników, aresztować złodziei i obowiązkiem względem wieczności, który nakazuje chronić każde życie, aż po dokuczliwe komary”. Zmierzchało wtedy, dookoła brzęczały komary, więc porównanie Kao było bardzo wyraziste.

Ale rozumiałam, że ojciec nie myśli ani o samotności dziadka, ani o darze. Z jakiegoś powodu uważa, że pozostanie w mieście jest niebezpieczne.

— W mieście jest niespokojnie, książęta, niezadowoleni z przewrotu wojskowego, w każdej chwili mogą wzniecić powstanie. Co prawda, mam nadzieję, że Urao ich powstrzyma.

— Sam widzisz, tato — powiedziałam. — Ty też sądzisz...

— Urao jest mądrzejszy, a przede wszystkim bardziej wykształcony niż reszta książąt. Większość z nich tkwi nadal w szesnastym wieku, a on jest dziecięciem naszego. I dlatego jest bardziej niebezpieczny niż oni wszyscy razem wzięci.

Ojciec podniósł rękę, nie pozwalając mi zaprotestować.

— Będę spokojniejszy, jeśli te dni spędzisz w klasztorze. Poza tym chcę, żebyś przekazała dziadkowi list i dowiedziała się od niego czegoś, czego on nikomu, poza tobą, nie powie. Szacowny Mahakassapa odwrócił się od świata, ale świat podchodzi pod mury jego klasztoru.

— Czy długo mam zostać w klasztorze?

— Myślę, że kilka dni.

— Tutaj też nie jest bezpiecznie. Jeśli książęta wzniecą po — wstanie...

— To obroni mnie twój ulubiony książę. To wielki polityk a ty mu się podobasz. A teraz opowiedz mi o Rosjanach. Po co tu przyjechali? Co o nich wiesz?

— To bardzo mili ludzie — powiedziałam. — Słyszałam na mieście, że szukają złota, a potem wojsko zbuduje tu kopalnię i całe złoto oddadzą Rosjanom.

— Szybko udało im się rozpuścić plotki — powiedział ojciec, ale nie zrozumiałam, kogo ma na myśli.

Gdy ojciec przekonał się, że podporządkowałam się, wyjął spod poduszki gotowy list, napisany



nierównymi, dużymi literami, włożył go do białej koperty bez adresu i wręczył mi.

— Schowaj — powiedział. — Wysłałem już człowieka, żeby uprzedził dziadka o twoim przyjeździe. Czeka.

Ojciec z góry wiedział, że mnie przekona.

### SZYFROGRAM

Tangi komisarz TKR Tilwi Kumtaton pilne ściśle tajne

Według naszych informacji do księcia Urao w każdej chwili może przybyć łącznik z południa z  
żądaniem natychmiastowej pomocy podejmij kroki w celu przechwycenia łącznika stały nadzór

pułkownik Van

# Jurij Sidorowicz Wspolny

Z pewnością tylko ja rozglądałem się wokół świeżym spojrzeniem człowieka cieszącego się otaczającym go pięknem. Gdy tylko wyjechaliśmy poza miasto, droga powiodła serpentyną w dół, po stromym, porośniętym lasem zboczu. Od czasu do czasu mijały nas nadjeżdżające z naprzeciwka stare, przeładowane, rozsypujące się autobusy, na których piętrzyły się kosze, skrzynki, worki, a mnie aż zimno robiło się na myśl, jak bardzo niestabilne są te pojazdy. Na zakręcie stał roboczy słoń i na cos czekał. Wołodia przerwał z jego powodu rozmowę z Otarem Dawidowiczem, za późno wyciągnął aparat i chciał zatrzymać samochód, żeby zrobić zdjęcie. Otar Dawidowicz, zupełnie słusznie, odmówił, zarówno dlatego, że droga była bardzo wąska, jak i dlatego, że jeszcze nieraz spotkamy roboczego słonia. Wołodia był rozczarowany, ale jego rozczarowanie trwało dokładnie trzy minuty, po czym z nowym entuzjazmem podjął naukową dyskusję ze swym kierownikiem.

Od czasu do czasu za zakrętem rozpościerał się widok na dolinę z ogromnym, podłużnym jeziorem. Za jeziorem ciągnęły się lesiste pasma górskie i nagle zrozumiałem, że właśnie tam byliśmy wczoraj rano, właśnie tam lała się krew, a ja przeżyłem, być może, najtrudniejsze chwile w życiu.

Droga wyprostowała się, prowadziła dalej przez rozległą, płaską dolinę. Po obu stronach ciągnęły się pola ryżu. Obok drogi, w niezbyt głębokim rowie, taplały się bawoły. Na ich grzbietach drzemały maleńkie, białe czaple. Na szczęście Wołodia nie zauważył tego egzotycznego obrazka i szczęśliwie minęliśmy kolejny obiekt fotograficzny.

Po półgodzinie dotarliśmy do niewielkiego miasteczka, z którego rozchodziły się drogi do Longi i do oddzielnego od niej przez górskie pasmo jeziora Linili. Zatrzymaliśmy się na kilka minut obok niewielkiego sklepiku, przed którym, skryte w cieniu drzew, stały proste, drewniane krzesła. Kierowca i eskortujący nas sierżant Lawo poprosili o zgodę na wypicie herbaty i wszyscy z radością się zgodzili. Chociaż zazwyczaj nie jadam w przydrożnych punktach, bo niedomyte naczynia mogą być źródłem przenoszonej przez ameby dyzenterii, to jednak tym razem towarzyszyłem kolegom w posiłku. Nie oznacza to, że stałem się nieostrożny, po prostu nagle przyszło mi do głowy, że ta delegacja jest zupełnie inna od poprzednich, bo biorę w niej udział nie tylko jako przedstawiciel TPRL, ale także jako uczestnik ryzykownego przedsięwzięcia, i sprawy higieny zeszły na drugi plan.

Gdy śliczna dziewczyna sprzątała ze stołu niezbyt czystymi rękami, zajrzałem do sklepiku, w którym sprzedawano przyprawy, lekarstwa, a także książki i czasopisma. Zauważyłem wśród nich okładkę ostatniego numeru „Kraju Rad” wydawanego po ligońsku przez nasze towarzystwo. Znajoma okładka sprawiła, że serce mi drgnęło — było to jak przypadkowe spotkanie ze starym przyjacielem, który nie porzucił mnie w tej oddalonej krainie. Sentyment nakazał mi kupić czasopismo i zanieść je na placyk, gdzie moi towarzysze podróży zabrali się za słodką herbatę z mlekiem, małe keksy i różki z francuskiego ciasta, nadziane palącą mieszanką mięsa, cebuli, papryki i innych, nieznanymi mi składnikami.

— Patrzcie — powiedziałem. — Aż tutaj dotarło.

Położyłem czasopismo na stole i wtedy doszło do mnie, że gest ten może wyglądać jak samochwalstwo, ale co mogę poradzić, jeśli moi towarzysze zajmują się swoimi sprawami, a ja chcę, żeby poczuli, jak przyczyniam się do rozwoju przyjaźni między narodem ligońskim i rosyjskim.

— Co to? — zapytał Wołodia, przyglądając się zdobiącej okładkę fotogram dziewczyny z rewii na lodzie, ubranej w kokosznik świecący się od błyskotek.

— „Sobie Kamze” — przeczytał kierowca. Oznacza to po ligońsku „Kraj Rad”.

— Pan to tutaj wydaje? — zapytał Otar.

— A niech mnie — powiedział Wołodia. Po tonie jego głosu zorientowałem się, że, jak to często bywa z przedstawicielami nauk ścisłych, nasza skromna praca wydaje mu się znacznie trudniejsza i ważniejsza niż to, czym sam się zajmuje. O świecie pomyłek i fałszywych wyobrażeń!

To cudowne uczucie: rześki górski poranek, aromatyczna herbata, słońce błędzące w liściach starego drzewa, ciemna powierzchnia drewnianych stołów, dolatujący z kuchni, domowy zapach smażonego mięsa, błękitne góry, zwisające ze wszystkich stron jak zasłony, które wcale nie ograniczają świata, a tylko podkreślają jego doskonałość...

# Otar Dawidowicz Kotrikadze

Wspólny przyniósł czasopismo. Czuło się, że napełnia go spokojna, pełna godności radość człowieka, który może pokazać nam, że nie je chleba za darmo. Piliśmy słodką, mocną herbatę z mlekiem skondensowanym, wiał świeży wiaterek promienie słońca prześwitywały przez liście starego drzewa — gdy spojrzało się w górę, wydawało się, że na drzewie wiszą tysiące maleńkich słońc. Z kuchni dobiegały smakowite, domowe zapachy, a całkiem niedaleko, z porannej mgły wyłaniały się góry. Ale mnie drażniła cisza, ten zbyt spokojny świat, dlatego, że był nieprawdziwy, nietrwały i skończony w czasie, a ja nie mogłem pozbyć się męczącego, apokaliptycznego przecucia, zmuszającego mnie, bym zamiast domków widział ruiny, dziewczynę wycierającą ścierką sąsiedni stolik — biegnącą z przerażeniem wąską uliczką jak przerażony tropikalny ptak podczas burzy. Dlatego powiedziałem:

— Dopijajcie herbatę, trzeba jechać, bo robi się gorąco.

Wydaje mi się, że tymi słowami zepsułem humor naszych żołnierzy spokojnie pijących herbatę i prowadzących swoją cichą, niespieszną, wiejską rozmowę, a nawet Jurija, który wpadł w dobry, błogi nastrój.

# Jurij Sidorowicz Wspólny

Zapłaciliśmy i wróciliśmy do samochodu. Suche, nerwowe słowa profesora Kotrikadze zniszczyły urok poranka, a ja ze smutkiem pomyślałem o tym, jak twardnieje dusza człowieka niezdolnego do podziwiania piękna i szlachetności tego świata. Dwóch starszych siedzących przy sąsiednim stoliku odprowadziło nas obojętnymi spojrzeniami. Po drodze, nie zatrzymując się, przemknął poobijany volkswagen. Nie zauważyłem, kto w nim siedział, ale Wołodia nagle podniósł rękę i pomachał w ślad za oddalającym się samochodem. Wydało mi się, że w odpowiedzi pojawiła się na chwilę biała dłoń.

— Kto to? — zapytał Kotrikadze.

— To Lami — powiedział Wołodia. — Lami — powtórzył. Podobał mu się dźwięk tego imienia.

Kotrikadze poprosił, żeby samochód zatrzymał się na brzegu rzeki koło nowego, betonowego mostu. Podeszli z Wołodią do samej wody, a ja zostałem w samochodzie, otworzyłem notes, aby opisać poranną herbatkę w miasteczku niedaleko Tangi i moje przemyślenia na temat otaczającej nas przyrody. Zrobiło się ciepłej, nad nami, hen wysoko, szybował orzeł. Sierżant Lawo czytał „Kraj Rad”, kierowca grzebał w silniku. Gdy geolodzy wrócili, Otar powiedział:

— Gdybyśmy mieli więcej czujników, obstawilibyśmy nimi całą dolinę.

Ruszyliśmy dalej, aby zatrzymać się po dwóch kilometrach i stać w zadumie na skraju skalnego obrywu, wybierając miejsca na czujniki. Od czasu do czasu wychodziłem z samochodu razem z geologami, starając się przy tym nie przeszkadzać. Koło południa, gdy słońce zaczęło zdrowo przypiekać, a wiatr ucichł, dotarliśmy do brzegu jeziora Linili. Teraz tylko pasmo gór oddzielało nas od miejsca, w którym bandyci ostrzelali nasz samolot.

Droga prowadziła teraz w górę, na szczyt płaskiego pagórka, a my wyszliśmy z samochodu, żeby popatrzeć na roztaczający się pod nami krajobraz.

Jezioro Linili rzeczywiście zasługuje na nazwę perły ligońskich gór. Wypełnia dno płaskiej kotliny i ciągnie się dwadzieścia kilometrów z północy na południe, ściśnięte przez pasmo gór, u którego podnóża leży płaskowyż, gdzie wybudowano Tangi. Jego intensywny błękit, zarośla trzciny na płaskim brzegu, gdzie do jeziora wpada rzeka, nieliczne wsie, kwadratowe żagle łodzi rybackich i otoczona kępami bambusa, biała pagoda na wyspie, podkreślają naturalne piękno i spokój królujące nad tym zbiornikiem wodnym.

*Do komendanta Wasunczoka*

*Moim zdaniem Pa Puo żyje. Widział go w ogrodzie księcia przybyły z Ligonu dyrektor Matur, który zeszłej nocy odwiedził księcia. Do księcia przyjechał łącznik z południa z prośbą o natychmiastową mobilizację sił księstw, co umożliwiłoby zaatakowanie rządu tymczasowego z dwóch stron. Zakładam, że księżę nie chce, by łącznik spotkał się z innymi członkami rady*

władców. Proszę uwierzyć mojemu doświadczeniu — książę nie zdecyduje się teraz na żadne jawne działania, gdyż rozumie, że wojsko może wykorzystać sytuację, aby ustanowić w górach swą bezpośrednią władzę.

*Bez podpisu*

*Raport*

*Do: Kapitan Wasunczok*

*Zgodnie z rozkazem osobiście, w towarzystwie kaprala Khuna, wybrałem się konno na wiadomą polanę nad rzeką Longi, w celu odszukania na niej śladów ludzi.*

*Podczas przeszukania znaleźliśmy w krzakach dwa ukryte, przysypane liśćmi i ziemią spadochrony; jeden z nich wzięliśmy ze sobą. W tym samym miejscu znaleźliśmy łuski od cekaemu i niedopałki papierosów. Doszedłem do wniosku, że na polanie niedawno znajdowało się kilku ludzi, uzbrojonych w ckm, z którego strzelali. Nad rzeką znaleźliśmy ślady świadczące o tym, że ludzie ci przybyli przez przełęcz od strony jeziora Linili.*

*W Longi i okolicach nie spotkaliśmy w ciągu ostatnich dni nikogo podejrzanego. Prawdopodobnie to ludzie z doliny.*

*Na pańskie pytanie, dotyczące samolotu, nie możemy odpowiedzieć dokładnie, niektórzy mieszkańcy wioski mówią, że słyszeli samolot, ale mogą się mylić. Tym bardziej że zgodnie z rozkazem, śledztwo prowadziłem bez rozgłosu.*

*Dowódca posterunku w Longi  
sierżant Fen Toni*

*W załączeniu:*

*spadochron nieznanej produkcji — 1*

*łuski z cekaemu dużego kalibru — 3*

*niedopałki papierosów produkcji ligońskiej — 2*

*Do księcia Urao Kao*

*Dzisiaj komendant policji i kapral pojechali rano nad rzekę. Wrócili w południe. Coś przywieźli. Potem kapral z workiem pojechał do Tangi. Po przyjeździe sierżant wypytywał ludzi, czy ktoś słyszał albo widział samolot. Sierżant miał rozkaz z Tangi. Tak mówił. Sierżant sam słyszał samolot, ale boi się naszych ludzi. O Pa Puo nic nie powie.*

# Lami Wasunczok

Jechałam do klasztoru starym volkswagenem ojca, którym kierował policjant. Policjant powinien jutro wrócić do Tangi z odpowiedzią od dziadka Mahakassapy. Smutno mi było wyjeżdżać z miasta, chociaż w nocy boję się spać sama w pustym domu. Było mi żal, że wieczorem nie odwiedzę starej księżnej — jej zaproszenie przekazał mi książę Kao, było mi żal, że nie zobaczę więcej młodego, rosyjskiego geologa i nie chciałam uwierzyć, że szuka złota, by je potem ukraść Ligończykom.

Gdy przejeżdżaliśmy przez miasteczko, zauważyłam, że w cieniu, przy stoliku, piją herbatę Rosjanie. Zdawało mi się, że młody geolog odwrócił się i poznał mnie. Przy stole siedzieli z nimi żołnierze, pewnie ochrona, a nieopodal stał jeep z dowództwa. Czyli to prawda, że wojsko opiekuje się tymi Rosjanami.

Jechaliśmy brzegiem przepięknego jeziora Linili, z którym wiąże się tyle dobrych, dziecięcych wspomnień, gdy wszyscy razem — tata, mama i ja, wyjeżdżaliśmy w niedzielę za miasto, potem płynęliśmy łódką do wsi i patrzyliśmy jak rybacy łowią ryby, wchodziliśmy do chaty, w której mieszka rzemieślnik, potrafiący jak nikt inny robić piękne, srebrne bransolety ze słoniami i tygrysami, a potem dopływaliśmy do wysepki, na środku której stoi biała pagoda i odpoczywaliśmy w cieniu drzew. Ojciec i mama zapalali żółte świece na pokrytych Woskiem stopniach pagody, a ja wstawiałam do miedzianego dzbanka świeże kwiaty przywiezione z Tangi.

Minęliśmy wyspę, ale zza drzew nie było widać, czy ktoś stoi przed pagodą. Może taka sama jak ja dziesięć lat temu dziewczynka, układa kwiaty, żeby lepiej im się żyło w miedzianym dzbanku, pełnym chłodnej, przezroczystej wody. Ale ja już nigdy nie wrócę na tę wyspę i nigdy nie poczuje podobnej bez troski. Nigdy, odkąd umarła mama.

Droga odbiła w bok od jeziora, jechaliśmy długo przez zielony, cienisty korytarz, a gdzieś za górami była ta polana...

Potem volkswagen wjechał do wioski. Chuda, bura świnia przebiegła nam drogę, w cieniu drzemały szare woły, kulawy pies biegł za samochodem. Za wsią rosły drzewa mandarynkowe — był to już przyklasztorny sad. Kiedyś we wsi mieszkali klasztorni niewolnicy, ale uwolniono ich sto lat temu, zostali takimi samymi rolnikami, jak mieszkańcy innych wiosek, ale mimo wszystko dbali o klasztorny sad i łowili dla mnichów ryby w jeziorze, a za to brali sobie część plonów i wozili mandarynki do Tangi.

Samochód skręcił w wąską dróżkę za starym ogrodzeniem i zatrzymał się. Brama klasztoru była otwarta, a wewnętrzne ogrodzenie jako tako naprawione i nawet pobielone wapnem. Zostawiłam w samochodzie sandały i torbę z darem ojca — pożącanym bodisatwą, który zawsze stał u niego w pokoju. Dwóch młodych, ciekawskich mnichów w pomarańczowych togach wyszło na ścieżkę i patrzyli na mnie, jak na gwiazdę kina. Policjant walczył ze sznurówkami. Przede mną rozciągał się stabilny świat buddyjskiego klasztoru, wokół którego mogą szaleć wojny, przemijać stulecia, a

wewnątrz zmieniają się tylko twarze młodych mnichów, a braciszkanie, kuzyni tych, którzy spędzili tu życie, zastąpią ich i będą tak samo wychodzić rano po jałmużnę lub kołysząc się powtarzać niekończące się sutry w dużej, przestronnej sali.

Dziadek wyszedł mi na spotkanie. Bardzo się zestarzał i na jego ogolonej głowie sterczały rzadziutki, szary język, a broda, składająca się z kilku białych włosków, zrobiła się trochę dłuższa. Postawiłam na ziemi przed nim statuetkę i nisko się pokłoniłam. Jeden z mnichów podniósł statuetkę i stał obok, czekając na rozkazy.

— Moja wnuczka zamieszka w domu odźwiernej — powiedział dziadek Mahakassapa. — Jak podróż? — zapytał.

Dziadek Mahakassapa jest bardzo szanowanym człowiekiem. W Tangi wszyscy go znają i gdy w Ligonie zbierają się najważniejsi przywódcy duchowi, dziadek też tam jedzie, gdyż jest uczony i zna na pamięć całą Tipitakę. Nie jest moim prawdziwym dziadkiem, jest dziadkiem ciotecznym, a może jest to nawet dalsze pokrewieństwo, ale i tak jest dla mnie jak rodzony dziadek. Kiedyś mój ojciec i moi wujkowie byli nowicjuszami w tym klasztorze, uczyli się w przyklasztornej szkole, bo wtedy nie było państwowych szkół. Dziadek służył kiedyś w wojsku, walczył z Anglikami i nawet dowodził oddziałem, a Anglicy wyznaczyli wysoką nagrodę za jego głowę. A po rozgromieniu partyzantów dziadek skrył się w klasztorze, ogolił głowę i zmienił imię. Gdy przyszli Japończycy, ukrywał w klasztorze partyzantów, a Japończycy nawet trzymali go w więzieniu i przesłuchiwali, ale potem wypuścili go, bo za dziadkiem wstawili się ważni ludzie i Japończycy postanowili nie wchodzić z nimi w konflikt.

— Muszę z tobą porozmawiać, dziadku — powiedziałam.

— Wiem — odpowiedział. — Chodźmy do mojej celi.

*Szanowny Mahakassapa!*

*Niech niebiosa cię błogosławią!*

*Wybacz, że piszę krótko. Winna jest moja rana. Jeszcze raz dziękuję za to, że gdy mnie zraniono, nie dałeś mi umrzeć.*

*Posyłam z tym listem Lami, która przyjechała z Ligonu. Nie chcę, by w tych trudnych czasach mieszkała sama w mieście, gdzie nam wielu wrogów. Proszę, byś dał jej dach nad głową i zapewnił bezpieczeństwo.*

*Gdy byłem ranny, obiecałeś dowiedzieć się czegoś o ludziach z jaskini i o przemyście. Według moich informacji, nowy towar dostarczono z północy 10 marca i tej samej nocy przekazano go do Ligonu.*

*Wybacz jeszcze raz, szanowny, że niepokoję cię przyziemnymi problemami, ale ci ludzie służą złej sprawie.*

*Mam nadzieję, że niedługo będę mógł do ciebie dołączyć w klasztorze Pięciu Złotych Budd i zakończyć łańcuch moich ziemskich cierpień.*

*Z poważaniem Wasunczok*



# Władimir Kimowicz Li

Zatrzymaliśmy się w niewielkiej, leśnej wiosce, niedaleko od jeziora. Silnik zepsuł się na samym środku zacienionej ścieżki i dwie kobiety wracające od studni z glinianymi dzbanami na ramionach zatrzymały się, patrząc z ciekawością jak kierowca grzebie pod maską.

W końcu wylazł stamtąd i wesoło oznajmił, że możemy się poopalać. Zaproponowałem pomoc, ale w odpowiedzi usłyszałem, że dadzą sobie radę beze mnie. Sierżant Lawo, którego zdolność do ciągłego spania była po prostu zadziwiająca, przetarł oczy i oznajmił, że odpoczniemy w klasztorze Pięciu Złotych Budd, a w tym czasie kierowca rozwiąże przejściowe trudności.

Ruszyliśmy skrajem pylistej drogi, wzdłuż zadbanego sadu, obok rozlatującego się, ceglanego ogrodzenia i w końcu dotarliśmy do otwartej bramy klasztoru, gdzie w cieniu stał volkswagen, w którym trzy godziny temu widziałem Lami.

Przeczułem to. Gdy zobaczyłem auto przed bramą klasztoru, nie zdziwiłem się ani trochę.

Nagle pojawił się wiatr, poruszył liście. Mnich w pomarańczowej todze stał obok bramy i patrzył, jak zdejmujemy buty (tak trzeba w buddyjskich świętych miejscach). Mnich zaprowadził nas do drewnianego budynku. Drewno, ciemnoszare, ze srebrnym nalotem starości, pokryte było grubymi, niewyraźnymi rzeźbami.

W dużej, pustej sali (jeśli nie liczyć kilku posągów, patrzących na nas z góry) stał okrągły, niski stół, wokół którego rozłożono maty. Usiedliśmy dookoła, kilku mnichów we — szło do sali i przykucnęło niedaleko od wejścia, patrząc na nas uważnie.

Mnisi byli w większości młodzi, postawni i ogoleni jak poborowi. Staruszek w szerokich, szarych spodniach do kolan przyniósł tacę z mętną oranżadą, czym mnie nieco rozczarował — mogli poczęstować nas czymś bardziej egzotycznym niż syntetyczny, miejski napój. Cały czas spoglądałem przez szerokie, nieoszlone okna na pocięty pasami cienia i słońca placyk, gdzie spodziewałem się zobaczyć Lami.

Czuliśmy się dość niezręcznie. Wspólny zaczął wykład o zasięgu i roli buddyzmu w Ligonie, ale szybko zamilkł.

Po chwili pojawił się kruchy staruszek z rzadką brodą, w spranej, niegdyś pomarańczowej, todze. Mnisi od razu podskoczyli jak dzieci, które nauczyciel przyłapał na leniuchowaniu, żołnierz nisko uklonił się staruszkowi, a my wstaliśmy.

— Siadajcie — powiedział staruszek po angielsku. — Odpocznijcie. Cieszę się, że do nas zawitaliście. — Miał głęboki, dźwięczny, młody głos.

Żołnierz zaczął wyjaśniać staruszkowi, że zepsuł się nam samochód, a staruszek odpowiedział, że wie o tym. Ten staruszek wydawał się wiedzieć wszystko, mnisi i żołnierze traktowali to jak zwykły przejaw jego przenikającej świat mądrości, a ja podejrzewałem, że opowiedziała mu o nas Lami.

— Jesteście geologami — powiedział staruszek siadając na macie. — Z Rosji.

Nie pytał, stwierdzał fakt.

— Czego szukacie w naszych stronach?

No tak, Lami nie wie przecież, że jesteśmy sejsmologami. Odwróciłem się w stronę Otara.

— Niczego nie szukamy — powiedział Otar. — Badamy trzęsienia ziemi, żeby przewidywać, kiedy zagraża nam nowa klęska.

Staruszek zapytał:

— Nie szukacie u nas złota?

— Czyżby było tu złoto?

— W górskich potokach jest złoty piasek. Ludzie w Tangi mówią, że szukacie złota.

Tutaj wtrącił się nasz sierżant. Wygłosił długie przemówienie, zakładam, że w naszej obronie, bo Wspólny, który uniósł się z maty, usiadł z powrotem i potakująco kiwał głową, jak mądry słoń.

— Słusznie — powiedział staruszek, zwracając się do nas gdy sierżant zakończył monolog.

— Czy mogę zadać kilka pytań? — powiedział Otar.

— Zawsze jestem gotowy odpowiedzieć gościom.

— Proszę powiedzieć, kiedy ostatni raz było tu trzęsienie ziemi?

— Duże czy małe?

— Proszę opowiedzieć o wszystkich. Mnisi podpełzli bliżej.

— Gdy byłem chłopcem — zaczął staruszek, pocierając kościstą dłonią swą rzadką bródkę — niedaleko stąd, za klasztorem była duża skała...

Otar rozłożył na stole mapę.

Po jakichś pięciu minutach ostrożnie wstałem z maty i wyszedłem na zewnątrz. Nikt mnie nie zatrzymywał, tylko jeden z mnichów wyskoczył za mną i wskazał ręką kępę drzew z drugiej strony placu, źle interpretując moje postępowanie.

Podszedłem do bramy. Volkswagen stał tam nadal. Przyjemnie było iść bosą po ciepłym piasku. Przysiadłem na kamieniu i zapaliłem papierosa.

— Dzień dobry — powiedziała podchodząc bezszelestnie Lami.

Siadła niedaleko ode mnie, na drugim kamieniu. Miała na sobie szerokie, czarne spodnie i białą bluzkę. Wydawało mi się, że od zawsze jest moją dobrą znajomą, jakbyśmy poznali się dawno temu w Taszkencie, a teraz spotkali w kurorcie. Było mi przyjemnie, że nie wstydy się...

— Dlaczego powiedziałaś staremu mnichowi, że szukamy złota? — skarciłem ją.

Potem założyliśmy buty i poszliśmy na spacer po sadzie — Opowiadała o ojcu, ja też coś opowiedziałem. Nie wszystko rozumieliśmy, ale byliśmy zadowoleni. A gdy zobaczyliśmy, że do klasztoru podjeżdża nasz jeep, zrobiło mi się nawet przykro. Pożegnałem się z Lami wśród drzew, oboje nie chcieliśmy, by ktoś zobaczył nas razem — była to nasza osobista sprawa i nikomu nic do tego. Dowiedziałem się, że Lami przez kilka najbliższych dni będzie mieszkać tutaj, u dziadka Mahakassapy i obiecałem przyjechać. Na brzegu stały nasze czujniki.

*Johnson, portier w hotelu „Excelsior”*

*Zajmij się obserwacją Rosjan. W żadnym wypadku nie przeszkadzaj w pracy. Informuj, gdy tylko pojawią się nowe informacje. Niech pracują spokojnie. Powiedz Ahmedowi, żeby zainstalował mikrofony w ich pokoju. Zwróć uwagę na ich spotkania z majorem. Informuj mnie na bieżąco.*

*Kao*



# Książę Urao Kao

Obiad z książętami i wodzami był długi i męczący. Wiedziałem, że w końcu nakłonię ich, by powstrzymali się od aktywnych działań, ale nie było to łatwe. Dobrze chociaż, że zdążyłem przechwycić łącznika z południa. Jego agitacja mogłaby źle wpłynąć na gorącą głowę księcia Pa Kratenga, który uzbroił setkę zuchów i sądził, że z ich pomocą wyrwie się spod opieki Ligonu.

Niepokoił mnie brak wiadomości ze stolicy. Sun milczał. Wiedziałem, że zgodnie z harmonogramem towar powinien odpłynąć statkiem do Hongkongu 15 tego miesiąca, a żeby to się udało, musiałyby opuścić jaskinię jeszcze dzisiaj rano.

Po zebraniu wezwała mnie do siebie matka, ale musiałem najpierw spotkać się z młodym człowiekiem, któremu przekazałem część dolarów przywiezionych przez Matura i cudem uratowanych Przed moimi własnymi, niegodnymi bandytami. Broń dostarczy człowiek z Singapuru, któremu bardziej opłaca się być uczciwym. Mam już dość użerania się z dzikusami, dzikimi emocjami i Współ chesnym barkiem odpowiedzialności. Kiedyś ojciec Fryderyk udowodnił mi, że całe nieszczęście moich rodaków polega na tym, że są oni emocjonalnie rozdarci między prawami minionych wieków a współczesnością. Odnosi się to przede wszystkim do tych walecznych zuchów, których dwudziesty wiek pozbawił naturalnych dla nich najazdów, pojedynków i zmusił do poszukiwania innych zajęć. Byli wojownicy lądują na dnie miejskiej hierarchii, stanowią kadry dla świata przestępczego i są gotowi nająć się u każdego, żeby tylko wziąć do ręki strzelbę i rzucić się w pogoń za zdobyczą. Ojca Fryderyka wyróżnia cynizm, ukryty, moim zdaniem, pod pogańskim tłumaczeniem chrześcijańskiej moralności. Dziwne, że moja matka nie rozgryzła tego człowieka, który utracił wiarę we wszystko i nie znalazłszy dla siebie miejsca w Europie wrócił, aby przekonać się, że i tutaj nikt go nie potrzebuje...

Od Matura też nie ma żadnych wiadomości. Doniesiono mi z poczty, że wysłał kilka telegramów do Ligonu — postanowił urwać coś dla siebie w tym całym bałaganie. Nie mam do niego o to żalu. Mimo wszystko przybiegł do mnie i opowiedział o trzęsieniu ziemi.

## Odezwa

My, dziedziczni książęta i wodzowie rejonu Tangi, przygranicznych traktów i gór Kangemu, uroczystie oznajmiamy o swoim całkowitym i bezwzględnym poparciu dla Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Republiki Ligonu i wyrażamy głęboką wiarę w to, że nowy, postępowy rząd kraju będzie działać w zgodzie z interesami wszystkich zamieszkujących go plemion i narodów, szanując tradycje i obyczaje wszystkich bez wyjątku obywateli naszej wielonarodowej ojczyzny. Mamy nadzieję, że tarcia i brak zrozumienia, które zdarzały się pomiędzy narodami górskimi i rządem Ligonu, wynikające z rażącego naruszania suwerenności mniejszości etnicznych, skończą się, a na ich miejscu pojawią się nowe drogi, wiodące do wzajemnego zrozumienia i wspólnego dobra...

Książę Urao Kao

## TELEGRAM

Międzynarodowy z Moskwy, 12 marca, 13:40, pilny

Republika Ligonu Tangi do profesora Kotrikadze (za pośrednictwem Ministerstwa Górnictwa i Przemysłu Ciężkiego) *(po rosyjsku alfabetem łacińskim)*

Kolejne pomiary świadczą o krytycznych naprężeniach epicentrum w Tangi Sidorów przewiduje ognisko na głębokości czterdziestu pięciu kilometrów określające izosejsty wychodząc z tego założenia życzymy powodzenia przestraszeni brakiem wiadomości

Kołogriwow

.....  
Z telegrafu

Do księcia Urao Kao

*Z Ligonu przyszedł zaszyfrowany telegram dla profesora Kotrikadze. Został przekazany za pośrednictwem Ministerstwa, dlatego otrzymał go i zawiózł Rosjanom major Tilwi.*

Płyta Euroazjatycka

...trzecia odnoga nie wchodzi w skład płyty Pacyficznej. Tu zaczyna się trzeci obszar sejsmiczny kuli ziemskiej — Euroazjatycki... Od Wysp Sundajskich płyta Euroazjatycka ciągnie się wzdłuż wybrzeża Birmy, sięga po Himalaje i zawraca na zachód. Narazone na trzęsienia ziemi wyspy Jawa i Sumatra znajdują się nad najgłębszymi podwodnymi rowami. W tym rejonie znajduje się jedna z najlepiej zbadanych geosynklin. Tworzące się w niej fałdy i szczeliny najlepiej wyjaśniają częste trzęsienia ziemi.

Pierre Rousseau, *Trzęsienia ziemi. Paryż, 1961*

Do dyrektora Matura,

*Nie próbuj ukrywać przede mną swoich interesów z fabryką zapalek. Jestem niezadowolony kolejną zdradą. Postaraj się mniej myśleć o własnej korzyści. Pan Sun jest rozzłoszczony twoim zachowaniem w dniu przewrotu. Powinieneś poważnie zastanowić się jak cenne jest dla ciebie własne życie. Nie mogę wiecznie chronić cię przed niebezpieczeństwami. Najbliższe dni całkowicie poświęć rosyjskim geologom. Zaprzyjaźnij się z nimi, bądź dla nich przydatny, jeśli trzeba zostań komunistą i maszeruj po ulicach z czerwonym sztandarem. Muszę (i ty też) wiedzieć jak najszybciej i jak najdokładniej:*

1. *Czy Rosjanie rzeczywiście planują przewidzieć trzęsienie ziemi, czy raczej zajmują się wywiadem wojskowym?*

2. *Jeśli są tymi, za kogo się podają, na ile można im zaufać? Jak wiadomo, nie da się przewidzieć dnia własnej śmierci i trzęsienia ziemi.*

3. *Kiedy zacznie się trzęsienie ziemi? Będzie silne czy słabe? Obserwuj uważnie, gdzie ustawią swoje przybory. Powinieneś dokładnie znać ich położenie.*

*W żadnym wypadku nie przychodź więcej do mojego domu. Wiadomości przekazuj nocnemu portierowi w hotelu, Johnsonowi. W skrajnych przypadkach zwracaj się do kapitana Boro. Jeśli zawiedziesz, stracisz głowę. Bez względu na naszą starą przyjaźń, muszę cię uprzedzić, że sprawy wagi państwowej zmuszają mnie, bym znacznie wyżej cenil pomoc kapitana niż twoją, drogi Maturze.*

*List spal w obecności mojego posłańca*

*Urao Kao*

### *Pokwitowanie*

*Wystawione przeze mnie, kapitana Boro, księciu Urao Kao, potwierdzające, że otrzymałem od niego dziesięć tysięcy watów, przeznaczonych na pomoc bezdomnym dzieciom oraz na inne cele charytatywne.*

*Kapitan Boro, 12 marca, 197°*

### *Droga Lamii*

*Moja mama jest niepokieszona z powodu tego, że nie odwiedziłaś nas i tak nieoczekiwanie wyjechałaś z Tangi. Dopiero teraz dowiedziałem się, że ojciec wysłał cię do klasztoru Pięciu Złotych Budd. Mogę tylko pochwalić jego mądrą decyzję — w takich niepewnych czasach lepiej stać z boku. Znając niezbyt ciepły (nie — zasłużenie) stosunek twojego ojca do mnie, nie śmiem zaproponować ci gościny w naszym domu, jednakże możesz być pewna, że nasze drzwi są dla ciebie zawsze otwarte. Jaka szkoda, że straciłaś wiernego partnera do tenisa! Przyjmij proszę, wraz z tym listem, niewielki bukiet róż z naszego ogrodu. Potraktuj go jako wspólny prezent ode mnie i od mojej matki.*

*Na zawsze twój Urao Kao*

# Otar Dawidowicz Kotrikadze

Wróciliśmy wieczorem, wybraliśmy miejsca do rozstawienia czujników i określiliśmy ciekawe sejsmicznie (na oko) miejsca. Wołodia natychmiast pojechał do warsztatu. Na mnie czekał major Tilwi. Przyniósł telegram z Moskwy. Przetłumaczyłem mu telegram na angielski i to go przeraziło. Sądzę, że naciskają na niego z Ligonu. Czuję się jak posłaniec, przynoszący złe wieści. Kiedyś takich posłańców natychmiast zabijano, jakby utożsamiając ich z usłyszanyymi wieściami. Nie chciałem w żaden sposób umniejszać intelektu majora Tilwi, ale w jego oczach wyraźnie pojawiły się złowieszcze iskierki.

— Ktoś rozpusza plotki po mieście — powiedział.

— Wiem. Szukamy złota, żeby zabrać je do domu.

— Nie, sprytniejsze. Zamierzacie wywołać trzęsienie ziemi.

— Wywołać?

— Tak. Jakoby trzęsienie ziemi miało być w Rosji, ale jeśli wywołacie je tutaj, to uda wam się uniknąć nieszczęścia u siebie.

— Chytrze — powiedziałem.

Major podszedł do okna i popatrzył na burzowe chmury wiszące nad miastem.

— Nie dziś, to jutro zaczną się deszcze. Tutaj zaczynają się wcześniej niż w dolinie. Góry są jak ściana, od której odbijają się chmury. A gdzie pan Li?

— W warsztacie.

— Potrzebna jest pomoc?

— Kapitan Boro o wszystko zadbał.

Major Tilwi podszedł do drzwi i trącił palcem sznur prowadzący do wyłącznika.

— Chcę wiedzieć, gdzie ustawicie przyrządy. Człowiek rozprzestrzeniający plotki o tym, że chce wywołać trzęsienie ziemi, wie, co chce osiągnąć. Jeśli ciemni ludzie posłuchają go, może wam zaszkodzić. A tego się obawiałem...

Major dłużył paznokciem pod cienkim przewodem, biegnącym równoległe do głównego kabla i szarpnął go. Kawałek tapety oderwał się i w zaciśniętej pięści majora znalazł się czarny żuk. Otworzył dłoń i pokazał mi go. To był mikrofon.

— Myślę, że nie mamy przed sobą tajemnic — powiedział obojętnym tonem. — Kto wchodził do pokoju?

— Każdy, kto miał ochotę — powiedziałem. — Nie było nas przez cały dzień.

— Zorientuję się — powiedział major. — Gdzie ustawicie przyrządy?

Zasadniczo ustaliliśmy już z Wołodią jak rozmieścimy przerzedzony sprzęt. „Iskrę 12bis”, jeden ultrasejsmoskop i resztę sprzętu obliczeniowego zostawimy w Tangi. Drugi sejsmoskop najlepiej będzie ustawić na wysepce, na jeziorze Linili, tam też znajdą się trzy czujniki. Ostatni czujnik postawimy na brzegu, za klasztorem.

— Bardzo daleko wszystko rozrzuciliście. — Major był niezadowolony.

— To minimalna odległość. Bez trzech punktów nie damy rady. Jeden z nas zostanie w Tangi, pewnie ja. Wołodia wyruszy nad jezioro.

— Bardzo daleko — powtórzył major. Nie sprzeciwiał się, był zmartwiony. Major bawił się mikrofonem, myślał... Potem powiedział: — W hotelu jest niewygodnie ustawiać przyrządy. Ciasno i za dużo ludzi. Umówiłem się w sprawie pewnego domu. To dom komendanta policji. Stoi na skraju miasta, jest zupełnie odizolowany i łatwiej mi będzie go ochraniać.

— A co z gospodarzem domu?

— To porządny człowiek — powiedział Tilwi. — Jest teraz w szpitalu wojskowym. Zranili go przemytnicy.

— Dobrze — powiedziałem.

Tilwi odwrócił się, żeby odejść, a potem przypomniał sobie coś i stojąc w drzwiach powiedział:

— Ten komendant policji to ojciec Lami. Wiozła lekarstwo dla niego.

— Ona jest w klasztorze — powiedziałem.

— Wasunczok powiedział mi. Uważa, że tam jest bezpieczniej niż w mieście. A propos, kiedyś mieszkałem w tym klasztorze...

— Szanowny Mahakassapa bardzo mi pomógł. Ma wspaniałą pamięć. Opowiedział mi o wszystkich trzęsieniach ziemi w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, a nawet pokazał na mapie, gdzie były największe zniszczenia. Bardzo pomogło nam to przy wyborze miejsc.

Major pożegnał się, jego ciężkie buty zastukały w korytarzu i przez uchylone drzwi usłyszałem wysoki głos dyrektora Matura:

— Dobry wieczór, drogi majorze. Odwiedzał pan naszych wspólnych przyjaciół?

Pomyślałem, że będę musiał zjeść kolację w towarzystwie Matura. Na pewno zaczął się na nas, żeby jeszcze raz wyrazić swój podziw dla naszego ogromnego kraju.



# Jurij Sidorowicz Wspólny

Gdy tylko wszedłem do hotelowego holu, uprzejmy porter Johnson oznajmił, że dwa razy dzwoniło do mnie z Ligonu, z ambasady i za półtorej godziny znowu zadzwonią. Byłem cały zakurzony i spocony po męczącej podróży, ale nie zdecydowałem się pójść do pokoju, żeby nie przegapić rozmowy z Ligonem.

Siedząc w holu obok strasznie podrapanego telefonu zastanawiałem się, co powiedzieć Iwanowi Fiodorowiczowi.

Ale, ku memu wielkiemu rozczarowaniu, usłyszałem w słuchawce głos Saszy Gromowa.

— Jak leci, Pickwick? — zapytał. Słyszałem go dobrze. Pomyślałem, że naszą rozmowę na pewno podsłuchują i jego pozbawiony szacunku zwrot może zostać fałszywie zinterpretowany przez odpowiednie organy.

— Pan, Sasza, jak zwykle wesoły — powiedziałem energicznie.

— Przepraszam, Juriju Sidorowiczu. Zapomniałem, że jesteś kierownikiem. Słuchaj, Iwan Fiodorowicz niepokoi się, co z wami, czy macie wszystko, czego wam potrzeba, jak idzie praca?

— Wszystko w porządku — powiedziałem sucho. W rozmowie z samym Iwanem Fiodorowiczem byłbym bardziej elokwentny.

— Strasznie było spaść z nieba?

— Umiarkowanie — powiedziałem. — Już o tym zapomniałem.

— Farciarz — zupełnie nie na miejscu wtrącił Sasza. — Innym dopiero w ostatniej chwili życia trafia się katastrofa lotnicza. Iwan Fiodorowicz pyta, czy nie przysłać ci zastępstwa. Nogtiew wrócił z urlopu...

— Dziękuję — powiedziałem. — Poradzę sobie.

— A jak szybko nastąpi... wydarzenie?

— Niedługo.

— Co przekazać Iwanowi Fiodorowiczowi? Nami nie potrząśnie?

— Przekaż, że wykonujemy nasze obowiązki, mamy nadzieję, że nie zawiedziemy tych, którzy powierzyli nam tak ważne zadanie.

— Boże, Jurij, znowu wygłaszasz do mnie przemówienie.

— Co w TPRL? — zapytałem

— Dobrze. Twój szef wrócił do pracy. Przekazuje ci pozdrowienia. Potrzebujecie pieniędzy? Przelaliśmy na twoje konto tysiąc watów. Mówią, że w Tangi srebro jest bardzo tanie. Moja Lusia szuka bransoletki.

— Mamy jeden problem — powiedziałem, udając, że nie dosłyszałem aluzji. — Jutro grupa rozdzieli się. Profesor Kotrikadze zostaje w Tangi, a towarzysz Li jedzie w góry, do klasztoru, z częścią sprzętu.

— W czym problem?

— Z jednej strony moja obecność w Tangi i możliwość skontaktowania się w każdej chwili z ambasadą mogą okazać się bardzo ważne, oprócz tego, konieczne mogą okazać się negocjacje z miejscowymi władzami...

— Kotrikadze dobrze zna angielski?

— Świetnie.

— A Li?

— Średnio.

— Tam, w klasztorze, będzie sam?

— Oczywiście.

— Nie mogę ci kazać, ale mogę dać radę: z pewnością Li będzie bez ciebie trudniej, niż Kotrikadze. A ty jak myślisz?

Pożegnaliśmy się, odłożyłem słuchawkę. Wygląda na to, że niepotrzebnie powiedziałem o problemie Gromowowi. W końcu nie jest kompetentny w takich sprawach.

# Władimir Kimowicz Li

Rankiem, trzynastego marca, przeprowadziliśmy się do pustego domu na obrzeżach Tangi. Dom był niewielki, ale piętrowy. Wystarczył nam salon na parterze i weranda. Gdy elektrycy podciągali zasilanie na werandę, a wojskowy łącznościowiec regulował radiostację, poszedłem na górę. Nie miałem zamiaru chodzić po cudzych pokojach. Chciałem tylko zobaczyć ten, w którym mieszkała Lami. Na górze były tylko dwa pokoje. W jednym, większym, stało biurko, na ścianie wisiał dwie fotografie — smutnej kobiety, podobnej do Lami i samej Lami, gdy była jeszcze dziewczynką z dwoma cienkimi warkoczykami sterczącymi na boki. To był pokój jej ojca. W drugim kiedyś mieszkała ona. Pokój był pusty, wysprzątny, za oknem, na grubej gałęzi, wisiały podobne do gruszek gniazda wikłaczy, a ptaki krzątały się koło parapetu. Lami opowiadała mi o tych ptakach. W pokoju zachował się jej niezwykły zapach. Zszedłem na dół.

Koło dwunastej pojechaliśmy jeepem nad jezioro. Wspólny przez całą drogę był obrażony, najwyraźniej nie miał ochoty wyjeżdżać z Tangi, ale zwyciężyło poczucie obowiązku. Jechał z nami łącznościowiec, rozespany Lawo z termosem i automatem, i jeszcze jeden żołnierz.

W ścisku, ale w zgodzie dojechaliśmy do wsi koło klasztoru, zostawiliśmy tam sierżanta Lawo, aby umówił się co do łódki, potem przejechaliśmy koło trzech kilometrów po rozjeżdżonej przez wozy pustej drodze, prowadzącej obok klasztoru. Tutaj, za szeroką, rozległą terasą, z której roztaczał się wspaniały, jak z reklamy turystycznej, widok na jezioro i znajdujące się za nim góry, w jasnym, sosnowym zagajniku ustawiliśmy namiot, a w nim umieściliśmy czujnik. Zajęło to około godziny. Wspólny oznajmił, że na emeryturze zbuduje sobie tu daczę i będzie pisać pamiętniki. Doszedłem do wniosku, że pogodził się ze swoim losem. Zostawiliśmy przy przyrzadach żołnierza — natychmiast rozpałił ognisko i powiesił nad nim niewielki, aluminiowy czajnik — i wróciliśmy do wsi, gdzie trafiliśmy w sam środek bitwy między sierżantem Lawo i tutejszym starostą. Lawo napadł na staruszkę, grożąc wszelkimi możliwymi karami, ale ten odpowiadał długimi, przekonywającymi mowami, które rodziły się gdzieś w zakamarkach jego brzucha i wypęły na wierzch jak uderzenia bębna. W końcu Lawo poddał się i wręczył staruszkowi paczkę państwowych watów. Starosta długo międlił pieniądze, żałował, że nie zażądał więcej, potem zaprowadził na wąską ścieżką nad jezioro, gdzie w zatoczce stała motorówka, a na jej dziobie spał potężny młodzieniec.

— Mój syn — uroczyście huknął starosta, dzwoniąc srebrnymi bransoletami.

— O cudze by się nie targował — skomentował ten komunikat ponury Lawo, który przepłacił i traktował swe niepowodzenie jako klęskę armii.

Zmęczyliśmy się przenosząc aparaturę z samochodu do łódki, ale uprzejmy sierżant Lawo nie zgodził się, by wezwać na pomoc mieszkańców wioski.

W końcu przeładowana, długa motorówka odbiła od brzegu. Wspólny został na brzegu i wyjaśnił mi, że nie chce przeciążyć motorówki i zatopić sprzętu. Burty znajdowały się prawie na poziomie wody, więc rozumiałem jego obawy, chociaż na wyspie przydałyby mi się jego lingwistyczne

umiejętności. Widząc, że porzuciliśmy na brzegu takiego ważnego, białego mężczyznę, starosta mimo wszystko poczuł wyrzuty sumienia i przyciągnął (bezpłatnie) nędzne czółno, które oddał do dyspozycji Wspolnego. Na spoconej i czerwonej od słońca twarzy Jurija Sidorowicza widać było walkę wewnętrzną. Starosta śmiało zanurzył wiosło w wodzie, czółno nabrało wody, Wspólny zamknął oczy i ruszyli do przodu na rozsypującej się łódeczce, a nasz młodzieniec cały czas jeszcze szarpał za sznur, starając się obudzić motor. Dogoniliśmy czółno około stu metrów od brzegu. Wspólny anemicznie pomachał nam ręką i natychmiast znowu złapał za cieniutką burzę.

Najwyraźniej ludzie rzadko przyjeżdżali na wysepkę. Motorówka podpłynęła do chwiejącego się, drewnianego pomostu, wystającego daleko w jezioro. Jakiś ptak uwił gniazdo na samym pomoście, w szerokiej szczelinie między deskami. Obraził się na nas za to, że naruszyliśmy jego spokój i krążył nad naszymi głowami, wyrażając krzykiem niezadowolenie. Pas piasku utworzony przez wody jeziora na skraju łąki był czysty, tylko ślady ptasich nóg i górki piasku wokół norek krabów świadczyły o kipiącym życiu. Wyścielona popękkanymi, kamiennymi płytami ścieżka prowadziła ku Borze, gdzie wśród rozłożystych drzew stała pagoda, dawno nie malowana, z ceglanymi przybudówkami wokół białej bryły budynku. Za pagodą wyspa kończyła się stromym urwiskiem uchodzącym w morze. Obryw miał koło dziesięciu metrów wysokości. Dalej, do samych gór, przez jakieś siedem, osiem kilometrów, ciągnęła się gładka powierzchnia wody, gdzieniegdzie tylko urozmaicona białym żaglem rybackiej łódki.

Przenieśliśmy aparaturę bliżej pagody. Stała tam przekrzywiona wiata, zawieszona na rzeźbionych palach. Jakiś szlachetny człowiek przygotował tę osłonę dla pielgrzymów, włożył wiele trudu w dowiezienie tutaj cementu i żwiru — podłoga pod wiatą była betonowa. I chociaż w betonie pojawiły się pęknięcia, w których rosła jaskrawa trawa i młode krzaki, to jednak świetnie nadał się do ustawienia aparatury.

Po niedługim czasie dołączył do nas Wspólny. Był blady, na pewno podczas drogi tutaj niejedną raz żegnał się z życiem, ale na moje pytanie, jak się czuje, powiedział tylko:

— Widziałem bardzo dużą rybę. Z metr długości. Pewnie dobrze się tu łowi.

Podejrzewałem, że wcale nie jest wędkarzem. Zapytałem:

— A propos, Juriju Sidorowiczu, umie pan pływać?

— Nie — powiedział, zdjął okulary i długo je przecierał.

Ścisłe tajne

14 marca 1976, 11:30

Obecni:

Major Tilwi Kumtaton, komisarz okręgu Tangi

Kapitan Boro Jah Pa, komendant miasta Tangi

Profesor Otari Kotrikadze

Jah Lokri, burmistrz Tangi, pełniący obowiązki gubernatora okręgu Tangi

Major T.: Zebraliśmy się tutaj, aby omówić ważny próbie. Być może najważniejszy w historii naszego miasta. Szanowny Jah Lokri, nie miał jeszcze przyjemności spotkać się z profesorem Kotrikadze, który przyjechał ze Związku Radzieckiego, aby okalać pomoc naszemu krajowi. Proszę, aby profesor złożył krótkie oświadczenie.

Profesor K.: Jak wiadomo, przyjechaliśmy tutaj, gdyż nasze badania, prowadzone z wykorzystaniem najnowocześniejszych przyrządów, doprowadziły nas do wniosku, że w rejonie miasta Tangi pojawiło się niebezpieczeństwo trzęsienia ziemi o znacznej sile. Aby przekonać się, na ile dokładna jest nasza prognoza, musimy przeprowadzić szereg pomiarów na miejscu. W wyniku niezależnych od nas czynników zewnętrznych, byliśmy w stanie rozstawić nasze czujniki dopiero wczoraj w ciągu dnia i dlatego informacje, które teraz przekażę, nie są pełne. Ale w zasadzie potwierdzają nasze prognozy.

Major T.: Czyli trzęsienie ziemi odbędzie się?

Profesor K.: i to dość prędko!

Major T.: Jak prędko?

Profesor K.: Muszę wyjaśnić. Pod powierzchnią ziemi, górne warstwy są niestabilne. Ścisła je ogromne ciśnienie, są zdeformowane i dlatego, w zależności od ogólnych procesów, naprężenia występujące w skorupie ziemskiej, mogą zwiększać się lub zmniejszać, szukać drogi ucieczki. Skorupa ziemska jest elastyczna i przy wzroście naprężenia górne warstwy deformują się. Może nastąpić taki moment, gdy naprężenie przewyższy poziom wytrzymałości warstwy ziemi. W tym krytycznym momencie wystarczy jakikolwiek impuls: zmiana ciśnienia atmosferycznego, echo dalekiego trzęsienia ziemi i szpunt zostanie wyciągnięty.

J.L.: Czy słowa szanownego gościa znaczą, że ziemia pod naszym miastem jest elastyczna i nawet mój przypadkowy krok może okazać się fatalnym impulsem?

Profesor K.: Wczoraj nasze przybory rejestrujące naprężenie na wskazanej głębokości — a głębokość potencjalnego ogniska jesienią ziemi, którego oczekujemy, wynosi około pięćdziesięciu kilometrów — pokazały, że napięcie zbliża się do krytycznej wartości i, być może, od wybuchu dzieli nas tylko kilka dni. Czekamy na nowe informacje z Moskwy, gdzie zainstalowane są silniejsze przyrządy, obserwujące sytuację w całym rejonie. Ale w tej chwili mogę powiedzieć jedno — trzęsienie ziemi jest nieuniknione. I zacznie się w ciągu kilku dni.

J.L.: Jak silne będzie?

Profesor K.: Niestety, hipotetyczne ognisko znajduje się stosunkowo blisko powierzchni. A to znaczy, że zniszczenia, które spowoduje, będą stosunkowo niewielkie pod względem obszaru, ale bardzo silne w epicentrum. Zakładamy, że podczas trzęsienia ziemi uwolniona zostanie energia rzędu dziesięć do dwudziestej trzeciej ergów, a jego siła w epicentrum może osiągnąć dziesięć stopni.

J.L.: Czy mógłby pan przetłumaczyć to na bardziej zrozumiały język?

Profesor K.: Trzęsienie ziemi o sile dziesięciu stopni oznacza częściowe lub całkowite zniszczenie wszystkich budynków, pęknięcia w ziemi, osuwiska, zniszczenie mostów. W górach mogą wystąpić lawiny.

J.L.: To niemożliwe! To zbyt straszne! Chce pan powiedzieć, że miasto Tangi zostanie zniszczone?

Profesor K.: Niestety, nie mam wpływu na naturę. Epicentrum znajduje się w górach, w linii uskoku biegnącego wzdłuż pasma gór. Odległość w linii prostej od Tangi wynosi nie więcej niż dwadzieścia kilometrów.

Kapitan B.: Przecież możecie się mylić?

Profesor K.: Nasza metoda została wypróbowana na niewielkich ruchach tektonicznych i po raz pierwszy stosujemy ją tak daleko od laboratorium, istnieje więc możliwość pomyłki. Ale proszę nie robić sobie złudnych nadziei. Możemy mylić się w szczegółach, ale ogólna zasada jest sprawdzona.

Kapitan B.: Wasze przyrzędy zostały uszkodzone podczas przymusowego lądowania samolotu, a część z nich utraciliście. Może przybory kłamią?

Profesor K.: Straszenie was i przecenianie niebezpieczeństwa nie leży w naszym interesie.

Major T.: Rozumiemy to. Proszę zrozumieć kapitana Boro. Ni nie przepowiada tragedii, którą prorokujecie. Trudno nam jest uwierzyć w to, że na nasze miasto spadnie takie nieszczęście. Bardzo byśmy chcieli, żebyście nie mieli racji. Ale nie mamy prawa działać wychodząc z założenia, że się mylicie. Proszę powiedzieć, kiedy będziecie dokładnie znać dzień i godzinę trzęsienia ziemi?

Profesor K.: Dzisiaj w nocy dokonamy analizy materiałów. Jutro rano z klasztoru przyślą mi taśmy z czujników. Sądzę, że jutro wieczorem, a w najgorszym przypadku pojutrze rano, będę w stanie przedstawić bardziej szczegółową prognozę. Na razie mogę powiedzieć — w ciągu sześciu — ośmiu dni.

Kapitan B.: Może uda się to przesunąć chociaż o tydzień!

Major T.: Niechże pan nie będzie naiwny, kapitanie. To żywioł, a my jesteśmy tylko ludźmi.

J.L.: Będziemy musieli powiedzieć ludziom, żeby opuścili domy i wynieśli dobytek. Nie wiem, jak to im przekazać. Wielu nie uwierzy, bo sądzą, że trzęsienie ziemi to znak gniewu bogów.

Major T.: W górach większość ludności to poganie, którzy wierzą w złych bogów i złe duchy.

J.L.: Oprócz tego, powinniśmy uprzedzić ludzi mieszkających we wsiach. Czy może pan zaznaczyć na mapie rejon, któremu zagraża zniszczenie?

Profesor K.: Dostarczę taką mapę jutro wieczorem.

Kapitan B.: Gniew ludzi może zwrócić się przeciwko komitetowi wojskowemu.

Major T.: Ja i pan reprezentujemy tu władzę.

Kapitan B.: Powinniśmy skomunikować się z Ligonem.

Major T.: Jesteśmy bardzo wdzięczni profesorowi Kotrikadze, który nie żałuje czasu ani wysiłku, żeby pomóc nam w obliczu grożącego niebezpieczeństwa i mamy nadzieję, że profesor Kotrikadze będzie tak samo postępował w przyszłości. Natychmiast poinformuję Ligon o rozwoju wypadków. Gdy tylko znany będzie termin, zwołamy zebranie przedstawicieli partii i grup narodowościowych, żeby omówić zagadnienia ewakuacji. Bardzo dziękuję za uwagę.

Rozszyfrował i zapisał lejtnant Kalmiczok

Wydrukowano w trzech egzemplarzach

## TELEGRAM

.....  
Ligon Tymczasowy Komitet Rewolucyjny do generała brygady Szoswe i pułkownika Vana z  
Tangi 14 marca 12:50

Wstępne informacje od rosyjskich geologów potwierdzają rychłą klęskę prognozują całkowite zniszczenie miasta najpóźniej w ciągu tygodnia niedługo prześlę dokładną datę natychmiast powtarzam natychmiast potrzebna jest pomoc obawiam się wystąpień przeciw rządowi wojskowemu oraz prób rozprzestrzeniania przez siły antyrządowe niebezpiecznych informacji proszę o helikoptery ciężarówkę oceniam że operacja w Tangi jest ważniejsza niż opór na południu

komisarz major Tilwi Kumtaton

.....  
Do księcia Urao Kao

Przesyłam odtworzony przeze mnie z pamięci zapis rozmowy, która odbyła się dzisiaj, w mojej

obecności, u majora Tilwi. Rosyjski profesor jest przekonany, że trzęsienie ziemi nastąpi w ciągu tygodnia. Gdy tylko otrzyma taśmy lub klisze znad jeziora Linili, dokładnie określi dzień. Mam nadzieję, że nikt się o tym nie dowie, gdyż podejrzenie bez wątpienia padłoby na mnie.

Oddany przyjaciel

### SZYFROGRAM

Opóźnienie w przesyłce towaru jest niebezpieczne. K. poinformował, że szykuje się wsparcie dla Tangi. Pojutrze towar trzeba wysłać w dół Kangem. W przyszłym tygodniu przybędzie statek. Sytuacja jest trudna. Nacjonalizacja dotknęła ważnych ludzi, wielu jest niezadowolonych. Mam nadzieję, że rząd się długo nie utrzyma. Tym niemniej bądź ostrożny, nie śpiesz się z wystąpieniem. Polecenia zakupu nieruchomości w Tangi realizuję. Jutro oczekuję rezultatów. Pozdrów Matura. Kiedyś sam mu urwę głowę.

Oddany J.Sun

# Dyrektor Matur

Rano dostałem w końcu od Saada potwierdzenie, że fabryka zapalek należy do mnie. Odwiedziłem ją. Powoli przechadzałem się po terenie, obok magazynu drewna, suszarni i warsztatów, i ze smutkiem myślałem o tym, że za kilka dni tej fabryki nie będzie. Ani jej, ani tych maszyn tnących drewno, sklejących pudełka, mieszających siarkę... Oczywiście, jeśli Rosjanom uda się trzęsienie ziemi.

Wszedłem do biura i zapytałem Chińczyka, który był tu kierownikiem, czy otrzymał z Ligonu informację o przejęciu przeze mnie prawa własności. Kierownik nie wiedział o tym, ale traktował mnie uprzejmie i pomyślałem, że być może zostawię go na stanowisku. Natychmiast poinformowałem go o tym i obiecałem podwyżkę.

Chińczyk odprowadził mnie do bramy i, muszę przyznać, sprawiło mi to przyjemność. Minie pięć lat i ludzie będą mi się kłaniać wszędzie. Jeśli tylko rząd nie zabierze ludziom ich własności. Nie, pora szykować się do wyjazdu stąd, do jakiegoś spokojnego kraju, gdzie nie ma wojska, gdzie szanuje się biznesmenów. Do Singapuru?

— Pracujcie — powiedziałem po ojcowsku do kierownika.

— Czy wiadomo coś o nacjonalizacji?! — krzyknął za mną. Ach, w jakże złym momencie o tym wspomniał.

Zatrzymałem się.

— To nieprawdziwe plotki — powiedziałem.

I postanowiłem, że nie podwyższę mu pensji. Szkoda, że nie wynająłem samochodu. Słono kosztuje, ale robi wrażenie. Wtedy kierownik nie odważyłby się za mną krzyknąć.

I wtedy, tuż obok mnie, stanęła nowiutka toyota. Siedział w niej kierowca w niebieskiej furażerce. Kierowca zapytał:

— Czy pan Matur? Księżę na pana czeka.

Wsiadając do samochodu obejrzałem się za siebie. Kierownik patrzył na mnie. No i dobrze mu tak, niech wie, z kim ma do czynienia. To jasne, że przyjaciele z młodości nie zapominają o mnie, cenią i potrzebują mojej pomocy.

Mój przyjaciel, Urao Kao czekał na mnie w salonie.

— Muszę z tobą porozmawiać — powiedział księżę — bo jesteś jednym z moich najwierniejszych przyjaciół... — Zamyślił się, zmarszczył wysokie czoło i dodał ze smutkiem: — Być może nawet jedynym, wiernym przyjacielem.

— Nigdy nie pożałujesz tej przyjaźni — zapewniłem księcia.

Usiedliśmy w miękkich fotelach. Ze ściany patrzyła na mnie głowa tygrysa, którego zabił ojciec księcia w roku 1939.

— Przed chwilą major rozmawiał z rosyjskim profesorem. Rosjanie planują trzęsienie ziemi pod



koniec tygodnia. Ale, na szczęście, nie zdecydowali się jeszcze co do dnia. Major poprosił o wsparcie. Rozumiesz, co to znaczy dla nas?

Rozumiałem. Dobrze kojarzę.

— Problemem jest nie tylko twoja fabryka zapalek, którą podkupiłeś mi pod nos.

— I nie warsztaty mechaniczne, i nie fabryki tekstylne — dodałem z uśmiechem.

Książę nie rozgniewał się na ten żart. Kontynuował:

— Nie leży w moim interesie, aby rząd mógł przechwalać się przed całym światem, że ujarzmił przyrodę. Nie można dopuścić, aby wojskowi byli silniejsi niż niebiosa, które zsyłają na grzeszników trzęsienie ziemi.

Pomyślałem, że książę przesadza. Jeszcze w szkole wyróżniał się żywą wyobraźnią, wystarczyło, że skłamał komuś z nauczycieli lub kolegów, by potem na potwierdzenie kłamstwa wymyślać z zadziwiającą wprawą sterty bajek, żeby wśród nich zagubiło się pierwsze kłamstwo. W końcu tak zaplątał rozmówcę, że ten nie wiedział, w co wierzyć. Książę, jako człowiek wykształcony, nie uważał trzęsienia ziemi za wyrok losu i wygłaszał przemowę dla ciemnych mas.

— Niech wszystko — powiedział książę — toczy się własną koleją. Jeśli trzęsieniu ziemi pisane zniszczyć nasze miasto, to znaczy, że tak ma być.

Jeśli chodzi o nasze, dopiero co nabyte przeze mnie i księcia fabryki, to miał całkowitą rację. Obaj zaryzykowaliśmy. W każdej chwili mogli je znacjonalizować. Obaj mieliśmy interes w tym, aby fabryki zostały zniszczone, bez żadnej ewakuacji. Zapłaciłem za fabrykę dwieście tysięcy. W ciągu najbliższego tygodnia wydam jeszcze kilka tysięcy na pensje dla robotników i raczej nie mogę liczyć na sprzedaż wyprodukowanych zapalek. Tak więc z ubezpieczenia opiewającego na czterysta tysięcy, dostanę trochę ponad sto. A może mniej. Na szyi wisi mi rodzina, dzieci, głupi Saad.

— Ale trzeba uratować ludzi — powiedziałem.

— Nie jestem potworem — powiedział książę. — Ludzie, oczywiście, zostaną uratowani. Ale są sprawy, których nie mogę powierzyć moim ochroniarzom, bo do ich realizacji potrzebny jest intelekt i spryt.

## TELEGRAM

.....  
Tangi do komisarza Tilwi Kumtatona z Ligonu 19:45

Podjęto natychmiastowe działania kolumna ciężarówek wyruszyła z Ligonu godzinę temu w liczbie dwudziestu maszyn trzy helikoptery z rezerwy głównego dowództwa zostaną wam dostarczone jutro transportem dowodzi pułkownik Kengi podlegający wam na czas operacji przygotować plan ewakuacji przygotować lotnisko na przyjęcie samolotów transportowych natychmiast po otrzymaniu informacji o trzęsieniu ziemi poinformować mieszkańców górskich rejonów wysłać dwieście namiotów które trzeba zawczasu ustawić w bezpiecznych miejscach zabezpieczyć żywność opiekę medyczną w żadnym wypadku powtarzam w żadnym przypadku nie dopuścić do ofiar w ludziach odpowiadasz osobiście przed komitetem rewolucyjnym

brygadier Szoswe  
.....

# Major Tilwi Kumtaton

Po otrzymaniu tego obszernego telegramu zrozumiałej tylko jedno — wsparcie będzie, ale na razie go nie ma. Pomoc będzie, ale na razie jej nie ma. Trzęsienie ziemi będzie, ale nie wiadomo kiedy.

Nie mogłem opanować złości na współczesną naukę i profesora Kotrikadze, chociaż świetnie rozumiałem, że bez nich trzęsienie ziemi spadłoby na nas równie nieoczekiwanie, a jeśli nawet bym je przeżył, musiałbym zająć się nie ewakuacją, a liczeniem trupów. Pół godziny po pierwszym telegramie dostałem drugi.

## TELEGRAMY

.....  
Do nadzwyczajnego komisarza TKR pilne z Ligonu 20:15

Zorganizować ewakuację sprzętu z fabryk szpitala magazynów poinformować kopalnie poniesiesz odpowiedzialność za zniszczenie własności republiki

dowódca komitetu ekonomicznego  
brygadier Peri

.....  
Do Majora Tilwi Kumtatona pilne z Ligonu 20:50

W namiotach wysłanych ciężarówkami brakuje linek i kołków natychmiast zorganizuj linki i kołki.

pułkownik Van

.....  
Do komendanta policji, Wasunczoka

Dzisiaj w południe książe oznajmił, że wyjeżdża w góry. Namówił matkę na przeprowadzkę do letniego domku w górach.

Można założyć, że książe obawia się trzęsienia ziemi. Pragnę zwrócić twoją uwagę, drogi przyjacielu, że książe nakazał odszukać i przywieźć do siebie dyrektora Matura.

Możliwe, że towar znajduje się nad jeziorem, ale teraz trzeba będzie ratować go przed trzęsieniem ziemi. Będą się śpieszyć Szkoda, że ty, mój przyjacielu, nie możesz osobiście dowodzić operacją. Na twoim miejscu (wybacz mi szczerłość) nie ufałbym otaczającym cię ludziami. Niektórzy z nich (sam o tym wiesz) otrzymują pensję nie tylko od ciebie.

Przyjaciel

.....  
Do księcia Urao

Ustawili swoje urządzenia w zaroślach koło klasztoru, niedaleko jaskiń. Urządzeń pilnuje jeden żołnierz, który ciągle śpi. Dzisiaj przyjeżdżał młody Rosjanin, wyciągnął z urządzenia jakieś długie papiery i odjechał. W drodze powrotnej nad jezioro, gdzie mieszka, zatrzymał się w klasztorze. Do

jego samochodu podchodziła znana panu osoba, rozmawiali. Gdy odjeżdżał, trzymali się za ręce. Drugi Rosjanin został na wyspie. Na wszelki wypadek przebiłem w jeepie dwie opony.

Pa Puo

---

# Major Tilwi Kumtaton

Późnym wieczorem otrzymałem kolejny telegram z Ligonu, tym razem z komitetu ds. informacji i propagandy. Informowali mnie, że jutro z Tangi wylecą dwaj korespondenci, żeby we właściwy sposób opisać wydarzenia. Miałem ochotę pourywać łby tym z komitetu. Nie mają wolnego samochodu, ale znaleźli helikopter dla dwóch pasożytów, którzy będą plątać się pod nogami i zadawać głupie pytania. Opanował mnie gniew, przygotowałem więc ostry radiogram do Ligonu.

W tej samej chwili zadzwonił do mnie profesor Kotrikadze.

— Co znowu? — warknąłem do słuchawki po ligońsku

— Proszę o wybaczenie, majorze, że dzwonię tak późno — powiedział — ale właśnie Li zadzwonił do mnie z wyspy połączenie cały czas się rwało...

Oczywiście, że się rwało. Radiotelefony, które wygrzebałem w magazynie i dałem Rosjanom, rozjechał kiedyś czołg a potem powiązano je byle jak drutem.

— Ale zrozumiałem — kontynuował profesor — że ktoś przebił opony w jeepie, pozostawionym we wsi. Nie mają samochodu, żeby przywieźć taśmy z czujników i dokumenty przygotowane przez Li. Czy mógłby pan pomóc?

Jego poprawna angielszczyzna i spokojna uprzejmość wydały mi się wtedy niezwykle irytujące. Wydawało mi się, że uśmiecha się, rozmawiając z nami, dzikusami.

— Oczywiście, profesorze. Wydam rozkaz, żeby wysłano tam drugi samochód.

— Dziękuję, majorze, dobranoc.

— Gdzie jest kapitan Boro? — zapytałem wychodząc do pokoju, w którym drzemał dyżurny kapitan.

— Pewnie śpi — odpowiedział.

— Proszę go obudzić i przysłać do mnie. Proszę też wysłać trzech uzbrojonych ludzi do domu komendanta policji, gdzie mieszka rosyjski profesor.

— Ale tam stoi strażnik.

— Bez dyskusji!

Teraz byłem prawdziwym komendantem. Zmuszę tego dobrodusznego Boro do wprowadzenia porządku w mieście, a potem pojedę do szpitala.

*Jestem zły z powodu twojego nieposłuszeństwa. Czy nie rozumiesz, że teraz major wyśle tam żołnierzy, żeby pilnowali samochodu? Za wcześnie obudziłeś w nich podejrzenia. To może zagrozić naszej sprawie. Uprzedzam, że to twój ostatni błąd. Voa żadnym pozorem nie ruszaj urządzenia bez mojego rozkazu.*

*Kao*

# Władimir Kimowicz Li

Cały wieczór rachowałem przy świetle gołej żarówki zasilanej z akumulatora, a roje latających stworzeń odprawiały takie tańce wokół niej, że wyglądała jak zawinięta w gęsty, czarny woal. W takich warunkach komputer nadawał się co najwyżej do rozbijania orzechów. Zdenerwowany sierżant Lawo długo przeklinał kierowcę, który nie zauważył, kiedy przecięli nam opony i zaproponował, aby ten ruszył do miasta na piechotę i w ten sposób odpokutował swoją winę. Ale zadzwonił do mnie Otar i powiedział, że major obiecał przysłać samochód. Wspólny spuchł od ukąszeń komarów, ale czerpał pewną przyjemność z tego, że mieszka na bezludnej wyspie i że gdzieś niedaleko krążą chytry wrogowie, a jutrzejszy dzień przyniesie nowe przygody.

— Jakie są plany na jutro? — spytał mnie, uznając moje zwierzchnictwo na wyspie.

— Jutro o świcie zawieziemy dane do Tangi.

Nie było jeszcze późno i myślałem, że w ciągu godziny uporam się z robotą.

— Kto zawiezie dane? — zapytał Wspólny, błysnął okularami i strzepnął z nosa dużego żuka.

— Ja, a któż by inny?

— Dlaczego? — poważnie zapytał Wspólny. Rwał się do poważnych zadań.

Odłożyłem długopis.

— Otarowi jest trudno w pojedynkę. Razem szybciej zrobimy obliczenia.

— A czujniki? — głos Wspólnego dźwięczał silniej.

— Czujniki? Pan się nimi zajmie.

— Ja? — był dumny i trochę przestraszony. — Nigdy tego nie robiłem.

— Rano wszystko wyjaśnię. Mam nadzieję, że wpadną na Pomysł, żeby przysłać zapasowe opony do naszego jeepa.

I znowu zabrałem się za obliczenia.

Wspólny przez jakiś czas chodził dookoła, wychodził n urwisko, wpatrywał się w pasek świateł Tangi, potem coś za pisał w notatniku. W końcu powiedział:

— Czas spać, Wołodia. Jutro trzeba wstanie wcześnie.

— To nic, potem się wyśpię — sprzeciwiłem się zgodnie z najlepszymi tradycjami skromnych bohaterów. — Ale pan powinien iść spać.

Najwyraźniej czekał na takie polecenie. Natychmiast ułożył się na macie, owinał kocem, żeby nie pożały go komary, i usnął.

Przesiedziałem do świtu, ale nie chciało mi się spać. A gdy zaczęło świtać, przycisnąłem stertę papierów płaskim kamieniem, doczołgałem się do maty i natychmiast usnąłem. Po chwili obudzono mnie.

Było już całkiem jasno, słońce z ukosa świeciło w listowiu, nade mną stali dwaj żołnierze i po cichu dyskutowali czy budzić mnie, czy lepiej poczekać.

— Dzień dobry — powiedziałem do nich po ligońsku. I odwróciłem się, żeby obudzić

Wspolnego.

Ale było to zbędne. Wspólny wynurzył się zza krzaka z ręcznikiem w ręce.

— Wołodia, proszę nie zapomnieć w pośpiechu — powiedział głosem prymusa — nauczyć mnie odczytywać wskazania czujników.

# Otar Dawidowicz Kotrikadze

O siódmej rano obudził mnie telefon. Dzwonił major:

— Dzień dobry, profesorze. Czekam na telefon od pana. Nie obraziłem się za tę uwagę. I nie powiedziałem majorowi, że położyłem się późno.

— Przepraszam za opóźnienie — powiedziałem. — Mapa izosejsmiczna jest gotowa. Niestety, nie mamy szczegółowe) mapy geologicznej rejonu, a informacje o poprzednich trzęsieniach ziemi nanosiłem w oparciu o opowieść pańskiego dziadka.

— Przyślę samochód po mapę.

— Nie trzeba — odpowiedziałem. — Do dowództwa jest dziesięć minut na piechotę. Jestem przyzwyczajony do porannych spacerów.

— Dobrze — powiedział major — w takim razie zjemy razem śniadanie. Nie ma pan nic przeciwko temu?

— Dziękuję.

Umyłem się i wyszedłem z domu.

Ku memu zdziwieniu okazało się, że w ciągu nocy moja ochrona rozmnożyła się. Koło bramy stało dwóch żołnierzy, dwóch innych spało spokojnie na werandzie, a nad nimi krzątały się ptaki, których gniazda znajdowały się na kolumnach werandy.

Gdy wychodziłem przez bramę, jeden z żołnierzy wstał i ruszył powoli trzy kroki za mną.

Na ulicy panował poranny ruch. Minał mnie mnich, zamotany w ściśle przylegającą do ciała togę. Mnich przyciskał do brzucha menażki. Pod pachą ścisnął długi, ciemnoczerwony parasol. Dwie dziewczynki w jednakowych, niebieskich spódniczkach i białych bluzkach zatrzymały się, by popatrzeć jak żołnierz z automatem prowadzi gdzieś wujka w pomiętym garniturze.

Skręciłem za róg, w stronę dowództwa, a tam spotkał mnie nieoczekiwany wstrząs. Jakiś człowiek rzucił się na mnie tak nieoczekiwanie, że instynktownie odskoczyłem, zakrywając twarz rękami. Ten moment nieuwagi niemalże pozbawił mnie czarnej teczki z mapą dla majora. Człowiek złapał ją i zaczął ciągnąć ku sobie. A ja — bardziej ze strachu niż z nadmiernej odwagi — jeszcze mocniej złapałem teczkę i przez kilka chwil wyglądaliśmy jak posągi wojowników.

Sytuację uratował eskortujący mnie żołnierz, który wyszedł zza rogu i od razu zorientował się co się dzieje. Nie Wpadł na pomysł, żeby rzucić łodygę trzciny, którą żuł z przyjemnością i ta właśnie łodyga przeszkodziła mu w schwyceniu automatu. Napadający okazał się najbardziej rozgarnięty z nas wszystkich. Zygziem przebiegł przez ulicę i schował się w krzakach. Żołnierz w końcu wyrzucił drogocenną trcinę i rzucił się w pościg za bandytą. A ja, przez nikogo więcej nie niepokojony, dotarłem do dowództwa.

O ile dobrze zrozumiałem, major obserwował moją przygodę przez okno, więc gdy wyszedł mi na spotkanie, wyglądaj jak chmura gradowa.

— Żołnierz zostanie ukarany — takie były jego pierwsze słowa.

Pośpiesznie uspokoiłem majora. Wyciągnąłem w jego stronę czarną teczkę.

— Mapa jest tutaj. Major opanował się.

— Śniadanie czeka — powiedział. — Jeszcze raz przepraszam za ten pożałowania godny incydent.

— A samochód nad jezioro?

— Samochód wyruszył jeszcze w nocy. Chrupiąc w zadumie grzanekę, dodał:

— Jeśli informacja o tym napadzie dotrze do Ligonu...

— Nie dotrze — uspokoiłem majora. — Następnym razem będę ostrożniejszy.

Major nie dał po sobie poznać, że odpowiedź go ucieszyła. Odstawił filiżankę z niedopitą kawą.

— Nie podoba mi się — powiedział — że człowiek, który kazał temu bandycie napaść na pana, tak dużo wie.

— A co konkretnie?

— Wie, że miał pan dzisiaj rano przynieść mi mapę. Wie o jeepie nad jeziorem. I z jakiegoś powodu zależy mu, żebyśmy nie mogli przygotować się do trzęsienia ziemi.



# Kapitan Wasunczok

Wcześniej rano przyszedł do mnie major Tilwi. Bolała go ręka, był zaniepokojony. Przyniósł mi mapę, którą otrzymał od profesora Kotrikadze. Jeśli jej wierzyć, najbardziej ucierpią wsie na zachodnim brzegu Linili, a samo Tangi może być zniszczone. Rosjanin obiecał poinformować do południa o dokładnej dacie — czeka na przyjazd kolegi z nad jeziora, który ma przywieźć nowe wydruki.

Dopóki nie dotrze pomoc z Ligonu, Tilwiemu trudno będzie cokolwiek zrobić. Umówiliśmy się, że gdy tylko poznamy datę, roześlę policjantów do okolicznych wsi, żeby uprzedzili ludzi.

Potem major zaczął mówić o swej drugiej trosce. Uważał, że ma wroga, który chce aby trzęsienie ziemi zdarzyło się nieoczekiwanie. Opowiedział mi o incydencie z mapą, o tym, że ktoś przebił opony w jeepie nad jeziorem, o mikrofonie w pokoju rosyjskich geologów.

— Znasz ludzi, wujku — powiedział. — Może coś podpowiesz.

— Kto wiedział o mapie?

— Oprócz mnie i rosyjskiego profesora, burmistrz Jah Lokri i kapitan Boro. Byli na zebraniu.

— Czy ktoś mógł podsłuchiwać?

— Kazałem Fenowi Li sprawdzić mój pokój i pokój Rosjan.

— Fen Li jest zwykłym mechanikiem.

— Nie mam specjalistów. Nie mam nikogo, szczególnie teraz, kiedy Boro ze swoim oddziałem wyruszył do kopalni. Mam dwudziestu żołnierzy i jednego jeepa.

— Po co Boro pojechał do kopalni rubinów?

— Dostał telegram. Na kopalnię napadli ludzie wodza Wao. Jeśli tak, to znaczy, że ktoś skierował ich...

— Idź, Tilwi — powiedziałem do niego. — A ja pomyślę. Wróc po obiedzie.

Gdy tylko Tilwi wyszedł, siostra powiedziała, że przed szpitalem siedzi jakiś mnich, który chce się ze mną widzieć.

— Proszę go wpuścić — powiedziałem.

Mnich wyglądał młodo, jego pomarańczowa toga była zakurzona, wyraźnie był zmęczony.

— Szedłeś na piechotę z klasztoru Pięciu Złotych Budd?

— Tak — powiedział. — Wyszędłem w nocy i przyszedłem dopiero teraz. Ale pod górę jechałem autobusem.

— Masz dla mnie list?

— Nie. Szacowny Mahakassapa nie dał mi listu. Powiedział, że list mogą mi zabrać, a tego, co leży w mojej głowie cudze oczy nie zobaczą.

— Mów.

— Szacowny Mahakassapa powiedział, że to czym interesuje się komendant policji, jest

przechowywane w jaskini za sosnowym zagajnikiem. Jest tam teraz.

— Dobrze — powiedziałem. — Czy szacowny Mahakassapa wie, w której jaskini znajduje się towar?

— Tak — odpowiedział mnich. — Wie.

— Czy przekazał coś jeszcze?

— Szacowny Mahakassapa sądzi, że wczoraj jeden z myśliwych z wioski widział Pa Puo. Tylko Pa Puo zgolił swe sławne wąsy. Ale i tak można go poznać.

— Co z moją córką?

— Mieszka w domu odźwiernej. Po kolei śledzimy ją, aby nic złego się nie przydarzyło. Szacowny Mahakassapa sądzi, że serce Lami skłania się ku młodemu Rosjaninowi, który teraz mieszka na wyspie. Rosjanin przyjeżdżał do klasztoru, a Lami wychodziła do niego. Rozmawiali w sadzie.

— Powiedz siostrze, żeby dali ci jeść.

— Dziękuję — odpowiedział mnich. — Pójdę z powrotem. Tylko wstąpię na bazar, bo szacowny Mahakassapa kazał mi kupić masła orzechowego dla klasztoru.

— Nie można kalać rąk mnicha pieniędzmi.

— Nie mam pieniędzy — odpowiedział mnich. — Masło da mi kupiec, który obiecał podarować je klasztorowi.

— Żartowałem, święty mnichu — odpowiedziałem — Wiem, że w klasztorze panują srogie prawa.

Mnich odszedł.

Powinienem myśleć o sprawach służbowych, ale martwiłem się o Lami. Wiedziałem, że księżę interesuje się nią i okazuje to. Ta uwaga nie była jej obojętna, chociaż jej serce nie odwzajemniło uczuć księcia. Wiedziałem, że nad jeziorem strzelali do mnie ludzie księcia. Ale na razie nie jestem w stanie udowodnić, że księżę handluje opium. Jestem o tym przekonany, bardzo bliski udowodnienia tego księciu, ale co z tego, nikt go na razie nie złapał na gorącym uczynku. Pozycja księcia w Tangi jest zbyt silna, a major, któremu mógłbym powierzyć tajemnicę, jest za bardzo zajęty trzęsieniem ziemi. Pa Puo jest tam, niedaleko klasztoru. Czyli księżę wie o wszystkim. Nie mam prawie żadnych wątpliwości, że to właśnie księżę chce przeszkodzić majorowi. Stary gubernator, którego wojsko usunęło ze stanowiska, siedzi w domu i od rana do wieczora naradza się ze stronnikami Jah Rolaka. Nie martwię się nim, nie mógł kazać nikomu przebić opony, ani zainstalować mikrofonu — starzy politycy trzęsą się ze strachu. Kapitan Boro? Jest zbyt chwiejny. Może wykonywać rozkazy księcia albo gubernatora, ale sam nie podejmie żadnych decyzji.

Kto jeszcze? Towarzysz Matur? Z jakiegoś powodu kupił fabrykę zapalek i wczoraj zjawił się tam. Po co kupować fabrykę, gdy wszyscy sprzedają? Ale Matur nie ma korzeni w Tangi, nie ma współników. Ale księżę mógł go wykorzystać... Znowu księżę.

Zawołałem policjanta siedzącego przy wejściu na salę, nakazałem mu zadzwonić do kopalni i dowiedzieć się, dlaczego nie poinformowali nas o napadzie wodza Wao, który, o ile mi wiadomo, wyruszył dwa tygodnie temu w stronę granicy z Tajlandią.

*Szanowny Saad Matur, Srebrna Dolina 18, Ligon*

*Drogi i kochany bracie!*

*Koleje mojego życia ułożyły się tak, że znowu stoję przed trudnym wyborem. Z jednej strony,*

*moimi czynami kieruje żarliwa, bezinteresowna przyjaźń oraz troska o rodzinę i, w szczególności, o ciebie. Z drugiej strony rozumiem, że stawiam się w tragicznej pozycji. Może się zdarzyć, że list ten stanie się moim testamentem. Ale uwierz mi, że jakich by plotek nie rozprzestrzerali moi wrogo —jak zawsze myślałem tylko o dobru przyjaciół i krewnych.*

*Drogi Saadzie, jeśli przytrafiło misie coś złego, proszę byś zaopiekował się Elwirę i dziećmi. Nie chcę cię obarczać odpowiedzialnością za pozostały po mnie spadek, który zapisałem dzieciom. Jednakże jesteś tak oddany mojej żonie i mnie samemu że staniesz się, mam nadzieję, godnym opiekunem, nauczycielem i drugim ojcem chłopców.*

*A co do fabryki zapalek, to tak czy inaczej ulegnie ona zniszczeniu (nacjonalizację traktuję jak zniszczenie). Zrobię jednak wszystko, żeby jej zniszczenie nie przyniosło nam straty.*

*Sumę ubezpieczenia podzielisz zgodnie z wniesionym przez nas obu wkładem i, mam nadzieję, nie ograbisz swych bratanków.*

*Jeszcze raz, żegnaj*

*Twój starszy brat Matur,*

*Jeśli jednak nie wypełnisz swego obowiązku, bądź pewien, że dosięgnie cię karząca ręka losu.*

# Władimir Kimowicz Li

Major przysłał jeepa pełnego uzbrojonych żołnierzy, dowodzonych przez odważnego lejtnanta, który natychmiast rozstawił posterunki na wyspie, a dwóch żołnierzy pognął na górę, do sosnowego zagajnika. Gdy wyjeżdżałem z Tang, lejtnant siedział na skrzynce po piwie pod rozłożystym drzewem i wypytywał starostę o to, kto przebił opony. Starosta zwiśł nad nim jak góra i huczał, wzywając na świadków swej niewinności wszystkich bogów i duchy gór.

Wspólny odprowadził mnie do samochodu. Oznajmił, że zamierza zapuścić brodę. Myślę, że marzył o tym od dawna, ale najpierw mama nie pozwalała, potem kierownictwo krzywo patrzyło na brodatych i w końcu sam zrezygnował z tej rewolucyjnej myśli.

Gdy wsiadłem do samochodu, podszedł do mnie bliżej i wyszeptał:

— Zajrzę do klasztoru, sprawdzę, czy wszystko w porządku. Nie martw się, Wołodia.

Siedziałem z przodu, obok kierowcy. Nowy szofer był człowiekiem poważnym. Położył automat na pustym siedzeniu z tyłu i od czasu do czasu odwracał się, żeby sprawdzić, czy nigdzie nie uciekł.

W żaden sposób nie mogłem się domyślić, komu może zależeć na tym, aby nasza misja się nie powiodła. Kto mógł przebić opony? W końcu doszedłem do niezbyt przyjemnego, ale logicznego wniosku, że winne wszystkiemu są miejscowe przesady — jeśli plotki o tym, że szukamy złota zdobędą popularność, mogą nas zgubić.

Minęliśmy miasteczko Linili, w którym zatrzymaliśmy się w drodze do klasztoru, a potem droga zaczęła piąć się w górę, do Tangi. Była wąska, a przeciążone autobusy pędziły jak oszalałe i chwilami musieliśmy wymijać je zawisając kołami w powietrzu. Nie wspomniałem kierowcy, że na takich drogach wolałbym spokojną, równomierną jazdę. „Kierowco, pamiętaj, że czekają na ciebie w domu” — taki napis widziałem na skale, gdzieś koło Chorogu.

Słuszna uwaga.

Nagle samochód ostro zahamował.

W tym miejscu droga zakręcała pod ostrym kątem. Na zakręcie, cudem uratowany przed upadkiem w przepaść stał, oparty pogiętym zderzakiem o drzewo, samochód.

Przednie drzwiczki były otwarte i wystawała z nich głowa mojego starego znajomego, dyrektora Matura.

— Stój — krzyknąłem do kierowcy, który zamierzał zignorować wypadek.

Rzuciłem torbę z taśmami i obliczeniami na tylne siedzenie i wyskoczyłem z samochodu.

— Ratunku! — zawołał Matur słabym głosem. — Ratunku! Zginę!

— Proszę poczekać — postarałem się go uspokoić podchodząc tak, by wziąć go pod pachę i wyciągnąć na zewnątrz. — Wszystko będzie w porządku. Nic się nie stanie.

Gdy pociągnąłem Matura w swoją stronę, zawył nagle tak strasznie, że z przerażenia puściłem go.

— Nogi! — krzyknął Matur. — Mam złamane nogi!

— Proszę mi pomóc! — krzyknąłem do stojącego koło jeepa kierowcy, który wyraźnie nie zamierzał uczestniczyć w akcji ratunkowej.

Matur dołączył się do mojego wezwania po ligońsku.

Kierowca popatrzył na nas, potem spojrzął do góry sprawdzając, czy nie nadjeżdża inny samochód, wziął automat z tylnego siedzenia, jakby wypełniał nieznane nam paragrafy ustawy nakazującej stosowanie automatu podczas wyciągania z samochodu ofiar wypadku.

Czekałem na kierowcę z niecierpliwością, namawiając dyrektora Matura, by jeszcze chwilę wytrzymał, na co on wyraźnie nie miał ochoty.

W końcu kierowca dołączył do mnie i zaczęliśmy we dwójkę wyciągać Matura. Dyrektor krzykiem wyrażał oburzenie przeciwko naszym działaniom. Musiałem otworzyć tylne drzwiczki i wejść do samochodu tak, by objąć Matura od tyłu. Wydawało mi się, że samochód niebezpiecznie się przechylił. Ale nie miałem się jak wycofać, dalej przemieszczałem się do przodu, przeszedłem przez oparcie przedniego fotela żeby uwolnić złamane nogi Matura. Nie starczyło mu katastrofy samolotowej — postarał się jeszcze o wypadek na górskiej drodze.

W końcu dotarłem do nóg Matura. Kierowca, zgodnie z moim rozkazem, posłusznie przetłumaczonym przez Matura, zaczął go wyciągać, a Matur między krzykami i jękami starał się wyjaśnić, że jechał załatwić swoje sprawy na stację Mitili, ale jakiś drań o mało co nie zepchnął go z drogi.

Zamiast nam pomóc Matur opierał się, jakbyśmy chcieli wrzucić go do przepaści. Ale mimo to wyciągnęliśmy go w końcu z samochodu i, zdyszani jak po wspinaczce na Everest, ułożyliśmy go na trawie. Obok przemknął kolejny autobus z koszami mandarynek na dachu, a jego pasażerowie jak jeden mąż odwrócili się w naszą stronę i krzykami wyrażali oburzenie, sądząc, że to my jesteśmy w ni nieszczęściu.

— Jak nogi? — zapytałem Matura, obmacując je ze strachem, że natknę się na sterczącą kość.

— Bola — poinformował mnie Matur. — Jestem w szoku.

Przewrócił oczami i stracił przytomność.

— Musimy zawieźć go naszym jeepem do miasta — powiedziałem do kierowcy, podkreślając słowa pantomimą. Kierowcy taka perspektywa nie przypadła do gustu.

Odpowiedział mi długą tyradą, ale byłem twardy. A gdy spróbowaliśmy podnieść ciężkiego, jakby ważył ze czterysta kilogramów, Matura, ten otworzył nagle oczy i oznajmił, że już mu lepiej. Powiedział:

— Pomóżcie mi wstać.

— A nogi?

— Postaram się — powiedział Matur i w jego oczach zalśniły przezroczyście, żółtawe łzy. — Nie rozumie pan — powiedział do mnie oskarżycielskim tonem. — Wypożyczyłem ten samochód i będę musiał teraz zapłacić za niego. Jestem bankrutem.

— Wystarczy niewielka naprawa — próbowałem go pocieszyć. — Zderzak jest pognieciony, a poza tym reszta w porządku.

— Ale kto mi uwierzy! — sprzeciwił się Matur, podnosząc się przy tym i przestępując na trawie z nogi na nogę, żeby przekonać się, że rzeczywiście jest w stanie stać. — Tutaj nie ma policji drogowej.

— Co pan proponuje?

— Nic. Zostanę tu i poczekam na ciężarówkę, która wyciągnie samochód i odholuje na miejsce.

— Wolałbym odwiedzić pana do szpitala.

— W żadnym przypadku. Już prawie wróciłem do siebie. Na dowód tego Matur tupnął i gotów był zacząć robić przysiady. Powstrzymałem go.

— Jeśli odejdę od samochodu, jakiś chuligan na pewno zepchnie go w dół. Zupełnie nie zna pan dzikusów. Poproszę pańskiego kierowcę, żeby wezwał ciężarówkę.

Matur zwrócił się do kierowcy z pełnym emocji przemówieniem, wsuwając mu w dłoń jakiś banknot. Szofer odmawiał. Odwróciłem się, żeby nie krępować rozmówców. Gdy znowu na nich spojrzałem, kierowca został już skuszony, banknot znikł, a Matur opierał się o swój rozbity samochód i unosił rękę błogosławiąc mnie na drogę.

— Będę czekać, drogi przyjacielu — powiedział z uczuciem.

— Nigdy nie zapomnę tej bezinteresownej pomocy okazanej mi przez radzieckiego obywatela.

Nie pozostało nam nic innego, jak tylko ruszyć w dalszą drogę.

Wchodząc do samochodu popatrzyłem na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Straciliśmy na akcję ratunkową około pół godziny.

— Jedźmy — powiedziałem do kierowcy i odwróciłem się w stronę tylnego siedzenia, żeby wziąć teczkę. Teczki nie było.

# Jurij Sidorowicz Wspólny

Po odprowadzeniu Wołodii wybrałem się w góry. Umówiłem się z nim, że najpierw wyjmę taśmę z czujnika znajdującego się w sosnowym zagajniku, a potem wrócę na wyspę i tam przeprowadzę podobną operację. Co więcej, miałem osobiście przejrzeć wszystkie taśmy, zadzwonić do miasta i poinformować o wszystkim Otara Dawidowicza.

Ranek był piękny, rześki, choć martwiły mnie nieco ciężkie chmury wiszące nad górami.

Policzki z dwudniowym zarostem swędziały mnie i przez jakiś czas zastanawiałem się, czy nie ogolić tej szczeciny, ale zrezygnowałem z tego pomysłu, zarówno z powodu pośpiechu, jak i dlatego, że miałem nadzieję, iż dodatkowa warstwa włosów ochroni mnie przed komarami, które obrzydzały moje, poza tym całkiem szczęśliwe, życie.

— Pójdę w góry — powiedziałem do nowego lejtnanta.

— Proszę poczekać, sir — odpowiedział lejtnant, który skończył już przesłuchiwać starostę i niczego się nie dowiedziałem.

— Zaraz skończymy naprawiać jeepa i zawieziemy pana.

Popatrzyłem na kierowcę naszego starego jeepa, który z pomocą sierżanta Lawo, odsuniętego od dowodzenia, grzebał przy samochodzie. Według mnie dopiero co przystąpili do pracy i nie uporają się z nią wcześniej niż w porze obiadu.

— Dziękuję za troskę — powiedziałem do lejtnanta. — Pójdę pieszo. To nie więcej niż trzy mile, a ranek jest piękny.

— Tak jest, sir — powiedział lejtnant, ale gdy zrobiłem kilka kroków usłyszałem z tyłu jakiś hałas. Zrozumiałem, że nie wykręcę się od eskorty i posłusznie ruszyłem obok sierżanta, korzystając przy tym z okazji, aby poćwiczyć ligoński.

Jakieś piętnaście minut szliśmy przez wieś i sad, aż w końcu dotarliśmy do ogrodzenia klasztoru. Przypomniałem sobie, że obiecałem Wołodii odwiedzić Lami i dowiedzieć się, co u niej słychać. Zatrzymałem się obok ogrodzenia, ale w klasztorze było pusto, tylko zza drzew donosił się chóralny głos mnichów deklamujących sury. Postanowiłem nie zachodzić do klasztoru i nie naruszać ich spokoju; odłożyłem wizytę na drogę powrotną.

Pylista, wąska droga prowadziła pod górę. Niepokojące chmury nie zasłaniały słońca, ale nadawały światłu dziwny, złotawy odcień. Wyobraziłem sobie, z jaką niszczycielską siłą uderzą w góry deszcze monsunowe.

Lawo cmoknął. Odwróciłem się. Sierżant stał nieruchomo, patrząc w krzaki rosnące blisko ścieżki.

— Co się stał? — zapytałem. — Zwierzę?

Serce podeszło mi do gardła na myśl o spotkaniu z tygrysem. Pomyślałem nawet, jak to dobrze, że Lawo jest uzbrojony.

— Nie — wyszeptał Lawo, dając nura w krzaki. Zostałem sam na drodze. Las tajemniczo milczał. Milczały ptaki, milczały burzowe chmury nad głową.

Obok rozległ się trzask gałęzi. Potem krzyk. To chyba Lawo krzyknął „Stój!” Znowu cisza. A potem nieoczekiwana Seria z automatu. Zrobiłem krok w stronę pnia drzewa, żeby nie stać na otwartej przestrzeni. Znowu cisza.

Minęły jeszcze trzy minuty i na drodze pojawił się sierot Lawo.

— Co to było? — zapytałem spokojnie.

— Tam byli ludzie — odpowiedział Lawo. — Obcy.

— Może ze wsi? — powiedziałem.

— Nie, nie ze wsi. Poszliśmy dalej.

— Może to ci sami ludzie, którzy uszkodzili nasz samo chód?

— Być może. Tak czy siak uciekli. Nie pobiegłem za nimi bo powinienem eskortować pana.

Zabrzmiało to prawie jak pretensja.

Zmęczyłem się trochę, bo droga cały czas pięła się pod górę. Kilka razy zatrzymywaliśmy się na odpoczynek i Lawo cierpliwie czekał, aż dojdę do siebie. Jeśli tak dalej pójdzie to wrócę do Ligonu ze wspaniałą sylwetką. Ta myśl sprawiła mi przyjemność.

W końcu, po półtorej godziny marszu, wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Przed nami rozciągała się zalana słońcem polana, za którą wznosiły się oświetlone przez słońce, jasne skały.

Nad zagajnikiem unosił się biały dym. Żołnierze, pilnujący czujnika, siedzieli przy ognisku i grali w karty. Ale nasze przybycie zauważyli z daleka i przywitali nas, jakby od wieków nie widzieli ludzkiej twarzy. Czujnik był w porządku. Wskazanie nie przekroczyło czerwonej kreski.



# Księżę Urao Kao

Wysłałem matkę do letniego domku. Matka uparła się, żeby towarzyszył jej ojciec Fryderyk. Ale on twardo odmówił, bo uważał, że w przypadku trzęsienia ziemi jego pomoc będzie potrzebna tutaj. Przy misji znajdowała się niewielka szkoła.

Odprowadziwszy matkę, zacząłem zastanawiać się nad kolejnością niezbędnych kroków.

Pierwsze i najważniejsze — zrobić tak, aby Rosjanie nie mogli przepowiedzieć trzęsienia ziemi. Były na to dwa sposoby: pierwszy — zepsuć ich urządzenia. To najprostszy i najbardziej logiczny sposób. Niestety, zbyt gorliwy Pa Puo, którego na swe nieszczęście pożałowałem, uniemożliwił mi takie rozwiązanie. Uszkadzając jeepa uprzedził majora, a ten, żeby zachować twarz, otoczył wskaźniki taką ochroną, że aby je uszkodzić, musiałbym zacząć niewielką wojnę, a to nie mieściło się w moich planach. Drugi sposób polegał na tym, żeby pozbawić Rosjan dokumentów, na podstawie których prowadzą swoje obliczenia. Na szczęście, pomógł mi w tym kapitan Baro. Wiedziałem i o mapie (potrzebowałem jej, żeby poznać skalę trzęsienia i wykorzystać tę wiedzę), i o tym, że rankiem powinni przywieźć znad jeziora dane potrzebne do obliczeń.

Z mapą nie udało się. Za to gruby Matur, który świetnie rozumie, że jeśli uda się ewakuować przedsięwzięcia, nasze pieniądze z polisy rozplyną się jak dym, spisał się znakomicie. Tak wspaniale odegrał rolę ofiary wypadku, że rosyjski geolog i jego kierowca pozostawili samochód bez opieki, więc zabrać teczkę było bardzo łatwo. Jak kiepsko zna się na ludziach stary Sun!

Tak, bez wątpienia świat stracił we mnie wielkiego stratega. Potrafię i lubię wyobrazić sobie świat jako pole bitwy, ludzi — jako żołnierzy i oficerów, zwykłe, codzienne czynności — jako działania bojowe, rozpoznanie bojem. Nawet teraz, przebrawszy się w stary, przywieziony jeszcze z Londynu szlafrok i paląc fajkę, planuję bitwę.

Jestem wdzięczny dzielnemu Maturowi — nazywam go dzielnym, bo odwaga jest cechą tylko płochliwego serca. Jaką wartość ma odwaga, jeśli przejawia ją ktoś, kto nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństw wynikających z jego poczynań.

Sławmy strachliwego Matura!

Zyskaliśmy nieco czasu. Major nie będzie mógł wysłać raportu do Ligonu. Ligon nie wyda polecenia ewakuacji.

Swoje plany opieram na tym, że urzędnik pozostaje urzędnikiem, nawet jeśli ubierze się go w mundur. Urzędnik potrzebuje pisemnej podstawy dla wszystkich swych działań. Wyobrażam sobie, jak teraz szaleje młody Tilwi, jak zrozpaczeni są jego rosyjscy doradcy. Niewielkie taktyczne posunięcie z mojej strony pozbawiło ich możliwości włożenia w rękę ligońskiego urzędnika papierka z dokładną datą.

Przecież dla pułkowników w stolicy rosyjscy sejsmologowie wciąż są złymi czarnoksiężnikami! Jakoś to będzie, sami siebie przekonują pułkownicy!

Pomyślmy teraz, czym dysponuje przeciwnik? Czym może odpowiedzieć na moje uderzenie?

Ogłosić ewakuacji teraz, na własną odpowiedzialność, pułkownik nie może.

Majorem szarpią w tej chwili wątpliwości, patrząc na niego z boku jestem spokojny. Inicjatywa jest po mojej stronie. Wiem, że pułkownik Kengi, dowodzący kolumną ciężarówek, ma wobec mnie wiele zobowiązań i dlatego już zdarzyło się jedno poważne zaniedbanie — zapomniał wziąć beczki z paliwem. Wiem, że kapitan Boro, chociaż strasznie boi się zdemaskowania, wysłał dziś w nocy dwa plutony wojska do kopalni rubinów (wysłaliśmy mu odpowiedni telegram), na którą rzekomo napadł wódz Wao. W ten sposób pozbawił maleńki garnizon Tangi sił i uniemożliwił majorowi przygotowanie lotniska na przyjęcie samolotów transportowych.

Niech major zostanie bez ludzi i bez pomocy z Ligonu, zwiększy to jego niepewność.

Poczekam, aż ziemia drgnie i zniszczy moją własność ubezpieczoną od skutków klęsk żywiołowych! Pozbawcie mnie wszystkiego, o niebiosas! Jestem hazardzistą, stawiam na zero!

Raport

Do kapitana Wasunczoka

Nasz posterunek w kopalni rubinów donosi, że nie było żadnego napadu wodza Wao na kopalnię. Kapitan Boro przybył tu z dwoma ciężarówkami i transporterem opancerzonym dwie godziny temu. Został wprowadzony w błąd. Nikt nie wysłał telegramu o napadzie.

Dyżurny posterunku policji sierżant Fen Kha

# Jurij Sidorowicz Wspólny

Zajrzałem do namiotu. Wskaźnik był w porządku, nawet schyliłem się i usłyszałem szum przewijanej taśmy. Przyszliśmy za wcześnie.

Woda w czajniku zakipiała, jeden z żołnierzy wyjął puszkę mleka skondensowanego i przymierzył się nożem do jej otwarcia.

Nie opuszczało mnie uczucie trwogi. Godzina, którą miałem tu spędzić, ciągnęła się w nieskończoność. Wyobraziłem sobie, jak Otar Dawidowicz i Wołodia pochylają się nad taśmami obliczając datę. Ile dni, godzin, minut dzieli nas od nieszczęścia? Nigdy nie widziałem trzęsienia ziemi. Czytałem o tym, ale sam nigdy nie przeżyłem tego strachu, który opanowuje ludzi, gdy to co najpewniejsze na świecie — ziemia — zaczyna umykać spod nóg, tworząc przerażające szczeliny i obrywy, pożerające całe miasta. Wyobraziłem sobie, że szczelina pojawia się właśnie tutaj, u moich stóp, powodując upadek wysokich sosen o złotych pniach i obnażając ich powyginane korzenie.

Odpowiedź kryła się w taśmach, które powoli przewijały się w czujniku...

Nie byłem w stanie wytrzymać rosnącego napięcia, ruszyłem więc wzdłuż zbocza ku skałom.

— Proszę pana! — krzyknął za mną sierżant Lawo. — Zaraz będzie herbata.

— Dziękuję — odpowiedziałem. — Wypijcie beze mnie. Trochę się przejdę.

Lawo niechętnie podniósł się, żeby ruszyć za mną, ale powstrzymałem go gestem. Z ulgą usiadł z powrotem przy ognisku.

Zagajnik był rzadki, odszedłem dość daleko, ale dym z ogniska i żołnierze byli dobrze widoczni.

Zagajnik skończył się niezauważenie i znalazłem się na otwartej łące, oddzielającej drzewa od skał. Łąka była stroma, gdzieniegdzie widać było porzrzucone na niej kamienie, które oderwały się od skał i spadły w dół. Przyglądałem się szukając jaskiń, o których mówił sierżant Lawo, ale niczego nie dostrzegłem. Postanowiłem podejść bliżej.

W pobliżu skał trawa tylko gdzieniegdzie wystawała z kamiennych osypisk. Na szczęście wyszedłem na wąską dróżkę, wydeptaną przez myśliwych albo przez jelenie i ruszyłem nią wzdłuż skalistego urwiska. Nie bałem się dzikich zwierząt ani rozbójników — był jasny dzień, a miejsce było dobrze widoczne.

Dlatego gdy usłyszałem przed sobą głosy, wcale się nie przestraszyłem, chociaż cofnąłem się za potężną skałę i skryłem w cieniu. Co mną kierowało? Zwyczajna ostrożność. Sądziłem, że zobaczę myśliwego albo rolnika wracającego z pola.

Ale człowiek, który wynurzył się zza skał, zniszczył mój spokój.

Od razu go poznałem, chociaż ogolił wąsy, i to sprawiło mnie w przerażenie.

Tak, nie boję się tego słowa — na widok Pa Puo, bandyty, który groził nam śmiercią, przestraszyłem się. Miałem ochotę wtopić się w skałę. Z trudem powstrzymałem się, by nie krzyknąć panicznie, wzywając na pomoc żołnierzy, ale wiedziałem, że nikt mi nie pomoże, jeśli Pa Puo mnie zobaczy.

I od razu wszystkie moje niesprecyzowane podejrzenia złożyły się w logiczną całość jak kawałki kolorowego patchworku. Oto kim jest nasz tajny wróg, oto kto przebił opony jeepa, kto ukrywał się w lesie, gdy zśliśmy z Lawo do przyrzędów.

Pa Puo odwrócił się w stronę swych towarzyszy i wyszeptał:

— Cicho, tu jest pełno żołnierzy.

### **Spotkanie z trzęsieniem ziemi**

Długo podróżowaliśmy z żoną, zanim, wbrew swej woli, natknęliśmy się na jedno z najsilniejszych trzęsień ziemi w historii.

Celem naszej wyprawy było zgromadzenie w Himalajach okazów flory dla londyńskiego muzeum historii naturalnej...

W tybetańskiej dolinie zapanowała ciemność. Skończyliśmy naszą skromną kolację i moja żona położyła się spać. Spojrzałem na zegarek — była równo ósma.

Nieoczekiwanie rozległ się niewyobrażalny huk i ziemia zaczęła silnie drżeć. Rozrywając martwą, wieczorną ciszę w tym oddalonym od reszty świata, górskim zakątku, huk zmienił się w niemilknące wycie. Wydawało się, że na ziemię spada niebo. Przestraszony, wstrząśnięty, ale mimo to pełen ciekawości, wysunąłem głowę z namiotu. Wokół panowała całkowita ciemność i wydało mi się, że odcinające się na tle nieba, czarne pasmo gór zadrżało. Las na zboczu góry trzął się jak przed burzą.

Wyskoczyliśmy z namiotu, ale nowy wstrząs przewrócił nas na ziemię.

(...) Trzęsienie ziemi nadal trwało. Ogromne góry wpadły w łapy siły, która trzęsła nimi jak terier szczurem. Od czasu do czasu wydawało się, że ktoś wali w ziemię gigantycznym młotem. Mieliśmy wrażenie, że ziemia, na której leżymy, jest tylko cienką tkaniną rozciągniętą nad doliną i zaczepioną o zbocza gór.

(...) Minęło kilka tygodni, zanim poznaliśmy rzeczywistą skalę trzęsienia ziemi. Zamieniło w gruzy miejscowości na obszarze ponad tysiąca mil kwadratowych. Nie było łączności.

Lawiny pogrzebały całe wioski i przegradziły rzeki. A gdy te tamy zostały przerwane, po dolinach rozlała się woda znosząc z powierzchni ziemi wszystko, co stało na jej drodze (...)

„*Więźniowie trzęsienia ziemi w Assamie*” F. Kingdom Word,  
National Geographic, Nowy Jork, marzec 1952

# Kapitan Wasunczok

— Co teraz zrobimy? — zapytał mnie major Tilwi siadając na brzegu łóżka. Ręka mu dokuczała.

Mimowolnie pocierał ją zdrową ręką. Wrócił, aby opowiedzieć mi o nowym nie szczęściu.

Poradziłem mu, żeby wypuścił Matura — to zatrzymanie niczego nie da.

Nie dotknął nawet teczki.

— Wypuściłem go — powiedział Tilwi.

Uśmiechnął się lekko. Wiedziałem, że nie uwierzył w ani jedno słowo dyrektora.

— Co obiecują Rosjanie? — zapytałem.

— Profesor obiecał doprowadzić wszystko do porządku.

— Jak?

— Powiedział, że pomocnik pamięta najważniejsze liczby.

— Kiedy dadzą odpowiedź?

— Przed południem.

— Ale teraz mogą się pomylić.

— Nad jeziorem został doradca z ambasady. Odczyta zapisy wykonane przez przyrzady dziś rano i przekaże je nam.

Zamilkliśmy. Tilwi już kilka razy dzwonił do Ligonu, ale brygadier Szoswe wyleciał na południe, gdzie bronili się ciągle stronnicy Jah Rolaka, a jak to bywa w takich chwilach, brygadier był jedynym człowiekiem, który mógł podjąć jakąś decyzję. Jego pomocnicy wojskowi byli tak pochłonięci dzieleniem władzy, że trzęsienie ziemi w oddalonym, górskim okręgu nie wydawało im się godnym uwagi, jaką poświęcał mu brygadier. Naciskali, aby Tilwi poinformował ich o dokładnym terminie trzęsienia ziemi.

— Wrócił kapitan Boro — powiedział Tilwi.

— Z żołnierzami?

— Nie, sam. Okazało się, że był to fałszywy alarm. Co prawda, ktoś strzelał w nocy, ale kto i dlaczego — nie wiadomo. Zostawił żołnierzy z lejtantem, a sam wrócił.

— A gdzie jest wódz Wao? — zapytałem.

— Boro mówi, że ukrywa się gdzieś w tamtym rejonie. Dlatego zostawił żołnierzy.

— Wódz Wao już dwa tygodnie temu przekroczył granicę z Tajlandią i nie wrócił! — krzyknąłem. — Każda mysz w górach o tym wie.

— Czyli Boro pomylił się — powiedział Tilwi obojętnie. Głowę zaprzętały mi inne problemy. Na razie nie miałem pewności, czy Boro jest na utrzymaniu księcia, nie chciałem więc głośno o tym mówić.

— Zostałeś bez ludzi — oburzyłem się.

— Pół godziny temu wylądował samolot z dwoma plutonami saperów z pierwszej dywizji. To lepsi żołnierze niż garnizon Boro.

Podjąłem decyzję. Taka okazja więcej się nie zdarzy. Potrzebuję przecież tylko jednego dnia...

— Czyli masz ludzi... Nie mógłbyś dać mi na jeden dzień z dziesięciu?

— Skąd mam... — i nagle roześmiał się. — A po co ci oni?

— Widzisz, z północy, z Chin i Tajlandii, wędruje przez Tangi opium. Przemysłowcy mają potężnych protektorów, nie możemy więc poprosić o pomoc ludzi z gór: część z nich uczestniczy w tym handlu, a większość boi się nawet otworzyć usta — rządzi tu taka mieszanka wielkich pieniędzy, drobnej polityki i niebezpiecznych intryg...

— Rozumiem — powiedział Tilwi. — I wiem, dlaczego ty, wujku, znalazłeś się w szpitalu.

— No więc — powiedziałem — mam informacje, że znany ci Pa Puo żyje, że pozostaje na służbie u księcia Urao i że towar ukryty przez przemysłowców nad jeziorem Linili był powodem katastrofy samolotu...

*Rozkaz dla garnizonu okręgu Tangi. 14 marca, 10:10*

*Do komendanta garnizonu Tangi, kapitana Boro*

*Rozkazuję udać się natychmiast do sosnowego zagajnika, znajdującego się trzy mile na południe od klasztoru Pięciu Złotych Budd, zabierając ze sobą oddział żołnierzy z dywizji gwardyjskiej, a także grupę policjantów.*

*W jaskiniach za zagajnikiem powinniście znaleźć ładunek opium i dostarczyć go do Ligonu.*

*Należy podjąć zdecydowane kroki, mające na celu zatrzymanie nie wszystkich osób pilnujących towaru, a przede wszystkim, ukrywającego się w tej okolicy, znanego bandyty Pa Puo. Podkreślam konieczność pochwylenia Pa Puo i jego współników żywcem.*

*Operację przeprowadzić, w miarę możliwości, bez rozgłosu. Jeśli okaże się to konieczne można skorzystać ze wsparcia grupy ochraniającej urządzenie geologów nad jeziorem Linili.*

*Transport w postaci dwóch samochodów zabezpieczy dowództwo policji,*

*Rozkaz wykonać natychmiast po otrzymaniu.*

*Komisarz okręgu Tangi Tilwi Kumtaton*

*Do księcia Urao Kao*

*Piszę w pośpiechu. Przed chwilą wezwał mnie Tilwi Kumtaton. Dał mi dziesięciu żołnierzy i wysłał razem z policjantami do jaskini za klasztorem. Kapitan policji poinformował go, że w jaskini znajduje się towar. Wyjeżdżamy natychmiast samochodami policyjnymi. Wydano oddzielny rozkaz — złapać żywego Pa Puo, który, ich zdaniem, ukrywa się w jaskini. Major jest zły na mnie o to, że zostawiłem żołnierzy w kopalni rubinów. Niedawno przyleciał samolot z dwoma plutonami z pierwszej dywizji. Wieczorem przylecą kolejne samoloty. W najbliższym czasie nie powinniśmy się spotykać.*

*Bez podpisu*

TELEGRAM

.....  
Tangi pilne do komisarza TKR majora Tilwi Kumtatona z Ligonu 10:40 14 marca

Do tej pory nie mamy informacji o terminie wyjaśnić przyczynę opóźnienia informacji w przeciwnym przypadku wstrzymamy wysyłkę środków transportu potrzebnych w innych miejscach

pułkownik Van

.....

# Księżę Urao Kao

No cóż, w odpowiedzi na moje posunięcia wróg podjął działania. Siedziałem w bibliotece, trzymając w ręku meldunek od Boro.

Sługa wsunął głowę w szczelinę drzwi i powiedział, że ojciec Fryderyk chce mnie widzieć.

Ojciec Fryderyk mógł do mnie wchodzić bez uprzedzenia, ale nigdy nie korzystał z tego przywileju i za każdym razem odgrywaliśmy tę samą, niewielką komedijkę.

— Co sprowadza pana do mnie, nauczycielu? — zapytałem.

— Nie sądzę, bym miał prawo mienić się twoim nauczycielem — odpowiedział stary misjonarz.

— Nauczycielem jest ten, kto może pochwalić się owocami swej pracy, a ja nie miałem ani możliwości, ani czasu by zająć się twoją edukacją, Kao. Nie takim chciałem cię widzieć.

— Lepszym?

— To subiektywne pytanie. Dla kogo lepszym? Na pewno, gdybym mógł, zrobiłbym z ciebie człowieka niegodnego roli, jaką pełnisz w górach.

— Zepsułbyś mnie?

— Boję się, że zwichnąłbym twą moralność.

— Wyjaśnij to, proszę, ojcze.

— Definicje dobra i zła są różnorakie. Jesteś mieszanką dwóch kultur. Twój ojciec — buddysta — nie znał grzechu i nie znał Boga, jego życiem rządziła nieubłagana karma, będąca wynikiem wszystkich czynów od chwili narodzin. Twoja matka jest chrześcijanką, żyjącą w wiecznym strachu przed Bogiem, dla niej grzech jest oczywisty, a kara za niego — konkretna. Twoi poddani to buddyści...

— Jest wśród nich wielu animistów.

— Nie w tym rzecz. Formalnie jesteś buddystą i pozostajesz nim, chociaż nabawiłeś się nietypowego dla buddystów, Pochodzącego z Zachodu, cynizmu. Co by ci dały moje nauki? Brzemie chrześcijańskiego strachu przed Bogiem albo wewnętrzną walkę z grzechem? Najprawdopodobniej zakłamanie wynikające z tej nienaturalnej symbiozy.

— Skąd taki pesymizm?

— Wierzę, że mógłbyś być niezłym władcą dla swego narodu, gdyby do twoich gór nie wdarł się zachodni świat. Ale nie będziesz nim, bo zapomniałeś o buddyjskiej obojętności wobec pieniędzy i władzy.

— Ilu znasz buddystów pasujących do tego ideału?

— Mówię o psychologii ogólnie, a nie o konkretnych osobach. Czy znasz swój naród? Jesteś Europejczykiem w tym znaczeniu, że ci ludzie są dla ciebie tylko środkiem do osiągnięcia ziemskich celów. Ale nie ma w tobie strachu przed Bogiem, który by cię powstrzymał.

— Mówisz, jak buddysta.

— Dostrzegam mądrość buddyzmu. Bardzo długo mieszkałem w tym kraju. I ze smutkiem patrzę



jak wybierasz pośrednią drogę między dwoma światami. Wiedzie ona do nieszczęścia nie tylko ciebie, ale i twój naród.

— Nie mów o tym matce — spróbowałem obrócić wszystko w żart. — Rozczaruje się. Świata poza mną nie widzi.

— Po co? Jesteś dla mnie jak syn. Ale syn, którego czasem gotów jestem nazwać karą bożą.

— Jak syn? Powiedz, ojcze, męczy mnie pewna myśl...

— Myśli cię nie męczą, lecz bawią. Nie będziemy o tym mówić...

— O czym w takim razie mamy mówić? Po co przyszedłeś?

— Powiem.

Widziałem, że staruszek jest poruszony. Jego szare policzki poróżowiały, worki pod oczami, ciemne od gorączki, które nie raz, nie dwa dokuczyły staremu misjonarzowi, nabrzmiały i pomyślałem, jak bardzo staruszek zbliżył się do końca swego istnienia, do zakończenia życia, które nie przyniosło mu ani chwały, ani zadowolenia. Próbował nawrócić nasz naród na cudzą dla niego wiarę i choć sukcesy odniósł niewielkie, nawet to, co udało mu się osiągnąć, obróciło się w końcu przeciwko niemu. No cóż, jest białym człowiekiem i nie ma nic do roboty w naszym kraju. Jestem w lepszym położeniu. Znam i rozumiem białych ludzi, znam i umiem kierować moim rodakami. Straciłem na tej drodze wiele złudzeń, które staruszek nazywa przejawami moralności.

Nie mam czego żałować.

Tymczasem przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Powiniennem unieszkodliwić mojego głównego wroga — nie, nie naiwnego majora, ale Wasunczoka. Wymyśliłem, jak przerwać jego natrętną i bezsensowną działalność...

— Proszę mówić, ojcze — przywołując na pomoc wyniesioną z Cambridge cierpliwość. — Proszę kontynuować.

— Chciałem pomówić o twoim udziale w przemyśle narkotyków.

— Co?

— Nie ma się czemu dziwić. Sądzę, że nie jesteś tak naiwny, by wierzyć, że twój sekret jest czymś więcej niż tajemnicą poliszynela. Jeśli byłby to przemyt, powiedzmy, złotych zegarków, nie wtrącałbym się do twoich spraw — nie dlatego, że jestem amoralny. Wiem, jak trudno jest zmienić obyczaje w górach. Przemyt to wieczny problem w tych krajach. Ale przemyt narkotyków to co innego.

— Dlaczego?

— Dlatego, że przynosisz śmierć tysiącom młodych ludzi w innych krajach, spychasz ich na dno, w imię pieniędzy, których i tak masz pod dostatkiem.

Pełen zapału staruszek wyglądał dość żałośnie. Nie chciałem, aby dopadł go zawał w mojej bibliotece. Ale nie mogłem zostawić tych oskarżeń bez odpowiedzi.

— Proszę posłuchać — powiedziałem spokojnie. — Po pierwsze, nic mnie nie obchodzą głupcy, którzy sami się trują. Po drugie, jeśli nawet przestanę to robić, znajdą się inni — nie da się uniknąć handlu narkotykami...

— Bzdury! — powiedział starzec i tak mnie tym rozzłościł, że wstałem i wyszedłem z pokoju, żeby nie widzieć tego rozsypującego się ze starości moralisty.

Gdy po dziesięciu minutach wróciłem do biblioteki, spokojny i bez cienia złości na ojca Fryderyka, który, jak każdy człowiek ma prawo do własnych poglądów, staruszka już nie było. No dobrze, niech tylko jego chrześcijański Bóg uchroni go od ataku apopleksji. Wziąłem ze stołu kartkę

od Boro. Mam nadzieję, że ojciec Fryderyk miał dość taktu, by nie czytać cudzych listów.

Podarłem list Boro na drobne kawałki i podpaliłem je w popielnicze.

Nadszedł czas, abym sam ruszył do boju. Kazałem podstawić samochód. Mam nadzieję, że Boro nie wyruszył jeszcze nad jezioro. W przeciwnym przypadku nie jest wart tych pieniędzy, które w niego zainwestowałem.

# Jurij Sidorowicz Wspólny

Nie straciłem zdolności logicznego myślenia. Jeśli pobiegnę po żołnierzy, którzy znajdują się co najmniej pół kilometra ode mnie, to bandyci zdążą w tym czasie schować się wśród skał. Z tego wniosok, że powinienem wysłedzić, dokąd idą. Ruszyłem w ślad za nimi, przebiegając od skały do skały tak, by w żadnym wypadku nie znaleźć się na otwartej przestrzeni, gdyż rozumiałem, że bandyci znają tu każdy kamień. Jestem mieszcuchem i jedynie pewności siebie bandytów zawdzięczam swoje bezpieczeństwo.

Ścieżka doprowadziła nas do otwartego osypiska i bandyci ruszyli w górę, ku szczelinie w skałach.

Poczekalem, aż znikli mi z oczu i wybrałem inną, trudniejszą drogę do skał, która nie przechodziła przez otwartą przestrzeń. W niektórych miejscach trudno było się poruszać, rozdarłem ostatnie spodnie i mocno podrapałem rękę. Jednak po kilku minutach dotarłem do szczeliny i, zanim zajrzałem do środka, przykucnąłem, bo pomyślałem, że strażnik, jeśli w ogóle jakiegoś wystawili, patrzy na wysokości swoich oczu i mam więcej szans, że nie zauważy mojej głowy, jeśli wytknę ją na poziomie ziemi.

Moje obawy spełniły się, byłem dumny z własnej, jak się okazało wcale nie nadmiernej, ostrożności. Całkiem blisko, jakieś trzy metry ode mnie, stał strażnik z przewieszonym przez pierś automatem. Palił duże, zawinięte w liść kukurydzy cygaro i patrzył na jezioro.

Cofnąłem się. To cud, że nie usłyszał jak się poruszam. Chciałem odejść, ale spod nóg posypały się kamyczki, zamarłem więc przerażony czując, jak osypisko zdradziecko porusza się ciągnąc mnie w dół.

*Do komendanta Wasunczoka*

*Drogi przyjacielu!*

*Muszę przekazać ci smutne nowiny, które jeszcze raz zmusiły mnie do zwątpienia w ludzką dobroć. Przed chwilą zobaczyłem notatkę sporządzoną przez tego, kto otrzymał od majora Tilwi rozkaz, by natychmiast wyruszyć z żołnierzami w góry, do jaskini. Oficer ten zdążył przesłać informację o treści rozkazu księciu. W końcu zdecydowałem się, by powiedzieć księciu co sędzę o amoralności handlu narkotykami, ale ksiączę, z charakterystyczną dla niego beztroską odparł wszystkie moje argumenty.*

*Obawiam się, mój przyjacielu, że szacownemu Mahakassapie, do którego żywię głęboki i szczerzy szacunek, może zagrazać niebezpieczeństwo.*

*Nie chcę cię niepokoić, wiedząc że nie przyszedłeś jeszcze do siebie po zranieniu, ale sytuacja jest poważna...*

TELEGRAM

.....  
Tangi do komisarza TKR Tilwi Kumtatona pilne z Bangoni 11:35

Kolumna ciężarówek zatrzymała się w Bangoni oczekuje na cysterny wezwane z bazy lotniczej  
przybycie transportu opóźni się podejmujemy wszystkie dostępne kroki

dowódca kolumny

podpułkownik dowództwa zaopatrzenia Kengi

TELEGRAM MIĘDZY Narodowy

.....  
Tangi do profesora Kotrikadze z Moskwy 9:20 14 marca

Zarejestrowano krytyczny punkt w okolicy Tangi wszystko dzieje się szybciej niż  
przypuszczaliśmy mamy nadzieję że macie aktualne dane

Sidorow

# Otar Dawidowicz Kotrikadze

Ach, Maturze, ty oszuście! Jakoś szybko zapomniałeś o połamanych nogach...

Sytuację komplikuje fakt, że nie do końca ufam pamięci Wołodii. Oto dlaczego. Utrzymuje on, że nie zostało nam prawie wcale czasu w zapasie, mamy dzień, najwyżej dwa. Wołodia był nieprzejednany. Wierzył w to, co mówił.

— Kiedy zadzwoni Wspólny? — zapytałem

— O pierwszej. Zdejmie taśmy z czujnika w zagajniku, potem wróci, zrobi to samo na wyspie i zadzwoni do nas.

Postanowiłem zadzwonić na wyspę. A jeśli Wspólny wrócił wcześniej? Pomógł mi łącznościowiec, a potem także Tilwi, który nie mógł usiedzieć na miejscu, na pewno nie tylko z powodu naszych spraw, ale także z chęci oderwania się od niekończącego się potoku telegramów, rozporządzeń, rozkazów i rad nadchodzących ze stolicy. Wyspa długo nie odpowiadała. I gdy w końcu łącznościowiec powiedział „Jest”, nie mogłem uwierzyć we własne szczęście.

— Proszę przywołać Wspólnego — powiedziałem do Tilwi. Tilwi zaczął mówić. Podoba mi się język ligoński — jest śpiewny, i gdy dwie osoby rozmawiają ze sobą, wydaje się, że to skomplikowany operowy duet.

Tilwi odwrócił się w moją stronę, zakrył słuchawkę dłonią —

— Wspólny pojechał rano w góry.

— Tak myślałem — uspokoiłem Tilwi. — Powinien sprawdzić urządzenia w sosnowym zagajniku za klasztorem.

— Gdzie?

— W sosnowym zagajniku.

Tilwi był przerażony.

— Proszę nie wieszać słuchawki, majorze — powiedziałem. I zapytałem Wołodii: — Jak daleko od czujnika znajduje się telefon?

— Dwa kroki. Pod tą samą wiatą.

— Świetnie. Z kim pan rozmawia, majorze?

— Z łącznościowcem.

— Proszę go zapytać, czy widzi błyszczącą skrzynkę podobną do przekaźnika.

— Tak, widzi.

— Z jednej strony są trzy okienka, a pod spodem szereg przełączników.

— Tak, widzi.

— Niech przekręci w prawo skrajny lewy przełącznik. Powinno lekko pstryknąć.

Tilwi przekazał moje polecenia. Po minucie powiedział:

— Zrobił tak.

— Teraz widzi kasetę, czy może pan mu wyjaśnić co to takiego kasetka i magnetofon?

Znów trzeba było czekać. Gdy czekaliśmy, wytłumaczyłem Tilwi jak odwinąć taśmę.

— Potrzebuję tylko — powiedziałem — aby wasz łącznościowiec rozwijając taśmę patrzył uważnie, jak przebiegają narysowane na niej czarne zygzyki, Gdy tylko zobaczy, że w jakimś punkcie czubek dotknął cienkiej, czerwonej linii biegnącej wzdłuż taśmy albo ją przeciął, niech powie nam, jaka liczba odpowiada temu punktowi. Liczby znajdują się na dolnej krawędzi taśm, a także u góry — nad czerwoną linią. Dolne cyfry są czarne, górne — niebieskie, mogą być wydrukowane niezbyt wyraźnie. Jeśli będzie miał wątpliwości, niech powie nam, jakie są sąsiednie.

Tilwi długo wyjaśniał łącznościowcowi, co ma zrobić. Przypominało to dziecięcą zabawę w głuchy telefon i gdy w środku monologu Tilwi połączenie jednak się zerwało — ostry, uparty podbródek majora jeszcze bardziej wysunął się do przodu, a nos rozszerzył — walczył z urządzeniem jak ze smokiem i mogłem bez trudu wyobrazić sobie Tilwi za jakieś dwadzieścia lat, w stopniu generała, dowodzącego innym przewrotem albo co najmniej wielkimi manewrami.

Gdy w końcu udało się odzyskać połączenie, Tilwi na wszelki wypadek od początku powtórzył wszystkie instrukcje i jeszcze jakieś piętnaście minut czekaliśmy na informacje z jeziora.

Punktów znajdujących się za krytyczną granicą było znacznie więcej niż oczekiwałem, i znacznie więcej niż zaobserwowaliśmy u nas w Tangi — informacje pochodziły z epicentrum. Jeszcze dwa razy straciliśmy łączność; gdy wreszcie dobrnęliśmy do końca, spojrzałem na zegarek i zorientowałem się, że minęła co najmniej godzina.

— Proszę ich zapytać — poprosiłem Tilwi — czy Wspólny jeszcze nie wrócił?

— Już pytałem — powiedział Tilwi. — Może zepsuł się silnik łódki...

— Proszę przekazać, żeby zadzwonił do nas, gdy tylko wróci.

— Już powiedziałem.

Major usiadł na krześle w kącie i zamyślił się, patrząc gdzieś prosto przed siebie.

Musiał czekać jeszcze około dwudziestu minut. Chciałem być absolutnie pewny.

— Tak więc, majorze — powiedziałem — muszę pana zmartwić. Trzęsienie ziemi zacznie się jutro, około czwartej czasu lokalnego.

Jeśli spodziewałem się burzliwej reakcji — oburzenia, paniki, niepewności — to się pomyliłem. Tilwi odpowiedział obojętnym tonem:

— Czy może zacząć się wcześniej?

— Nie, to najwcześniejszy termin. Prawdopodobieństwo tego, że trzęsienie ziemi zacznie się po szesnastej wynosi dziewięćdziesiąt procent.

— Niech tak będzie — powiedział major. — Lepiej, jeśli będzie jasno. — Wstał. — Pójdę już — powiedział. — Mam trochę ponad dobę.

— Tak — zgodziłem się — trochę ponad dobę. Gdy major wyszedł Wołodia powiedział:

— Pojadę z powrotem. Wspólny gdzieś się zgubił.

— Najpierw coś zjedz. Na stole jest kawa i kanapki.

#### SZYFROGRAM

.....  
Ligon TKR do brygadiera Szoswe i pułkownika Vana z Tangi 12:20

Dokładny czas rozpoczęcia trzęsienia ziemi godzina szesnasta 15 marca potwierdźcie zgodę na pilną ewakuację ludności i sprzętu przyspieszcie przybycie kolumny ciężarówek gdzie pozostali saperzy czekam na pomoc medyczną i zapasy poinformujcie o podjętych krokach.

komisarz TKR Tilwi Kumtaton

.....  
Tangi do komisarza TKR Tilwi Kumtatona z Ligonu 12:45

Potwierdzamy odbiór radiogramu wydano rozkaz przerzucenia paliwa dla kolumny ciężarówek z bazy lotniczej pułkownik Kengi wezwany do Ligonu samolot z medykami i saperami wyleci za trzy godziny czy lądowisko jest gotowe zorganizujcie przyjęcie i rozmieszczenie zaczniacie natychmiastową ewakuację szpitala szkół zakładów pracy zorganizujcie wsparcie politycznych organizacji rady górskich feudałów.

brygadier Szoswe

# Książę Urao Kao

— Czy pozwoli pan, szanowny kapitanie — powiedziałem, Wchodząc na salę szpitalną — że zajmę pięć minut pana cennego czasu? Bardzo się śpieszę, ale uznałem za swój obowiązek odwiedzić pana.

— No cóż? — powiedział Wasunczok. — Spodziewałem się, że pan przyjdzie, książę. Sekundeczkę... Kapralu, tę notatkę proszę natychmiast przekazać majorowi Tilwi Kumtatonowi.

Wręczył policjantowi kopertę. Dużo bym dał za to, żeby dowiedzieć się, o czym Wasunczok donosi nowemu dowódcy.

— Jak pańskie zdrowie? — zapytałem. — Kiedy mogę mieć nadzieję zobaczyć pana w dobrym zdrowiu?

— Obawiam się, że już nie wrócę na swoje stanowisko — odpowiedział stary szakał. — Zamierzam udać się do klasztoru i tam dożyć swoich dni. Powinien zastąpić mnie ktoś młodszy.

— No co też pan mówi, kapitanie — zaprotestowałem.

— Kto ma więcej energii od pana? To właśnie pańska nieustępliwość wywołuje mój szczerzy zachwyty i pragnienie, by widzieć pana na tym odpowiedzialnym stanowisku jeszcze przez długie lata.

Głowa policjanta była zabandażowana tak, że wyglądał jak owinięta chustką starucha z górskiej wioski. Skórę na twarzy miał żółtą, chorą, ale oczy błyszczały i bez przerwy wpatrywały się w moją twarz. Nie imają się go nawet kule. Spojrzałem na zegarek. Z czasem było krucho. Kapitan Boro już wyruszył w drogę. Prawie wyczerpałem swe rezerwy, a moi wrogowie w każdej chwili mogą otrzymać wsparcie z Ligonu. Dlatego muszę przypuścić szturm na ich linie obrony. Ich forty. Jednym z ich punktów oporu jest ten słaby staruszek.

— Jakie sprawy zmusiły tak zajętego człowieka, by nawiedził chorego człowieka? — zapytał kapitan.

Rozejrzałem się. Policjant stał przy drzwiach. Kapitan cenił swoją skromną osobę, nie odważył się zostać sam, bez ochrony.

— Proszę kazać policjantowi wyjść — powiedziałem.

— Wyjdź — powiedział kapitan. — Poczekaj w korytarzu.

— Wielokrotnie starałem się znaleźć z panem wspólny język — powiedziałem.

— Nie można mnie kupić.

— Nie mówię o pieniądzach. W interesie całego rejonu jest, by panował między nami pokój.

— Świetnie rozumiałeś się z gubernatorem. Przeszkadzało Oii to, bo nieraz powstrzymywał mnie w pół drogi.

— Gubernator to już przeszłość. Między mną a nim było wiele nieporozumień, nigdy nie uważałem go za przyjaciela. Za to tobie się poszczęściło. Komisarzem został kuzyn.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Jesteśmy kwita. Ale wciąż jeszcze mam nadzieję, że się dogadamy. Chociażby w obliczu



kłęski, która nadciąga nad miasto.

— Jesteś dobrze poinformowany, książę — powiedział kapitan. — Kiedy, pana zdaniem, to nastąpi?

— Nie wiadomo — powiedziałem ze smutkiem. — Rosyjski geolog, który wiozł dokumenty do Tangi, zgubił je po drodze. Teraz Rosjanie mówią, że nie są w stanie określić dokładnego terminu.

— A mnie powiedziano, że dokumenty rosyjskiego geologa ktoś ukradł. I, być może, maczał w tym palce Matur.

— No właśnie, widzisz jak szybko rozchodzą się plotki. Jest mi przykro, że podejrzenie padło na szanowanego człowieka, który przyjechał tu załatwiać swoje sprawy, które nie mają nic wspólnego z trzęsieniem ziemi.

— Kupić fabrykę zapalek?

— Jakże mylą się ci, którzy uważają, że jesteś chory i bezsilny. Pan, kapitanie, jest jak orzeł, który obserwuje z wysokości codzienne troski i krzątanie ludzi.

— Dziwi mnie decyzja dyrektora Matura. Jest biznesmenem, a nikt z biznesmenów nie kupiłby fabryki, którą mogą w każdej chwili znacjonalizować.

— Założmy, że szanowny Matur jest kiepskim biznesmenem, założmy też, że poprzedni właściciel sprzedał fabrykę za bezcen bojąc się nacjonalizacji.

— Tantunczok? Za bezcen?

Postanowiłem nie drażnić dalej tego tematu. Staruszek sprytnie odciągał mnie od głównego zagadnienia.

— Panie kapitanie, przyszedłem tutaj nie po to, by osądzać interesy Matura.

— Dlaczego? Przecież jesteście z Maturem bliskimi przyjaciółmi...

— Mógłbym zaprzyjaźnić się z panem, ale nie z bengalskim kupcem... Przyszedłem z prośbą.

— Z prośbą?

— Jak pan wie, moje serce od dawna skłania się w stronę pańskiej prześlicznej córki. Co więcej, Lami wzbudziła także sympatię mojej matki, co nie jest prostą sprawą. Ja, jak pan z pewnością wie, traktuję Lami jak na dżentelmena przystało. Ani razu nie skorzystałem ze swej pozycji, aby zdobyć względy Lami. Chciałbym, żeby jej serce odpowiedziało na przyzwanie mojego z dobrej woli...

Nie odpowiadał. Być może był zmęczony. Kontynuowałem:

— Darzę uczuciem pańską córkę, kapitanie, więc myślę o panu jak o ojcu. Nie zwracam uwagi na pańską niechęć do mnie, bo wynika ona z obowiązków służbowych. Korzystając z pomocy moich ludzi, z wielkim wysiłkiem pomogłem Lami zdobyć i przywieźć lekarstwo...

Kapitan zmarszczył się. Nie mógł opanować złości, szakał.

— Tak myślałem — powiedział cicho. — Oszukała mnie.

— Proszę nie złościć się na Lami za kłamstwo. Osobiście prosiłem ją, by ukryła prawdę. Co to za przyjemność kupić czyjaś życzliwość prezentami! Obaj jesteśmy mężczyznami i rozumiemy, że połączyć nas mogą tylko nasze zalety.

Straciłem już piętnaście minut. Samochody kapitana Boro jadą do sosnowego zagajnika.

— Przyszedłem prosić o pańską zgodę na poślubienie Lami.

Ile można milczeć! Żaden kapitan policji w Ligonie nie mógł nawet marzyć o takim zaszczycie. Mogłem oświadczyć się w Londynie każdej baronównie, mogłem poślubić nawet prawnuczkę króla Ligonu, ale oświadczam się córce kapitana policji. Obudził się we mnie wschodni książę. Ale zachodni dżentelmen rozumiał, że wśród setek pańien, które podsuwali mi wielmoże z sąsiedztwa

albo kuzyni, nie było ani jednej kobiety, która mogłaby być dla mnie partnerką nie tylko w tych dzikich górach, ale i w każdym europejskim mieście, która byłaby nie tradycyjną, głupiutką zoneczką, królującą w domu i doglądającą dzieci, a damą, zdolną stanąć przy mnie w światłach jupiterów tak, jak Jacqueline Kennedy. Bo wybór żony w naszych czasach to nie tylko problem następstwa tronu. Stare, feudalne zwyczaje to fikcja, którą mogą zetrzeć z powierzchni ziemi jednym pociągnięciem pióra urzędnicy z Ligonu albo demonstranci swymi idiotycznymi hasłami. Małżeństwo to związek, który powinien dobrze wyglądać na ekranach zachodnich telewizorów.

— Co się kryje za tą prośbą? — kapitan przerwał milczenie.

— Nie rozumiem.

— Dlaczego przyszedł pan teraz, w pośpiechu, kiedy w każdej chwili może zacząć się trzęsienie ziemi?

— Właśnie dlatego, ojcze — odpowiedziałem. — Nastają dni, gdy nic naszego życia może być w każdej chwili zerwana. Chcę zdążyć...

— To niezbyt przekonujące, książę — powiedział kapitan. — Wróćmy do tej rozmowy za miesiąc.

— Czy mogę mieć nadzieję, że moje słowa zostały przyjęte życzliwie i już teraz nazywać pana ojcem?

— Proszę poczekać, książę. — Stary szakal nie wierzył w moją szczerość. Miał rację. — Nie zapytaliśmy jeszcze Lami.

— Sam ją zapytam.

— Nie zobaczy jej pan w najbliższym czasie.

— Mam nadzieję spotkać się z nią dzisiaj. Nad jeziorem. Nie da się ukryć ślicznotki przed wojownikiem jadącym na bojowym słoni... — zaśmiałem się wesoło.

— Dobrze, książę. Nie mogę panu przeszkodzić. Chce pan jeszcze coś powiedzieć?

— Tak, ojcze. Jeszcze tylko dwa słowa. Komendant Tangi kapitan Boro wraz z pańskimi policjantami pojechał do sosnowego zagajnika za klasztorem. Ktoś doniósł policji...

— Proszę kontynuować, książę — powiedział policjant — W rodzinie nie powinno być tajemnic. Boro sam wam doniósł. Ile dostał ostatnim razem? Na pomoc dla sierot?

— Dobrze — powiedziałem, starając się, aby groźba w moim głosie nie była zbyt oczywista. — Mnie też urządziła otwarta rozmowa. Kapitan Boro, najprawdopodobniej nie będzie w stanie znaleźć jaskini z towarem.

— W czym mogę pomóc?

— W niczym. Ale są jeszcze policjanci. Kapitan Boro to tchórz. Przy nich nie zdobędzie się na zdecydowane działania. Ryzykuję utratą towaru. A to jest przyszłość naszego narodu.

— To są narkotyki. Opium, które odebrałeś dziesiątego marca. Leży tam także towar, którego nie udało się wysłać wcześniej, ten, przez który dostałem trzy kule od twoich ludzi.

Policjant mówił rytmicznie i cicho. Zrozumiałem, że mnie nienawidzi. Było to nieprzyjemne. Wolę, żeby ludzie odnosili się do mnie z sympatią, dlatego więc, gdy trzeba komuś sprawić ból staram się to robić tak, by nie wiązano z tym mojego imienia.

— Nie, ojcze — powiedziałem — ktoś cię oszukał. Tam leży broń. Prawdopodobnie nigdy się nie przyda. Ale jeśli towar zostanie znaleziony, da to juncie wojskowej wspaniały pretekst do represjonowania górali i pozbawienia nas resztek niezależności.

— Nas, czyli książąt?

— Nas, czyli plemiona górskie. Dlatego właśnie uniżenie proszę cię, ojcze, w imię naszych związków rodzinnych, w imię sprawiedliwości, abys posłał policjantom rozkaz — trzy słowa nakazujące im wrócić do miasta. Nic więcej. Policjanci są bardzo potrzebni w mieście, bo przecież zbliża się trzęsienie ziemi i ktoś musi pilnować porządku. Sam przekażę wiadomość.

— Nie — odpowiedział kapitan.

Z trudem opanowałem się, by nie wyciągnąć pistoletu, który miałem ukryty pod pachą i nie posłać kuli w ten żółty łeb. Ale było to zbyt ryzykowne.

— Dobrze — powiedziałem wstając, bo ksiązę Urao Kao nie może dwa razy powtarzać tej samej prośby. — Wyjeżdżam. Mam nadzieję, że nasza rozmowa pozostanie tajemnicą.

Kapitan nie odpowiedział.

— Mam też nadzieję — kontynuowałem — że jednak zdecydujesz się i przyślesz mi rozkaz. Mam dyżurnego motocyklistę.

— Nie.

— Tym razem nie proszę. Po prostu wyrażam nadzieję. Mam nadzieję, że zrobisz to w imię szczęścia i bezpieczeństwa swej córki. A także w imię bezpieczeństwa starego Mahakassapy, który nie powinien na starość zajmować się donosicielstwem. I żeby nie było żadnych wątpliwości, oznajmiam, że od tej chwili biorę na siebie obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa Lami. Informację o miejscu jej pobytu przyślę ci przez posłańca. Inaczej będę zmuszony rozprawić się z policjantami i niektórymi innymi ludźmi.

I wtedy nerwy kapitana nie wytrzymały.

— Stój! — krzyknął. — Sierzancie! Zatrzymać go!

Szybko ruszyłem w stronę drzwi. Sierżant wpadł do środka i zastygł w niepewności. Odsunąłem go na bok. Srebrny kolczyk w uchu sierżanta świadczył o tym, że pochodzi on z plemienia Loe, które już od trzystu lat jest wasalem mojego księstwa. Sierżant nie odważył się mnie zatrzymać, ale poganiały go krzyki kapitana. Gdy dotarłem do wyjścia, obejrzałem się. I moim oczom ukazał się nieprzyjemny widok.

Widziałem jak kapitan, podobny do ducha, owinięty bandażami, owinięty w prześcieradło wlokące się za nim po podłodze, stara się wyjść na korytarz. Wyciąga w moją stronę żółtą rękę, palce drgają w powietrzu jak u małej małpki, która w żaden sposób nie może dosięgnąć do banana. Zacharczał i na podbródek wyciekła mu strużka krwi. Sierżant rzucił się mu na pomoc. Mam nadzieję, że teraz kapitan zmańdrzeje, pomyślałem, biegnąc do samochodu. Siedzący na tylnym siedzeniu ochroniarze patrzyli na mnie z otwartymi ustami, nigdy nie widzieli, żeby ich władca tak się śpieszył.

Jak na razie wyprzedzałem o krok moich przeciwników. Ale przewaga zmniejszała się z każdą minutą, a jeśli nie będę działał dość energicznie, może całkiem zniknąć.

*Do majora Tilwi Kumtatona*

*Otrzymałem nowe informacje: nie ma wątpliwości, że kapitan Boro jest człowiekiem księcia. Doniósł mu o twoim rozkazie.*

*Wasunczok*

# Major Tilwi Kumtaton

W dowództwie od razu skierowałem się do łącznościowców. Przez dwanaście minut czytałem radiogramy, które przysłyły podczas mojej nieobecności. Gdy wyszedłem stamtąd i ruszyłem w stronę gabinetu, dogonił mnie policjant i powiedział, że ma dla mnie wiadomość od kapitana Wasunczoka. Wziąłem kopertę, ale przeszkodził mi łącznościowiec, który odebrał nowy radiogram z Ligonu. Wsunąłem kopertę do kieszeni i zająłem się radiogramem. A potem, co przyznaję ze wstydem, zapomniałem o kopercie. Gdybym od razu przeczytał wiadomość, uniknąłbym wielu komplikacji.

W gabinecie czekał na mnie Jah Lokri. Siedział przy moim biurku i mazał coś na kratce. Spojrzałem z niechęcią na urzędnika, na jego ogromne okulary. Podejrzewałem, że ktoś z bliskich mi ludzi informował przeciwników o naszych planach. Najprawdopodobniej był to właśnie burmistrz.

— Co nowego? — zapytałem od progu.

Ręka mnie bolała. Miałem takie wrażenie jakby ktoś wbijał w nią ostre strzały. Bałem się, że może wywiązać się zapalenie.

— Przyniosłem plan ewakuacji — powiedział pokornie burmistrz. Moja wojownicza postawa onieśmiała go. — Tak, jak się umówiliśmy.

— Nikomu o tym nie mówieś?

— Nawet żonie, przysięgam.

Podszedłem do biurka, burmistrz szybko wstał, ustępując mi miejsca. To rozzłościło mnie jeszcze bardziej. Od początku byłem przygotowany na to, że cały ten plan to tylko zawracanie głowy.

— Oto spis tego, co trzeba ewakuować w pierwszej kolejności — powiedział wyciągając w moją stronę kartkę zapisaną równym, urzędniczym pismem.

Gdy przebiegałem oczami spis, powiedział:

— Termin nadal nie jest znany?

— Niestety, jest — powiedziałem, podkreślając czerwonym ołówkiem niektóre linijki... Ołówek drapał papier, linie wychodziły krzywe, a ja czułem dziwne zadowolenie z tego, że niszczę dzieło sztuki kaligrafii, nad którym burmistrz przesiedział całą noc. — Termin o czwartej po południu. Jutro.

— Och — powiedział burmistrz. — Miałem nadzieję... Cała złość nagle wyparowała ze mnie. Stał przede mną chudy, stary człowieczek w okularach z grubymi szklami. Człowiek ten był kompletnie załamany diagnozą, w którą do ostatniej chwili starał się nie uwierzyć. To było jego miasto, mieszkali w nim jego przyjaciele i krewni, znał tu każdy dom i prawie każdą rodzinę. Dla niego śmierć tego miasta była jak śmierć bliskiego człowieka...

— Proszę usiąść, burmistrzu — powiedziałem do niego. — Niestety, nie możemy niczego zmienić...

— Tak, tak, oczywiście — powiedział burmistrz, siadając naprzeciwko mnie. — Ale został tylko jeden dzień... Nie sądziłem...

— Ja też nie sądziłem.

— Tu, na liście...

— Proszę poczekać — powiedziałem otwierając szufladę i wyjmując mapę, którą przyniósł mi profesor Kotrikadze.

Na mapę naniesiono koncentryczne okręgi, podobne do oznaczeń wysokości na wojskowych planach. Wierzchołek tego Wzgórza — najmniejsze kółko — znajdował się na zachodnim brzegu jeziora Limli, obejmował wysepkę na jeziorze i klasztor Pięciu Złotych Budd. To było epicentrum trzęsienia ziemi, gdzie wstrząsy będą najsilniejsze. Drugi okrąg przechodził przez miasteczko na północnym brzegu jeziora i długim, nierównym owalem obejmował całe jezioro, nadbrzeżne wioski i część pasma gór na zachodnim brzegu. Tangi i zachodnia krawędź płaskowyżu znalazły się wewnątrz trzeciej elipsy, na której napisano: „8–9 stopni”, co oznaczało prawie całkowite zniszczenie miasta.

— Powinniśmy — powiedziałem — zdecydować, dokąd będziemy ewakuować ludzi i sprzęt.

— Myślę, że tu, na dół, w stronę torów kolejowych.

— Do kolei jest sto mil. Oprócz zejścia z płaskowyżu, na drodze są jeszcze dwie przełęcze. Boję się, że niczego nie zdążymy zrobić. Popatrzmy w drugą stronę.

Narysowałem ołówkiem linię wzdłuż drogi prowadzącej z Tangi na płaskowyż, i dalej na wschód, ku kopalniom rubinów. Gdy ołówek wyszedł poza obszar ograniczony ostatnim okręgiem postawiłem kropkę.

— Nie — powiedział Jah Lokri. — Tak czy siak trzeba będzie jechać prawie sto mil po kiepskiej drodze.

— Co proponujesz?

— O, tutaj — powiedział, wskazując punkt znajdujący się mniej więcej na środku narysowanej przeze mnie, czerwonej linii — jest duża wieś Moszi. Znajduje się w szerokiej dolinie. Znam te okolice. Według mapy, trzęsienie ziemi będzie tu miało siłę 3–4 stopni. To niebezpieczne?

— Zapytam profesora.

— No i droga do Moszi jest porządna, bez przełęczy.

— Część namiotów już dotarła — powiedziałem. — Sto sztuk. Ośmioosobowe, wojskowe. Już dziś trzeba wysłać do Moszi pluton żołnierzy, żeby ustawili namioty.

— To kropla w morzu — powiedział burmistrz.

— Ilu mieszkańców ma Tangi?

— Według moich obliczeń, ponad dziesięć tysięcy. Nie licząc wsi znad jeziora. Powinniśmy brać pod uwagę co najmniej dwadzieścia tysięcy osób.

— Dwadzieścia tysięcy! — Dopiero teraz dotarło do mnie, jaka to nieprawdopodobna liczba. Samych namiotów potrzeba ponad dwa tysiące! A jeśli dodać do tego, że wszystkich tych ludzi trzeba przewieźć, nakarmić, ogrzać, bo noc w górach jest zimna... — Dlaczego Rosjanie nie raczyli poinformować mnie chociaż dwa dni wcześniej!

Burmistrz nie reagował na moje okrzyki, z których raczej nie mogę być dumny. Na pewno wiedział, że nie dalej jak trzy dni temu wraz z Rosjanami cudem wydostaliśmy się z doliny Longi.

— Dobrze — powiedziałem pośpiesznie, żeby się uspokoić. — Nie jesteśmy sami. Ligon nam pomoże.

Burmistrz pokornie skinął głową.

— Czyli wiemy już, dokąd mamy wywozić ludzi — powiedziałem. — Teraz lista. Przejrzałem ją. Przeczytałem na głos to, co sam podkreśliłem. Szpital miejski i szpital położniczy, szkoła

TELEGRAM

.....  
Ligon pilne do brygadiera Szoswe z Tangi 13:50

Pierwsze przybliżenia wskazują że niebezpieczeństwo lawin i zerwania łączności z Mitili spowoduje brak żywności i leków w ciągu doby weźcie pod uwagę niebezpieczeństwo zerwania komunikacji lotniczej przysłano za mało namiotów do tej pory nie przybyła kolumna ciężarówek po analizie terenu wybrano Moszi na miejsce ewakuacji dwudziestu tysięcy osób przysłano za mało żołnierzy do utrzymania porządku potrzebny jeszcze jeden pluton po powrocie z Moszi poinformuję o dalszych potrzebach i planach

major Tilwi  
.....

# Dyrektor Matur

Po zauważeniu zaginięcia teczki, kierowca, smutny i niemiły żołnierz, w obawie, że dostanie mu się od dowódcy, zmusił mnie groźbami, bym wsiadł do jeepa i zawiózł mnie do dowództwa, gdzie tylko upór uratował mnie przed dalszym zatrzymaniem. Byłem szczery w swej niewiedzy. Nie wiedziałem kto i kiedy wziął teczkę: w tym spektaklu odegrałem tylko małą rolę — odwróciłem uwagę pana Li i kierowcy.

W końcu wypuścili mnie, ale straciłem oczywiście zaufanie rosyjskich geologów i majora, jestem głęboko przekonany, że w interesie księcia było lepiej zadbać o moją reputację, abym mógł wykonywać ważniejsze zadania.

Po wyjściu z policji przez jakiś czas siedziałem na brzegu zielonego trawnika. Nie miałem ochoty nigdzie iść. Byłem samotny i nikomu niepotrzebny. Przez całe życie dbam o dobro innych, zapominając czasami o własnych interesach, a owocem mojego idealizmu są gorzkie rozczarowania. Tak, dokonałem wielkiej rzeczy, być może pomogłem ocalić większą część majątku mojego przyjaciela, księcia Urao Kao. Ale sam zostałem wykorzystany i wyrzucony, jak stara szczoteczka do zębów.

Rozmyślając tak, przyglądałem się temu, co się działo dookoła. Major Tilwi gdzieś się udał pośpiesznie, a mnie wydawało się, że zbyt lekkomyślnie traktuje on swe bezpieczeństwo — wielu ludzi w Tangi nie pożałowałoby pieniędzy, by pozbyć się tego energicznego człowieka. Po kilku minutach jeep majora znowu przemknął obok pałacu, tym razem kierując się w stronę szpitala. Jeszcze raz — na lotnisko, jeszcze raz — do domu geologów. Jak bezcelowe są jego starania, jak bezsensowne jest jego życie!

W polu mojego widzenia pojawił się idący wolno przez trawnik człowiek, z którego postaci biło zbytne podporządkowanie się wyrokowi losu. Był to Czin Tzou-szi, właściciel kina „King”. Chińczyk poznał mnie i uklonił się.

— Co cię martwi, szanowny Czinie? — zapytałem staruszka—

— Ciężkie czasy, dyrektorze — powiedział.

— Tak — zgodziłem się — ciężkie czasy.

— Słyszeliście — powiedział Czin — że znacjonalizowano zagraniczne firmy? Co będzie dalej?

— Dalej? Dalej będzie jeszcze gorzej. — Nie chciałem straszyć staruszka, sam w to wierzyłem.

— Dojdzie do tego, że znacjonalizują wszystko, aż po roznosicieli lemoniady, a potem pękną jak przejedzony moskit.

Byłem posepny. Staruszek całkiem stracił humor. Wczepił się palcami w krótką bródkę i ciągnął, jakby chciał ją oderwać. Wyglądał jak ze starego, chińskiego obrazka. Tacy spacerują po ogrodzie i patrzą na sosny. W rzeczywistości był to dość pazerny i nieuczciwy starzec.

— Ale ja mam ligoński paszport — oznajmił, jakby to mogło wybawić go ze wszystkich kłopotów.

— Paszport! — włożyłem w to słowo tyle pogardy, ile się tylko dało. — Już mój dziadek miał ligoński paszport.

— I wszystko zabiorą? — zapytał Czin, pragnąc, żebym mu zaprzeczył.

I wtedy mnie olśniło. Była to przypadkowa myśl, zrodzona na kilka chwil przed tym, jak zamieniła się w słowa.

— Możesz co nieco uratować — powiedziałem.

— Jak?

— Sprzedawaj. Sprzedaj wszystko natychmiast.

— Ale kto kupi kino?

— Tak. Kino to niezbyt dobry interes. Armia zamierza przede wszystkim wziąć w swoje ręce środki propagandy ideologicznej.

— Jest stare, zamierzałem je odremontować, ale zupełnie nie mam wolnych pieniędzy...

Czin to drobny przedsiębiorca. Potrzebowałem raptem dziesięciu minut, żeby dowiedzieć się, że kino jest ubezpieczone na sto dwadzieścia tysięcy. A staruszek był gotów rozstać się z nim za jakieś trzydzieści tysięcy. Nie mogłem jednak złożyć oferty. Gdy tylko wyrażę chęć zakupu kina, staruszek natychmiast zacznie coś podejrzewać. Co robić?

Pożegnałem się z Chińczykiem, przysięgając, że będę przez cały wieczór myśleć, gdzie mógłbym znaleźć kupca na kino. W moim życiu pojawił się cel. Pobiegłem do telegrafu.

#### TELEGRAM

.....  
Ligon Srebrna Dolina 18 do Saada Matura

Wyślij pilnie czterdzieści tysięcy watów pod zastaw moich akcji British Petroleum a także telegram w imieniu naszego wuja Jah Radżendary zawierający zgodę na zakup nieruchomości w postaci kina King w Tangi oraz pełnomocnictwo dla mnie do prowadzenia negocjacji i podpisania umowy

kochający brat Matur  
.....



# Lami Wasunczok

Wierzę w przeczucia. Ile bym się nie uczyła na uniwersytecie, ilu książek bym nie przeczytała, i tak w głębi duszy pozostanę dziewczyną z górskiej wioski, wierzącą w złe duchy, które mieszkają we wsiach i w zwiastuny losu przychodzące do ludzi we śnie i na jawie.

Tego ranka obudziłam się w dziwnym nastroju. Całą noc śniły mi się koszmary, ale nie zapamiętałam ich. Gdy się obudziłam, pomyślałam, że coś złego przytrafiło się Wołodii. Ojciec jest w szpitalu, ojcu nic nie grozi. Dziadek Mahakassapa powiedział, że miejscowi chłopci widzieli bandytę podobnego do Pa Puo i dlatego bałam się o Wołodię, który jeździ po górach zupełnie sam. Ale tego ranka źle zinterpretowałam przeczucie.

Wyszłam z klasztoru, minęłam sad i zatrzymałam się pod drzewem, niedaleko wsi, żeby zobaczyć, jak Wołodia jedzie do miasta. Powiedział mi wczoraj, że rano pojedzie do miasta i szybko wróci. Długo stałam, ale nikt mnie nie zauważył. Potem zobaczyłam Wołodię. Był razem z grubym Rosjaninem w okularach. Rozmawiali obok samochodu, potem Wołodia odjechał. Nie widział mnie i nie poczuł, że na niego patrzę. Postąpiłam jeszcze chwilę i poczułam się lepiej wiedząc, że Wołodia jest wesoły i zdrowy, potem poszłam do dziadka Mahakassapy. Chciałam, żeby mnie uspokoił, zna słowa, które potrafią przywrócić spokój duszy. Ale przyszli ludzie ze wsi Longi, którzy chcieli zasięgnąć jego rady, bo słyszeli jakoby nowy rząd miał zabrać ziemię Fana Mo i rozdać ją Chińczykom.

Wzięłam książkę z biblioteki dziadka. Była to stara książka, wiele takich pamiętam z dzieciństwa. Obok bramy przeszli Rosjanin w okularach i żołnierz. Szli do sosnowego zagajnika, żeby popatrzeć na przyrzady.

Wiedziałam, że będzie tu trzęsienie ziemi, ale nie bałam się. Co więcej, chciałam, żeby było trzęsienie ziemi, bo inaczej ludzie pomyślą, że Wołodia i wysoki profesor ich oszukali.

Potem znowu spacerowałam po sadzie i czekałam na powrót Wołodii, ale Wołodia nie wracał.

Nie wiem, ile czasu stałam w sadzie, na pewno długo.

W końcu usłyszałam nadjeżdżający samochód.

Ale to nie był Wołodia. To był duży samochód Kao. Kao sam prowadził. Kierowca siedział z tyłu razem z ochroniarzami z plemienia Urao, którym Kao nakazał ubierać się w strój dawnych wojowników. Nie było takiej potrzeby, ale Kao zawsze obawiał się, że inni feudałowie będą się z niego śmiać, bo uczył się w Anglii, gra w golfa i ubiera jak cudzoziemiec.

Kao zawsze martwi się, co o nim powiedzą ludzie i dlatego czasem robi rzeczy, z których ludzie się śmieją. Czasami wydaje mi się, że jest dwóch Kao — jeden dobry, inteligentny, który gra ze mną w tenisa i rozmawia o nowych książkach, a drugi — obcy i zimny, zaangażowany w intrygi polityczne i jakieś ciemne sprawy.

Kao zatrzymał się nieopodal klasztoru i, nie zdejmując butów, wbiegł do środka. Najwyraźniej coś się stało. Kao zawsze był dumny z tego, że nie traci równowagi ducha. Mówił mi, że byłby

dobrym generałem, a nawet w żartach zapytał mnie czy odpowiadałaby mi rola żony generała.

Podeszłam do bramy akurat wtedy, gdy Kao, nie znalazłszy mnie, z powrotem wybiegł na zewnątrz.

— Lami, moja droga, jak dobrze, że cię znalazłem! — krzyknął. — Gnałem do ciebie z Tangi.

— Co się stało? — zapytałam, czując jak serce podchodzi mi do gardła.

— Twój ojciec gorzej się poczuł — powiedział wzburzony Kao. — Prosił, żebym cię szybko przywiózł do niego.

— Oj, Kao! — krzyknęłam. — Poczekaj chwilkę, tylko się przebiorę.

— Naprawdę chcesz tracić czas na takie bzdury? — skarcił mnie książę. — Tak się śpieszyłem...

Bez słowa ruszyłam do samochodu.

— Siądź z przodu, obok mnie — powiedział Kao.

— Proszę poczekać, młodzieńcze — usłyszałam z tyłu głos dziadka Mahakassapy, wyraźnie niezadowolonego z tego, że książę nawet się z nim nie przywitał. — Czy masz jakąś kartkę od szanownego Wasunczoka?

— Zamknij się, wstrętny donosicielu! — nieoczekiwanie Kao krzyknął tak głośno, że było go słychać chyba aż we wsi.

Staruszek aż się zatrząsł. Nigdy bym nie pomyślała, że ktoś może tak obrazić uczonego Mahakassapę. Stojący w pobliżu mnisi z przerażeniem krzyknęli.

— Jak mogłeś, Kao... — powiedziałam.

— Milcz! — odpowiedział. — Wiem, co powiedziałem. Ten mnich to niebezpieczny, polityczny donosiciel.

Zamilkłam. Kao był tak wzburzony, że bałam się żeby nie zrobił czegoś okropnego. Dziadek zrobił krok do przodu, żeby odciąć drogę samochodowi, ale Kao zdążył gwałtownie skręcić w bok, uderzyłam się w głowę, samochód podskoczył i potoczył się w stronę gór. Samochód przejechał jakieś pół min leśną drogą, zanim na tyle odzyskałam równowagę, by zorientować się, że jedziemy w niewłaściwą stronę.

— Kao — powiedziałam — chciałeś zawieźć mnie do Tangi.

— Oczywiście — odpowiedział książę. — Ale najpierw muszę podjechać do sosnowego zagajnika i spotkać się tam z pewnym człowiekiem.

I wtedy niebo ukarało Kao. Gdyby pojechał do Tangi, tak jak obiecał, opona nie natknęłaby się na ostry kamień czy gwóźdź. Samochód nieoczekiwanie rzuciło w bok, książę zaczął hamować i samochód zatrzymał się z maską w rowie.

— Opona! — krzyknął książę, otwierając drzwi i wychodząc na zewnątrz.

Tylnymi drzwiami wychodzili już kierowca i ochroniarze. Książę był tak wzburzony, że bez względu na strach zauważyłam, jak bardzo przypomina żurawia goniącego za wężem, którego w żaden sposób nie może dosięgnąć dziobem.

Kierowca otworzył bagażnik, żeby wyjąć zapasowe koło, a ja zapytałam księcia:

— Co z ojcem?

— Aresztował go major — powiedział książę nie patrząc na mnie. — W szpitalu. Zrobiło mu się od tego coś złego z sercem.

— Tilwi?

— Tak. Oznajmił, że twój ojciec jest reakcjonistą i groził, że go rozstrzela.

— Ale Tilwi... — bardzo chciałam wierzyć, że to jeszcze jedna bajka wymyślona przez księcia.

— Tilwi i jego Rosjanie szykują trzęsienie ziemi w Tangi — powiedział Kao, przyglądając się jak szofer kręci korbą lewarka. — Kapitan Wasunczok chciał im przeszkodzić.

Jak dobrze, pomyślałam, że Kao znowu kłamie.

— Kao — powiedziałam — jeśli i tak musiałeś się zatrzymać, wróć do klasztoru i przebiore się. Zabierzesz mnie w powrotnej drodze.

— Co ty sobie myślisz — sprzeciwił się — że zatrzymam się przed legowiskiem tego drania?

— Nawet twoim ludziom wstyd jest słuchać tych bluźnierstw — powiedziałam.

Nasz spór nieoczekiwanie został przerwany, gdyż z dołu dobiegł dźwięk samochodu. Pomyślałam, że to Wołodia wraca i przestraszyłam się. Jest sam, a książe ma ze sobą ludzi...

— Natychmiast do samochodu! — powiedział Kao, otwierając drzwi. — I nie ruszaj się!

Nie śmiałam się sprzeciwić. Tym razem wepchnął mnie na tylne siedzenie, a obok usiadł jeden z ochroniarzy. Ochroniarz był młodym chłopakiem, na policzkach miał namalowane czerwoną farbą bojowe wzory, pióra na głowie opierały się o podsufitkę samochodu, przez co wyglądał tak idiotycznie, jakby jechał na zdjęcia filmu o Indianach. Ale w rękę trzymał prawdziwy pistolet.

Zamarłam. Pomyślałam, że dla Wołodii będzie lepiej, jeśli mnie nie zauważy. Inaczej może się zacząć obawiać o mnie, zacznie kłótnię z księciem i znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Odwróciłam się ostrożnie. Przez szybę zobaczyłam, że dogoniły nas dwa niebieskie, policyjne jeepy. W pierwszym samochodzie, obok kierowcy, siedział kapitan Boro.

Książe wyszedł na drogę i podniósł rękę. Ale i bez tego jeepy już się zatrzymywały.

Książe powiedział coś do kapitana, ten zaśmiał się i żołnierze, którzy wyszli z drugiego jeepa też zaczęli się śmiać. Książe i kapitan znają się od dawna. Kapitan Boro przychodzi czasem do księcia na kort. Ale kiepsko gra w tenisa, nawet ja daję mu fory.

Potem książe położył rękę na ramieniu Boro i nachylił się nad nim, bo był wyższy o dwie głowy. Odeszli na bok, dalej od żołnierzy i zatrzymali się jakieś dziesięć kroków od samochodu, na skraju lasu.

Książe najwyraźniej zapomniał, że okno w samochodzie jest otwarte i wszystko słyszę.

— Nie śpieszyliśmy się — mówił kapitan Boro. — Kazałem nawet zboczyć z drogi i umyć samochody w jeziorze. Ale nie mogłem w ogóle nie pojechać. Policja mi nie podlega. Bez dwóch zdań doniosą swojemu kapitanowi...

No właśnie, ojcu nic się nie stało. Ale gdybym wtedy wiedziała, że Kao zabił mojego ojca, czy zostałabym w samochodzie? Wskoczyłabym na zewnątrz, krzyczałabym tak, że kapitan Boro wziąłby mnie do swojego samochodu. Nie ośmieliłby się przy żołnierzach i policjantach słuchać księcia. Ale niczego nie wiedziałam i posłusznie siedziałam w samochodzie.

— Wdepczę cię w ziemię — cicho, ale strasznie powiedział książe — jeśli odważysz się działać.

— Mogę pana aresztować, książe — odpowiedział Boro. Spurpurowiał. Gęste brwi zsunęły się na wąskie oczy.

— Aresztuj — powiedział książe. — Ciekawe, jak długo pożyjesz?

— Żartowałem — powiedział Boro niemalże szeptem, a jego brwi wróciły na miejsce.

— Ja też lubię żarty — powiedział książe.

— Ale nie mogę zignorować rozkazu.

— Wykonuj swój rozkaz. Daj mi tylko pół godziny.

— Jak?

— Sam wiesz najlepiej. Zarządź odpoczynek, wypytaj żołnierzy, czy nie widzieli czegoś podejrzanego.

— Oczywiście, książę, ale nie jestem sam.

— Podejmuję większe ryzyko. Zatrzymujesz się... A co to takiego? — książę wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że obok żołnierzy stoi starosta przyklasztornej wioski.

— Dostałem instrukcje — powiedział kapitan — żeby zabrać tego człowieka. Mahakassapa kazał mu pokazać nam jaskinię.

— Tylko tego brakowało!

— Nic nie mogę zrobić — powiedział Boro. — Jestem wzięty w dwa ognie.

— Mój pali silniej — powiedział książę. — Zatrzymywałeś się w klasztorze?

— Nie, starosta czekał na mnie we wsi.

— Nie słuchaj starosty. Powiedz, że musisz najpierw porozmawiać z żołnierzami w sosnowym zagajniku. Idź.

Książę podszedł do samochodu.

— Gotowe? — zapytał. — Ruszaj się.

— Tak — gdzieś z dołu rozległ się głos kierowcy. — Jeszcze tylko dokręcę.

— Odpoczynek! — Boro krzyknął do żołnierzy. — Dziesięć minut postoj.

Nie zwracając na mnie uwagi Kao siadł za kierownicą. Kierowca tłukł się układając koło w bagażniku. Książę krzyknął:

— Rzuć koło na drogę! Potem je zabierzemy!

Kierowca posłuchał. Kao ruszył, ostro szarpiąc samochodem do przodu i pomknęliśmy w stronę zagajnika, zostawiając z tyłu policyjne jeepy.

Nie dojeżdżając do zagajnika Kao skręcił w szeroką drogę i, uderzając o korzenie, nasz samochód zaczął piąć się w górę.

Wydawało mi się, że lada chwila rozsypie się albo ugrzęźnie. Ale Kao, przygryzając dolną wargę, uparcie jechał do góry. Żeby tylko Wołodia nie przyjechał, powtarzałam w duchu. Niech się nie śpieszy.

# Otar Dawidowicz Kotrikadze

Na werandzie rozległy się głosy, kobiecy płacz, musiałem więc odejść od komputera. Stała tam, cała we łzach, pielęgniarka z węzełkiem w ręku.

— Co się stało? — zapytałem ochrypniętym głosem. Nieoczekiwane pojawienie się człowieka związanego ze światem chorób, ran i śmierci, zawsze wywołuje strach. Ale siostra przy pomocy żołnierza wyjaśniła mi, że w szpitalu umarł właściciel tego domu — kapitan policji. Pielęgniarka przyniosła jego rzeczy, musiała też wziąć z domu jakieś ubrania, żeby ubrać nieboszczyka. Jeden z żołnierzy poszedł na górę. Słyszałem nad głową jego kroki. Potem nagle dotarło do mnie, że kapitan to ojciec Lami, w której zakochał się Wołodia. Przypomniałem sobie, jak Lami wiozła dla niego lekarstwo z Ligonu, jak wzruszająca była, gdy starała się w samolocie uratować torbę z lekarstwem. Przesiedziałem z pięć minut nic nie robiąc, przysłuchując się krokom i głosom na górze i rozmyślając o tym, jak to spotykamy ludzi, przyzwyczajamy się do nich, czasem stają się nawet częścią twojego świata, żeby potem pójść dalej, stracić tych ludzi i być dla nich straconym.

Po chwili zmusiłem się, by wrócić do obliczeń. I wtedy pojawił się major Tilwi, który chciał, żebym zaakceptował wybór wsi Moszi jako miejsca ewakuacji i, jeśli to możliwe, sam tam pojechał. Wyprawa, powiedział Tilwi, zajmie dwie godziny. A może postawię tam na wszelki wypadek moją skrzynkę? Miał na myśli czujnik. Pokazał mi to miejsce na mapie. Zgodnie z moimi obliczeniami, wieś znajdowała się poza cztero—punktową izosejstą. Zebrałem szybko rzeczy i powiedziałem do majora:

— Proszę zostawić tu kogoś, kto zna angielski, na wypadek, gdyby Wołodia wrócił.

— Dobrze — powiedział major.

W tej samej chwili z góry zeszła pielęgniarka. Tilwi spytał ją, co tutaj robi. Siostra zapłakała i wyjaśniła, co się stało. I wtedy właśnie dostrzegłem, jak młody jest nasz major, i jak bardzo jest zmęczony. Cofnął się o krok, wymacał oparcie krzesła, usiadł na nim, podniósł do oczu złamaną rękę i szary opatrunek zakrył mu twarz jak parandza...

Minęło trochę ponad godzinę, gdy dotarliśmy do Moszi, która rozpostarła się szeroko w płaskiej, górskiej kotlinie. Miejsce było dobre. Nawet jeśli wstrząsy będą silniejsze niż to wynika z obliczeń, ewakuowanym nic nie zgrozi.

Na dużej polanie żołnierze ustawiali i okopywali duże, wojskowe, namioty. Goli chłopcy krążyli stadem wokół nich zachwyceni taką rozrywką, a nieopodal stały w rzędzie kobiety w krótkich, czarnych narzutach, obwieszane mnóstwem koralików.

Ustawiłem czujnik na zielonym zboczu za wsią.

TELEGRAM

.....  
Tangi do komisarza TKR Tilwi Kumtatona z Ligonu 15:20

Przyśpieszyć ewakuację własnymi środkami podkreślam polityczne znaczenie przyślemy dodatkowe namioty poinformujcie o przybyciu kolumny ciężarówek raportujcie o trudnościach

Pułkownik Van

.....

# Jurij Sidorowicz Wspolny

Ochroniały mnie duchy tutejszych gór. Gdy poczułem, że kamienie zdradziecko uciekają spod stóp, przez kilka sekund starałam się zachować równowagę, dosłownie drapiąc nogami skałę, ale nie udało mi się i zjechałem na brzuchu w dół. Nic nie słyszałem, ani nie widziałem, zdawało mi się, że mój wypadek zwrócił uwagę nie tylko strażnika, ale każdej muchy w promieniu dziesięciu kilometrów. Kamienie wbijały mi się w brzuch, zdzierając ubranie i skórę...

Mój upadek był tak nieoczekiwany, że nie od razu dotarło do mnie, że się zatrzymałem.

Okazało się, że przejechałem po stromym stoku jakieś dwadzieścia metrów i zatrzymałem się na skale, górującej nad osypiskiem. W skale było głębokie wgłębienie właśnie z tej strony, z której się znajdowałem. Więc gdy po bolesnym uderzeniu w nogi zamarłem, odkryłem, że skała zasłania mnie przed wzrokiem strażnika, który usłyszał hałas spowodowany moim upadkiem, ale wyglądając ze swego ukrycia nie mógł mnie dostrzec.

Poszczyściło mi się, ale sytuacja miała też złą stronę. Znalazłem się w pułapce. Pode mną, przez sto metrów ciągnęło się gołe osypisko, bez jednego nawet, dużego kamienia. Nie mogłem wspiąć się dwadzieścia metrów w górę ani odczołgać s c na bok, bo osypisko było strome, więc te dwadzieścia metr pokonywałbym tak długo i hałaśliwie, że strażnik zdążyłby w tym czasie zastrzelić mnie ze dwadzieścia razy.

Oprócz tego, był jeszcze jeden powód, osobisty, który także uniemożliwiał mi opuszczenie kryjówki. Rzecz w tym, że podczas upadku podarłem cały przód ubrania. Nawet majtki były w strzępach. Znaczy to, że z tyłu byłem ubrany, ale z przodu byłem całkowicie obnażony. Świadomość tego nieszczęścia wzbudziła we mnie szczerze zakłopotanie, bo — oprócz niewygody — zostałem pozbawiony godności, która powinna charakteryzować przedstawiciela naszego państwa.

Nie myśląc na razie o odwrocie, przykucnąłem za skałą i, przewyciężając ostry ból podrapanego ciała, spróbowałem zrobić sobie przepaskę z resztek spodni. Potem, cały czas zachowując ostrożność i chowając się za skałami, zdjąłem marynarkę i koszulę (to znaczy plecy marynarki i plecy koszuli), założyłem koszulę tak, by zakrywała mi pierś, a na wierzch założyłem marynarkę tak, aby zasłaniała plecy. Teraz wyglądałem prawie przyzwoicie. I wtedy dotarło do mnie, że rozbiłem okulary. W pociętej oprawce zostało tylko jedno szkło. Pokręciłem chwilę resztki okularów w dłoni, wpadłem na pomysł by zrobić z nich coś w rodzaju monokla, który musiałem trzymać w ręku.

W takim stanie ukryłem się za skałą, niespokojnie rozmyślając o tym, jak mogę wrócić do zagajnika. Nadszedł już czas na zmianę taśm w czujnikach, trzeba było wracać, a ja nie miałem pojęcia jak tego dokonać.

Wokół panowała cisza. Słońce grzało niemiłosiernie i mały kawałeczek cienia powolutku przemieszczał się do góry. Nie mogłem podążać za nim, bo znalazłbym się w polu widzenia strażnika. Pomyślałem, że z pewnością poparzę gołe nogi, bo moja biała skóra kiepsko się opala. Nade mną krążyły denerwujące muchy, które wyczuły zapach krwi sączącej się z zadrapań na

Piersiach i brzuchu i z ran na kolanach. Minęła ponad godzina, ale nikt nie pośpieszył mi na ratunek. Zacząłem już zastanawiać się, czy nie pobiec w dół na złamanie karku, ale zrezygnowałem z tego pomysłu, aby uniknąć skandalu dyplomatycznego.

Nieoczekiwanie moją uwagę przykuło wycie silnika pracującego na granicy wytrzymałości. Domyśliłem się, że od strony klasztoru nadjeżdża samochód, co mnie bardzo zdziwiło, bo droga biegła znacznie niżej, co najmniej kilometr dalej. Może szukają mnie? Jednak dźwięk silnika szybko ucichł i znowu zapanowała zupełna cisza, jeśli nie brać od uwagę irytującego brzęczenia much. Wysoko nade mną krążyły orły albo jakieś inne, podobne do nich ptaki, które pewnie liczyły, że umrę i stanę się ich zdobyczą. To pozbawiło mnie resztek energii. Przez własną lekkomyślność nie byłem w stanie wykonać zadania zleconego mi przez Li.

Minęło jeszcze kilka minut, gdy usłyszałem głosy — ktoś szedł dróżką prowadzącą do szczeliny. Mając nadzieję, że to moi sojusznicy, bardzo ostrożnie położyłem się na kamieniach i popełzłem w dół, żeby wyrzeć za skałę.

Ścieżką szedł książę Urao Kao, ten wysoki dżentelmen w stroju do golfa, który przyszedł nam z pomocą podczas katastrofy. Ale tym razem miał na sobie zwykły garnitur. Za nim podążała dziewczyna, Lami, nasza towarzyszka z samolotu. Pochód zamykało dwóch ochroniarzy księcia.

W pierwszej chwili ucieszyłem się na myśl, że zostałem uratowany, ale natychmiast poraziła mnie inna myśl: dlaczego ci ludzie idą właśnie do szczeliny?

Przecież tam są bandyci! Otwarłem usta, aby ostrzec ich krzykiem, ale powstrzymałem się, bo logika podpowiedziała mi, że nieprzypadkowo wybrali tę właśnie ścieżkę. W tej samej chwili moje podejrzenia potwierdziło to, że dziewczyna podążała do szczeliny wbrew swej woli.

Nie trzeba było być psychologiem, żeby się o tym przekonać. Jeden z ochroniarzy szedł za dziewczyną opierając automat o jej plecy.

Boże, pomyślałem, jak mam o tym powiedzieć Wołodii.

Procesja skryła się za skałą i musiałem przeczołgać się na drugą stronę. Gdy ostrożnie wsunąłem głowę w szczelinę między skałą a urwiskiem i przyłożyłem do oka zakurzony monokl, przekonałem się, że moje podejrzenia były ze wszech miar uzasadnione. Choć to dziwne, górski arystokrata, książę Urao był współnikiem bandyty Pa Puo. Oto on, bandyta i feudał, pomyślałem, oto droga, którą podąża tutejsza reakcja!

I jakby na potwierdzenie mojej tezy, na spotkanie księcia ze szczeliny wyszedł Pa Puo i uklonił się feudałowi. Ten przystanął pokazując gestem ochroniarzom, żeby przyprowadzili Lami do szczeliny. Zobaczyłem, jak dziewczyna rzuca ostatnie spojrzenie w dół, jakby oczekiwała, że ruszę jej na pomoc. Książę naradzał się przez chwilę z bandytami. Musiałem natychmiast zorganizować uwolnienie Lami. Bez względu na to, jak pilna była wymiana taśm we wskaźnikach, miałem obowiązek na pierwszym miejscu postawić humanitaryzm.

Jednakże nie od razu udało mi się opuścić kryjówkę.

Strażnik znowu wyszedł przed jaskinię i stał tam, spoglądając w stronę zagajnika. Być może, stojąc wyżej niż ja widział coś, czego nie mogłem dostrzec. Musiałem znowu wczołgać się pod skałę. Nogi zaczęły szczypać — poparzyło je słońce. Wyobraziłem sobie, jakie męki czekają mnie w nocy.

Sytuacja był rozpaczliwa. Jeszcze chwila i bez względu na wszystko pobiegłbym w dół. Ale znowu usłyszałem głosy, ze szczeliny wyłonił się książę Urao. Prowadził pod rękę Lami i można było odnieść wrażenie, że rozmawiają ze sobą spokojnie, ale dziewczyna miała związane ręce. Za



księciem podążali ochroniarze i bandyci prowadzeni przez Pa Puo, wszyscy taszczyli worki. Tylko strażnik został na miejscu. Wywnioskowałem z tego, że zaraz wrócą. I rzeczywiście, nie minął nawet kwadrans, jak bandyci znowu się pojawili. Tak się śpieszyli, że aż biegli truchtem. Tym razem strażnik także wziął worek i opuścił szczelinę. Wiedziałem, że daleko nie dojdą. Poczekalem, aż ostatni bandyta skryje się za ścianą krzaków, zaczynającą się tuż za osypiskiem,ostałem i pobiegłem w drugą stronę, przytrzymując resztki garnituru.

Dopiero gdy minąłem otwartą przestrzeń i zbliżałem się do sosnowego zagajnika, naprzeciw mnie wyszli żołnierze prowadzeni przez kapitana Boro i sierżanta Lawo.

Na mój widok zamarli, a moje wezwania, by jak najszybciej szli za mną, pozostały bez odpowiedzi. Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, że winien jest mój wygląd. Przecież sierżant Lawo rozstał się ze mną, gdy byłem przyzwoicie ubrany, a teraz stał przed nim cudak, jakiego z pewnością nigdy wcześniej nie było mu dane widzieć.

# Księżę Urao Kao

Gdy upewniłem się, że towar został przeniesiony do rezerwowej jaskini i dobrze ukryty a poszukiwacze nasłani przez Wasunczoka nie dadzą rady go znaleźć, postanowiłem wrócić do Tangi.

Rozsądny dowódca przebywa w sztabie i stamtąd dowodzi działaniami.

Zostawiłem Lami pod opieką Pa Puo, zapewniając niešťęsną dziewczynę, że w żadnym przypadku nie stanie jej się krzywda. Co więcej, powiedziałem jej o tym, że bez względu na brak czasu, poprosiłem ojca o jej rękę. Na koniec musiałem uciec się do ostatecznego argumentu: jakakolwiek próba ucieczki może się źle skończyć dla jej ojca.

Nie kłamałem. Nie podejrzewała wtedy, że kapitana Wasunczoka nie ma już wśród żywych.

W drodze powrotnej przekazałem kierownicę szoferowi, żeby spokojnie pomyśleć.

Niepokoił mnie fakt, że do tej pory nie pojawił się posłaniec od kapitana Wasunczoka z rozkazem odwołującym policjantów do Tangi. Czyżby żaloszna pryncypialność staruszka doprowadziła go do amoralnej decyzji o poświęceniu bezpieczeństwa własnej córki? To znaczy, że nie znam się na ludziach. Tak czy siak trzymam kapitana policji w garści. Jeśli będzie zbyt uparty i spróbuje skierować przeciwko mnie pazur prawa, zawsze będę mógł się wykręcić szaloną miłością do jego córki, którą, jak na zakochanego przystało, zaniósłem na rękach do dżungli. I opinia społeczna będzie po mojej stronie.

Klasztor wydał mi się opuszczony, martwy, porzucony. Kiedyś natrafiłem w górach, gdzie czasem wybieram się z bronią i ochroniarzami, na opuszczony klasztor. Było coś patetycznego w pagodzie, w oblaźłych, poplamionych, obrośniętych lianami figurach Straźników przy bramie, w zawalonym dachu sali wotywniej — *sic transit gloria mundis*. Tak przemija sława świata tego — uczyli mnie wychowawcy w przyklasztornym koledżu.

We wsi, koło zakrętu wiodącego w stronę jeziora, stały dwa wojskowe jeepy. Obok nich, czymś podnieceni, rozmawiali znajomy mi oficer i młody Rosjanin. Czy to nie jego Pa Puo widział z Lami? No cóż, będziesz musiał zakończyć spotkania z narzeczoną samego księcia Urao.

Śpieszyłem się do Tangi, bo nie chciałem, by chwila powodzenia uspiła mą czujność. W każdej chwili sytuacja mogła zmienić się na gorsze.

Gdy mijaliśmy miasteczko Linili, zwróciłem uwagę na nadzwyczajny ruch na ulicach. Zdarzyło się coś, co zmusiło ludzi do opuszczenia domów. Przez chwilę miałem nadzieję, że rząd upadł i do władzy wrócili zwolennicy prawa i porządku. Tłum ludzi stał przed przyklejonym na ścianie ogłoszeniem. Jeden z mężczyzn, machając do taktu ręką, czytał je na głos. Wyciągnąłem rękę do kierowcy, żeby zatrzymał samochód, ale rozmyśliłem się i powiedziałem:

— Jedź dalej.

Przy wjeździe do Tangi zobaczyłem samotną postać stojącą na skraju drogi. Na widok mojego samochodu postać zapchała rękami próbując zwrócić na siebie uwagę. Poznałem Matura.

— Jakie nieszczęście, księżę! — zawołał grubas. Obiegł samochód dookoła, a ja opuściłem

szybę.

— Co się stało?

— Źle, bardzo źle! Pół godziny temu na mieście rozklejono ogłoszenia, w których informują, że jutro zacznie się trzęsienie ziemi... Proszę zobaczyć, zdarłem jedno... Co robić, co robić? — powtarzał Matur smutnym głosem, a jego mokre, czerwone wargi drżały jak u obrażonego dziecka.

— Zamknij się, nie przeszkadzaj czytać! — przerwałem mu.

# Obwieszczenie

Do mieszkańców Tangi i okręgów górskich Linili,  
Longi, Fen, Wau, Chan  
Od komisarza Okręgu Wojskowego Tangi  
i pełniącego obowiązki gubernatora Tangi

Zgodnie z prognozami naukowymi, w rejonie miasta Tangi i w okręgach Longi, Linili, Fen, Wao i Tchan oczekiwane jest trzęsienie ziemi o dużej sile. Trzęsienie ziemi zacznie się jutro, 16 marca, w drugiej połowie dnia, około godziny 16:00.

W związku z zagrożeniem życia i mienia obywateli, obwieszczamy w imieniu Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego, co następuje:

1. Wszyscy bez wyjątku mieszkańcy wymienionych okręgów i miejscowości, są zobowiązani po południu, 16 marca, opuścić zamknięte pomieszczenia i w miarę możliwości znajdować się jak najdalej od zboczy górskich, skał, uskoków, osypisk i innych niebezpiecznych miejsc.
2. Mieszkańcy Tangi i pobliskich osad natychmiast ewakuują się w rejon wsi Moszi, w tym celu magistrat i rząd tymczasowy dostarczą transport i namioty, zagwarantują żywność i odzież.
3. Oprócz mieszkańców, z miasta w miarę możliwości wywiezione zostaną rzeczy wartościowe, w tym wyposażenie fabryk, warsztatów, szkół, szpitali itd.
4. Wszyscy mieszkańcy powinni aktywnie pomagać organom rządowym w realizacji planu mającego na celu zagwarantowanie bezpieczeństwa ludzi i sprzętu.
5. Czas, kolejność i trasy ewakuacji zostaną przedstawione w kolejnych obwieszczeniach.
6. W celu zagwarantowania bezpieczeństwa ewakuacji powołano do życia specjalny komitet ocalenia narodowego, na czele którego stanął nadzwyczajny komisarz Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego, major Tilwi Kumtaton. Rozkazy i rozporządzenia wydane przez komitet obowiązują wszystkich mieszkańców okręgu Tangi.
7. W celu zagwarantowania całkowitego bezpieczeństwa i porządku, zapobieżenia plotkom, próbom sabotażu, grabieży pozostawionego majątku itp., od godziny 17:00 dnia 15 marca wprowadza się w okręgu Tangi stan nadzwyczajny. Jakiegokolwiek próby naruszenia prawa i porządku będą karane zgodnie z prawem czasu wojny.

Obywatele Tangi, mamy nadzieję, że w tak krótkim czasie, z pomocą mieszkańców, uda nam się wygrać z klęską! Nie poddawajcie się panice i zwątpieniu! Po raz pierwszy w historii naszego państwa zamierzamy pokonać żywioł, który dotychczas budził przerażenie!

Zaufajcie rządowi!

Komisarz TKR major Tilwi Kumtaton

Pełniący obowiązki gubernatora Jah Lokri

# Władimir Kimowicz Li

Wspolnego nie było na wyspie. Tak powiedzieli mi żołnierze stojący przy drodze. Mimo wszystko wybrałem się na wyspę, odczytałem wskazania sejsmoskopu, sprawdziłem czujniki, sprawdziłem, czy Jurij Sidorowicz nie zostawił dla mnie notatki. Chciałem wierzyć, że popija herbatkę w sąsiednim zagajniku i nie śpieszy się z powrotem z powodu upału. Ale trudno było mi się uspokoić.

Radiotelefon na wyspie nie działał i chociaż straciłem jeszcze pół godziny na próby zmuszenia go do pracy, nic z tego nie wyszło. Otar czeka na to, że przywiozę mu taśmy, a Wspólny przepadł. Trzeba jechać do zagajnika, znaleźć Wspolnego i taśmy, a stamtąd prosto do Tangi. Piętnaście minut do zagajnika, trochę ponad godzinę do miasta. Przed zachodem dotrzemy ze Wspólnym do Tangi. O ewentualnych trudnościach nie chciałem nawet myśleć, bo i tak miałem pod dostatkiem kłopotów — oby całe to trzęsienie ziemi przyszło jak najszybciej i pozwoliło nam wyjechać. Nie podejrzewałem, że ekspedycja naukowa będzie miała tak dramatyczny przebieg.

Gdy stałem na drodze, umawiając się z lejtnantem jak wykorzystamy samochód, obok nas przejechał cadillac, zupełnie nie pasujący do patriarchalnej wsi. Znajoma, ptasia głowa księcia Urao zwróciła się w moją stronę i w jego spojrzeniu dostrzegłem pytanie: „Co ty tutaj robisz?”.

W górze przeleciał duży samolot, zatoczył krąg i zniżył lot szykując się do lądowania w Tangi. W mieście panowała panika. Zdarzało mi się bywać w miastach ewakuowanych po trzęsieniu ziemi, ale ewakuacja przed kataklizmem to coś nowego. Nad głową spokojne niebo, ziemia twarda, a tobie każą zbierać majątek, zdjąć ze ściany ulubiony zegar dziadka i wyruszyć na dobrowolne wygnanie. Nie zazdroszczę majorowi Tilwi, który wierzy nam tylko z obowiązku. Ryzykuje — a co, jeśli trzęsienia ziemi nie będzie? Przecież to byłby koniec jego kariery, cios w jego rząd — książęta i inni wrogowie będą naśmiewać się z wojskowych, którzy wysiedlili całe miasto, bo tak im poradzili rosyjscy eksperci. Ja nie miałem takich wątpliwości. Może godzinę wcześniej, może godzinę później, ale trzęsienie ziemi na pewno będzie.

Przed klasztorem kazałem szoferowi zatrzymać się i pobiegłem do domku przeora. Staruszek, podtrzymywany przez dwóch młodych mnichów, wyszedł mi na spotkanie. Zatrzymaliśmy się w odległości dwóch kroków od siebie. Nie wiedziałem, jak należy się przywitać, więc zrobiłem to po angielsku.

Staruszek coś odpowiedział. Młody mnich patrzył na mnie zimnymi oczami, jakbym chciał skrzywdzić staruszka.

— Jutro będzie trzęsienie ziemi — powiedziałem. — Rozumiecie?

— Rozumiem — powiedział staruszek takim tonem, jakbym uprzedził go o jutrzejszym deszczu.

— Trzeba coś zrobić — powiedziałem.

— Lami — powiedział w końcu staruszek. — Książę wywiózł Lami.

Dziwne, w samochodzie księcia nie było Lami.

— Zabrał ją do Tangi? — zapytałem.

— Nie — staruszek pokazał sosnowy zagajnik.

Źle. Wspolny pojechał do zagajnika i przepadł, Lami pojechała do zagajnika i nie wróciła.

Pożegnałem się ze staruszką i rzuciłem się w stronę jeepa. Dopiero w samochodzie zorientowałem się, że biegałem po klasztorze w butach.

W zagajniku nie było nikogo, na polanie dogasało ognisko, nad nim wisiał czajnik, z którego wykypiała cała woda. Obok stały dwa niebieskie jeepy. Na trawie poniewierała się żołnierska bluza. Zajrzałem do namiotu. W środku postukiwał czujnik.

Tajemnica „Marii Celesty” w nowym wydaniu. Ani śladu żołnierzy, sierżanta Boro, Wspolnego, Lami — wszyscy zniknęli. Żołnierze, którzy przyjechali ze mną, byli nie mniej zdziwieni niż ja. Podniosłem z trawy czarny notes, z którym Wspolny nigdy się nie rozstawał. Otwarłem go — a nuż Wspolny zostawił go specjalnie dla mnie? Ale ostatnia notatka była z wczoraj... Słońce chyliło się ku zachodowi...

# Major Tilwi Kumtaton

Opozycja była dość nieliczna. Szok, spowodowany naszym rzeczowym tonem i pojawieniem się na placu kolumny dwudziestu wojskowych ciężarówek, które w końcu dotarły do Tangi, uciszył ją. Stało się jasne, że trzęsienie ziemi nie jest propagandowym wybiegiem. Po raz pierwszy musiałem dowodzić taką ewakuacją. Uczymy się więc na własnych błędach. Okazało się, na przykład, że na wieść o nadchodzącym trzęsieniu ziemi, ludzie natychmiast zaczęli pakować manatki i szykować swój dobytek do wywiezienia.

Do tej operacji przydałaby się nowa arka Noego. Musiałem wyjaśniać, że mogą zabrać ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Gwarantujemy nienaruszalność mienia. Tylko skąd mam wziąć ludzi od ochrony? Postanowiliśmy przede wszystkim wysłać ciężarówki do szpitala miejskiego, do szpitala położniczego i do szkoły. Dzieci i chorych umieścimy nie w namiotach, ale w klasztorze przy wsi Moszi. Burmistrz, który przeniósł się do Moszi i nie odchodził od telefonu, oznajmił mi, że władze klasztoru zgodziły się zakwaterować u siebie chorych, ale starosta wsi żąda, żeby za uczniów mu zapłacono. W miejskiej kasie nie było pieniędzy, a my nie mogliśmy odesłać do domu dzieciaków z górskich wiosek, mieszkających w internacie państwowej szkoły i w szkole przy misji. Miałem ogromną ochotę zaaresztować tego pazernego starostę, ale musiałem wyciągnąć z Ligo—nu dodatkowe środki. Nagle okazało się, że w fabryce zapalek i na wycince lasu nie ma ani jednego robotnika. Kierownik wyrębu z własnej inicjatywy wypłacił dodatkową pensję. Zaczęłem podejrzewać jakiś przekręt. Przecież przy wyrębie pracują przede wszystkim górale. O ile buddysty taki podarek nie zdziwi, to górale rzadko kiedy myślą o dniu jutrzejszym. Jeśli są pieniądze, to trzeba je wydać. Do tej pory w niektórych wsiach nie obsiewają pól, jeśli w zeszłym roku był dobry urodzaj. Po co?

Poprosiłem urzędnika, aby dał mi spis nieruchomości zarejestrowanych w mieście wraz z ich właścicielami. Po godzinie spis leżał na stole.

Warsztaty mechaniczne należały do księcia Urao Kao. Tereny przeznaczone do wyrębu — do jego matki, księżnej Urao Walomiry. Przy pomocy urzędnika odnalazłem jeszcze z tuzin nieruchomości księcia, formalnie należących do podstawionych osób, w tym warsztat wyrabiający ozdoby ze srebra, dwa sklepy i restaurację „Górskie powietrze”. A fabrykę zapalek kupił dyrektor Matur, nie dalej jak w dniu przewrotu, a dokumenty w tej sprawie dotarły dopiero wczoraj. O kinie „King” urzędnik powiedział tak:

— Dzisiaj do magistratu nadeszło zawiadomienie o przekazaniu praw do kina „King” niejakiemu Dżaradhe z Ligonu. Reprezentuje go szanowny Matur.

Była w tym jakaś tajemnica, ale na razie nie mogłem znaleźć nitki, która zaprowadziłaby mnie do kłębka. Nie mogłem też naradzić się ze starym kapitanem Wasunczokiem. Czym księżę tak zdenerwował starego policjanta, że ten aż wyskoczył z łóżka, żeby go dogonić? Ciało Wasunczoka rodzina przewiozła do Moszi.

A co zrobić z Lami? Wezwać ją, czy raczej zataić przed nią tę wiadomość do jutra? W końcu zdecydowałem się napisać liścik do dziadka Mahakassapy. Liścik zawiozą razem z rozkazem ewakuacji.



# Władimir Kimowicz Li

Czas mijał. Posłałem żołnierzy, aby rozejrzeli się, czy nie ma kogoś za zagajnikiem i z drugiej strony, tam gdzie są skały, a póki co, sam wyciągnąłem taśmy z czujników i zacząłem je sprawdzać. Słońce schowało się już za górami. Cisza wydawała mi się złowieszczą. Moi żołnierze wrócili nie znalazłszy nikogo.

Nagle ziemia zadrżała pod nogami. Potem jeszcze raz. Przeleciał wystraszony ptak. Żołnierze znieruchomieli, w zdenerwowaniu wymienili kilka słów. Spokojnie czekałem na kolejny wstrząs, ale nie doczekałem się. Drobne punkty, wieszczące ogromny wybuch, zdarzają się jak dzwonek przed rozpoczęciem spektaklu. To jeszcze nie trzęsienie ziemi.

Żołnierze podeszli do naszego jeepa. Chcieli jak najszybciej stąd odjechać. Ruszyłem za nimi. Rozległy się głosy. Potem zachrząściły kamienie.

— Idą — powiedziałem.

Spotkaliśmy ich na skraju zarośli. O zmroku ludzie wyglądali jak bezcielesne cienie, tylko palące się ogieńki papierosów oświetlały im twarze i ręce.

— Wspólny — zawołałem.

— Tu jestem, Wołodia.

Miał na sobie za ciasną wojskową kurtkę, wojskowe spodnie, które nie sięgały mu nawet do kostek i nie dopinały się na brzuchu. Właściciel tych spodni, w samych majtkach kulił się od wieczornego chłodu idąc dwa kroki za nimi.

— Co się stało?

— To wszystko moja wina. Kiedy będzie trzęsienie ziemi?

— Jutro, po południu. Ale co się stało, Juriju Sidorowiczu?

Dookoła było mnóstwo ludzi, ze dwadzieścia osób. Wpatrywałem się w tłumek w nadziei, że zobaczę Lami. Ale nie było jej. Nie wiadomo skąd, obok mnie pojawił się kapitan Boro. A on tu skąd?

— Niech sam opowie — powiedział Wspólny, wskazując na kapitana Boro, który szedł dwa kroki od niego, gotowy do wyjaśnień.

Kapitan Boro podszedł bliżej.

— Podjęliśmy wszelkie możliwe kroki — powiedział, jakbym był jego dowódcą. — Ale niestety, nie udało nam się ująć przestępców.

Kapitan Boro był zmartwiony.

— Nie słuchaj go — powiedział Wspólny.

Snop światła z kieszonkowej latarki oświetlił mu twarz i zobaczyłem, jak bardzo zmienił się w ciągu jednego dnia. Na policzku krwawiło zadrapanie.

— Nie chciał szukać, przysięgam. Cały czas zmarnował na pustą jaskinię, nie chciał słuchać moich prośb.

— A gdzie Lami? — wyrwało mi się.

— Mają ją ludzie księcia. Słuchaj, opowiem po kolei.

Nim doszliśmy do wsi, Wspólny zdążył opowiedzieć mi o swoich przygodach, o tym, jak on, Boro i Lawo przez trzy godziny bez skutku łazili po skałach, ale niczego nie znaleźli. Kilka razy Boro starał się przerwać akcję i wrócić, i tylko upór [Wspólnego](#)

i sierżanta policji przeszkodził mu w tym. W końcu wykorzystał jako pretekst nadciągający zmrok.

Słuchając Wspólnego podjąłem decyzję, o której nie poinformowałem ani Jurija, ani Otara. Nie pozwoliliby mi nawet o tym myśleć. I mieliby rację.

Przekazałem Wspólnemu wszystkie taśmy i powiedziałem, że musi wraz z samochodami kapitana Boro wrócić do Tangi. A ja zostanę tutaj. Chciał się sprzeciwić, ale wyjaśniłem mu, że w szpitalu zdezynfekują mu rany, inaczej grozi mu tężec. To go przstraszyło i zgodził się.

Pierwszej pomocy ofiarom udzieliły drużyny z torpedowca, który stał w porcie w Kalabrii, mieszkańcy Katanii, którzy przybyli na parostatku „Washington” i rosyjska eskadra, która krążyła niedaleko od wybrzeży Sycylii. Nasi marynarze rozdzielili się na niewielkie oddziały, nie zwracając uwagi na kamienie spadające co chwilę z ciągle jeszcze rozsypujących się budynków i nowe, chociaż coraz słabsze wstrząsy, bohatercko chodzili po hałdach gruzu i krzyczeli:

— Ej, senior, senior!

A jeśli w odpowiedzi usłyszeli jęk albo krzyk, brali się do roboty, wykrzykując nieliczne, znane im słowa:

— Subito! Corragio!

(...) Marynarze z „Makarowa” zobaczyli w rozpadlinie kobietę: prawie naga, siedziała wśród gruzów, trzymając w ręku oderwaną od tułowia głowę dziecka, przyciskała ją do piersi i śpiewała jakąś smutną piosenkę. Marynarze zawołali Włochów, a ci powiedzieli, że kobieta ta, żona oficera, uważana za jedną z największych piękności Messyny, trzyma w ręku głowę syna, chłopczyka Hugo i śpiewa mu kołysankę. Cała rodzina tej kobiety zginęła.

Padał deszcz, było zimno, na placu cisnęli się ranni, nie było dla nich ani chleba, ani wody. Ci spośród ocalonych, którzy byli w stanie pracować, dołączyli do marynarzy, pokazując gdzie pod gruzami znajdują się żywi i krzykami nawołując zasypanych.

Zniszczone miasto przedstawiało okropny widok: ruiny wciąż drżały, przewracały się, grzebiąc żywych i martwych, wywołując na placu panikę i krzyki.

Maksym Gorki *Trzęsienie ziemi w Kalabrii i na Sycylii*  
St. Petersburg, 1909

# Dyrektor Matur

Księżę wysłuchał mnie nie wychodząc z samochodu. W innej sytuacji nie przeszkadzałoby mi to — zarówno urodzenie jak i nasza pozycja społeczna tak bardzo się różniły, że nie mogłem liczyć na równe traktowanie. Ale byłem niezwykle zdenerwowany, znajdowałem się dosłownie na granicy wybuchu.

— Co robić? — zapytałem księcia.

— Uwzględniłem to w moich planach — powiedział księżę, prezentując zimną krew. — Dzięki temu oszczędzimy sporo sił.

— Jak to?

— Teraz nie muszę niszczyć ich przyrządów i mogę zająć się ważniejszymi sprawami.

Człowiek ma pięćdziesiątkę na karku, a bawi się w wojsko. Nie sędzę, by pozwolił sobie na to ktoś, kto nie ma do dyspozycji żywych żołnierzyków. W tym momencie po raz pierwszy zwątpiłem we wszechmoc i mądrość księcia Urao.

Księżę podniósł rękę i kierowca, widząc ten gest w lusterku, ruszył ostro do przodu. Nie miałem co liczyć na pomoc. Powlokłem się do miasta.

Dookoła działo się coś niewyobrażalnego. W pewnej chwili wydało mi się, że trzęsienie ziemi już się zaczęło. W promieniach zachodzącego słońca błyszcząły garnki i miednice, piętrzyły się materace i maty, kołdry, zasłony, fotele, kanapy, szafy — rzeczy wyciągnięte z pyłu zapomnienia, pozostałości z czasów panowania Anglików albo jeszcze dawniejszych, gdy Ligon miał króla.

Wśród stert dóbr materialnych z zapalem szalały dzieci, dla których wszystko to było wielką przygodą. Podziękowałem Bogu za to, że trzęsienie ziemi zagraża Tangi, a nie Ligonowi, gdyż w takim wypadku musiałbym znieść widok mych własnych dzieci zmuszonych do opuszczenia rodzinnego domu. Jeśli w Tangi był teraz ktoś, kto chciałby przyśpieszyć trzęsienie ziemi, to tym człowiekiem byłem ja. Niech ludzie wyniosą się stąd, niech nie będzie ofiar w ludziach. Ale mój majątek powinien zginąć — taka jest wola niebios, i nie mnie, pyłkowi, walczyć z tym.

Zerwał się porywisty, ciepły wiatr. Ruszyłem spiesznie w stronę mojej fabryki zapalek. Co tam się dzieje?

Ulicą wolno jechały trzy ciężarówki, prowadzone przez karetkę pogotowia. W ciężarówkach stały szpitalne łóżka. Kiwały się nad nimi zielone i niebieskie czepki pielęgniarek. Przewozili szpital. Pomyślałem, że jest to niehumanitarne, bo chorym trudno będzie wytrzymać długą drogę do Moszi.

Sądziłem, że fabryka będzie cicha, porzucona, bo wszyscy zajmują się ratowaniem własnych dóbr. Zdziwiłem się bezgranicznie, gdy zbliżając się do niej zauważyłem, że jest tam mnóstwo ludzi, że wewnątrz pali się światło, słysząc hałas i głośne krzyki. Może jacyś złoczyńcy, korzystając z panującego w mieście niepokoju i anarchii, próbują rozdrapać moją własność? Pobiegłem szybko dowiedzieć się, o co chodzi.

Nikt nie pilnował bramy. Po podwórku, w wieczornym mroku, biegali ludzie, we wszystkich oknach paliły się światła, z otwartej bramy głównej hali grupka ludzi, podobna do mrówek, wyciągnęła coś dużego, co pobłyskiwało w świetle latarni.

Byłem sam, bez ochrony, więc ostrożnie, starając się pozostać niezauważonym, podszedłem bliżej. Porywacze byli kiepsko ubrani. Obrabiarka, którą starali się wyciągnąć, była duża i ciężka, a w chwili, gdy się do nich zbliżyłem, jedna z lin urwała się i ci, którzy ją ciągnęli, przewrócili się na ziemię. Wywołało to wybuch śmiechu wśród pozostałych.

Ktoś złapał mnie za ramię. Szybko odwróciłem się i rozpoznałem kierownika.

— Co za szczęście, że pan przyszedł — powiedział. — Przeszukałem całe miasto, nikt nie wiedział, gdzie pan się podział. Potrzebna nam jest jeszcze jedna ciężarówka. Pan jest w dobrych stosunkach z majorem, pan może to załatwić.

— Ciężarówkę? — zapytałem, czując, że mój kierownik maczał palce w tym akcie wandalizmu.

— Oczywiście. Wyciągamy duże obrabiarki z głównego budynku, a budynek stolarni postanowiliśmy rozebrać, widzi pan?

Podniosłem głowę i ku swemu zdumieniu zobaczyłem, że kilka osób wdrapało się na dach sąsiedniego budynku i rozbiera go.

— O! — wyrwał mi się okrzyk rozpaczy.

— Wspaniały pomysł, nieprawdaż? — zapytał ten idiota. — W ten sposób uchronimy piłę od pożaru albo zgniecenia przez spadające belki... To mój pomysł.

Myślał, że pogłaszczę go po główce za ten rozbój. W końcu odzyskałem dar mowy.

— Co to wszystko ma znaczyć?! — wrzasnąłem, starając się przekrzyczeć panujący hałas. — Kto wam pozwolił niszczyć moją fabrykę?

Myślę, że w tamtej chwili musiałem wyglądać przerażająco. Rzadko pozwalałam sobie unieść się gniewem, ale nie życzę nikomu natknąć się na mnie w takiej chwili, tak jak nie życzę nikomu natknąć się na biegnącego, wściekłego słonia.

Na dźwięk mojego głosu ludzie powoli zaczęli się uciszać. Rzucali pracę i powoli, z niejaką obawą, podchodzili bliżej, żeby posłuchać, co się dzieje.

— Czyżby pan nie wiedział — spytał mnie kierownik — że jutro w Tangi będzie trzęsienie ziemi?

Powiedział to takim tonem, jakby w Tangi co miesiąc zdarzało się trzęsienie ziemi i z tego powodu organizowano sobie takie rozrywki.

— I co z tego? — zapytałem.

— Jeśli będzie silne trzęsienie ziemi, to fabryka zostanie zniszczona.

— Kto wam powiedział, że będzie trzęsienie ziemi?

— Przecież to jest wszędzie napisane. Już wywożą ludzi.

— Ludzi — powtórzyłem. — Ludzi. A co ma do tego moja fabryka? Niech wszyscy ludzie idą jak najszybciej do domu i zajmą się rodzinami. Po co odrywacie ich od rodzin?

Rzeczywiście, byłem wstrząśnięty beztróskim podejściem kierownika do potrzeb szeregowych robotników.

Z trudem zapanowałem nad sobą i dokończyłem spokojnie:

— Dziękuję wszystkim, którzy nie pożałowali czasu, żeby mi pomóc, nie zapomnę o waszych staraniach. Możecie iść do domu.

Nikt nie ruszył się z miejsca.

— O co chodzi? — zapytałem kierownika.

— Proszę się nie denerwować — powiedział. — Po tych, którzy ratują sprzęt, przyjadą rano ciężarówki. Dzieci już wysłaliśmy, a rzeczy mamy niewiele.

— Obiecali nam potem zbudować domy! — krzyknął ktoś z tłumu. — Nowe domy.

— A za nadgodziny właściciel zapłaci?

To była już jawna prowokacja. Tych naiwnych ludzi ktoś wodzi za nos.

— Za co płacić? Za to, że zburzyliście fabrykę?

— Ale przecież jutro będzie trzęsienie ziemi — odpowiedział mi nieco zakłopotany kierownik, tak jakbym o tym zapomniał.

— Oszukali was — powiedziałem tak, żeby wszyscy słyszeli. — Wszystko to oszustwo, chcą nas ograbić i zgubić! Wojskowi chcą tu sprowadzić ludzi z Ligonu. Tam jest ciasno, od dawna chcą dostać w łapy nasze góry.

— A czy pan sam nie jest z Ligonu?! — krzyknął ktoś i w tłumie rozległy się chichoty. Ale nie poddawałem się.

— Zobaczycie, wysiedlą was z Tangi i nie wpuszczą z powrotem.

— Jeśli tak, to po co mieliby rozbierać fabrykę — zapytał kierownik idiota.

— Nie słuchajcie go — powiedział, odwracając się w stronę pozostałych, człowiek z kluczem francuskim w rękę. — Nie znamy go. A jeśli jutro będzie trzęsienie, to po fabryce. I zostaniemy bez pracy.

— Jestem właścicielem. Nakazuję wam rozejść się. Tych, którzy nie posłuchają, zwolnię.

Tłum milczał w rozterce. Waga przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Znowu wtrącił się mój oponent:

— Woła, żeby wszystko zostało zniszczone, niż gdyby miało dostać się rządowi. Rząd będzie więcej płacić. Wiem, co mówię.

Przez tłum przetoczył się pomruk zadowolenia, a ja zrozumiałem, że przegrałem. Było jasne, że stoi za tym okrutny i podstępny major Tilwi.

— Panie dyrektorze — szepnął mi do ucha kierownik — lepiej stąd odejść. Ludzie są źli, mogą pana obrazić. Boją się stracić pracę. Proszę odejść.

— Nie — powiedziałem stanowczo. — Dbam o interesy pracowników. Oszukują ich. Właśnie teraz ich rodziny wyganiają w góry, a oni, naiwni, rozbierają maszyny, żeby żołnierzom łatwiej było wywieźć je do Ligonu.

— Pogonić go! — krzyknął ktoś z tłumu. Ale ostrożniejsi słuchali moich słów. Inny głos zaoponował:

— Trzeba sprawdzić. Po co właściciel miałby niszczyć własną fabrykę? Może coś wie.

Niestety, wnioski, do jakich doszli ci ludzie, okazały się dla mnie zupełnie nie do zaakceptowania. Ktoś w gorącej wodzie kąpany zaproponował, aby jeden z nich poszedł do dowództwa z pytaniem co się dzieje, a przy okazji zajrzał do domów. A mnie, póki co, zamknął w magazynie.

Broniłem się jak tygrys. Ale ci ciemni, rozzłoszczeni ludzie, zupełnie nie przejmujący się prawem i porządkiem, zaciągnęli mnie do mrocznego magazynu i usłyszałem tylko, jak szczęknęła zasuwka. Kontakt z zewnętrznym światem dawało mi tylko malutkie, zakratowane okienko. Ogarnęło mnie przerażenie. Poczulem się, jak pogrzebany żywcem. Nie uspokoił mnie nawet szept kierownika, który po niedługim czasie podszedł do okienka i powiedział:

— Wypuszczę pana, jak tylko zrobi się ciemno.

Nie rozumiał, że nie mam dokąd uciec, nie mam kogo prosić o pomoc. Z zewnątrz dobiegały głosy, krzyki, a ja na wszelki wypadek poszedłem do najdalszego kąta magazynu i schowałem się tam, bo bałem się, że po powrocie posłaniec przyniesie rozkaz zaprowadzenia mnie do więzienia. Słyszałem jak wrócił i z jakim wzburzeniem rozmawiają robotnicy. Potem znowu wzięli się za rozbiórkę fabryki, zupełnie zapominając o mnie. Dopiero po godzinie przypadkiem usłyszałem słowa:

— A co z właścicielem?

I odpowiedź:

— Niech sobie posiedzi, odpocznie.

I wybuch chamskiego śmiechu.

Gdy kierownik, dotrzymując słowa, otworzył zasuwę i wypuścił mnie, było już po północy... Ostatni robotnicy, dopełniając zniszczenia fabryki, kręcili się koło rozebranej hali, zasłaniając resztki ścian brezentem. Kierownik wyprowadził mnie tylnymi drzwiami i wyszeptał:

— Niech pan wybaczy, że tak wyszło... Niech pan wybaczy...

# Major Tilwi Kumtaton

Wieczorem odwiedziłem Rosjan i rozmawiałem z radcą Wspólnym. Wojskowy felczer tak namazał jego nogi gencjaną, że radca wyglądał jak wojownik z plemienia Urao, który wszedł na wojenną ścieżkę.

Wspólny był rozczarowany mną. Jego jasne oczy krótkowidza, otoczone żółtymi rzęsami, błyszczały ze złością w czerwonej, poparzonej przez słońce, nieogolonej twarzy. Profesor Kotrikadze nie brał udziału w rozmowie. Siedział przy stole i przeglądał taśmy przywiezione przez Wspólnego z Linili. Li nie było. Został nad jeziorem.

Wspólny był przekonany, że na wieść o roli księcia Urao i zachowaniu kapitana Boro, ogłoszę mobilizację i ruszę w obronie prawa i sprawiedliwości. Mylił się i to go smuciło

Niestety, nic nie mogłem zrobić, chociaż wiedziałem więcej niż Wspólny.

Uczestnicy nieudanej ekspedycji nad Linili już rozeszli się do domów i, jak sędzę, pomagali teraz rodzinom szykować się do wyjazdu. Wszyscy moi żołnierze byli zajęci — albo tutaj, albo w Moszi. Musieli wyspać się przed jutrzejszym dniem. Sam z radością położyłbym się na godzinkę, ale czekano na mnie w dowództwie.

No i jak wyjaśnić Rosjaninowi, że nie dalej jak pół godziny temu znalazłem w kieszeni ostatnią wiadomość od Wasunczoka, w której informował mnie o zdradzie Boro! Gdybym przeczytał ją na czas, Lami byłaby bezpieczna, a transport opium byłby w naszych rękach. Jak wytłumaczyć Wspólnemu, że Boro nie zjawił się u mnie z raportem o przebiegu ekspedycji nad jezioro, nie ma go nawet w domu, że nie ma go w mieście? Co go wystraszyło?

Nie mogłem pójść do domu księcia Urao. Był przygotowany na moją wizytę. Nie mogłem urządzić oblężenia i szturm na rezydencję przedstawiciela rady górskich narodów i sprowokować powstania górskich plemion na kilka godzin przed trzęsieniem ziemi... Uprzejmie podziękowałem Wspólnemu za opowieść o wydarzeniach w górach.

Wspólny zaczerwienił się. Profesor Kotrikadze uśmiechnął się, nie podnosząc głowy znad papierów. Nawet w tragedii zdarzają się śmieszne epizody. Wspólny podciągnął za długie spodnie, które podarował mu profesor, i opuścił pokój.

Zapytałem profesora:

— Jakież nowiny?

— Prognoza pozostaje bez zmian. Ale postarajcie się zakończyć wszystko przed czwartą.

— Postaramy się — powiedziałem. — Dobranoc.

Mimo późnej pory, pałac gubernatora rozbrzmiewał hałasem jak miejski bazar. Po korytarzach biegali urzędnicy i wojskowi telegrafisci, na korytarzu stali nieznanymi mi ludźmi ktoś kłócił się z zakurzonym lejtnantem ze służb transportowych. Pod drzwiami mojego gabinetu ktoś zasłonił plakat „Precz z militarystycznym rządem!”. Pod plakatem siedział mężczyzna z kluczem francuskim w dłoni. Wyglądał tak ponuro, że ręka sama wyciągnęła mi się w stronę kabury.

Ale ponury człowiek był po prostu posłańcem z fabryki zapalek. Okazało się, że pojawił się tam ten drań Matur i starał się przerwać ewakuację. Do tego łągał na potęgę o naszych celach i zamiarach. Ludzie zamknęli Matura w magazynie, ale mimo wszystko postanowili wysłać kogoś do mnie, żeby rozwiać wątpliwości, czy aby na pewno nie będziemy przesiedlać do opuszczonych domów ludzi z Ligonu? Przysięgłem, że cały ten plan zrodził się w chytrej głowie Matura. Ale dlaczego? Przecież to jego fabryka — powinien pomagać ją ratować.

Kawa była ledwie letnia, z termosu, ale na czym niby miałbym ją teraz zagrzać? Piłem powoli, starając się przekonać samego siebie, że wcale mi się nie chce spać.

Myślałem o trzęsieniu ziemi, myślałem o Lami, o Wasunczoku.

Gdybym był Europejczykiem, czyli cywilizowanym człowiekiem (choć tak naprawdę to kłamstwo: cywilizacja Ligonu jest znacznie starsza od europejskiej) wybrałbym to, co najważniejsze i bez zastanawiania zająłbym się ratowaniem miasta. W końcu w jaskini leży nie pierwsza i nie ostatnia przesyłka opium, i gdy się lepiej przygotujemy, z pewnością złapiemy przemytników. A i Lami najprawdopodobniej nic złego się nie stanie — myślę, że księżę potrzebuje jej jako zakładniczki. Po śmierci kapitana szantaż stracił sens i dziewczyna niedługo wróci do nas. Ale dałem kapitanowi słowo, że wypełnię jego prośbę. Duchy przodków nigdy mi nie wybaczą, jeśli nie dotrzymam słowa. I nie zaznam spokoju ani w tym, ani w kolejnych wcieleniach. A jeśli zostawię córkę kapitana bez ochrony, to siedem kręgów piekła otworzy się przede mną, a siedem kręgów nieba pozostanie na zawsze zamknięte. Mówię to nie jako major armii i były student uniwersytetu — możecie nazwać to lokalną specyfiką albo jak chcecie, ale przysięgam: gdyby na moim miejscu znalazł się sam brygadier Szoswe, powiedziałby to samo, a jeśli tak...

Do gabinetu wszedł urzędnik z wydziału ewidencji mienia, który przygotowywał dla mnie spis właścicieli nieruchomości. Spojrzałem na zegarek. Pierwsza w nocy.

— Co cię tu sprowadza? — zapytałem, słysząc znowu za oknem głosy, szum silnika, ryk wołów, szczekanie psów i płacz dzieci.

— Myślałem, panie majorze — powiedział — o pytaniu, które zadał mi pan dzisiaj.

— Nad pytaniem?

— Tak. Był pan uprzejmy zapytać, dlaczego ktoś chce, żeby zataić trzęsienie ziemi? Być może nie skojarzył pan tego faktu z informacjami, które zebrałem, ale pozwoliłem sobie też o tym pomyśleć.

— No i co?

Był to stary urzędnik, zasuszony od siedzenia nad papierami w zarządzie okręgu, mól książkowy, na którego nikt nigdy nie zwraca uwagi. Trząsł się ze strachu przede mną, a jeszcze bardziej ze strachu przed przypuszczeniami, które przysły mu do głowy.

— Proszę siadać — powiedziałem do niego.

— Obok każdej pozycji umieściłem sumę, na jaką ubezpieczono daną nieruchomość. I okazało się, że jest to prawie zawsze kwota wyższa niż suma zapłacona przez nowego właściciela.

To dlatego, pomyślałem, szacowny Matur znalazł się na drodze, gdy znikła teczka. Dlatego pan dyrektor Matur pobiegł do fabryki zapalek i zaczął krzyczeć na robotników...

— Za ile kupiono fabrykę zapalek? — spytałem.

— Sto tysięcy watów — powiedział urzędnik, wskazując palcem odpowiednią linijkę.

— A. ubezpieczenie?

— Trzysta pięćdziesiąt tysięcy...

— Warsztaty mechaniczne?



— Wartość nie jest znana, plus modernizacja... ale suma ubezpieczenia opiewa prawie na milion watów...

Miałem ochotę uściskać tego mola książkowego. Wszystkie kawałki układanki wskoczyły na miejsce. Złapałem słuchawkę telefonu.

— Proszę połączyć mnie z fabryką zapalek... Nikt nie odpowiada? W takim razie z warsztatami mechanicznymi. Powinni tam być ludzie demontujący sprzęt... Szybko.

Zakryłem dłonią słuchawkę i powiedziałem takim głosem, że urzędnik aż rzucił się do drzwi.

— Szybko, oddział żołnierzy! Do samochodu!

# Dyrektor Matur

Odszedłem niedaleko od fabryki i ukryłem się w krzakach na skraju drogi. Widziałem stąd drogę i wychodzących z fabryki przez bramę ludzi. Śmiali się i rozmawiali głośno, jakby zrobili dziś coś dobrego, co zostanie im policzone w przyszłości. Patrzyłem, jak obok mnie przechodzą narzędzia złego ducha Tilwi, nie rozumiejący, że zabierają moim dzieciom kawałek chleba. Na tle niebieskiego nieba stały oświetlone przez księżyc, pozbawione ścian i dachów, cechy fabryki. Czekałem cierpliwie. Nie miałem zamiaru liczyć na miłosierdzie szabrowników.

Daleko, na kościele św. Judy, zegar wybił dwunastą. Miasto było rzęsiście oświetlone. Elektrownia pracowała pełną mocą. Na pewno właściciele zapłacili niemałe pieniądze, żeby ich nie ruszano. Dostaną całą sumę ubezpieczenia.

Minął mnie ostatni robotnik. Nastąpiła cisza, przerywana czasami jakimś hałasem dobiegającym z centrum miasta. Nad bramą paliła się lampa. Miałem nadzieję, że nie wpadli na pomysł, żeby zostawić strażnika.

Przyczepił się do mnie jakiś parszywy, kulawy pies, jeden z tych, które ciągle włóczą się po ulicach. Rzuciłem w niego kamieniem, pies zawył i dał mi spokój.

Jak na złość, przed bramą widać było postać stróża — staruszka z narodu Gurkhów, z zagiętym kukri, zatkniętym za pas wojskowej bluzy. Z pewnością rozkazał postawić go tutaj major Tilwi. Musiałem obejść fabrykę dookoła, skradając się wzdłuż spróchniałego płotu, w nadziei na znalezienie jakiejś dziury. Ryzykowałem, że nadepnę węża albo wpadnę do dziury. Wpadłem w kłujące zarośla i ledwie udało mi się z nich wydostać, rwąc przy tym marynarkę i drapiąc nogi. Ale szedłem uparcie, aż znalazłem miejsce, gdzie deski były obluzowane. Pies wrócił i śledził mnie, więc kopnąłem go jak należy. Pies zawył, jakby fabryka należała do niego. Znieruchomiałem, bojąc się, że stróż usłyszy wycie. Ale wokół było cicho.

Przed oczami stróża zasłaniały mnie leżące pnie drzew i dlatego odważyłem się zapalić zapalną, żeby rozejrzeć się, gdzie jestem. Niestety, nie zdołałem zapoznać się z topografią mojej własności, nie byłem więc pewien, jak mam dostać się do magazynu, w którym mnie wcześniej więziono. Tam, w ciągu kilku godzin poniżającej niewoli, nie tracąc czasu, ułożyłem w stertę szczapy drewna i śmieci. Nie wiedziałem, czy przechowywana w magazynie siarka jest palna, ale sądziłem, że powinna zapalić się tak, jak pali się w łebkach zapalników.

A oto i drzwi do magazynu. Zatrzymałem się, nasłuchując. Stojący jakieś sto jardów ode mnie stróż coś sobie mrucał pod nosem. Szkoda, że nie mam przy sobie nafty. Przecież nikt nie będzie badał przyczyn pożaru — jutro trzęsienie ziemi wszystko zniszczy. Zasuwa głośno skrzypnęła, znieruchomiałem, ale stróż nadal podśpiewywał. Opanowała mnie nagle złość na stróża. Jakbym się rozdziwił. Był we mnie właściciel fabryki, oburzony tym, jak kiepsko jest chroniona oraz podpalacz, który nie chciał, żeby stróż wypełniał swe obowiązki.

Pogrzeżyłem się w nieprzeniknionej ciemności magazynu. Gdzie jest przygotowane przeze mnie

ognisko? Wyobraziłem sobie, jak płoną suche deski i sklejka. Okazało się, że pomyliłem drzwi. To był zupełnie inny magazyn. Na półkach leżały części zapasowe, śruby, łożyska, narzędzia. Podpalić to byłoby trudno. Wyszedłem na zewnątrz i zacząłem myśleć: gdzie jest pomieszczenie, którego szukam?

Usłyszałem piskliwy głos:

— Kto tam?

Rozpoznałem sylwetkę stróża, usłyszałem zgrzyt włączanej, starej latarki, którą stróż starał się zapalić. Drżałem ze strachu.

— Kto? Kto? — powtarzał. Obok machał ogonem kulawy pies, który przyprowadził go tutaj.

Chciałem odskoczyć na bok, skryć się w ciemnościach, ale przy pierwszym kroku natknąłem się na stertę desek i zatrzymałem się, bo rozumiałem, że stróż lepiej orientuje się w terenie ode mnie, więc nie uda mi się uciec.

— Swój — odpowiedziałem. — Nie bój się. Swój.

W tym momencie latarka mimo wszystko zapaliła się, chociaż modliłem się, by nie udało się jej włączyć. Światło uderzyło mnie po oczach. Skrzywiłem się.

— A to pan — z ulgą powiedział stróż.

— A któż by inny? Mój duch, czy co?

— Może duch. — Stróż bał się ich bardziej niż ludzi.

— Odsuń latarkę — powiedziałem. — Nie oślepiaj mnie.

Snop światła, padający z latarki, drgnął i przesunął się w bok, zatrzymując się na drewnianej ścianie.

— Wszystko w porządku? — zapytałem. — Nikt nie przychodził?

— Wszystko w porządku. A jak się panu udało mnie ominąć?

— Sprawdzalem cię, czy dobrze pilnujesz. A ty pilnujesz kiego.

— Tak, proszę pana — stróż pokornie zgodził się ze mną. — Kazano mi nikogo nie wpuszczać do fabryki, ale płot jest całkiem stary.

Wyszliśmy razem zza stosu drewna i znaleźliśmy się na obszernym placu, gdzie stały obrabiarki. Dochodziło tu światło z lampy wiszącej nad bramą. Stróż nabrał odwagi.

— Taki dzień, proszę pana — ktoś mnie zmieni o szóstej, żeby się przygotować do ewakuacji.

— Daj mi latarkę — powiedziałem. Usłuchał.

Była to stara, ciężka, amerykańska latarka. Takich już się nie robi. Zważyłem ją w ręce. Stróż mnie poznał. Nie mogłem teraz go wypuścić.

Stróż odwrócił się, patrząc w ślad za biegnącym ku bramie psem. Zamachnąłem się porządnie i, wzywając niebo na pomoc, uderzyłem z całej siły stróża w głowę. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się zabić człowieka, byłem i jestem zagorzałym przeciwnikiem przemocy, staram się oszczędzać nawet muchy i komary. Ale znalazłem się w położeniu bez wyjścia, przecież stróż mnie poznał.

Stróż jęknął, jakby uszło z niego powietrze i powoli upadł u moich stóp.

Złapałem go pod pachy, starając się nie zgubić przy tym latarki i zaciągnąłem go za stos desek. Stróż nie był Ligończykiem, a Ghurkiem — to niewielka strata dla ludzkości. Ale od razu przyrzekłem sobie, że zaopiekuję się jego rodziną. Dzięki latarce bez trudu znalazłem drzwi i magazyn, w którym mnie więzono. Sterta szczap i łatwopalnych śmieci czekała na mnie. Wróciłem do sterty desek, podciągnąłem jak najbliżej wszystko, co udało mi się znaleźć w pobliżu, żeby ogień zapłonął jak najsilniej. Liczyłem na to, że w taką noc nie będzie komu zająć się gaszeniem pożaru —

strażacy pojechali do Moszi. Ale nie mogłem ryzykować.

Gdy wróciłem do magazynu, ledwie zdążyłem potrzeć zapalką o draskę wprowadzając w życie śmiały i ryzykowny plan, usłyszałem, wśród nocnej ciszy, przerywanej tylko śpiewem cykad i kumkaniem żab, że do fabryki zbliża się samochód. Znieruchomiałem, przykucnąłem w magazynie, modląc się, aby samochód przejechał obok. W tym czasie ręka wyciągnęła zapalkę w stronę wiórów, szczap, papierów i płomyczek szybko przemknął po śmieciach, z każdą chwilą nabierając siły.

Samochód zatrzymał się, hamując z piskiem.

Rzuciłem dopalającą się zapalkę i zacząłem pocierać o draskę kolejną, żeby podpalić śmieci z drugiej strony. Zapalka złamała się.

Od bramy dobiegły czyjeś głosy.

Zapaliłem drugą zapalkę, rzuciłem się w stronę sterty desek, przykucnąłem za nimi, pocierając raz za razem zapalką o bok pudełka.

Pstryk! Zapaliły się papiery. Płomyczek pobiegł po drewnianych drzazgach.

Za moimi plecami rozległ się trzask — zdążyłem! Ogień rozpala się!

Rzuciłem się w stronę dziury w płocie, żeby skryć się w gościnnym i głębokim mroku nocy. O, ten przeklęty pies!...

# Władimir Kimowicz Li

Myślałem, że najlepiej będzie, jeśli pośpię do świtu, ale sen nie przychodził. Wypaliłem paczkę papierosów, policzyłem gwiazdy nad wyspą, potem poszedłem na brzeg i wykąpałem się w ciepłej wodzie sennego jeziora. Później siedziałem na brzegu i patrzyłem na czarne skały gór, starając się wypatrzeć tam płomień ogniska albo światło latarki. We wsi rozszczękały się psy. Znowu nastąpiła dzwoniąca cykadami cisza. Głucho plusnęła ryba, gdzieś blisko brzegu.... I wtedy obudził mnie dzwonek.

Okazało się, że usnąłem siedząc na piasku, z podbródkiem opartym o kolana. Podskoczyłem, bo wydawało mi się, że jestem w domu i ktoś dzwoni do drzwi. Na górze dźwięczał brzęczyk — zadziałała nasza kulawa łączność. Pomknąłem jak strzała na wzgórze, objając po drodze piętę. Dzwonił Otar.

— Dlaczego pan nie śpi? — zdziwiłem się. — Jest czwarta rano.

— Śpię — powiedział Otar. — Po prostu chciałem sprawdzić, co z tobą.

— Nie ma się o co martwić. Nic nowego.

— Wybacz, że cię obudziłem. Sprawdzalesz czujniki?

— O północy. Wszystko po staremu.

Nie uwierzyłem Otarowi. Wiem, że martwił się, czy nic planuję jakiejś głupoty.

— Dobranoc — powiedziałem. — Niedługo świt.

— Tylko bez żadnych głupot — powiedział Otar.

Niebo nad Tangi zaczęło się rozjaśniać. Łącznościowiec, obudzony przez telefon Otara, znowu usnął, zasłaniając kurtką głowę przed komarami. Zapaliłem latarkę i jeszcze raz sprawdziłem przyrządy. Byłem zły na Matura, przecież każdy centymetr naszej taśmy jest niezwykle cenny dla nauki. Przecież jest to pierwszy na świecie, szczegółowy raport o przebiegu trzęsienia ziemi, krok po kroku, minuta po minucie. Ta taśma jest cenniejsza niż wszystkie jego banki, zakłady i fabryki. A teraz, dzięki przedsiębiorczości jego przyjaciół, ważny fragment tych informacji zaginął. W muzeum, gdzie będzie prezentowana ta taśma, obok nadgryzionego jabłka Newtona i beczki Diogenesa, potomkowie napiszą: „Z powodu bałaganiarstwa niejakiego Li, ta część danych została dla nauki stracona”.

Taśmy uradowały mnie, tak jak złe wyniki analiz cieszą lekarza, który postawił prawidłową diagnozę. Ziemia zachowywała się zgodnie z przewidywaniami — trzęsienie ziemi odbędzie się kilka minut po szesnastej, a miejscowi będą mogli ciepło wspominać Li i jego kolegów, którzy ich uratowali.

No dobrze, już prawie świta. Mam hobby — oglądanie wschodów słońca w Ligonie. Zszedłem na brzeg, starając się nie obudzić łącznościowca i drugiego żołnierza, strzegącego czujników, i cichutko odwiązałem łódkę.

Lekka łódeczka, którą wieczorem przezornie odciągnąłem za skałę, żeby jakiś miłośnik

porannego łowienia ryb nie zabrał mi jej w najważniejszej chwili, zanurzyła się mocno pod ciężarem mojego, niezbyt masywnego ciała. Układając wiosła, sam ze sobą omawiałem problem, czy nie ukrąść automatu śpiącemu spokojnie żołnierzowi, ale w końcu odpędziłem pokusę — jeśli coś się stanie, wrogowie majora Tilwi i inni źli ludzie, z ogromną przyjemnością opowiedzą całemu światu, że uzbrojeni w broń palną „tak zwani geolodzy” szwendają się po górach spokojnego Ligonu i organizują ksenocyd.

Przybiłem do brzegu w miejscu porośniętym krzakami, jakieś pół kilometra od wsi, gdzie na wysokim urwisku, nad brzegiem, widniały czarne wierzchołki drzew mandarynkowych. Przywiązałem łódkę i ruszyłem w górę, starając się nie hałasować więcej niż to konieczne w danej sytuacji, przeciąłem mandarynkowy sad i znalazłem się pod bramą klasztoru. Wierzyłem, że mam w tych stronach jednego sojusznika — starego dziadka Mahakassapę.

Przed bramą zdjąłem buty. Klasztor dopiero budził się ze snu. Przy studni pluskali się rozebrani do pasa, młodzi mnisi. Ich pomarańczowe togi suszyły się na sznurkach. Podszedłem to kąpiących się i zapytałem, gdzie jest ich przełożony. Mnisi udawali, że piąta rano to wspaniała pora na umacnianie przyjaźni między narodami. Jeden z nich, jeszcze dziecko, pobiegł do dużego, poszarzałego ze starości, drewnianego domu z rzeźbionym, warstwowym dachem, gdzie nie tak dawno przyjmował nas czcigodny starzec.

— Idź — nakazał mi gestem mnich.

Słońce jeszcze nie wyszło zza gór i skądś, od strony dalekich zabudowań, gdzie mieszkali klasztorni słudzy, nadciągał jak biały wąż, dymek o smakowitym zapachu. Przeleciało stado białych nietoperzy, wracających do domu po pracowitej nocy.

Staruszek Mahakassapa siedział na macie. Przed nim płonęła lampa naftowa, przez co panujący w reszcie pokoju mrok wydawał się jeszcze ciemniejszy.

— Witaj, szacowny Mahakassapo — powiedziałem. — Wybacz, że cię niepokoję.

— Siadaj, młody człowieku — powiedział starzec. — Co za nowiny przynosisz?

Jak zwykle w takich sytuacjach, do pokoju weszło kilku mnichów, ukucnęli koło drzwi i, chociaż jest mało prawdopodobne, że rozumieli choć słowo po angielsku, natychmiast nadali naszemu spotkaniu charakter konferencji na najwyższym stopniu. Czasem któryś z nich głośno ziewał odganiając sen, od czasu do czasu wymieniali między sobą uwagi głośnym szeptem.

— Czy oprócz mnie ktoś jeszcze wspominał o trzęsieniu ziemi, szacowny Mahakassapo?

— Tak. Dzisiaj w nocy do wsi przyjechał człowiek z Tangi. Przywiózł dokument. Nigdy przedtem nie widziałem takich papierów.

Miałem ochotę wspomnieć, że przyłożyłem się do pojawienia się tego dokumentu, ale staruszek nie dał mi na to szansy.

— To ty wraz z kierownikiem dowiedzieliście się o tym słuchając szeptów ziemi? — zapytał.

— Tak. Pomyślałem, że dobrze to wyraził — szepty.

— Macie rację — powiedział staruszek. — Dziś w nocy psy były zdenerwowane, a szczury opuściły swoje nory. Tak się dzieje przed trzęsieniem ziemi. Poślę kogoś do źródła, niech sprawdzi, czy podniósł się poziom wody. W dniu katastrofy zawsze podnosi się poziom wody w źródle.

Starca nie można było niczym zdziwić. Miał analityczny umysł. Staruszek zamilkł, czekając, co powiem.

— Trzęsienie ziemi będzie po południu — powiedziałem. — Bardzo silne.

Starzec skinął głową.

— Uprzedzono ludzi we wsi — powiedział. — Wyniosą rzeczy na dwór.

— Może lepiej odejść stąd w bezpieczne miejsce.

— Nie. Tutaj nie dotrą lawiny. Za to ty powinieneś zabrać swoje przyrządy z zagajnika. Tam jest niebezpiecznie.

— Na pewno to zrobię — powiedziałem. — Mam jeszcze czas. A co z wami?

— Wyjdę na zewnątrz. Proszę się nie bać, młody człowieku.

No cóż, można przejść do sedna sprawy. Musiałem poprowadzić rozmowę tak, żeby staruszek nie zdziwił się, że wtrącam się w nie swoje sprawy.

— Lami — powiedziałem — mieszkała w waszym klasztorze.

— Tak — powiedział staruszek, nie zmieniając wyrazu twarzy — jej świętej pamięci ojciec oddał mi ją pod opiekę.

— Świętej pamięci?

— Kapitan Wasunczok umarł wczoraj. Nie wiedziałeś o tym?

— Nie. Przecież czuł się ostatnio lepiej. Lami mi mówiła. Staruszek nie odpowiedział.

— A Lami o tym nie wie...

— Lami nie wie — powiedział starzec. — Jeśli nie poinformował jej ksiązę Urao. Ale sądzę, że ksiązę Urao też nie wiedział. Porwał ją, bo myślał, że kapitan żyje. Żeby kapitan go słuchał.

Nastąpiła cisza. Przerwałem ją:

— Wczoraj żołnierze z miasta i policjanci szukali przemytników Pa Puo. Ale ich nie znaleźli.

— Żołnierzy prowadził starosta wsi — powiedział staruszek. — Ale ksiązę Urao zdążył przenieść towar do innej jaskini.

— Mój przyjaciel, który tam był, powiedział, że kapitan Boro nie miał wielkiej ochoty by znaleźć towar.

— Wiem, starosta też tak myśli. Ale postanowił nie kłócić się z żołnierzami.

— Ale tam jest Lami...

— Wiem, młody człowieku, że wyróżniasz Lami wśród innych dziewcząt. Ale przyjechałeś tutaj, żeby wykonywać swoją pracę. Twoja praca jest ważna. Masz kierownika. Czy pozwolił ci tu przyjść?

— Nie — powiedziałem. — On o niczym nie wie.

— Więc dlaczego mu nie powiedziałeś?

— Bo on, jako mój kierownik, nie powinien pozwolić mi iść w góry.

— Powiedziałeś prawdę. Ale czy twoja sprawa nie ucierpi na tym, że ruszysz w góry na poszukiwanie dziewczyny?

— Nie — odpowiedziałem. — Wiemy już dokładnie, że trzęsienie ziemi zacznie się po południu, a ludzie ewakuują się już z Tangi.

Wszedł młody mnich i postawił przede mną filiżankę herbaty. Na spodeczku leżała bułka.

— A pan? — zapytałem.

— Ja nie chcę — odpowiedział staruszek i uśmiechnął się. Łyknąłem herbaty. Była gorąca i słodka.

— Ksiązę Urao obraził mnie — powiedział staruszek.

— W mojej osobie obraził całą sanghę. Obraza ta martwi mnie, boję się o los księcia. Jest złym człowiekiem i nie jest w stanie się poprawić.

Za oknem, jakby na dany znak, zaczęły śpiewać ptaki.

— I dlatego — zakończył Mahakassapa — martwię się o Lami.

Dopiłem herbatę i odstawiłem filiżankę na spodeczek.

— Chcesz iść w góry?

Jakby nie było wcześniejszej rozmowy.

— Tak. Nie sądzę, bym mógł przydać się Lami bez pańskiej pomocy.

— Postąpiłeś mądrze. Zaraz przyjdzie starosta wsi. Czekam na niego. Starosta wie, gdzie jest Pa Puo.

— Jeśli zacznie się trzęsienie ziemi, w jaskini będzie niebezpiecznie. Lami musi wydostać się stamtąd jak najszybciej — powiedziałem.



# Major Tilwi Kumtaton

Zanim zamknęliśmy piszcącego, wystraszonego Matura w komendzie, przekazaliśmy medykom ogłuszonego stróża, rozstawiliśmy posterunki w warsztatach mechanicznych, w tartaku i innych, ważnych punktach miasta, noc przekroczyła równik. Miasto nieco przycichło. Dowlokłem się do gabinetu i, nie rozbiegając się, położyłem się na kanapie. Leżałem z otwartymi oczami, słuchałem tego, co się dzieje na ulicy i nie spałem. W końcu postanowiłem wstać i dowiedzieć się od łącznościowców jakie są nowiny z Ligonu. Ale nie miałem siły, żeby wstać z kanapy, więc dalej leżałem w ciężkim półśnie, zastanawiając się, co mam jutro zrobić.

Wydawało mi się, że ktoś idzie korytarzem. Powoli, ostrożnie. Kroki zatrzymały się tuż przed drzwiami. Wiedziałem, że ludzie gotowi na wszystko, by mi przeszkodzić, mogą spróbować mnie zabić. Nie znaczy to, że jestem tchórzem, ale nie ma nic bardziej poniżającego, niż zostać ofiarą napadu, wylegając się na kanapie.

Podskoczyłem, starając się nie hałasować, wziąłem kaburę ze stolika i na palcach podbiegłem do drzwi tak, by być tuż za nimi, gdy się otworzą.

Ktoś cichutko zastukał do drzwi, jakby sprawdzał, czy jestem w środku. Milczałem. Widziałem, jak klamka powoli porusza się i przypomniało mi to scenę z jakiegoś horroru. Wyjąłem pistolet z kabury.

Drzwi wolno otwarły się, a ja podniosłem pistolet tak, by znalazł się na wysokości piersi intruza.

Nie od razu poznałem człowieka, bo światło lampki stojącej na biurku prawie nie docierało do drzwi. Zupełnie nie spodziewałem się zobaczyć tego człowieka tutaj w nocy. Na jego widok ogarnął mnie wstyd, że ja, komisarz okręgu, chowam się za drzwiami, jak król obawiający się spiskowców.

Ojciec Fryderyk zrobił krok do środka i stanął, rozglądając się dookoła.

— Nie możesz spać, ojcze? — spytałem, wychodząc na środek pokoju.

— Ależ mnie pan wystraszył, majorze!

— Jak pan ominął wartownika?

— Spał, więc go nie budziłem.

— Dobrze — powiedziałem, siadając za biurkiem i wskazując misjonarzowi krzesło naprzeciwko. — Co sprowadza cię, święty ojcze, do mnie o tak dziwnej porze? Jeśli martwi cię los twojej szkoły, to możesz być spokojny — dzieci zostaną wywiezione rano. Majątek kościoła niech wyniosą na zewnątrz parafianie. To nie dyskryminacja. To samo powiedziałem buddystom.

— Wiem, wiem... Jestem bardzo wdzięczny. Przyszedłem w zupełnie innej sprawie.

Ostrożnie odsunąłem szufladę biurka i włożyłem do środka pistolet.

Tylko ważna sprawa mogła zmusić misjonarza, by odwiedził mnie o czwartej rano. Jakie to dziwne, myślałem, przyglądając się pociągłej, białej twarzy. Byłem chłopcem, biegałem po ulicach, biliśmy się z uczniami szkoły misyjnej, a ojciec Fryderyk rozdzielał nas, i był wtedy tak samo stary jak teraz. Minęło dwadzieścia lat, powstały nowe państwa i miasta, iluż ludzi umarło i narodziło się,

a misjonarz ciągle kroczy po ulicach Tangi, kierując się do białego, jakby zbudowanego z klocków, kościoła, zakończonego długą, ostrą iglicą. Czy jest wrogiem mojego kraju? Na uniwersytecie organizowaliśmy demonstracje, żądając wygnania z kraju wszystkich misjonarzy i chrześcijańskich biskupów, bo to przecież obcy. Przyszli tu z Anglikami i wychowywali niewolników. Ale ojciec Fryderyk tak wrósł w nasze Tangi, że trudno uważać go za kolonizatora.

— Wie pan, majorze — powiedział ojciec Fryderyk głębokim, smutnym głosem. Mówił po ligońsku nie gorzej ode mnie, widziałem nawet napisany przez niego podręcznik ligońskiej gramatyki. Znał też języki górali — że spędziłem w tym mieście większą część życia. Kocham ten kraj i mam nadzieję, że zostanę pochowany tutaj, koło kościoła.

Milczałem.

Misjonarz zamilkł na kilka chwil. Potem kontynuował bez związku z poprzednią wypowiedzią.

— Z wiekiem przyjaciół robi się coraz mniej i mniej, jak wody w rzece podczas suszy. Moim najbliższym przyjacielem był kapitan Wasunczok.

— I rodzina księcia Urao — dodałem.

— No cóż, to prawda. Znam księżną od wielu lat. Jest moją parafianką. Swego czasu pokładałem duże nadzieje w księciu Kao. Chciałem, żeby wyrósł na człowieka pożytecznego dla swego kraju.

Spojrzałem na zegarek. Kwadrans po czwartej. Nie uda mi się zdrzemnąć. Ojciec Fryderyk zauważył moje spojrzenie.

— Będę mówił krótko — powiedział. — Przecież nie przyszedłem tu dzielić się wspomnieniami. Od dawna wiedziałem, że książę ma dodatkowe źródło dochodu, z którego finansuje swoją działalność polityczną. W rzeczywistości jest rozpieszczonym, czterdziestoletnim dzieckiem, które myśli, że jest dyktatorem. Jest wystarczająco zdolny, by cieszyć się szacunkiem wśród górskich feudałów.

Nie przerywałem ojcu Fryderykowi. Zgadzałem się z nim.

— Z mojego punktu widzenia przemysł narkotyków to najbardziej niegodne ludzkie zajęcie, wymyślone przez diabła, bo narkotyki niszczą nie tylko ciało człowieka, ale i duszę. Długo nie chciałem w to uwierzyć, mimo dowodów, które przedstawiał mi świętej pamięci Wasunczok, ale gdy w końcu przekonałem się, że to prawda, starałem się porozmawiać z księżną wdową.

— Powiedziała, że pierwszy raz coś takiego słyszy? — przerwałem mu.

— Mniej więcej tak. Uwierzyłem jej. Nie śmiała wtrącać się do spraw syna. Mimo że jest chrześcijanką, nadal jest górską księżną, niewolnicą męża, a po jego śmierci — najstarszego syna. Potem starałem się porozmawiać z księciem, który mnie wyśmiał i natychmiast wymyślił fantastyczną historię, która całkowicie wybielała go w moich oczach. Wersja księcia była bardzo pomysłowa i przekonująca. Pół roku temu podjąłem jedyną, możliwą do zaakceptowania decyzję. Postanowiłem zrobić wszystko, żeby uniemożliwić handel narkotykami. I uratować nie tylko ludzi, dla których przeznaczone jest opium, ale także samego księcia. Niestety, nie mogłem piętnować księcia podczas kazań, ani podczas oficjalnych spotkań, wie pan przecież, jaką ma władzę w mieście i ilu ludzi zależy, w mniejszym bądź większym stopniu, od jego łaski...

— Włączając w to komendanta Boro — dodałem.

— Oczywiście, kapitan Boro też — Fryderyk zgodził się od razu. — Znałem tylko jednego człowieka, który miał odwagę walczyć z księciem. Był to kapitan Wasunczok. Od tego czasu przekazywałem mu wszystkie informacje, jakie udało mi się zdobyć podczas rozmów z księciem lub wywnioskować ze słów, które wypowiadał w mojej obecności, uważając mnie za osobę niegroźną.

Dzięki mnie kapitan dowiedział się, kiedy z północy przybędzie kolejna dostawa opium i Wasunczok spróbował ją przechwycić. Niestety, nie udało mu się. Został ranny. Potem udało mi się dowiedzieć więcej na temat towaru. Wczoraj oddział żołnierzy pojechał do sosnowego zagajnika, ale nie wiem, czym to się skończyło. Myślę, że niczym, bo na czele oddziału stał kapitan Boro, który raczej nie odważyłby się przedsięwziąć niczego bez zgody księcia.

— Ma pan rację — powiedziałem.

— Wczoraj Wasunczok umarł. Jestem głęboko przekonany, że winnym jego śmierci, chociaż ciężko mi o tym mówić, jest książę Urao. Wyprowadził kapitana z równowagi.

— Tak.

— Postanowiłem więc przyjść do pana. Jest pan tu nowym człowiekiem i nie sędzę, by książę zdążył pana omotać tak, jak pozostali.

— Nie — odpowiedziałem uśmiechając się. — Nawet nie próbował.

— Wiem — powiedział Fryderyk. — Pozwoliłem sobie mówić tak długo, żeby mógł pan mnie zrozumieć i zaufać mi. To, co teraz powiem, jest prawdą, ale będzie musiał się pan zmusić, aby mi uwierzyć, bo wieści pochodzą ode mnie, białego misjonarza.

— Wierzę ci, ojcze — powiedziałem. — Sam jestem z Tangi. Byliście z moim ojcem w tym samym japońskim obozie.

— Tak, pamiętam go. Zginął tam... Jakiś czasem temu, być może pół roku, w domu księcia odbyło się spotkanie z innymi separatystami. Nigdy nie wtrącałem się do ich spraw, bo uważam, że każdy naród sam wybiera sobie rząd, a jeśli władza m się nie podoba, nie może winić nikogo innego, jak tylko siebie. Być może pamięta pan, że nastąpiła wtedy eskalacja nastrojów separatystycznych, wywołana rządową próbą pozbawienia książąt szeregu przywilejów. Książęta szykowali się do powstania, do którego w końcu nie doszło z powodu jakichś rozbieżności, ale gdy rozważali, jak bronić się przed ligońskimi wojskami, postanowili zaminować niektóre mosty i budynki w Tangi...

— Co?! Wiedział pan o tym i milczał?!

— Sądziłem wtedy, że to tylko przechwałki książąt. Mówiono o tym otwarcie na obiedzie wydanym dla stronników przez księcia Urao. Na obiedzie, oprócz mnie, był ówczesny gubernator i kapitan Boro. Wymyślili nawet kryptonim dla tej akcji — „Trójkąt”.

— Dlaczego więc zmienił pan...

— Proszę samemu się zastanowić. Wczoraj wieczorem odwiedziłem księżnę Walomirę w jej podmiejskim domu, a potem pojechałem swoim samochodem do Moszi, żeby zobaczyć jak będą kwaterować uczniów. W drodze powrotnej spotkałem trumnę kapitana Wasunczoka. W ponurym nastroju wróciłem do miasta i udałem się do księcia, bo jego matka prosiła mnie, bym dowiedział się, kiedy opuści miasto. Służący dobrze mnie znają, więc wszedłem do domu bez uprzedzenia. Książę znajdował się w bibliotece z dwoma swoimi pomocnikami. Od kilku tygodni nabrałem zwyczaju zatrzymywania się pod drzwiami i podsłuchiwania, o czym mówi książę, więc tym razem dowiedziałem się, że planuje wprowadzić w życie akcję „Trójkąt”. Od razu przypomniały mi się przechwałki książąt podczas obiadu i obudziło się we mnie straszne podejrzenie, że książę zamierza wysadzić coś w Tangi. Chciałem sam siebie przekonać, że takie akcje nie leżą w interesie księcia. Nie ma wojny bez... Ale im więcej myślałem, tym bardziej się bałem. Cóż wiem o prawdziwych zamiarach księcia Urao? A może ma jakiś szatański plan, w myśl którego chce, aby trzęsienie ziemi jak najboleśniej uderzyło w miasto, żeby nie udało się wywieźć sprzętu i ludzi, by można było potem zrzucić winę na rząd? Czy tak może być?

— Tak — powiedziałem. — To jeden z powodów. Są też inne. A czy udało się dowiedzieć, co i kiedy zamierza wysadzić?

— Nie — powiedział Fryderyk. — Nic nie wiem. Gdy wszedłem do biblioteki przerwali rozmowę. Ostatnio odniosłem wrażenie, że księżę czegoś się domyśla. Być może na starość puszczają mi nerwy. Wydawało mi się nawet, że ktoś mnie śledził, gdy tutaj szedłem.

Nie nadałem specjalnej wagi ostatniemu zdaniu ojca Fryderyka. Byłem wstrząśnięty tą nowiną, chociaż nie było w niej nic dziwnego. Rzeczywiście, pół roku temu księżęta szykowali się do powstania i z ich punktu widzenia zaminowanie dróg prowadzących do Tangi było logiczne. Dyrektor Matur chciał spalić swoją fabrykę, ale nie było żadnych prób napaści na warsztaty mechaniczne. A to już było podejrzane. Księżę też był zainteresowany ratowaniem swoich pieniędzy.

— Musi pan to przemyśleć — powiedział ojciec Fryderyk. — Czy mogę odejść? Nie chciałbym być widzianym w tym domu.

— Dziękuję, ojcie — powiedziałem. — Oczywiście, proszę iść. I proszę nie martwić się o uczniów. Ciężarówka podjedzie pod szkołę o ósmej rano.

Odprowadziłem misjonarza do drzwi i zatrzymałem się, rozmyślając, od czego zacząć. Działać trzeba szybko. Podeszedłem do okna, żeby sprawdzić, czy na podjeździe stoi dyżurny samochód. Stał. Świtało, a ojciec Fryderyk, oddalający się szybko ścieżką prowadzącą wzdłuż trawnika, był po kolana skryty w porannej mgle. Patrzyłem za nim i myślałem o „Trójkacie”, o tym, że trzeba zaalarmować dyżurujący oddział, że znowu trzeba gdzieś jechać. Dobry staruszek, pomyślałem nagle o ojcu Fryderyku, zawsze dawał nam, dzieciom, cukierki. To było dawno, ale do tej pory pamiętałem ich smak. Głodowaliśmy wtedy i nikt więcej nie dawał nam słodczy.

Z góry, z pierwszego piętra, widziałem trawnik i otaczające go krzewy, i biegnącą obok drogę, i drzewa rosnące w oddali. Za krzakami stał człowiek, tam samo jak ojciec Fryderyk, po kolana we mgle. Człowiek wyszedł z krzaków i ruszył skrajem ścieżki za ojcem Fryderykiem. Misjonarz nie widział go, bo szedł zamyślony, ze spuszczoną głową. Nagle zrozumiałem, że misjonarzowi zagraża niebezpieczeństwo. Chciałem do niego krzyknąć, ale okno było zamknięte, i zacząłem się z nim szarpać, zamiast strzelić prosto, przez szybę. Widziałem jak błysnął malutki, wyglądający z góry całkiem niegroźnie, ognik. Ojciec Fryderyk nie zatrzymał się, przeszedł jeszcze trzy kroki i upadł, kryjąc się we mgle. Znikł.

Morderca pobiegł w stronę krzaków i ukrył się w nich. Patrząc na żołnierza, który wyskoczył z głównego wejścia i pobiegł w stronę krzaków, pomyślałem, że ojciec Fryderyk miał rację. Zostanie pochowany w Tangi, koło kościoła, jeśli tylko budynek przetrwa trzęsienie ziemi. Ostatni dzień Tangi zaczął się od wystrzału.

## TELEGRAM

.....  
Tangi do komisarza TKR majora Tilwi Kumtatona pilne z Ligonu 6:20

TKR przyjął specjalne postanowienie pozwalające komisarzowi nacjonalizować każde przedsiębiorstwo lub inną własność jeśli właściciel uniemożliwia ewakuację problem rekompensat zostanie rozwiązany podczas obrad na temat nacjonalizacji w skali całego kraju

pułkownik Van

.....  
Tangi do komisarza TKR majora Tilwi Kumtatona z Ligonu 6:40

Glukoza czekolada mleko w proszku koce wysłane wojskowym helikopterem wylatującym o

.....  
Pilne, do księcia

Dzisiaj rano, o czwartej, zgodnie z rozkazem śledziłem ojca Fryderyka. Po wyjściu od Pana poszedł do siebie i przez jakiś czas pozostawał w domu. O czwartej ojciec Fryderyk wyszedł z domu, ubrany i, rozejrzawszy się kilka razy, ruszył przez miasto. Szedłem kilka kroków za nim. Po chwili zorientowałem się, że idzie do komisarza. Nie mogłem go dogonić, bo szedł bardzo szybko, a na ulicy kręcili się ludzie, którzy nie spali. Gdy w końcu udało mi się go dopaść, wchodził już do domu komendanta. Jako że powiedział pan, że nie może w żadnym wypadku tam wejść, byłem zmuszony strzelić. Nie wiem, czy przeżył czy też nie, bo musiałem uciec.

Johnson

.....

# Księżę Urao Kao

Istnieje wyższa sprawiedliwość, pomyślałem, czytając list od portiera Johnsona. Ale kto kieruje bezlitosną ręką losu? Klnę się na wszystkich świętych, że zabójstwo ojca Fryderyka nie leżało w moich planach, mimo że człowiek ten okazał się zdrajcą.

Znając naturę ludzką i potrafiąc patrzeć w przyszłość, podejrzewałem, że misjonarz pogna z donosem do majora. Sądzę, że ojcem Fryderykiem nie kierowała chęć zysku, a źle zrozumiane poczucie obowiązku albo po prostu strach przed śmiercią i wymagowanym najwyższym sędzią — taki przejaw starczego marazmu. Podejrzewając świętej pamięci Fryderyka, nakazałem go śledzić, bo sądziłem, że mógł podsłuchać naszą rozmowę. Nie sądzę, żeby coś rozumiał, ale...

A teraz list... No cóż, mam czyste ręce, myślałem. Potraktujemy ojca Fryderyka jako męczennika, który zginął za ideę, zadbamy o jego pogrzeb i szczodry dar dla szkoły. Subiektywnie, byłem wstrząśnięty postępkami Johnsona. Obiektywnie, los postąpił dobrze: uśmiercając Fryderyka obronił prawa i niezależność górskich ksiąząt, obronił moją Sprawę, moją Ideę. Rozmyślając tak, zbierałem się do snu, ale nie minął nawet kwadrans, gdy okazało się, że popełniłem błąd, charakterystyczny dla niejednego wielkiego człowieka, wynikający ze szlachetności i łatwowierności. Nie wiem, dlaczego sądziłem, że zdrada ojca Fryderyka wyczerpała na dzisiaj cały zapas ludzkiej podłości. Gdybym był bardziej podejrzliwy, od początku zwątpiłbym w prawdziwość słów napisanych przez Johnsona. Mogłem wyobrazić sobie cokolwiek, poza prawdą: że Johnson nie odważył się zatrzymać Fryderyka, gdy ten szedł do majora, ale potem przestraszył się mojego gniewu i napadł na niego, gdy już było za późno, gdy misjonarz zdążył już ohydnie donieść.

I tak, leżąc w łóżku, rozmyślałem o tym, o ile lepiej byłoby dla Fryderyka i Kościoła chrześcijańskiego, gdyby umarł on w japońskim obozie i dołączył do grona męczenników. I wtedy właśnie usłyszałem — nocą dobrze słyhać odgłosy nawet z oddali — że ktoś podjechał pod bramę i kłóci się ze strażnikiem. Leżałem spokojnie, starając się zgadnąć, kto mógłby przybyć tak wcześnie. Któryś z sąsiednich ksiąząt, wystraszony plotkami o trzęsieniu ziemi? A może oddział z gór, którego od dawna oczekiwałem? Przepychanka przy bramie skończyła się i było słyhać, jak samochód hamuje pod drzwiami. Usiadłem, wyciągnąłem rękę po szlafrok. W korytarzu rozległ się znajomy, męski głos, ale nie od razu odgadłem, do kogo należy.

— Nie szkodzi — powiedział głos. — Obudzimy go.

Drzwi otwarły się i do mojej sypialni, jak do własnego domu, wtargnął major Tilwi Kumtaton, z lewą ręką na temblaku, z pistoletem w prawej ręce, a za nim dwóch uzbrojonych żołnierzy w gwardyjskich mundurach. Zza pleców wyglądały pełne skruchy, zagubione mordy lokajów. A więc, pomyślałem, dostałem się do niewoli, jak Napoleon. Nikt nie chciał poświęcić życia dla marszałka — ani jeden drań nawet nie krzyknął, żeby mnie uprzedzić. Wstałem i narzuciłem szlafrok.

— Czemu zawdzięczam — zapytałem — to wtargnięcie?

— Proszę tutaj zostać — powiedział major. W jego oczach błyszczała wściekłość.

Stałem, górując nad nim i zachowując godność. Najważniejsze było nie dać się sprowokować. Mam tu za mało ludzi, a do tego są to ludzie niepewni. Moi wierni górale przybędą rano.

— Czy rozumie pan, jaką bierze na siebie odpowiedzialność, nachodząc w środku nocy dom członka wyższej izby parlamentu? — zapytałem.

— Parlament został rozwiązany — odpowiedział major. Cała istota pospólstwa kryła się w tej odpowiedzi. Był lizusem, któremu pozwolono poznęcać się nad ziemianinem, przed którym całe życie musiał zginać kark.

— Tym niemniej mam nadzieję, że w tym państwie zachowały się jakieś normy prawne — oznajmiłem.

— Jeśli uważa pan, że ma prawo zabić bezbronnego starca Fryderyka, doprowadzić do śmierci Wasunczoka, jeśli przy pomocy bandytów handluje pan narkotykami...

— Proszę przestać! — krzyknąłem. — Pożałuje pan tych słów. Mam nadzieję, że obecni tu będą świadkami, gdy spotkamy się w sądzie na sprawie o oszczerstwo.

— Nie ma co tracić czasu na parlamentarne przemowy — powiedział złośliwie major. — Gdzie są plany operacji „Trójkąt”?

— Co? — wyrwało mi się. — Był u pana?

— Jeśli ma pan na myśli ojca Fryderyka, to zdążył mi wszystko opowiedzieć.

— Drań! — nie wytrzymałem. Major nie rozumiał, że miałem na myśli żalosnego mordercę Johnsona. Nie, nie ojca Fryderyka, bo nie mnie go sądzić.

— Ojciec Fryderyk padł ofiarą napadu osobnika, który został rozpoznany jako portier z hotelu „Excelsior”, Samuel Johnson. Mam nadzieję, że gdy go zatrzymamy, nie będzie ukrywał, kto mu wydał rozkaz.

— Z radością mnie oczerni — odpowiedziałem, biorąc się w garść. — Czy ma pan nakaz aresztowania.

— Jest pan aresztowany bez nakazu — major pozwolił sobie na uśmiech. — Na mocy prawa stanu nadzwyczajnego. Sam pan nam opowie, które obiekty zaminowaliście, czy mamy przeprowadzić rewizję w domu?

— Nie wiem, co to takiego operacja „Trójkąt”.

Starłem się brwiami dać do zrozumienia lokajowi, patrzącemu na nas, jak na aktorów w teatrze, żeby pobiegł po pomoc.

Udawał, że nie rozumie.

— Proszę dać mi klucz do sejfu.

Major trafił w sedno. Tam właśnie przechowywałem plany operacji. O lekkomyślności i łatwowierności, możecie mnie teraz kosztować życie!

— Nie mam klucza do sejfu.

— W takim razie wysadzimy go.

— Nie uda wam się, grabieżcy!

Ale, oskarżając majora, wiedziałem, że nie mogę przegiąć pały. Może rozkazać swoim pomocnikom rozstrzelać mnie, a potem jakoś się z tego wytłumaczy. A może już jest gotowy to zrobić?

— Klucze — rozkazał major.

Milczałem.

— Czyżby pan rzeczywiście chciał wysadzić miasto?

Milczałem.

Zdrada rodzi zdradę, podobnie jak lawina ciągnie za sobą kolejne kamienie.

— Ma klucze w kieszeni marynarki, panie majorze — dobiegł głos od drzwi. Był to głos lokaja, głupiego chłopaka, którego karmiłem przez dziesięć lat. — Mogę je wyjąć?

Stałem, sparaliżowany kolejną zdradą, patrząc, jak mój lokaj podchodzi do szafy, otwierają i wyciąga niewielki pęk kluczy. Wyciągał go tak samo, jak podaje mi zazwyczaj szklanę whisky — lizusowato. A ja milczałem.

— Proszę zaprowadzić mnie do sejfu — major zwrócił się do lokaja.

Żołnierze zostali przy drzwiach.

Zrobiłem krok w stronę szafy, żeby się przebrać, ale jeden z żołnierzy krzyknął: „Do tyłu” — jakbym był zwykłym złodziejaszkiem. O podłości!



# Dyrektor Matur

Siedziałem na żelaznym zlewie, na odwachu i czułem każdą kosteczkę. Kiedy jechaliśmy tutaj, żołnierze popychali mnie i bili, obawiałem się, że w każdej chwili mogą mnie rozstrzelać, jak psa. Byłem zrujnowany i zhańbiony, byłem poniżony i załamany, moje dzieci będą żebrac na ulicach, wyciągać rękę po jałmużnę, a moja żona, którą porzuci mój kochany brat Saad, będzie zmuszona zająć się nierządem. Jak mam udowodnić tym ludziom, że nie chciałem nikogo skrzywdzić, że chciałem, aby wszyscy byli zadowoleni i dobrzy dla siebie? Jak mam udowodnić świętą prawdę, że w głębi duszy jestem poetą, że zawsze starałem się żyć uczciwie i być godnym pamięci moich rodziców? Czyż kiedykolwiek w życiu ośmieliłbym się podnieść rękę na mojego brata człowieka, gdyby mój umysł nie był zamroczony przez złe duchy? Jak mam wyjaśnić, że planowałem zaraz po zakończeniu spraw w fabryce wynieść nieszczęsnego stróża w bezpieczne miejsce? Jeśli będę miał możliwość wynajęcia adwokata, mam nadzieję, że wujek Daud nie pożałuje pieniędzy na ratowanie honoru rodziny. Przecież nic nie zrobiłem: fabryka jest cała, stróż żyje.

Przez głowę przeleciały mi obrazy, wspomnienia, znowu przeżyłem całe swe krótkie i nieudane życie.

Nagle zrodziło się we mnie okropne podejrzenie: chcą mnie tutaj zostawić na pastwę trzęsienia ziemi, sufit spadnie na mnie i pogrzebie żywcem pod gruzami. Przesiedziałem kilka minut czekając na pierwszy wstrząs, a potem, nie będąc na siłach oczekiwać śmierci, rzuciłem się na żelazne drzwi i zacząłem młócić w nie, obijając pięści i licząc na współczucie strażnika.

Ktoś usłyszał moje wołanie i ciężkie buty zastukały w korytarzu. Oskoczyłem od drzwi, które w następnej chwili otworzyły się i, zamiast wypuścić mnie na zewnątrz, żołnierze wepchnęli nowego więźnia. Był to książę Urao. Najwyraźniej wyciągnęli go z łóżka — miał na sobie czerwony szlafrok, przewiązany złotym sznurem zakończonym frędzlami. Bez względu na poniżającą sytuację, książę starał się zachować dostojeństwo, ale nie bardzo mu to wychodziło.

Pojawienie się księcia tak mnie zdziwiło, że zapomniałem o nadciągającym kataklizmie. Nie, nie cieszyłem się, obudził się we mnie filozof. Gdzie twoja buta, książę Urao, który zmuszałeś mnie, biednego chłopca, bym dawał ci przepisywać klasówki i biłeś mnie w szkolnej toalecie, jeśli ośmieliłem się przeciwstawić? Gdzie twoja buta, książę, który nie chciałeś poznać mnie, gdy odwiedziłem cię po twoim powrocie z Cambridge i który maltretowałeś mnie, sądząc, że ja, dumny spadkobierca braminów, przyjmę poniżenie jako coś normalnego?...

Oczy księcia przyzwyczajały się do ciemności. Siedział na pryczy, jakby połknął długi kij, a jego ptasia, potargana głowa, którą po raz pierwszy widziałem nie doprowadzoną do idealnego stanu, kręciła się wkoło, jak u uwięzionego w klatce gryfa.

— Jesteś tu, Maturze — zapytał bez intonacji.

— Tak, książę — powiedziałem. — Jesteśmy tutaj. I jesteśmy równi.

— Równi? — zapytał książę. Pomyślał chwilę i dodał, nie udając niczego, a po prostu dlatego,

że doszedł do takiego wniosku: — Nie, nie jesteśmy równi.

Uśmiechnąłem się w głębi duszy.

— Co cię, książę, tu sprowadza? — zapytałem.

Książę wzruszył ramionami.

Za kratkami dniało, i w tym mglistym, niebieskim świetle dostrzegłem, że oczy księcia są jakieś mętne, pijane, jakby nie rozumiał co się dzieje.

— Jestem członkiem najwyższej izby parlamentu — oznajmił mi z pełnym zaufaniem. — Chroni mnie immunitet.

— Powiedziałaś o tym majorowi Tilwi?

— Słono za to zapłaci.

W głosie księcia nie było słychać pewności. Nic nie było słychać, pusty głos człowieka patrzącego na rozsypujący się świat i zdającego sobie sprawę, że sam jest częścią tego świata.

— Ojciec Fryderyk umarł — powiedział książę, owijając się szczelniej szlafrokiem. W celi było chłodno. — Jesteśmy pogrążeni w smutku.

Nie zrozumiałem, dlaczego to powiedział. Umarł misjonarz. Kiedyś musiał umrzeć.

— Jak major ośmielił się zamknąć cię tu, książę.

— Boi się mnie.

— To narkotyki? — zapytałem. — Przechwycił towar?

Książę kiwnął na mnie palcem. Zbliżyłem się do niego.

— Niedługo mnie uwolnią — powiedział szeptem. — Ale nie waż się donosić o tym. Zabiję cię. Wszyscy mnie zdradzili. Ale ty się nie odważysz.

— Nie mam zamiaru zdradzać — powiedziałem. — Zawsze byłem wiernym przyjacielem. — Bałem się.

— Wiem, wiem — zbagatelizował książę i kontynuował szeptem: — Moi ludzie idą teraz z gór. Wygnamy majora, a ja wyjadę z Lami do Europy. Mam kapitał w Szwajcarii. Nie mam nic więcej do roboty w tych dzikich górach. Lami czeka na mnie. Tylko sza, nikomu ani słowa.

## TELEGRAM

.....  
Ligon do brygadiera Szoswe pilne z Tangi 7:40

Pierwszy transport ewakuowanych dotarł do Moszi czekam na drugą kolumnę ciężarówek lekarstwa helikopter obiecany z Mitili udaremniła próba księcia Urao wysadzenia drogi do Tangi most warsztaty mechaniczne przy wjeździe do Tangi zatrzymano ciężarówkę z góralami z plemienia Kha jadącą do miasta aby wesprzeć księcia Urao przedstawiciele narodowej partii konstytucyjnej poparli TKR odcięli się od wystąpień komitetu ocalenia demokracji w imieniu TKR racjonalizowałem przedsiębiorstwa w mieście i własność księcia Urao który został aresztowany na przesłuchaniu przyznał się do uczestnictwa w przemyśle opium co uważam za podstawę do dalszego zatrzymania

Tilwi Kumtaton  
.....

(...) Zewsząd dochodziły błagania o pomoc. Wszędzie leżeli martwi, masy rannych, ulice zmieniły się nie do poznania albo w ogóle przestały istnieć, zamiast nich sterczały resztki ścian i góry gruzu.

Gdy szedłem ulicami Messyny, zauważyłem, jak złodziej stara się włamać do skrytki, wycelowałem do niego z rewolweru, kazałem rzucić banknoty, które trzymał w ręku. W odpowiedzi zaczął coś mamrotać, grozić mi nożem, ale wtedy nadeszli żołnierze, pojмали go i wywieźli.

Gdy żołnierze go prowadzili, wszyscy napotkani przechodnie pluli na niego, a mieszkańcy miasta chcieli zabić tego żalosego człowieka...

Moja praca stała się jako tako wydajna dopiero wtedy, gdy zaprosiłem do siebie dwóch rosyjskich marynarzy.

Wśród marynarzy widziałem wielu poturbowanych, rannych, którzy mimo to kontynuowali pracę ratowniczą, ryzykując własnym życiem. Wchodzili do takich miejsc, gdzie śmierć wydawała się nieuchronna, ale oni zwyciężali i ratowali ludzi...

Na resztkę balkonu, o powierzchni nie większej niż metr, zaczepiona koszulką o balustradę wisi dziewczynka w wieku około trzech lat. Tylko połowa ciała opiera się o ruiny, a głowa i pierś wiszą w powietrzu: dziewczynka milcząc patrzy w dół. Praktycznie nie da się jej zdjąć: resztkę ściany ledwie się trzyma, wystarczy lekkie stuknięcie przystawianą drabiną i ciężaru ciała człowieka wchodzącego po drabinie, żeby ściana zawaliła się, a dziecko zginęło.

Marynarze działają jak akrobaci, ustawiają drabinę tak, by nie dotykała ściany, na sam jej czubek wchodzi dwóch, jeden siada na ramionach drugiego, wyciąga w poziomie ciało i zdejmuje dziewczynkę. Było to zrobione tak zgrabnie, że wśród jęków i krzyków z prośbami o pomoc rozległ się, być może nieodpowiedni, ale nie do opanowania krzyk zwycięstwa i radości.

Maksym Gorki *Trzęsienie ziemi w Kalabrii i na Sycylii*

St. Petersburg, 1909

# Władimir Kimowicz Li

Starosta przyszedł, gdy słońce już wzeszło. Był ubrany w wypłowiały, wojskowy mundur z trzema medalami na piersi. Mahakassapa był niezadowolony ze spóźnienia i robił mu ostre wyrzuty. Ten tłumaczył się. Potem zwrócili się do mnie i Mahakassapa powiedział:

— Starosta ma swoje porachunki z Pa Puo. Wczoraj nie odważył się sprzeciwić kapitanowi Boro. Sądzi, że wie, która to jaskinia. Oczywiście, jeśli nocą nie odeszli dalej.

Miałem ochotę zapytać się, co możemy zrobić we dwóch ze starostą, ale nie zrobiłem tego. Ci ludzie byli moimi sprzymierzeńcami. Gdyby odmówili mi pomocy, pobiegłbym w góry sam.

— Idźcie — powiedział staruszek.

Wstałem i na pożegnanie jeszcze raz poprosiłem Mahakassapę, żeby opuścił dom.

Uśmiechnął się tylko.

Na klasztornym podwórku, pod drzewami, siedzieli rzędem chłopci ze wsi. Dwóch z nich miało ze sobą długą, moim zdaniem skałkową, broń, pozostali byli uzbrojeni w bambusowe pałki, za paski mieli wetknięte zakrzywione noże. Na widok tej maleńkiej armii kamień spadł mi z serca. Starosta i Mahakassapa nie byli tak naiwni, jak sądziłem.

Gdy nasz oddział wyszedł za ogrodzenie klasztoru otrzymaliśmy całkiem nieoczekiwane wsparcie. Stał tam jeep, w którym siedział, uśmiechając się od ucha do ucha sierżant Lawo. Na mój widok sierżant zrobił taką minę, jakby za chwilę mieli mnie zwięzać i wysłać do Tangi, żebym przestał zajmować się polowaniem na własną rękę na przemytników. Ale okazało się, że moja ucieczka z wyspy została zauważona, Lawo doszedł do wniosku, że chcę rankiem sprawdzić przyrzady, wsiadł w jeepa i wyruszył, żeby mi towarzyszyć. No cóż, niech towarzyszy.

Myślę, że Lawo szybko się zorientował, jaki jest rzeczywisty cel mojej wyprawy w góry, ale został z nami. Nie dojeżdżając do zagajnika skręciliśmy w osłoniętą zaroślami ścieżkę. W pewnym miejscu przecięliśmy zagłębienie, w którym płynął strumyczek. Zauważyłem tam ślady samochodu osobowego. Wszystko się zgadzało, wczoraj przejeżdżał tędy ksiązę Urao.

Po jakichś pięciu minutach jeep zatrzymał się, chłopci, śmiejąc się i rozmawiając zbyt głośno, ruszyli zwartą grupą do góry. Nie podobało mi się to, ale nie byłem w stanie wytłumaczyć im, że tropiąc wroga trzeba zachować ostrożność. A gdy jeden z chłopów klepnął mnie po ramieniu i zaproponował gruby, owinięty w palmowy liść, papieros, a ja rozdałem pół paczki bułgarskich papierosów bez filtra, nasza przyjaźń znacznie się umocniła.

— Ej! — krzyknął syn starosty, który wysforował się znacznie do przodu.

Lawo schylił się i podbiegł do syna starosty. Z przodu krzaki były rzadsze, niedaleko zaczynała się szara, goła skała. Patrzyli w prawo. Kusilo mnie, żeby podejść bliżej i nawet zrobiłem krok w tę stronę, ale nagle usłyszałem trzask wystrzału i zobaczyłem, że Lawo i syn starosty przykucnęli w krzakach. Widziałem, jak Lawo powoli podnosi automat. Jeszcze jeden wystrzał z prawej strony. Upadła gałązka. Lawo strzelił serią z automatu. Starosta krzyknął coś do wieśniaków, potruchtał w

stronę krzaków i zaczął się przez nie przedzierać dzwoniąc medalami. Wyprostował się, zrobił krok do przodu, ale po kolejnym wystrzale musiał odskoczyć. Nie wiem, ile czasu trwała ta niezrozumiała dla mnie strzelanina. Ani Lawo, ani nikt inny nie przejawiał chęci ruszenia do przodu. Starąłem się gestami pokazać, że może lepiej byłoby zaatakować, ale żołnierz kazał mi zostać na miejscu.

I okazało się, że miał rację. Po kilku minutach daleko, z prawej strony, rozległ się gardłowy krzyk. Syn starosty krzyknął w odpowiedzi.

— Idziemy — powiedział Lawo.

Wyprostował się i śmiało wyszedł na otwartą przestrzeń. Przeszliśmy ścieżką około stu metrów, doszliśmy do samej skały i zobaczyliśmy starostę. Siedział na dużym, płaskim kamieniu. Rozejrzałem się. Żadnych jaskiń, żadnych przemytników. Co dalej?

Zobaczywszy nas starosta wstał i ruszył do przodu. Dopiero gdy doszedłem do kamienia, zobaczyłem nagle, że leży za nim wyciągnięty człowiek. Leżał z odwróconą głową, jakby zmorzył go sen, ale żwir wokół głowy pociemniał od krwi. Chłopi przechodzili nie patrząc na niego, jakby był tylko dziełem mojej wyobraźni. Starosta trzymał w ręku niewielki automat.

Ścieżka prowadziła przez gęste zarośla, pięła się coraz wyżej i wyżej. Potem starosta rozsunął krzaki i oczom moim ukazało się szerokie wejście do jaskini.

Starosta zajrzał do środka i krzyknął. Głos odbił się od skał i wrócił trzykrotnym echem. Lawo odczepił od paska latarkę i poświecił do środka. Na kamiennej podłodze leżały zmięte gałązki — najwyraźniej ktoś na nich spał. Snop światła z latarki zatrzymał się na kilku niedopałkach, na zapomnianym kawałku sznurka, na kupce węgla.

— Odeszli — powiedział Lawo, jakby mnie przeproszał.

# Dyrektor Matur

Mój zegarek zatrzymał się. Nie wiedziałem, która godzina. Mogliby dać mi coś do jedzenia, przecież aresztowanych należy karmić. Zabrali księcia Urao Kao, długo nie wracał.

Spróbowałem wyrzeć przez zakratowane okienko — w tym celu przyciągnąłem do niego pryczę. Ale i tak widziałem tylko zaciągnięte chmurami, ponure niebo. Nie dochodziły tu prawie żadne dźwięki, chociaż nasłuchiwałem uważnie, bo wydawało mi się, że wszyscy odeszli z miasta i zapomnieli o mnie.

Stojąc na pryczy, nie zauważyłem, że drzwi otwarły się i wrócił książę. Żołnierz wepchnął go do celi i natychmiast odszedł, nie zwracając na mnie uwagi.

Przyjrzałem się księciu, starając się dostrzec na jego twarzy ślady zwycięstwa, ale nie znalazłem ich. Książę usiadł na pryczy. Był spokojny.

— Matur, złaź — powiedział. — Zastaniasz mi światło. Usłuchałem, bo rzeczywiście głupio się rozmawia stojąc na łóżku.

Książę wyglądał na pokonanego.

— Jeszcze coś? — zapytałem, starając się okazać współczucie.

— Odwrót taktyczny — odpowiedział książę, nie patrząc na mnie. — Wymuszony odwrót.

Czekałem, co jeszcze powie.

— Operacja „Trójkąt” przepadła. — Książę zgiał palec. — Fabryki ewakuowano... — drugi palec znieruchomiał zgięty do połowy. — Ale Johnsona nie złapali. Nic mi nie mogą zrobić. Nie ja minowałem... — Palec wyprostował się.

Książę oparł się głową o szarą, źle otynkowaną ścianę i zamknął oczy. Ośmieliłem się przerwać jego rozmyślenia.

— W każdej chwili — powiedziałem — może zacząć się trzęsienie ziemi. Zostaniemy tu pogrzebani żywcem. W każdej chwili.

Książę odpowiedział mi nie otwierając oczu.

— Do trzęsienia ziemi pozostało jeszcze kilka godzin. Do tego czasu nie będzie mnie już tutaj.

— Wypuszczą cię, książę?

— Oczywiście, że wypuszczą. Nie ośmielą się — mówił, jakby powtarzał łacińską koniugację. — Niedługo przybędą wojownicy z plemienia Kha i ci żołnierze rozbiegną się jak szczury.

— A jeśli zginą?

— I tak mnie wypuszczą. Nie można mnie tu trzymać.

— Książę — powiedziałem z godnością — proszę wziąć mnie ze sobą. Znalazłem się tu przez pomyłkę. Znasz mnie tyle lat. Nie można o mnie powiedzieć nic złego.

Myślał o swoich sprawach. W żaden sposób nie mogłem przebić się przez grubego pancera, w który zakute było jego maleńkie serce.

Nieoczekiwanie otworzył oczy.

— Obiecałem mu — powiedział. — Przeszanę zajmować się polityką. Wyjadę z Ligonu. Tak, wezmę Lami i wyjadę z Ligonu. Będziemy mieszkać w Szwajcarii i jeździć na nartach. Matur, ty nigdy nie jeździłeś na nartach. Wypuszczą mnie z kraju pod tym warunkiem.

Taka rozmowa prowadziła donikąd.

— Musisz pomóc mi wydostać się stąd — nalegałem. — Będą mnie torturować. Nie wytrzymam. Wszystko opowiem. I o Sunie, i o podpułkowniku Kengi...

— A co mnie to obchodzi! Maturze, po co zabiłeś ojca Fryderyka?

Byłem zrozpaczony. Nic nie słyszał i niczego nie rozumiał. Był w okropnym stanie.

— Co ma do tego ojciec Fryderyk?!

— Tak, co ma do rzeczy?

Zdawało mi się, że ksiązę zasnął.

Za oknem było cicho. Oczywiście, wszyscy już opuścili miasto. Zaraz zacznę się...

Rzuciłem się w stronę księcia.

— Proszę się obudzić! — błagałem. — Proszę się obudzić. Musimy stąd wyjść.

Ksiązę bez przekonania spróbował strząsnąć moją rękę. Rzuciłem się do drzwi. Stukałem w nie, ale hałas rozlegał się tylko gdzieś w korytarzu i ginął w pustce. Wszyscy odeszli...

W końcu wdrapałem się na pryczę, wspiałem się na palce i przyciskając twarz do kraty zacząłem wzywać pomocy. Nikt...

Nagle w drzwi ktoś zastukał. Trzy razy.

Usłyszeli!

Uchyliła się klapka na „judaszu” i ktoś zajrzał do celi. Nie schodząc z łóżka krzyknąłem:

— Tutaj, szybciej!

Ktoś szarpał się z zasuwą. Podbiegłem do drzwi, żeby być pierwszym przy wyjściu.

Drzwi otworzyły się i człowiek wysyczał:

— Ciszej!

Otwierające się drzwi odepchnęły mnie na bok. Poznałem kapitana Boro. Zamknął za sobą drzwi i powiedział:

— Szybciej, ksiązę! Przybywając tu zaryzykowałem wszystkim.

Ksiązę otworzył oczy.

— Aaaa! — powiedział spokojnie. — To ty, kapitanie. A gdzie są moi ludzie z plemienia Kha?

— Powiedziano im o trzęsieniu ziemi, wsiedli do ciężarówki i wrócili do siebie.

— Tylko ty? — zapytał ksiązę. — Tylko ty mnie nie zdradziłeś?

— Szybciej, ksiązę — odpowiedział Boro. — W każdej chwili mogą nas nakryć. Mają mało ludzi, wszystkich wysłano na lotnisko do rozładunku samolotów z żywnością, ale mogą wrócić.

— Idziemy — powiedział ksiązę.

— W samochodzie czeka moja żona i dzieci. I dobytek. Całą noc ukrywałem się w szopie, szuka mnie major Tilwi. Ale uznałem za swój obowiązek...

— Nie zapomnę ci tego, Boro — powiedział ksiązę. — W przyszłości możesz liczyć na moją opiekę.

— Będę musiał uciec z Ligonu.

— Nie martw się. Pojedziesz z nami do Szwajcarii.

— Ale nie mam miejsca dla szanownego Matura.

— Nie martw się, kapitanie. On zostanie tutaj.

— Nie macie prawa! — krzyknąłem.

Kapitan Boro przepuścił księcia przodem. Chciałem precyzyjnie się do drzwi, ale kapitan Boro wyjął pistolet i wycelował we mnie. Musiałem się cofnąć.

— Zabić go? — zapytał Boro, jakby chodziło o bezpańskiego psa.

— Niech żyje — powiedział książę. — Znasz moją dobroć. Nic nie powie. I zapamiętaj... — dodał, stojąc w drzwiach i poprawiając szlafrok, jakby to była toga imperatora. — Jeśli piśniesz choć słowo, będziesz miał ze mną do czynienia. Gdy wszystko się skończy, znowu będziemy przyjaciółmi.

Uśmiechnął się swoim melancholijnym i złowieszczym uśmiechem zepsutego dziecka, prezentując przy tym piękne, białe zęby.

Trzasnęły drzwi, zgrzytnęła zasuwka. Zostałem sam. Nie wiem, jak długo stałem na środku celi, opuściwszy ręce, nie mając siły zrobić nawet kroku. Byłem skazany, byłem opuszczony, byłem porzucony, nie byłem nikomu potrzebny.



# Władimir Kimowicz Li

W głębi jaskini znalazłem pomiętą pocztówkę ze zdjęciem cerkwi Świętego Wasyla. Podarowałem ją Lami. Być może miała nadzieję, że będę jej szukać i dlatego zostawiła pocztówkę w jaskini. Pokazałem pocztówkę Lawo:

— Lami!

Starosta wziął pocztówkę i wyprostował ją.

— Poszli w góry — powiedział.

— Pójdziemy tam? — zapytałem.

Bałem się, że odmówi. Zostawił we wsi rodzinę, o którą musiał się troszczyć. Gdyby powiedział „nie”, nie mógłbym się sprzeciwić.

— Pójdziemy, ale nie za daleko — powiedział starosta z trudem dobierając angielskie słowa. — Jeśli zatrzymali się niedaleko — znajdziemy.

Przemytnicy mieli ciężki towar, a my szliśmy bez niczego. Ścieżka biegła cały czas do góry, czasami zwieszając się nad skałami, czasami prowadząc przez wąskie szczeliny, poprzecinane strumieniami. Słońce stało wysoko na niebie. Starłem się nie myśleć o tym, co powie Otar i jak rozżłości się Wspólny, że zachowuję się w sposób nieodpowiedni dla kogoś przebywającego na zagranicznej delegacji. Myśliwi głośno rozmawiali, żartowali, palili, ale zauważyłem, że zawsze jeden z wieśniaków szedł jakieś pięćdziesiąt kroków przed nami.

Na przełęczy, pokrytej gęstą, niewysoką trawą zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek. Był to idealny moment. Jeszcze ze dwadzieścia metrów i przewróciłbym się ze zmęczenia. Zwaliłem się na trawę, przestraszyłem przy tym jakiegoś węża, ale byłem tak zmęczony, że zupełnie nie zwróciłem na to uwagi. Wąż jak wąż.

Wyobraźcie sobie, jakbym zaczął panikować, gdyby coś takiego przytrafiło mi się gdzieś pod Moskwą, w spokojnych warunkach! Po pięciu minutach mogłem wyrównać wreszcie oddech i byłem w stanie usiąść.

Pozostali usiedli w kręgu i palili. Nie powinienem tak siedzieć, jakbym był najśłabszy ze wszystkich. Wstałem i zacząłem wspinać się za starostą na pobliski wierzchołek. Ale minęło co najmniej pół godziny, zanim udało mi się go dogonić i dotrzeć na szczyt. Rozciągał się stąd widok na dolinę, na której dnie płynęła wąska, kręta rzeczka pojawiająca się i znikająca w zielonej wacie drzew.

Lawo wyjął z przyczepionego do pasa dużego pokrowca wojskową lornetkę i zaczął dokładnie oglądać dolinę.

— Ej! — powiedział, pokazując w dół, tam, gdzie rzeczka przecinała zieloną plamę polany. Nic nie widziałem. Lawo podał mi lornetkę.

Starosta położył mi dłoń na karku i przekręcił głowę tak, bym patrzył w odpowiednim kierunku.

— Longi — powiedział starosta i wskazał ręką na prawo. — Wieś Longi.

Wsi nie było stąd widać, ale miejsce było znajome. Za następnym pasmem spotkaliśmy się z Pa Puo.

Ludzie, wyglądający jak małe punkciki, przesuwali się wzdłuż rzeki. Powietrze było czyste, drgało od gorąca, więc wydawało się jakby postacie płynęły w przezroczystym potoku.

— Pójdziemy tam? — zapytałem bez przekonania. Ci ludzie byli tak daleko...

Starosta wzruszył ramionami i w milczeniu zaczął schodzić w dół do swoich towarzyszy.

Lawo biegał truchtem wokół mnie i coś tłumaczył głosem, z którego przebijało poczucie winy. Zrozumiałem, że usprawiedliwia starostę, który nie może zabrać ludzi tak daleko. Postanowiłem użyć ostatniego argumentu.

— Ja i ty — powiedziałem — pójdziemy we dwóch?

Lawo uśmiechnął się.

— Nie — odpowiedział. — Zabiją nas. We dwóch źle.

Starosta stał, otoczony chłopami. Gdy podeszliśmy do nich z Lawo, właśnie osiągnęli kompromis.

— On — powiedział starosta, pokazując na syna — i Lawo. Tutaj. Patrzą. Ty — pokazał na mnie — Tangi, telefon. Samolot...

Miał rację. Oczywiście miał rację. Ale nie mogłem odejść stąd, gdy znajdowałem się o krok od Lami.

— Zostanę tutaj — powiedziałem. Głos miałem smutny, jak dzieciak, który chce wyprosić cukierka.

— Szybko! Szybko! — Starosta poganiał swoich towarzyszy, którzy podnosili włócznie, broń, podciągali pasy. Automat zostawił synowi.

Starosta pierwszy ruszył w stronę jeziora, w dół, gdzie czekał nas las przywodzący na myśl zieloną falę przypiływu.

Weszliśmy do lasu, gdy słońce minęło już zenit. Starosta szedł obok mnie, jego obfity brzuch kołysał się, promienie słońca przeświecały przez liście, odbijały się od medali, bosc nogi stąpały pewnie. Na pewno wyglądałem kiepsko, bo starosta zaczął uspokajać mnie, powtarzając:

— Samolot przyleci. Szybko. Lawo patrzy dokąd iść. Daleko nie odejdą.

Powtarzałem w duchu „Daleko nie odejdą”, ale wcale mnie to nie pocieszało, bo zostawiłem Lami. Ukradkiem wyjąłem pamiątkę pocztówkę, odwróciłem ją jakbym chciał znaleźć na niej wiadomość od Lami, chociaż wiedziałem, że nie mogła zostawić żadnej wiadomości, bo nie miała nic do pisania.

Starosta zatrzymał się. Wpadłem na niego. Wokół znieruchomieli pozostali chłopcy. Las żył, był pełen dźwięków, a ja, jako ostatni usłyszałem, że ktoś, zupełnie nie ukrywając swojej obecności, łamiąc gałęzie, idzie nam na spotkanie.

# Jurij Sidorowicz Wspólny

Ułożyłem się na dole, w salonie, na wąskiej, wyplatanej kanapie, na której pościeliłem sobie szary, wojskowy koc. Otar Dawidowicz spacerował. Zapadłem w płytki sen, ale ułożyłem się niedobrze i obudził mnie ból poparzonych nóg. Na stole ciągle paliła się lampa, ręka profesora rytmicznie uderzała w klawisze komputera, jakby grał na bezdźwięcznym fortepianie, a ja znowu na kilka minut pograżyłem się we wspomnieniach, biegłem przez góry, świeciło słońce, strzelano do mnie, ktoś mnie gonił... Udało mi się usnąć dopiero nad ranem.

Gdy się obudziłem, słońce świeciło prosto w okno, wśród liści drzew krzątały się małe, złote ptaszki, obok werandy głośno rozmawiali żołnierze. Otara Dawidowicza nie było. Jego składane łóżko było sprzątnięte.

Wstałem, z trudem prostując ścierpięte, bolące kończyny, podszedłem do stołu i znalazłem kartkę.

*Drogi Juriju Sidorowiczu*

*Pojechałem do Moszi. Wróć koło jedenastej. Proszę spróbować zadzwonić do Wołodii. Jeśli Wołodia wróci przede mną, będzie wiedział, co robić. Proszę być w domu o jedenastej. Trzeba będzie przenieść aparaturę, bardzo ważne jest, aby przyrządy pracowały bez przerwy. Kawa jest w termosie.*

*Kotrikadze*

Przeczytałem kartkę trzymając ją przy samym nosie. Bez okularów jestem prawie inwalidą. Jaka szkoda, że wszystko tak źle się ułożyło. Długo szukałem monokla. Potem wpadłem na pomysł, żeby spojrzeć na zegarek.

Była za dwadzieścia jedenasta.

Zrobiło mi się strasznie wstyd. Okazało się, że przespałem cały ranek, gdy moi towarzysze pracowali. Leniuchowałem w czasie, gdy powinienem biegać po ulicach z aparatem fotograficznym, notatnikiem, albo po prostu patrzeć, wchłaniać i zapamiętywać to niepowtarzalne, wyjątkowe zdarzenie — dramat i ukryty optymizm tytanicznej walki z żywiołem.

Ogarnęło mnie trudne do opanowania uczucie, by bez względu na niedostatki w garderobie i czerwoną twarz, wybiec na ulicę, żeby niczego nie przegapić, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Jestem potrzebny tutaj.

Odkręciłem pokrywkę termosu, nalałem sobie kawy i zacząłem dzwonić na wyspę. Bez rezultatu.

Oczywiście, przstraszyło mnie to. Chciałem sam siebie przekonać, że Li właśnie wraca do Tangi, ale nie byłem w stanie w to uwierzyć. Teraz, gdy termin trzęsienia ziemi został dokładnie określony, a młody człowiek będzie tylko biernym uczestnikiem zdarzeń, może się zdarzyć, że emocje wezmą u niego górę nad poczuciem obowiązku... Doprowadziłoby to do niepożądanych postępów.

Ale, nawet jeśli zdaję sobie z tego sprawę, jakie mam prawo oceniać potencjalne postęпки Władimira Kimowicza?

Nie byłem w stanie rozwikłać tego problemu moralnego...

Otar Dawidowicz nie wrócił ani o jedenastej, ani o dwunastej. Starłem się nie marnować czasu. Namówiłem ochronę, aby wynieśli z domu rzeczy Wasunczoków, a nawet częściowo zdjęli żelazny dach. Trzeba przyznać, że nie jest to lekka praca. Mimo że żołnierze nie pozwolili mi zdejmować arkuszy blachy, uczestniczyłem w rozbiórce domu, odbierając od pracujących arkusze blachy i układając je w stos, przez co do ran, które już miałem, dołączyły nowe — całe ręce miałem pocięte do krwi i, co najgorsze, w dwóch miejscach przeciąłem nowe spodnie Otara Dawidowicza.

Dopiero gdy zmęczeni żołnierze zeszli z dachu i poszli się umyć, znalazłem czas, by owinąć rękę chustką do nosa, żeby nie pobrudzić słuchawki telefonicznej. Już kilka razy starałem się dodzwonić na wyspę. Każdy przejeżdżający samochód wydawał mi się samochodem Wołodii, ale moja nadzieja obróciła się w proch, zanim zdążyła na dobre umocnić się w moim sercu.

Otar Dawidowicz wrócił o wpół do pierwszej. Od razu zapytał:

— Wołodia przyjechał?

— Nie.

— I nie dzwonił?

— Nie.

— Tak — powiedział Otar Dawidowicz. — Zajmijmy się sprzętem.

Około godziny przenosiliśmy przybory do sadu. Otar Dawidowicz milczał, ja też nic nie mówiłem, bo mimo że praca wyglądała na prostą, to jednak wymagała dużego wysiłku fizycznego i wielkiej ostrożności.

Praca aż wrzała. Otar Dawidowicz powiedział:

— Dalej sam sobie poradzę. Mam ogromną prośbę, Juriju Sidorowiczu. Proszę wziąć samochód i pojechać do majora Tilwi. Bardzo się martwię o Wołodię. Liczę na jego zdrowy rozsądek, tym niemniej...

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — zapewniłem Otara Dawidowicza. — Proszę być spokojnym.

Musiałem iść na piechotę: maska jeepa, którym wrócił Kotrikadze była podniesiona, a kierowca kontemplował budowę silnika.

Po dziesięciu minutach dotarłem do pałacu gubernatora, gdzie musiałem odbyć długą dyskusję z dyżurnym kapralem, który nie miał ochoty wpuścić mnie do środka, zdumiony najwyraźniej moim wyglądem zewnętrznym — nie pasującym ubraniem, dziurawymi i brudnymi butami, plastrami i plamami jodiny na twarzy. W końcu udało mi się wyciągnąć z niego, że majora nie ma — pojechał do warsztatów mechanicznych. Postanowiłem udać się tam na piechotę, bo w Tangi, na szczęście, wszędzie było blisko. Ruszyłem na skróty, przez trawnik. Gdy zbliżyłem się do otaczających go krzewów, zwróciłem uwagę na to, że w jednym miejscu trawa jest wgnieciona i zalana krwią. Ostrożnie ominąłem to miejsce, zastanawiając się, jaka to tragedia rozegrała się niedawno przed pałacem? Być może wrogowie chcieli w nocy zająć sztab okręgu i ochrona zaczęła strzelać? Pewnie nigdy nie poznam prawdy: tylko niewielka część cudzych losów, jak wierzchołek góry lodowej, jest dostępna postronnemu obserwatorowi.

Droga wyprowadziła mnie w boczną uliczkę. Przez chwilę stałem przyglądając się, jak jakaś rodzina pokornie i niespiesznie ładuje swe skromne bogactwa na wózek zaprzężony do maleńkiego

pony. O czym myślą ci ludzie, podporządkowując się rozkazom i, być może, nie wierząc w gorzką prawdę? Z domu wyszedł maluch niosący w ręce błyszczący, aluminiowy czajnik. W jego pamięci pozostanie tylko mgliste wspomnienie jasnego, wiosennego dnia, o tym, jak on, tata, mama i siostry jechali wózkami w góry i będzie mu się wydawało, że był to po prostu jeszcze jeden, wesoły piknik i nigdy nie zastanowi się nad tym, że jego kruche życie zostało ocalone, między innymi przez młodego człowieka imieniem Wołodia Li, który w tej chwili przedziera się przez dżunglę w poszukiwaniu porwanej dziewczyny. Jakież skomplikowane jest życie!

Dalej moja droga biegła koło małego kościółka, podobnego do tych, które widziałem na niemieckich i szwajcarskich kartach świątecznych.

Biały klocek nakryty dwuspadowym dachem, a nad nim cztery kolumny dzwonnicy i iglica. Drzwi do kościoła były otwarte. Ze środka dochodził czyjś monotony głos. Ciekawość kazała mi zajrzeć. Światło, wpadające przez wąskie, wysokie okna, padało na leżącego w trumnie staruszka. Na jego twarzy malowały się zadowolenie i spokój, jakby człowiek ten usnął po długiej, pieszej wędrówce. Pomyślałem, że śmierć dosięgła go we śnie. Koło trumny stała jakaś kobieta w ciemnym stroju. Poszedłem dalej. Ludzie rodzą się, umierają, a miasto dożywające swych ostatnich chwil, wydaje się trwałe i wieczne, o ileż trwalsze od mieszkających w nim ludzi. A to też tylko pozór...

W warsztatach mechanicznych było pusto. Kilku robotników nakrywało brezentem wyciągniętą na zewnątrz prasę. Jeden z nich zapytał, kogo szukam.

Odpowiedziałem, że majora Tilwi. Robotnik powiedział, że major pojechał na lotnisko, znajdujące się jakieś dwie mile za miastem. Podziękowałem i ruszyłem dalej. Kilka razy mijaly mnie wózki wyładowane domowymi skarbami. Domy na przedmieściach wyglądały dziwnie, jakby wszyscy mieszkańcy wyjechali na działki: rzeczy stały na zewnątrz, w ogródkach — szafy, łóżka, walizki, ale same domy były puste. Na dachu jednego z nich siedział człowiek i zdejmował dachówki. Dwóch innych łąpało je i układało je starannie w stos.

Na małym lotnisku powiedziano mi, że major dopiero co tu był, a jakiś oficer z naciągniętą na rękaw opaską Czerwonego Krzyża wtrącił się i sprostował:

— To on.

Spojrzałem na płytę lotniska i zobaczyłem, że major Tilwi, którego poznałem z daleka po temblaku, idzie w stronę helikoptera stojącego na skraju pasa startowego.

Domyśliłem się, że major zamierza udać się do Moszi i rzuciłem się na przelaj do helikoptera.

Gdy dobiegłem, śmigło już się kręciło unosząc w górę kurz i suchą trawę. Zacząłem rozpaczliwie machać rękami, aby zwrócić uwagę pilota. Helikopter zawisł w powietrzu, jakby zastanawiał się, w którą stronę ma polecieć, drzwiczki otworzyły się i wypadła z nich drabinka sznurkowa, zapraszając mnie do środka. Podbiegłem do drabinki i zatrzymałem się. Błyszczący brzuch helikoptera wisiał nade mną, a gdy uchwyciwszy się z całej siły za boki drabinki postawiłem nogę na szczeblu, który ugiął się pod moim ciężarem, od razu zwało mnie jakoś w bok, straciłem równowagę i wywinąwszy fikołka w powietrzu, zwałem się na ziemię. Ale natychmiast wstałem, myśląc, że na moim poranionym ciele pojawi się jeszcze jeden siniak i znowu ruszyłem w stronę drabinki. Przez luk wyjrzał sam major Tilwi i gestem pokazał mi, żebym się cofnął. Helikopter miękko opuścił się na ziemię, a po chwili jego śmigła przestały się kręcić i opadły w dół, jak uszy zająca.

— Niech pan wchodzi! — krzyknął do mnie major Tilwi. — Tracimy czas. Pan co, nigdy nie wchodził po drabinie?

— Przepraszam — powiedziałem — profesor Kotrikadze niepokoi się o los towarzysza Li...

— Powiedziałem, proszę wchodzić! Podporządkowałem się. Major Tilwi jest przedstawicielem rządu, powinienem więc szanować jego prośby.

Okazało się, że wewnątrz helikoptera jest dość przestronne. Nigdy dotąd nie podróżowałem helikopterami i dlatego ich nie doceniałem. Wzdłuż bocznych ścian ciągnęły się ławeczki, na których siedzieli żołnierze. Jeden z nich usiadł na podłodze, a Tilwi wskazał mi zwolnione przez niego miejsce. Chciałem wyjaśnić wszystko majorowi, ale wtedy silnik zaczął pracować z ogłuszającym hukiem, więc jakakolwiek rozmowa była niemożliwa.

#### TELEGRAM

.....  
Tangi hotel „Excelsior” do dyrektora Matura z Ligonu 12:50

Zapoznałem się z warunkami ubezpieczenia fabryki zapalek i kina szkody spowodowane trzęsieniem ziemi nie są pokrywane z polisy weź to pod uwagę zawarcie innych umów przekaz telegramem potwierdzenie zaleceń dalszych działań w przeciwnym przypadku pozwę cię do sądu za poniesione straty

kochający brat Saad  
.....

Dlaczego do tej pory nie można ubezpieczyć się od trzęsienia ziemi? Przecież można ubezpieczyć się od huraganu i w takich sytuacjach firmy ubezpieczeniowe są gotowe trzeźwo ocenić ryzyko. Niestety, trzęsienia ziemi traktowane są inaczej. Warunki ubezpieczenia oraz jego kwotę można będzie określić tylko wtedy, gdy zebrane dane statystyczne umożliwią dokładną, ilościową ocenę prawdopodobieństwa poniesienia straty. Co do ubezpieczenia na życie, to wszyscy wiedzą, jak dokładne są dane statystyczne na ten temat. Gdy jednak trzeba się ubezpieczyć od trzęsienia ziemi, wszystkie obliczenia okazują się niewystarczające.

Oto dlaczego w roku 1906 firmy ubezpieczeniowe, które zgodziły się zrekompensować straty związane z trzęsieniem ziemi w San Francisco, nadziały się na rafę. To samo zdarzyło się w roku 1925, gdy musiały wypłacić 6662650 dolarów po katastrofie w Santa Barbara. Nietrudno zgadnąć, że pożary będące wynikiem trzęsienia ziemi, nie są pokrywane przez standardowe ubezpieczenie od pożaru.

Pierre Rousseau, *Trzęsienia ziemi*. Paryż, 1961

# Władimir Kimowicz Li

Z krzaków wyszli i znieruchomieli z zaskoczenia księżę Urao i kapitan Boro, trzymający w ręku grubą teczkę.

W pierwszej chwili zdziwił mnie przede wszystkim strój księcia: purpurowy szlafrok przepasany złotym sznurem i podarte od chodzenia po kamieniach kapcie.

Za kapitanem Boro szła gruba, smutna, niegdyś piękna kobieta, która niosła na ręku dziecko, za nią, trzymając się z całej siły jej spódnicy, szło drugie, siedmioletnie. Pochód zamykał spocony żołnierz, wlokący dwie walizki i gruby, miękki tłumok, przerzucony przez ramię.

Wszyscy milczeli. Po prostu zbaranieli. Starosta odwrócił się w moją stronę, jakby oczekiwał, że udzielę mu niezwykle cennej rady.

Jasne, wąskie oczy księcia podążyły za spojrzeniem starosty i zatrzymały się na mojej twarzy. Teraz starosta patrzył na mnie, wieśniacy patrzyli na mnie, księżę i kapitan Boro patrzyli na mnie, nawet dzieci patrzyły na mnie.

— Trzeba ich zatrzymać — powiedziałem do starosty.

Księżę wszystko zrozumiał.

— Tak — powiedział. — Nie od razu pana poznałem. Nie przypomina pan Europejczyka.

W jego słowach słychać było pogardę dla mnie, jako dla samozwańca, który ukradł europejski paszport.

— Teraz wiem, kto stoi za działaniami majora Tilwi.

Księżę miał skłonność do teatralnych gestów, a w tamtej chwili przybrał pozę bizantyjskiego imperatora.

— Oto komu major Tilwi sprzedał nasze góry! Oto kogo zaprosił, by zniszczył nasze domy!

Po tych słowach księżę odwrócił się ode mnie i wygłosił niezbyt długie, ale pełne emocji przemówienie po ligońsku, apelując do poczucia godności i umiłowania wolności miejscowych obywateli. Obywatele bez przekonania przestępowali z nogi na nogę, bo co innego polować na przemytników, a co innego obrazić księcia, należącego do rodu rządzącego tą ziemią od tysiąca lat.

Gdy księżę zakończył swe wystąpienie, nic się nie zdarzyło. Chłopi stali tak samo jak przedtem, starając się nie patrzeć na groźnego władcę. Dziecko płakało. Księżę najwyraźniej rozżłościł się, bo podniósł głos i zaczął surowo karcić wieśniaków. Nie domyśliłem się wtedy, że moi towarzysze z przyklasztornej wioski byli kiedyś niewolnikami w dolinie, a więc autorytet księcia nie był dla nich jednoznaczny.

Kapitan Boro wziął księcia pod ramię i zaczął go uspokajać. Skorzystałem z przerwy, by po raz ostatni spróbować wpłynąć na starostę.

— Jeśli ich zatrzymamy — powiedziałem — oddadzą Lami. Przecież to współnicy Pa Puo.

Starostą pokręcił głową.

— Moi ludzie — powiedział — nie zrobią tego.

A swoją drogą, ciekawe dlaczego komendant ucieka z Tangi razem z księciem? Czyżby podejrzenia Wspólnego były słuszne?

Księżę, nie zwracając uwagi na słowa Boro, wyciągnął długą rękę do kabury kapitana i zaczął ją rozpinać, żeby wyjąć pistolet. Boro przestraszył się, zaczął odginać palce księcia. W milczeniu walczyli o broń, sapiąc i wzdychając ciężko. Widok mógłby być śmieszny — malutki, okrągły kapitan Boro i wysoki księżę w purpurowym szlafroku, ale nikt się nie śmiał. Z ulgą zobaczyłem, jak jeden z myśliwych podniósł długą broń i skierował ją na bijących się. Myśliwi nie chcieli, by ktoś do nich strzelał.

Starosta powiedział dwa albo trzy zdania. Dość głośno. Kazał księciu zapiąć kaburę i krzyknął na kobietę oraz malutkiego żołnierza, który postawił walizki na ziemi. Było mi żal żołnierza.

Staliśmy, a oni przeszli obok nas, jak koło oddziału na paradzie, nie patrząc na boki, nawet dzieci. Księżę kulał, widocznie zranił nogę do krwi, ale szedł zadzierając głowę (gdybym mu współczuł, powiedziałbym „z podniesioną głową”).

Jeden za drugim skryli się w krzakach. Nagle wyobraziłem sobie, jak daleka droga przed nimi i zrozumiałem, że nie zdążą opuścić uskoku przed trzęsieniem ziemi — została godzina, najwyżej dwie — więc mogą zginąć pod osypującymi się kamieniami.

Popatrzyłem na starostę. Po co tak stać, jeśli i tak wypuściliśmy księcia? Ale on stał dalej.

— Idziemy? — zapytałem.

— Nie — odpowiedział nagle starosta. — Słuchaj!

Lecący całkiem nisko helikopter pojawił się tak nieoczekiwanie, jak rewizor w sztuce Gogola.

Nikt nie pamiętał, że rewizor to postać, której przysługuje prawo do zaciągnięcia zasłony. Zadarliśmy głowy do góry, a maszyna przechyliła się i zaczęła szybko zniżać lot. Śmigła przygięły trawę do ziemi.

Helikopter jeszcze nie dotknął ziemi, a już otworzyły się drzwi i ze środka zaczęli wyskakiwać żołnierze w błękitnych beretach, szybko i sprawnie, jak na ćwiczeniach. I natychmiast rozbiegli się we wszystkie strony otaczając nas.

Oprzytomniawszy, kapitan Boro nie wiadomo dlaczego złapał jedną z walizek i rzucił się w moją stronę. Wymachiwał pistoletem, zapominając o jego prawdziwym przeznaczeniu i parł naprzód jak nosorożec. Nie chciałem brać udziału w starciu, ale muszę przyznać, że nie przepuściłem go, lecz stałem twardo na jego drodze. Kapitan wpadł na mnie i obaj potoczyliśmy się po trawie. Uderzenie było na tyle silne, że na sekundę straciłem przytomność. A może minęła więcej niż sekunda, bo następne co pamiętam — to współczująca, strasznie podrapana i oblepiona plastrami twarz Jurija Wspólnego, który schylał się nade mną i pytał:

— Nie potłukł się pan, Władimirze Kimowiczu? Bo Otar Dawidowicz bardzo się o pana niepokoi.



# Otar Dawidowcz Kotrikadze

Czułem się jak w niemieckiej bajce. Pamiętacie, tam wszyscy po kolei idą do piwnicy, widzą dzban, który może spaść, zaczynają płakać i nie wracają! Tak było z Wołodią, teraz ze Wspólnym.

O drugiej czterdzieści, nie dodzwoniwszy się na wyspę i nie doczekawszy się Wspólnego, wpadłem w okropny nastrój. Ale praca jest pracą i nikt, oprócz mnie, nie mógł jej wykonać.

Sprawdziłem, czy przyrządy pracują jak należy. Działały prawie normalnie. Ale, jeśli im wierzyć, trzęsienie ziemi już się zaczęło. Dlatego uważnie przygotowałem kamerę, włożyłem do torby zapasowe taśmy i wyszedłem z domu. Żołnierzy zwolniłem pół godziny temu. Odjechali ciężarówką, która zabierała niedobitki. Ze mną został tylko kierowca mojego jeepa, który sądził, że i on, i jego ukochany samochód, będą bezpieczniejsi z miastowym profesorem, który za nic nie wystawi na niebezpieczeństwo swego drogiego życia.

— Jedziemy? — zapytał, gdy wyszedłem na zewnątrz z kamerą. — Do Moszi?

— Nie — odpowiedziałem. — Zostanę w mieście, będę filmować. Proszę zawieźć mnie do centrum i odjechać.

— Nie — uśmiechnął się kierowca, rozumiejąc mój spryt. — Tu dobrze, tam źle.

Miałem nadzieję, że jeśli nie będziemy zbliżać się do budynków, nic mu nie zagrozi.

Jechaliśmy wolno ulicami, nie tylko martwego, ale i wypatroszonego miasta. Kiedyś, pomyślałem, wydam specjalny podręcznik „Metodyka przygotowania do trzęsienia ziemi i ewakuacji ludzi oraz sprzętu”. Na pewno będą w nim uwagi typu: „Doświadczenie przeprowadzone (czemu by nie zastosować tego słowa) w czasie trzęsienia ziemi w Tangi, w marcu 1974 roku, udowodniło skuteczność usuwania dachów z budynków nie przystosowanych do wstrząsów sejsmicznych”. Ostatnie zdanie umieściłem w wymyślnym podręczniku, gdy zobaczyłem dwóch, idących spokojnie ulicą żołnierzy. Jeden z nich zajrzał do pustego domu, a drugi zatrzymał się i wymienił kilka zdań z moim kierowcą. Skorzystałem z przystanku, żeby utrwalić na taśmie panoramę ulicy i okaleczonych domów. Żołnierz wyszedł z domu ciągnąc za ogon kota. Kot miauczał i wyrwał się. Czyżby nie rozumiał? Powszechnie uważa się, że zwierzęta preczują trzęsienie ziemi. Ale miasto jest puste: nie było w nim ptaków, nie było wszechobecnych psów, wydawało się, że nie było nawet owadów — wszelkie życie opuściło miasto. Na potwierdzenie moich myśli wyskoczyły skądś dwa czarne szczury i szybko pobiegły przez miasto. Czują. Żeby szczury biegały w dzień po ulicach — to się nie zdarza w Tangi.

— Nie podchodźcie więcej do domów. Niedługo się zacznie — powiedziałem do żołnierzy przerywając filmowanie. Nie zrozumieli, kierowca przetłumaczył i żołnierze zaśmiali się.

— Dobrze, dobrze — powiedział jeden z nich i poszli dalej, rozglądając się na boki, najwidoczniej uważając, że rozkaz komendanta, by strzec pustego miasta, jest bzdurny. Ale mimo to nie przestaje być rozkazem. Jeden z nich cały czas niósł kota.

Wjechaliśmy na centralny plac. Czekало nas tu jeszcze jedno zadziwiające widowisko: na środku

placu stało dwóch młodych ludzi, którzy choć wyglądali dość niepewnie, to jednak nie zamierzali się poddawać i trzymali wielki plakat „Niech żyje wolność, precz z przemocą!” Bali się, więc kazałem im wsiąść do samochodu.

— Nie! — krzyknął do mnie młodszy, jeszcze dziecko, wyraźnie ciesząc się z pojawienia jakiegokolwiek widowni. — Umrzemy za wolność od kajdanów prawa!

Pomyślałem, że na środku placu nic im nie grozi. Nie naciskałem na nich.

Sfilmowałem plac, pałac gubernatora i chłopców. W kadr dostał się też kościółek. Gdy był w obiektywie, usłyszałem głos dzwonu. Jakiś szaleniec siedział na dzwonnicy — tam na pewno zginie. Zaczął wiać wiatr, chmury opuściły się nisko nad dachy.

— Jedziemy do kościoła — powiedziałem do kierowcy.

Podjechaliśmy do otwartych drzwi. Wbiegłem do środka i znieruchomiałem. Na środku kościoła, między dwoma rzędami ławek, stała otwarta trumna. W trumnie leżał stary misjonarz, widziałem go już wcześniej. Wszyscy uciekli i zapomnieli o nim. Pomyślałem najpierw, że trzeba by wynieść trumnę, ale czas był zbyt cenny, by tracić go na zmarłych. Potrzebują go żywi. Na pewno ten stary ksiądz nie miał tu ani przyjaciół, ani uczniów, był obcy i został sam, gdy ludzie odeszli. Ominąłem trumnę i zająłem się górami, na dzwonnicy, na którą prowadziły wąskie, kręte schody. Ale było tam pusto. Okazało się, że dzwon jest odwiązany i kołysze się na wietrze. Straciłem jeszcze trzy minuty filmując z góry panoramę miasta. Powinienem to zrobić wcześniej, ale ciągle brakowało mi czasu. Zmuszałem się, by prowadzić kamerę wolno i tłumaczyłem sobie, że mam jeszcze czas, ale jednocześnie żyjący we mnie i śledzący każdy mój krok sceptyk, rugał mnie za lekkomyślność. Nauka obejrzeć się bez tej panoramy, a dać się pogrzebać w ruinach kościoła nie jest mądrze.

Zakończywszy zdjęcia zbiegłem w dół i już miałem opuścić kościół, gdy zauważyłem coś czarnego przy trumnie. Za postumentem, na którym stała trumna, czołowała się zwinięta w kłębek kobieta. Spróbowałem ją podnieść. Kobieta zawisała mi na ręku mamrocząc coś po ligońsku.

— Chodźmy stąd — mówiłem do niej najspokojniej, jak tylko potrafiłem. — Nie wolno tu teraz zostawać.

Kobieta podniosła ku mnie twarz. Była stara, ale twarz miała bez zmarszczek, szeroką, gładką, zmęczoną.

— Nie, młodzieńcze — powiedziała po angielsku. — Zostanę z nim.

— On nie żyje.

— Zostanę z nim.

— Kościół zaraz się zawali.

— Dobrze — powiedziała kobieta. — Zostanę z nim. Boże drogi, co robić w takiej chwili? Kobieta nie udawała, rzeczywiście chciała zostać z misjonarzem.

Pociągnąłem ją za rękę. Złapała się za brzeg trumny. Szybko wyszedłem z kościoła, rzuciłem kamerę na siedzenie samochodu i powiedziałem do kierowcy:

— Idziemy.

Posłusznie wyskoczył z samochodu i pobiegł za mną. Tylko tego brakowało, żeby teraz zaczęło się trzęsienie ziemi. Będą trzy niewinne ofiary.

Kobieta siedziała koło trumny, zakrywając twarz rękami.

— Bierz — powiedziałem do kierowcy. — Szybko.

Złapaliśmy niezwykle ciężką trumnę i, wyężdżając siły, ponieśliśmy ją w stronę wyjścia. Szedłem pierwszy, plecami do przodu i widziałem, że kobieta, jak lunatyczka wstała i podąża za nami.

Postawiliśmy trumnę jakieś dwadzieścia kroków od wejścia do kościoła. Nie dałbym rady przenieść jej nawet o krok dalej.

Kierowca stanął po drugiej stronie trumny, patrzył na mnie ruszając palcami, żeby pobudzić krążenie. Wskazałem palcem za jego plecy. Kierowca odwrócił się. Kobieta pochyliła się nad trumną i patrzyła w spokojną twarz staruszka.

Nieoczekiwanie kierowca pokłonił się kobiecie.

— Jedziemy — powiedziałem.

Kierowca podporządkował się. Wycofał samochód i potoczyliśmy się ku ulicy. Kierowca, nie odrywając oczu od znikającej sylwetki ubranej na czarno kobiety, powiedział:

— Księżna Urao Walomira.

Przejechaliśmy obok parterowego budynku dowództwa, potem koło baraków. Baraki zbudowano z blachy falistej, na pewno wewnątrz było bardzo gorąco. Sfilmowałem je, żeby potem sprawdzić, jak takie konstrukcje reagują na wstrząsy. Nagle usłyszeliśmy dochodzący z oddali krzyk.

Wyłączyłem kamerę, krzyk rozległ się znowu.

— Słyszysz? — zapytałem kierowcę.

Kiwnął głową i skierował jeepa w stronę otwartej bramy. Przejechaliśmy przez plac. Zza zakratowanego okna donosił się krzyk przywodzący na myśl głodne niemowlę.

— Powiedz mu, żeby stamtąd wyszedł — poprosiłem kierowcę.

Przetłumaczył moje słowa. Zza krat rozległa się niezrozumiała odpowiedź.

— Co on mówi?

— Nie może wyjść. To jest więzienie wojskowe. Spojrzałem na zegarek. Pięć po czwartej. Nasi koledzy w Moskwie teraz siedzą, nie odrywając oczu od sejsmoskopów, czekają, kiedy pojawią się duże wstrząsy.

Wraz z kierowcą pobiegliśmy wzdłuż długiego korytarza. Troje drzwi było obite żelazem. Więzień, chcąc nam pomóc, młócił pięściami w środkowe drzwi. Na szczęście nie były zamknięte na zamek — zasunięto tylko zasuwę. Gdy ją otwierałem kierowca cofnął się, na pewno sądził, że ze środka wyskoczy straszny przestępca.

U naszych stóp, jak worek zwalił się mój stary znajomy — dyrektor Matur. Starał się doczołgać do moich butów z wyraźnym zamiarem ucałowania ich, ale zdążyłem się cofnąć.

Złapaliśmy masywnego, spoconego, bezsilnego dyrektora pod pachy i powlekliśmy ku wyjściu.

— Dziękuję — wymamrotał, gdy mnie poznał. — Nigdy nie zapomnę bezinteresownej pomocy Kraju Rad....

— Lepiej proszę spróbować iść samodzielnie...

— Nie czuję nóg...

Pierwszy wstrząs zastał nas przy samym wejściu do budynku. Na szczęście nie był silny — ziemia uciekła spod nóg, jakby ktoś żywy poruszył się tam, w głębinie, rwąc się na zewnątrz. Z trzewi ziemi dochodził przerażający huk.

Nogi dyrektora Matura ożyły i poniosły go do przodu.

— Dokąd to? — krzyknąłem. — Do samochodu.

Ale on nie słyszał, pędził przez ulicę gnany strachem, który zdecydowanie nie zawsze podpowiada najlepsze wyjście.

Chwyliłem leżącą w samochodzie kamerę. Kierowca stał za moimi plecami.

— Jedziemy? — zapytał.

— Nie — odpowiedziałem. — Kładź się!

I wtedy nastąpił drugi wstrząs. Ledwie zdążyłem odskoczyć od samochodu. Jeep podskoczył na pół metra w górę i potoczył się do przodu, nabierając prędkości, aż w końcu wbił się w ścianę baraku. Barak poddał się i jeep znikł jak suseł w norce.

Kierowca upadł na ziemię. Ale ja jeszcze stałem.

Miałem w głowie tylko jedną myśl — sfilmować proces niszczenia. Takich kadrów jeszcze nie było. Nie zwracając uwagi na huk, na huragan nadlatujący od strony gór, pobiegłem wzdłuż ulicy trzymając się jej środka. Ciekawe, że starałem się przekonać trzęsienie ziemi, aby nie śpieszyło się z kolejnymi wstrząsami i pozwoliło mi wykorzystać całą taśmę. Kierowca biegł za mną.

Na głównej ulicy dopadł mnie trzeci wstrząs — był silniejszy od poprzednich. Filmowałem właśnie, ale wstrząs rzucił mnie na ziemię i potoczyłem się jak zeschnięty liść. Zatrzymał mnie kierowca łapiąc za but.

Dalej filmowałem na siedząco, starając się nie słyszeć, ani nie widzieć niczego, co nie mieściło się w obiektywie.

Potem, gdy wywołano film i po projekcji, koledzy ściskali mi dłoń, zapewniając, że nigdy nie widzieli lepszych i bardziej dramatycznych zdjęć, starałem się nie uśmiechać. Kamera podskakiwała mi w rękach, czasami w kadrze widać było niebo, a ja myślałem tylko o jednym, by nie poddać się nakazom własnego ciała, które chciało tylko zakopać się jak najgłębiej pod ziemią, trzymać się jej, zdradzieckiej, nieuczciwej, podstępnej ziemi, starającej się strząsnąć z siebie domy, drzewa, góry, ludzi — wszystko, co uznała za zbędne, w tym dyrektora Matura, który czołgał się wokół placu, niedaleko nas.

Nie było to moje pierwsze trzęsienie ziemi. Co prawda, nigdy nie natrafiłem na tak silne wstrząsy, a tylko widziałem ich skutki, ale muszę przyznać, że nie da się opanować pierwotnego przerażenia, ogarniającego człowieka w takiej sytuacji, tak jak nie da się opanować senności po trzech nieprzespanych nocach. Pomogła mi tylko tkwiąca w mózgu, uparta myśl: musisz filmować, nikt przed tobą niczego takiego nie sfilmował...

# Jurij Sidorowicz Wspolny

Pięć minut po spotkaniu z Wołodią znowu byliśmy w górze.

Wołodia siedział, trzymając się za czoło, na którym rósł ogromny guz. Kapitan Boro przez cały czas starał się coś wyjaśnić majorowi, ale żołnierze trzymali go mocno. Księżę popadł w całkowitą apatię, siedział na podłodze, owinięty w czerwony szlafrok i nieruchomo patrzył przed siebie. Przedtem wydawał mi się znacznie młodszy, jak to bywa z kobietą, która wieczorem, przy świecach, pod warstwą makijażu wydaje się niemal młodą pięknoscią, ale nie daj Boże zobaczyć ją rano. Widziałem sponiewieranego przez życie, zmęczonego gogusia po czterdziestce.

Helikopter przechylił się niebezpiecznie, zniżając lot nad przełęczą, a ja nie odważyłem się wyrzucić przez okno w obawie przed zawrotami głowy.

Sierżant Lawo coś krzyknął, pilot położył śmigłowiec na bok, księżę stracił równowagę i podczołgał się do ściany, przy czym o mało nie wpadł na mnie. Nieomal zgubiłem monokl. Potem maszyna wyprostowała się, jeden z żołnierzy otworzył drzwi i wszyscy po kolei zaczęli wstawać i wyskakiwać na zewnątrz. Wśród huku śmigieł nic nie było słychać. Ja także wstałem i w ślad za Wołodią pobiegłem do luku. Ziemia była blisko. Skoczyłem — bardzo zgrabnie, nawet się nie uderzyłem. Ale okazało się, że spóźniłem się na najważniejsze wydarzenia.

Na środku polany stało kilku ludzi z podniesionymi rękami. Byli otoczeni przez żołnierzy w niebieskich beretach. Zauważyłem Wołodię stojącego nieco z boku. Leżała tam sterta worków, obok nich, na ziemi, siedziała Lami, wyciągając do Wołodii związane ręce, a Wołodia starał się zębami rozwiązać jej węzły. Podeszedłem do stojącego najbliżej mnie żołnierza i wyciągnąłem z pochwy, którą miał przypiętą do pasa, szeroki, wojskowy nóż. Żołnierz spojrzał na mnie dziko.

— Nie denerwuj się — powiedziałem do niego po ligońsku. — Muszę rozwiązać dziewczynę.

Podeszedłem do Wołodii, wyciągnąłem do niego nóż i powiedziałem:

— Tak będzie wygodniej.

Dziewczyna nie zauważyła mnie. Patrzyła na Wołodię i płakała w milczeniu.

— Oczywiście, zębami też można — zażartowałem. — Ale to wymaga czasu.

Wołodia nie słyszał. Kucał przed dziewczyną i masował jej ręce. Scena ta wydała mi się zbyt powszednia, jak na finał.

Ale to nie był finał. Nagle góry poruszyły się. Dosłownie. Góry poruszyły się, widziałem to na własne oczy, ziemia uciekła spod nóg, a ja wylądowałem na workach z opium. Kolejny wstrząs odrzucił mnie na bok i musiałem uczepić się kępy trawy. Monokl gdzieś się potoczył i wszystko, co działo się wokół, było tym straszniejsze, że otaczała mnie mgła.

Ale najgorszy ze wszystkiego był huk, rozrywający bębunki w uszach... Czas ciągnął się w nieskończoność. Wydawało mi się, że ziemia może się rozstąpić i pochłoniąć mnie. Właśnie — pochłoniąc, bo na własnej skórze przekonałem się, jak cienka jest otoczka naszej planety.

A mimo to, leżąc na ziemi, bez okularów i nawet bez monokla, zdołałem wiele zauważyć.

Widziałem, jak pierwszy albo drugi wstrząs przewrócił na bok helikopter, widziałem, jak Wołodia kładzie się na ziemi tak, by zakryć własnym ciałem dziewczynę, widziałem jak nad leżącymi, krzyczącymi ze strachu ludźmi (a może to góry krzyczały) stoi, starając się zachować równowagę major Tilwi, widziałem, jak z przewróconego helikoptera, czerwoną plamą wypadł książę Urao i jak przewracając się i znowu wstając biegnie ku zboczcu góry, ku drzewom, widziałem, przysięgam, jak padający na ziemię major Tilwi strzela do księcia. Ale ten, jak tropikalny motyl oddala się od nas, widziałem jak książę wdrapuje się w górę po skłonie, jak spada na niego lawina kamieni, widziałem, jak kamienie dopadły księcia, odrzuciły go do tyłu i nakryły, i tylko poły czerwonego szlafroka wystawały spod nich jak płomienie.

A potem, gdy wszystko ucichło i ziemia tylko wzdychała, wstrząsana ostatnimi, słabymi konwulsjami, zaczął się ulewny, zimny deszcz...

Ligon. 10 marca. (TASS — LigTA). Wczoraj w górskich rejonach Republiki Ligonu miało miejsce silne trzęsienie ziemi. Tangi i szereg pobliskich miejscowości zostało prawie całkowicie zniszczonych. Jezioro Linili wystąpiło z brzegów, fale zmyły dwie pobliskie wsie. W górach wystąpiły liczne lawiny. Jednak, dzięki podjętym na czas krokom, liczba ofiar w ludziach jest niewielka.